

**KATHY  
REICHS**

**kości  
nie kłamia**



**KATHY  
REICHS**  
**kości  
nie kłamia**

Z języka angielskiego przełożył  
Przemysław Hejmej



WYDAWNICTWO  
SOWA

Tytuł oryginału:  
BONES NEVER LIE

Copyright © 2014 by Temperance Brennan, L.P.  
Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Szara Sowa

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan  
Korekta: Marta Chmarzyńska, Anna Gauza, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-8110-193-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.  
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadrage.pl](mailto:info@soniadrage.pl)  
[www.soniadrage.pl](http://www.soniadrage.pl)  
[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

## Część I

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

## Część II

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Część III

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Podziękowania

Przypisy

*Dla*  
*Alice Taylor Reichs,*  
*urodzonej 3 sierpnia 2012 roku*  
*oraz*  
*Milesa Aivarsa Mixona,*  
*urodzonego 11 sierpnia 2012 roku*

# CZEŚĆ I

## Rozdział 1

Wiadomość tę dostałam z samego rana. Honor Barrow domagał się mojej obecności na niezaplanowanym wcześniej zebraniu.

Jeśli o mnie chodzi, nie miałam na to żadnej ochoty – głowę rozsadało mi ostre przeziębienie.

Mimo to, po weekendzie spędzonym na sudafedzie, afrinie i herbacie z miodem i cytryną, zamiast dokończyć raport o rozkładających się zwłokach rowerzysty, przyłączyłam się do miliarda innych ludzi pracy zmierzających do centrum w godzinie porannego szczytu.

O 7.45 zaparkowałam na tyłach Centrum Policyjnego. Powietrze było chłodne, pachniało suchymi liśćmi – tak zakładałam. Nos miałam bowiem zatkany, nie wyczułabym różnicy między zapachem tulipana i zgniecionej puszki.

W 2012 roku w Charlotte odbyła się organizowana co cztery lata konwencja Partii Demokratycznej. Przybyły na nią dziesiątki tysięcy osób, gotowych wychwalać partię lub protestować przeciwko niej. Celem spotkania było nominowanie jakiegoś kandydata. Miasto wydało pięćdziesiąt milionów dolarów na środki bezpieczeństwa, w wyniku czego parter Centrum Policyjnego, niegdyś w typie otwartego holu, wyglądał obecnie jak mostek na statku kosmicznym „Enterprise”. Kłosa drewniana barierka. Kuloodporne szyby. Monitory pokazujące wszystkie zakamarki budynku, zarówno w środku, jak i na zewnątrz.

Po wpisaniu się do rejestru przeciągnęłam przez czytnik kartę i wjechałam na pierwsze piętro.

Winda zatrzymała się z pomrukiem i otworzyła; zobaczyłam przechodzącego właśnie Barrowa. W głębi, za drzwiami, do których zmierzał, widać było strzałki na zielonym tle, kierujące do *Wydziału Przestępstw Przeciwko Mieniu* (na lewo) oraz *Wydziału Kryminalnego* (na prawo). Ponad strzałkami znajdował się trudny do objaśnienia symbol Policji Charlotte-Mecklenburga.

– Dzięki, że jesteś – Barrow prawie nie zwołał kroku.

– Nie ma problemu. – Nie licząc całego stada bębnow w mojej głowie oraz ognia w gardle.

Weszłam za Barrowem przez drzwi, po czym skręciliśmy od razu w prawo.

Detektywi tłoczyli się w korytarzu wiodącym w obu kierunkach, ubrani głównie w koszule i krawaty. Jeden miał na sobie spodnie khaki i granatową koszulkę polo z wizerunkiem bardzo dzielnej osy. Wszyscy trzymali w rękach kubki z kawą i stanowili razem ogromną siłę ognia.

Barrow zniknął w pokoju po lewej, oznaczonym kolejną zieloną tabliczką: *2200: Dział Brutalnych Przestępstw*. Zabójstwa oraz napady ze skutkiem śmiertelnym.

Szłam dalej prosto, mijając trzy sale przesłuchań. W najbliższej ktoś wykrzykiwał barytonem swoje oburzenie w niekoniecznie nadających się do powtórzenia słowach.

Po dziesięciu jardach weszłam do pomieszczenia oznakowanego jako *2101: Wydział Zabójstw. Sekcja Spraw Nierozwiązanych*.

Większość kwadratowego wnętrza pokoju zajmowały szary stół i sześć krzeseł. Kserokopiarka. Pięć szafek na akta. Biała tablica ścieralna oraz tablice korkowe na ścianach. Na tyłach pomieszczenia, za niską przegródką, stało biurko z typowym telefonem, kubkiem, zasuszoną roślinką oraz przepełnionymi pojemnikami na dokumenty przychodzące i wychodzące. Z okna padały prostokąty światła słonecznego.

Ani jednej żywej duszy. Zerknęłam na ścienny zegar. 7.58.



Doprawdy? Tylko ja zjawiłam się punktualnie?

Głowa bolała mnie potwornie. Lekko poirytowana usiadłam na krześle i położyłam torebkę przy nogach.

Na stole znajdował się laptop, jakiś karton oraz plastikowy pojemnik. Oba oznakowano cyframi. Numery na pojemniku zapisano w znanym mi formacie: 090430070901. Akta z dnia 30 kwietnia 2009 roku. Pojedyncze zgłoszenie z godziny 7.09.

System rejestracyjny na kartonie był już odmienny. Zakładałam, że pochodzi z innego okręgu policyjnego.

Parę informacji ogólnych.

Począwszy od 1970 roku, Wydział Policji Charlotte-Mecklenburga miał około pięciuset nierozwiązanych spraw dotyczących zabójstwa. Gdy się zorientowano, że to naprawdę mnóstwo trupów i że na wymierzenie sprawiedliwości czeka wielu ludzi, w 2003 roku powołano sekcję zwaną Archiwum X.

Honor Barrow, pracujący w wydziale zabójstw od dwudziestu lat, kierował nią od chwili jest powstania. Wśród innych pełnoetatowych pracowników znajdowali się między innymi pewien sierżant policji oraz jakiś agent FBI. Ochotniczy zespół doradczy sekcji składał się z trzech emerytowanych agentów federalnych, jednego emerytowanego gliniarza z Nowego Jorku, cywilnego naukowca tudzież cywilnego inżyniera, który dostarczał analiz w postępowaniu przygotowawczym. Regularne zebrania zespołu odbywały się raz w miesiącu.

Jako antropolog sądowy zajmuję się ludźmi zmarłymi dość dawno. Nic dziwnego zatem, że czasem zaprasza się mnie do tego gremium. Zwykle jednak jestem informowana z pewnym wyprzedzeniem o powodach wezwania. Że w jakimś dochodzeniu trzeba zbadać ludzkie szczątki, odpowiedzieć na pytania dotyczące kości, urazów, rozkładu włók.

Ale nie tym razem.

Zniecierpliwiona, choć ciekawa, dlaczego mnie wezwano, przyciągnęłam do siebie plastikowy pojemnik i zdjęłam wieko. W środku znajdowały się setki kartek, oddzielonych od siebie przegródkami. Znałam te nagłówki. *Wiktymologia. Opis przestępstwa. Raport z miejsca zdarzenia. Materiał dowodowy/Rzeczy znalezione/Analiza. Raport lekarza sądowego. Świadkowie. Dochodzenia powiązane. Potencjalni podejrzeni. Zalecane dalsze działania.*

Na wierzchu leżał opis przypadku sporządzony przez Claire Melani, kryminolożkę i moją koleżankę z pracy na Uniwersytecie Karoliny Północnej w Charlotte. Przeskoczyłam do pierwszego rozdziału jej raportu. I poczułam, jak tężeją mi mięśnie karku.

Zanim zdołałam przeczytać cokolwiek więcej, w korytarzu rozległy się głosy. Po chwili w pokoju zjawił się Barrow z facetem wyglądającym, jakby urwał się z okładki podręcznika survivalu. Sprane džinsy. Wyblakła wojskowa kurtka narzucona na czerwoną koszulkę z długim rękawem. Ciemne włosy, z kędziorami wystającymi spod rażąco pomarańczowej czapki.

Włożyłam raport z powrotem do pojemnika.

– Czyżby wszyscy inni utknęli w korku?

– Nie zapraszałem zespołu ochotniczego.

Zaskoczyło mnie to, ale milczałam.

Barrow zauważył, że moje spojrzenie spoczęło na miłośniku survivalu i przedstawił go.

– Detektyw Rodas przyjechał do nas ze stanu Vermont.

– Umparo. Dla przyjaciół Umpie – powiedział z przesadnie skromnym uśmiechem. – Dla obojga.

Rodas wyciągnął do mnie dłoń. Przyjęłam ją. Jej uścisk odpowiadał jego wyglądowi, był

twardy i mocny.

Gdy Barrow i Rodas zajęli miejsca, w drzwiach stanęła znana mi postać. Erskine „Chudy” Slidell, gliniarz legenda, przynajmniej według własnych wyobrażeń.

Nie powiem, żeby jego obecność specjalnie mnie ucieszyła. Ponieważ Chudy pracuje w wydziale zabójstw, a ja w kostnicy, czasem mamy ze sobą do czynienia. Na przestrzeni lat nasze relacje miały swoje wzloty i upadki, niczym linia w wykresie poligraficznym. Facet często wykazuje brak manier, ale potrafi wyjaśniać sprawy.

Slidell wyprostował ramiona w geście oznaczającym „co jest?”, po czym przyciągnął do oczu jeden nadgarstek, ten z zegarkiem. Subtelne.

– Cieszę się, że udało ci się oderwać od pornosów w komputerze. – Uśmiechając się, Barrow jedną nogą podsunął tamtemu krzesło.

– Ta twoja siostrzyczka naprawdę uwielbia kamerę – poduszka wydała z siebie westchnienie, gdy Slidell złożył na niej swój wielki tyłek.

Jeszcze w latach osiemdziesiątych Barrow i Slidell pracowali jako partnerzy i w przeciwieństwie do większości takich par lubili się. Zapewne łączyło ich zamiłowanie do ciętych ripost.

Barrow kończył właśnie przedstawiać sobie Slidella i Rodasa, gdy drzwi znów się otworzyły. Do pokoju wszedł mężczyzna, którego nie znałam. Miał wąty podbródek i zbyt długi nos, niczym wycior. Był mojego wzrostu. Jego koszula z poliestru, krawat oraz przeciętny garnitur wskazywały na kierownika średniego szczebla. Postawa jednoznacznie sugerowała policjanta. Nasza czwórka przyglądała się, jak człowiek z poliestru zajmuje miejsce za stołem.

– Agent Tinker z SBS – powiedział Barrow, mając na myśli Stanowe Biuro Śledcze. W jego głosie nie było śladu ciepła.

Słyszałam już o Beau Tinkerze. Mówiono, że ma ograniczone horyzonty, za to ego szerokie na milę. I lubi zabawiać się z paniami.

– Ta długa podróż nie była chyba konieczna – rzekł Slidell, nie podnosząc wzroku znad palców splecionych na brzuchu.

Tinker zlustrował go oczyma szarymi i pozbawionymi wyrazu jak niepolerowana cyna.

– Pracuję niedaleko, w biurze terenowym w Harrisburgu.

Mięśnie szczęk Slidella napięły się, ale milczał.

Jak wszędzie indziej na naszej planecie, także w Karolinie Północnej poszczególne agencje rywalizują ze sobą. Biuro szeryfa, ochrona kampusów i lotnisk oraz straż portowa przeciwko miejscowej policji. Stan przeciwko chłopakom z miasta. Federalni przeciwko całemu światu.

Nie licząc niektórych przestępstw, kiedy wymagana jest współpraca – takich jak handel narkotykami, podpalenia, hazard i fałszerstwa wyborcze – SBS angażuje się w dochodzenia kryminalne zwykle jedynie na prośbę lokalnych departamentów policji. Chłód bijący od Barrowa i Slidella wskazywał, że w tym wypadku nikt nie wystąpił z tego rodzaju prośbą.

Czy Rodas miał stanowić przeciwwagę? A jeśli tak, to skąd zainteresowanie władz stanowych w Raleigh jakąś sprawą z Vermontu?

Slidell uważał się za gwiazdę wydziału zabójstw. Zbyt wielką, żeby tracić czas na pierdoły, jak sam to kiedyś ujął. Ja także zastanawiałam się, co on tutaj robi.

Przypomniały mi się akta w plastikowym pojemniku.

Zerknęłam na Chudego. Podniósł już wzrok i wpatrywał się w Tinkera z wyrazem twarzy zarezerwowanym zwykle dla pedofilów i pleśni.

Czy ta wrogość oznaczała coś więcej niż problemy kompetencji terytorialnej? Czy Slidell

zetknął się z Tinkerem już wcześniej? A może Chudy był po prostu Chudym?

W moje myśli wdarł się głos Barrowa.

– Proszę, żeby detektyw Rodas rozpoczął zebranie.

Barrow oparł się wygodnie i poprawił sobie łańcuszek na szyi, z którego zwisała policyjna odznaka. Często przypominał mi wielkiego żółwia skórzastego. Ciemna i pomarszczona skóra na niewielkiej głowie, szeroko rozstawione, wypukłe oczy ponad małym, szpiczastym nosem.

Rodas otworzył karton, wyciągnął spięte ze sobą raporty i podsunął każdemu po jednym.

– Sorry, jeśli mój styl jest mniej oficjalny od waszego. – Miał głęboki i szorstki głos, taki, który pasował do stanu Vermont, gór i produkowanych tam serów typu cheddar. – Wprowadzę was w temat, a potem odpowiem na pytania, jeśli coś będzie niejasne.

Zacząłem przerzucać strony. Usłyszałam, że Tinker i Slidell robią to samo.

– Dziewiętnastego października dwa tysiące siódmego roku, między godziną czternastą trzydzieści a piętnastą zaginęła dwunastoletnia biała dziewczynka, Nellie Gower. Jechała na rowerze ze szkoły do domu. Sześć godzin później znaleziono rower przy wiejskiej drodze, ćwierć mili od farmy Gowerów.

Jakiś niuans w tonie jego głosu kazał mi podnieść wzrok. Jabłko Adama na krtani Rodasa poruszyło się wyraźnie, nim znów podjął temat.

– Zwłoki Nellie odkryto osiem dni później w kamieniołomach granitu, cztery mile za miastem.

Zauważyłam, że Rodas używa imienia dziecka, że go nie depersonalizuje, jak często robią policjanci – mówią: „małolat”, „ofiara” itd. Nie trzeba było Freuda, żeby się zorientować, iż Rodas jest w tę sprawę zaangażowany emocjonalnie.

– Medyk sądowy nie znalazł żadnych oznak odniesionego urazu ani wykorzystania seksualnego. Dziecko było w pełni ubrane. Zakwalifikowano to jako zabójstwo z nieznanymi powodów. Badanie miejsca zdarzenia nic nie dało. Podobnie zresztą jak samych zwłok. Żadnych śladów opon, butów, krwi czy śliny. Absolutnie nic, co pomogłoby w śledztwie.

Przesłuchano osoby, które przesłuchuje się zawsze w takich przypadkach – zarejestrowanych gwałcicieli, rodziców, krewnych, znajomych, rodziny znajomych, sąsiadów, opiekunki do dziecka, drużynową harcerek, pracowników szkoły i domu kultury, duchownego z kościoła. Każdego, kto miał choćby najdrobniejsze powiązania z ofiarą.

Rodas wyciągnął w pojemnika spiralny notatnik ze spiętymi kartkami w rozmiarze pięć na trzy cale i niczym krupier rozrzucił je wokół stołu. Gdy każdy z nas zapoznawał się z ponurym zapisem kartoteki, panowała cisza.

Na pierwszych kilku zdjęciach widać było kamieniołom. Ponad ogromną, skalistą, pozbawioną drzew dziurą w ziemi wisało ołowiane niebo. Po lewej, gdzieś z dalszego planu, odchodziła żuźlowa droga i wspinała się dalej w kierunku poszarpanego widnokręgu.

Wzdłuż drogi ustawiono tymczasowe barierki. Za nimi parkowały samochody osobowe, pick-upy i furgonetki różnych mediów. Ich kierowcy i pasażerowie stali skupieni w dwójkach i trójkach. Niektórzy rozmawiali, inni gapił się na kozły do piłowania drewna albo na ziemię. Wielu miało na sobie koszulki z napisem *Znaleźć Nellie*, wydrukowanym ponad zdjęciem znajomej twarzy nastolatki.

Znałam takich ludzi. Samarytan, którzy poświęcali wiele godzin na poszukiwania dzieci lub odbieranie telefonów. Gapiów tylko czyhających, żeby choć przez chwilę zobaczyć zwłoki w worku. Dziennikarzy, którzy chcieli mieć jak najlepszy widok, nie bacząc na kolejną ludzką tragedię.

Przed barierkami stały samochody policyjne, wóz techników, furgonetka koronera oraz dwa nieoznakowane pojazdy, pod takim kątem, jakby zatrzymały się nagle i niespodziewanie. Znałam tego typu twarze. Technicy dochodzeniowi, ludzie koronera. Jakaś kobieta w kurtce z napisem *Medyk sądowy*, wydrukowanym żółtymi literami na plecach. Gliniarze w mundurach, jeden z głową zadartą do góry, rozmawiający przez krótkofalówkę na ramieniu.

W centralnej części sceny ustawiono parawan. Pod jego niebieską folią między słupkami rozciągnięto żółtą taśmę. Tworzyła coś na kształt nieforemnego prostokąta. W jego wnętrzu wznosił się boleśnie niewielki wzgórek, przy którym kuczał Rodas, z ponurą twarzą i notesem w ręku.

Kolejna seria fotografii koncentrowała się już na dziecku. Nellie Gower leżała na plecach, z wyprostowanymi nogami i ramionami przyciśniętymi do tułowia. Czerwona wełniana kurtka była zapięta pod samą brodę. Sznurówki sportowych butów zawiązano w symetryczne pętle. Spód bluzki w kropeczki został schludnie włożony w jasnoróżowe spodnie.

Kilka zdjęć ukazywało tę samą twarz, która widniała na koszulkach. Tyle że już bez uśmiechu.

Włosy Nellie zakrywały jej ramiona długimi, czekoladowymi falami. Zauważyłam, że pośrodku głowy miała równiuteńki przedziałek, włosy starannie i celowo oddzielone grzebieniem.

Osiem dni pozostawania na powietrzu zrobiło swoje. Rysy twarzy dziewczynki były rozmyte, jej skóra gdzieniegdzie fioletowo-zielonkawa. W ustach i nozdrzach roiło się od larw.

Trzy ostatnie fotografie pokazywały prawą rękę dziecka w zbliżeniu. Na jego dłoni widać było ślady jakiejś przejrzystobiałej substancji.

– Co to jest? – spytałam.

– Technicy zbadali obie ręce. Lekarz sądowy pobrał wymazy ze skóry oraz to, co miała pod paznokciami. Faceci od śladów sądzili, że mogą tam znaleźć pozostałości tkanki.

Kiwnęłam głową, wciąż wpatrując się w zdjęcia. W moim mózgu gorzały synapsy. Przypomniało mi się inne dziecko. Inny zestaw rozdzierających serce fotografii.

Już wiedziałam, dlaczego mnie wezwano. I dlaczego był tu również Chudy.

– Jasna cholera.

Rodas zignorował uwagę Slidella.

– Mieliśmy kilka tropów. Były telefony, jeden świadek zeznał, że pewien nauczyciel okazywał Nellie niezwykle zainteresowanie, a sąsiad twierdził, że widział ją w półciężarówce razem z brodatym mężczyzną. Ale nic nie ułożyło się w jedną całość. Ostatecznie sprawę włożono do zamrażarki. Jesteśmy małym wydziałem. Musimy zajmować się kolejnymi sprawami. Wiecie, jak to jest.

Rodas spojrział na Slidella, a potem na Barrowa. Napotkał wzrok tych, którzy wiedzieli to aż za dobrze.

– Ale to nie daje mi spokoju. Ta mała. Jeśli tylko mam wolną chwilę, wyjmuję akta i przeglądam je w nadziei, że znajdę coś, co wcześniej przeoczyłem.

Jabłko Adama na jego krtani znów podskoczyło.

– Według świadków, którzy zgodnie to zeznali, Nellie była nieśmiała. Ostrożna. Nie zadawała się z obcymi. Sądziliśmy, że sprawca to ktoś miejscowy. Ktoś, kogo znała. Ruszyliśmy w tym kierunku. W zeszłym roku doszedłem do wniosku: do cholery z tym. Trzeba zmienić schemat myślenia. Spróbowałem VICAP-u.

Rodas nawiązywał do programu FBI dotyczącego ujęć sprawców szczególnie brutalnych przestępstw, ogólnokrajowej bazy danych, prowadzonej w celu zbierania i analizowania

informacji o zabójstwach, gwałtach na tle seksualnym, osobach zaginionych oraz innych ciężkich przestępstwach. Znajduje się tam około 150 tysięcy aktualnych oraz zamkniętych już śledztw, prowadzonych przez 3800 agencji stanowych i lokalnych, w tym także tych nierozwiązanych, począwszy od lat 50. XX wieku.

– Podaliśmy wszystko to, czym dysponowaliśmy: modus operandi, cechy charakterystyczne, opis i zdjęcia miejsca zbrodni, szczegóły dotyczące ofiary. Na odpowiedź musiałem czekać wiele tygodni. I niech mnie szlag, jeśli nasz profil nie pasuje do pewnej sprawy stąd, z Charlotte, także nierozwiązanej.

– Dziewczynka Nance'ów – wycedził Slidell, prawie nie otwierając ust.

– Nigdy nie doszło do żadnego aresztowania w tej sprawie. – Były to pierwsze słowa Tinkera od chwili, gdy powiedział Slidellowi, że jego miejsce pracy znajduje się niedaleko.

Slidell otworzył usta, by odparować, ale najwyraźniej zmienił zdanie i zamknął je.

Zerknęłam na pojemnik. 090430070901. Lizzie Nance. Osobista porażka, która dręczyła Slidella.

W dniu 17 kwietnia 2009 roku Elizabeth Ellen „Lizzie” Nance wyszła z zajęć baletu i skierowała się do mieszkania swojej matki, znajdującego się trzy ulice dalej. Nigdy tam nie dotarła. Wszystkie media relacjonowały tę sprawę. Setki osób odbierały telefony, rozrzucaly ulotki, przeszukiwały lasy i stawy niedaleko mieszkania Lizzie. Bezskutecznie.

Dwa tygodnie po zniknięciu dziewczynki w rezerwacie przyrodniczym na północny zachód od Charlotte znaleziono rozkładające się zwłoki. Ciało leżało na wznak ze złączonymi stopami i wetkniętymi pod boki ramionami. Gnijące szczątki ubrane były w czarny trykot, rajstopy i różową bawełnianą bieliznę. Na nogach miały jasnoniebieskie crocsy. Znalezione pod paznokciami ofiary substancję zidentyfikowano później jako tkankę z ludzkiej twarzy.

Śledztwo prowadził Slidell. Ja analizowałam kości.

Wiele dni spędziłam wtedy zgięta nad mikroskopem, ale nie zauważyłam ani jednego draśnięcia, nacięcia czy złamania w żadnym miejscu szkieletu. A Tim Larabee, medyk sądowy okręgu Mecklenburg, nie był w stanie definitywnie określić, czy doszło do wykorzystania seksualnego. Przypadek ten zakwalifikowano jako zabójstwo z nieustalonych przyczyn.

Lizzie Nance zginęła, mając jedenaście lat.

– Na szczęście Honor także wprowadził do systemu swoje nierozwiązane sprawy. A ten wykrył podobieństwa. – Rodas uniósł obie ręce. – I oto jestem.

Zapadła chwila ciszy. Przerwał ją Tinker.

– To wszystko? Dwie dziewczynki w mniej więcej tym samym wieku? Mające na sobie ubranie po śmierci?

Nikt mu nie odpowiedział.

– Czy ta mała Nance'ów była martwa już zbyt długo, żeby wykluczyć gwałt?

Opierając na stole otwarte dłonie, Slidell pochylił się w stronę Tinkera. Przeszkodziłam mu.

– Wyniki sekcji zwłok wskazywały na elementy komplikujące. Jednak dziecko miało na sobie komplet odzieży, a doktor Larabee był przekonany, że do gwałtu nie doszło.

Tinker wzruszył ramionami, nie zdając sobie sprawy albo nie przejmując się, że jego nonszalancja jest obraźliwa dla wszystkich.

– Słabe podstawy.

– Nie tylko profil z VICAP-u przywiódł mnie do Charlotte – podjął Rodas. – Zanim znaleźliśmy Nellie, jej ciało przez półtora dnia leżało w padającym deszczu. Odzież nasiąknęła wodą i cieczami rozkładowymi. Bez specjalnej nadziei przekazałem ją do naszego laboratorium

medycyny sądowej w Waterbury. Ku memu zaskoczeniu znaleźli DNA.

– Na pewno tylko jej – domyślił się Slidell.

– Tak. – Rodas umieścił przedramiona na stole i pochylił się do przodu. – Półtora roku temu ponownie przeglądałem akta. Tym razem wyłapałem coś, co uznałem za przełomowe. Pozostałości substancji na ręce Nellie nie pochodziły z jej ubrania. Zadzwoiłem do medyka sądowego. Znalazła próbki pobrane podczas sekcji zwłok przez jej poprzednika. Wiedziałem, że to strzał w ciemno, ale poprosiłem, żeby przesłała je do Waterbury.

Rodas popatrzył prosto na mnie.

Wytrzymałam jego spojrzenie.

– Materiał zawierał DNA nienależące do Nellie.

– Przesłał pan profil przez system? – Tinker zadał niepotrzebne pytanie.

Ruchem podbródka Rodas wskazał raport w moim ręku.

– Proszę spojrzeć na rozdział zatytułowany „Najnowsze wyniki badań DNA”, pani doktor Brennan.

Ciekawa, dlaczego tylko mnie wyróżniono, zrobiłam, co mi kazano.

Odczytałam nazwisko.

I poczułam, jak moje wnętrzości zalewa fala adrenaliny.

## Rozdział 2

Raport był krótki, wydrukowany po francusku i po angielsku.

Próbując znaleźć w nim sens, ponownie przeczytałam akapit końcowy. W obu językach.

Otrzymano zgodność próbki DNA numer 7426 z obywatelką kanadyjską numer 64899, zidentyfikowaną jako Anique Pomerleau. Biała kobieta, data urodzenia 12.10.75. Nie jest osadzona.

Anique Pomerleau.

Moje oczy napotkały wzrok Rodasa. Wciąż wpatrywał się we mnie.

– Wyobraża pani sobie, jak to na mnie podziałało? Przez lata zupełnie nic, a potem nagle dostaję wiadomość, że znaleźli DNA nienależące do Nellie. Poprosiłem analityka, żeby przesłał ten profil przez CODIS.

Podobnie jak VICAP, CODIS (Łączony System Indeksowania DNA) to baza danych prowadzona przez FBI. Przechowuje się w nim profile sprawców, a do generowania tropów wykorzystuje dwa osobne indeksy.

Indeks skazanych zawiera profile poszczególnych osób, które popełniły rozmaite przestępstwa: od drobnych wykroczeń po gwałty i morderstwa, a indeks medyczo-sądowy – profile powstałe na podstawie substancji zebranych z miejsc zdarzenia, takich jak sperma, ślina czy krew. Kiedy jakiś detektyw bądź analityk wprowadza niezidentyfikowany profil, oprogramowanie CODIS bada oba indeksy w poszukiwaniu podobieństw.

Trafienie w obrębie indeksu medyczo-sądowego łączy jedno przestępstwo z innym, co może na przykład wskazywać na seryjnego sprawcę. W oparciu o takie wskazanie różne jednostki policji mogą koordynować swoje działania i dzielić się informacjami. Trafienie zachodzące pomiędzy indeksem medyczo-sądowym a indeksem skazanych sprawców dostarcza śledczym wskazówek dotyczących tego ostatniego. Podejrzanego. Nazwisko.

Anique Pomerleau.

– Ale ona nie jest Amerykanką. – Była to niemądra uwaga, jednak właśnie taka padła z moich ust. Chodziło mi o to, w jaki sposób Rodas uzyskał trafienie w obywatelkę kanadyjską. Nasi północni sąsiedzi korzystają z programu CODIS, ale mają też własną, krajową bazę danych o kodach DNA.

– W Stanach nie znaleźliśmy nikogo pasującego, postanowiłem więc wysłać profil do Kanady. Rutyna. Hardwick leży niecałą godzinę jazdy od granicy. – Rodas wskazał na raport, który trzymałam. – To pochodzi z Kanadyjskiego Krajowego Banku Danych DNA.

Wiedziałam o tym. Podczas swojej pracy w Laboratoire de Sciences Judiciaires et de Médecine Légale w Montrealu widziałam dziesiątki takich raportów. Pseudoefedryna i oksymetazolin, które wzięłam na przeziębienie, ograniczały nieco moją zdolność jasnego artykułowania myśli.

– W jaki sposób znalazł pan powiązanie ze mną? – uściśliłam swoją wypowiedź.

– Trafienie miało miejsce w Kanadzie, wydawało się zatem logiczne, żeby zacząć kopać tam. Mam kolegę w Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej. Wprowadził dane i znalazł niejaką

Anique Pomerleau, która pasuje do kryteriów. Poszukiwana przez Sûreté du Québec nakazem z roku dwa tysiące czwartego.

– Chwileczkę. Mówi pan, że pięć lat po tym, jak Kanadyjczycy zaczęli szukać tej małej, ta Pomerleau zostawia swoje DNA na innym martwym dziecku w Vermoncie? – Tinker, król współczucia.

– To trop, nad którym ów detektyw wciąż pracuje, ale najwyraźniej niedawno wszedł też na AWOL. – Rodas posłał mu krzywy uśmiech. – Odnoszę wrażenie, że to osobna historia.

Poczułam lekkie pulsowanie w nadgarstku. Wpatrywałam się w delikatną niebieską żyłkę biegnącą pod moją skórą.

– Nikt nie pamiętał ani tej sprawy, ani sprawcy. Jednak koroner pomógł mi skontaktować się z pewnym patologiem, który pracuje tam od zawsze. Nazywa się Pierre LaManche. LaManche powiedział mi, że Pomerleau była podejrzana w sprawie dotyczącej zabójstw kilku młodych dziewcząt. Współwinnym był niejaki Neal Wesley Catts. Wtedy, w dwa tysiące czwartym, Catts albo się zastrzelił, albo zrobiła to Pomerleau. A potem zniknęła. Powiedziałem LaManche'owi o DNA znalezionym na ręce Nellie Gower oraz o trafieniu z VICAP-u wskazującym na waszą nierozwiązaną sprawę tu, w Charlotte. Poradził mi skontaktować się z doktor Brennan.

Anique Pomerleau.

Potwór.

Jedyna, której udało się uciec.

Staralam się, aby moja twarz była pozbawiona wyrazu. Wzrok skupiłam na naczyniu krwionośnym wijącym się w mym ciele.

– Sądzicie, że Pomerleau załatwiła zarówno Gower, jak i tę małą od Nance'ów – rzekł Tinker, znów stwierdzając rzecz oczywistą.

– Myślę, że istnieje taka ewentualność.

– I gdzie ona się przez cały ten czas ukrywa?

– Rozesłaliśmy za nią list gończy i nakaz aresztowania, ale nie spotkałem się w Kanadzie ze specjalnie miłym odzewem. Nie mam im tego za złe. Minęło już dziesięć lat. Być może Pomerleau nie żyje, może zmieniła nazwisko, a jedyne jej zdjęcie, jakim dysponujemy, pochodzi z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

Pamiętałam o tym. Jedyna fotografia, którą mieliśmy. Zrobiona, kiedy Pomerleau miała około piętnastu lat.

– Więc tak. Po wyjeździe z Montrealu Pomerleau znika gdzieś na trzy lata, a potem znów wypływa i zabija dzieciaka w Vermoncie. – Z tonu jego głosu domyśliłam się, że Slidell nie traktuje tej teorii zbyt poważnie.

– Kiedy ostatni raz sprawdzałem, Karolina Północna wciąż leżała spory kawałek od tundry – powiedział Tinker. – Jak Pomerleau miałaby tam dotrzeć? – Kiedy nikt mu nie odpowiedział, ciągnął dalej. – DNA łączy tę Pomerleau z małą Gower. Ale co łączy Gower z Nance? Mówiłem to już wcześniej i powiem jeszcze raz. To smutne, ale dzieci są mordowane codziennie. Skąd pewność, że mamy do czynienia z jednym sprawcą?

Nagle ciśnienie w moich zatokach stało się nieznośne, na granicy eksplozji. Dyskretnie przycisnęłam rękę do policzka. Moja skórą wprost parzyła. Czyżby wirus brał jednak górę? Z powodu szoku wywołanego tym, co usłyszałam?

Gdy sięgałam po chusteczkę do nosa, Rodas wymieniał na palcach poszczególne punkty argumentacji, poczynając od prawego kciuka.

– Obie ofiary były płci żeńskiej. Obie były w wieku od jedenastu do czternastu lat. Obie



zniknęły za dnia, z publicznej drogi: albo szosy, albo ulicy w mieście. Obie pozostawiono na ziemi w jakimś nieosłoniętym miejscu, w kamieniołomie, na polu. Obie leżały twarzą do góry, z wyprostowanymi ramionami i nogami, i starannie uczesanymi włosami.

– Upozowane – rzekł Barrow.

– Zdecydowanie.

Rodas podniósł lewą rękę.

– Obie ofiary były ubrane. Obie miały na palcach pozostałości jakiejś tkanki. Na żadnej nie widniały ślady urazów ani wykorzystania seksualnego. – Wyciągnął z kartonu plastikową koszulkę i położył ją na stole. W środku znajdowała się kolorowa fotografia rozmiarów pięć na siedem cali.

Barrow wygrzebał z pojemnika podobne zdjęcie i umieścił je obok pierwszego. Jakby na komendę, wszyscy nachylili się, by je zobaczyć.

Były to bez wątpienia fotografie klasowe, szkolne. Takie, jakie robimy sobie wszyscy, będąc dziećmi. Jakie uczniowie każdego roku, na zakończenie nauki, przynoszą do domu. Ich tła się różniły. Na jednej widać było pień drzewa, na drugiej pomarszczony czerwony aksamit. Ale wszystkie dzieci spoglądały prosto w aparat z tym samym zakłopotanym uśmiechem.

– Muszę przyznać – przyznał Tinker – że te małe są do siebie podobne.

– Podobne? – Slidell wypchnął powietrze ustami. – Wyglądają jak cholerne klony.

– Obie ofiary odznaczały się zbliżonym wzrostem i wagą – powiedział Rodas. – Nie nosiły grzywek, okularów, aparatów na zęby, które są w tej grupie wiekowej chyba dość powszechne.

To prawda. Obie dziewczynki miały jasną skórę, ostre rysy twarzy oraz długie ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku, opadające na plecy. Gower zatknęła sobie kilka kosmyków za uszy.

Spojrzałam na Lizzie Nance. Studiowałam tę twarz tysiące razy. Zauważyłam szereg karmelowych piegów. Czarną plastikową opaskę na końcu każdego warkocza. Odrobinę szelmstwa w dużych zielonych oczach.

I poczułam ten sam żal. Tę samą frustrację. Kotłowały się we mnie też nowe emocje.

Nieproszone, w mej głowie zaczęły pojawiać się obrazy. Wychudzone ciało zwinięte w kłębek na prowizorycznej ławce. Żółto-pomarańczowe płomienie tańczące na ścianie. Opryskany krwią kryształ, rzucający wolno kręcące się cienie na słabo oświetlony salon.

Mój wzrok powędrował obok Slidella na tył pomieszczenia.

Choć z miejsca, w którym siedziałam, nie mogłam tego zobaczyć, wiedziałam, iż okno wychodzi na parking przed budynkiem. Że widać z niego zabudowania centrum. A także drogę międzystanową, przemykającą się między trakcjami energetycznymi Northeast. Gdzieś dalej biegła odległa granica kanadyjska. Oraz ślepa uliczka niedaleko opuszczonego dworca kolejowego. Rue de Sébastopol.

Dźwięk ciszy przywrócił mnie rzeczywistości.

– Potrzebujesz przerwy? – Barrow przyglądał mi się uważnie z dziwnym wyrazem twarzy. Tak jak pozostali.

Kiwnęłam głową, szybko wstałam i wyszłam z pokoju.

Idąc śpiesznie korytarzem, widziałam w swoim umyśle kolejne obrazy. Psia obroża otaczająca smukłą szyję. Ciemne oczy uchodźcy, okrągłe i przerażone na białej twarzy w kostnicy.

Zamknęłam za sobą drzwi łazienki na klucz, podeszłam do umywalki i włożyłam ręce pod kran. Patrzyłam, a potem przestawiałam, i znów patrzyłam, jak obmywa je woda. Pełną minutę.

Potem złożyłam dłonie i napiłam się jej.

Wreszcie wyprostowałam się i spojrzałam w lustro. Kobieta po drugiej stronie oddała mi

spojrzenie, trupio błada niczym porcelana umywalki, której trzymała się kurczowo.

Przyglądałam się jej obliczu. Ani młode, ani stare. Włosy jasnopopielate, z odrobiną siwizny. Szmaragdowe oczy. Zdradzające co? Żal? Gniew? Przekrwienie i gorączkę?

– Weź się w garść. – Wargi w odbiciu wypowiedziały te same słowa. – Rób swoje. Dopadnij tę sukę.

Zakręciłam kran. Wydarłam z pojemnika papierowy ręcznik i osuszyłam twarz. Wydmuchałam nos.

Wróciłam do sali zebrań.

– ...mówiłem, że to niezwykle, że nie znaleziono dowodów na wykorzystanie seksualne – Tinker wydawał się podenerwowany.

Zajęłam ponownie swoje miejsce.

– Kto wie, co dla tych popierdoleńców jest seksualne, a co nie. – Slidell rozparł się w krzesło, przeciągając zaciśniętą pięścią po blacie stołu.

– Jeśli sprawca jest kobietą, należy na całą zabawę spojrzeć zupełnie inaczej – powiedział Tinker.

– No tak, ale to *nasza* zabawa – zachnął się Slidell. Po chwili przerwy podjął: – Gower to przypadek z dwa tysiące siódmego roku?

– I co z tego?

Slidell rzucił Tinkerowi miazdzące spojrzenie.

– Gower zginęła w dwa tysiące siódmym. Jest więc trzyletnia przerwa między Vermontem a tym, co się stało wcześniej w Montrealu. Mija kolejne półtora roku i ginie Nance.

– Do czego zmierzasz?

– Linia czasu, ty głąbie. – Zanim Tinker zdołał rzucić mu ciętą ripostę, Slidell już wstał. – Ja tu skończyłem.

– Co za poranek – rzekł Barrow, próbując rozładować napięcie, eskalujące ku otwartemu konfliktowi. – Spotkamy się ponownie, gdy detektyw Slidell oraz pani doktor przejrzą akta Nance.

Barrow i Slidell wymienili spojrzenia. A potem Chudy wyszedł.

– I to by było na tyle. – Ledwie skinąwszy nam głową, Tinker odepchnął swoje krzesło do tyłu.

Rodas patrzył, jak tamten wychodzi przez drzwi, po czym podniósł pytająco brwi w stronę Barrowa. Barrow pokazał mu, by nie ruszał się z miejsca. Rodas oparł się z powrotem. Ja też.

Kilka minut później wrócił Slidell z folderem w ręku, do którego było przypięte zdjęcie.

Opadł na najbliższe krzesło, zdjął spinacz i umieścił fotografię obok dwóch pozostałych.

Znów poczułam uderzenie adrenaliny.

Dziewczynka miała brązowe oczy, lekko oliwkową skórę i długie kasztanowe włosy z wyraźnym przedziałkiem pośrodku. Jej wiek szacowałam na między dwanaście a trzynaście lat.

– Michelle Leal. W skrócie Shelly – rzekł Slidell. – Trzynastolatka. Mieszka z rodzicami i dwojgiem rodzeństwa w Plaza-Midwood. W zeszły piątek po południu matka wysłała ją do sklepu spożywczego na rogu Central i Morningside. Około szesnastej piętnaście kupiła tam mleko i M&M-sy. Nie wróciła do domu.

Większość weekendu spędziłam uziemiona, na prochach przeciwko przeziębieniu, odpływając od razu, gdy tylko włączałam telewizor. Jak przez mgłę przypominałam sobie doniesienia o zaginionym dziecku, relację z poszukiwań, płaczliwy apel matki.

A teraz zobaczyłam twarz tej dziewczynki.

– Nie znalazła się – przełknęłam ślinę.

– Nie – odparł Slidell.

– Myślisz, że to ma związek?

– Popatrz na nią. Modus operandi też pasuje.

Podniosłam wzrok i napotkałam oczy Barrowa.

– Ty sądzisz, że tu chodzi o mnie – powiedziałam spokojnie.

Barrow spróbował posłać mi pocieszający uśmiech. Nie wyszło mu.

– Podejrzewasz, że Pomerleau dowiedziała się, gdzie mieszkam, przyjechała tutaj i zabiła Lizzie Nance. A teraz porwała Shelly Leal.

– Musimy wziąć tę możliwość pod uwagę – odparł cicho Barrow.

– Dlatego poprosiłeś, żebym tu przyszła z samego rana.

– To tylko jeden z powodów – Barrow mi przerwał. – W przypadku spraw z Archiwum X mamy mnóstwo czasu. Żadnej presji ze strony opinii publicznej, mediów, facetów na górze. Ale z Shelly Leal tak nie będzie.

Kiwnęłam głową.

– Może ta mała już nie żyje – powiedział Slidell. – A może nie. Gower znaleziono osiem dni po zniknięciu. Jeśli Leal żyje, mamy naprawdę wąskie okno czasowe.

Barrow znów wkroczył do akcji.

– Myślenie Pomerleau nie jest ci obce, wiesz, jaki ma sposób działania.

– Jestem antropologiem, nie psychologiem.

Barrow uniósł obie dłonie.

– Rozumiem. Ale byłeś tam. To jeden z powodów, dla których potrzebujemy twojej pomocy.

– A drugi?

– Sprawę Pomerleau prowadził pewien detektyw, niejaki Adrew Ryan. Podobno znasz faceta osobiście.

Gorąco zalało mi twarz. Nie wiedziałam, że tak się stanie.

– Chcemy, żebyś go znalazła.

## Rozdział 3

– Nie zajmuję się śledzeniem miejsc pobytu detektywa Ryana.

Moje serce wciąż pompowało krew do policzków. Nie cierpiałam tego. Nienawidziłam faktu, że tak łatwo było mnie przejrzeć.

Barrow miał nawyk ciągłego chrząkania. Zrobił to znowu.

– Pracowałaś z tym Ryanem dość długo, prawda?

Skinęłam głową.

– Nie wiesz, dlaczego zniknął?

– Zmarła mu córka.

– Nagle?

– Tak. Przedawkowanie heroiny.

– Wiek?

– Dwadzieścia lat.

– To każdego zwałoby z nóg.

Zerknęłam na zegarek. Odruchowo. Przecież wiedziałam, która jest godzina.

– Mijają prawie dwa miesiące, a nikt nie ma zielonego pojęcia, dokąd ten Ryan mógł wyjechać.

Milczałam.

– Mówił ci kiedyś o swoich ulubionych miejscach? Takich, które chciał odwiedzić. Dokąd jeździł na wakacje?

– Ryan to nie jest typ wczasowicza.

– Facet ma niezłą reputację. – Rodas uśmiechnął się szeroko. – Według tego, co się tutaj *parlez-vous*, wyjaśnił każdą sprawę o morderstwo od czasów Czarnej Dalii.

– Elizabeth Short została zabita w Los Angeles.

Cień zawstydzenia zabarwił także policzki Rodasa. A może to było coś innego.

– Ryan rozpracowywał Pomerleau – rzekł Barrow. – Naprawdę powinniśmy go wykorzystać.

– Powodzenia. – Powiedziałam to zgryźliwie, ale nie reaguję dobrze na presję.

– LaManche odniósł wrażenie, że jesteście z Ryanem blisko.

Udało mi się zapanować nad impulsem, aby wstać i wyjść.

– Przykro mi. Źle to zinterpretował.

Nie, detektywie Rodas, to zostało dobrze zinterpretowane. Ryana i mnie łączyło coś więcej niż wspólne śledztwa. Także wspomnienia i uczucia. A raz nawet łóżko.

– Chodziło mi o to, że zdaniem LaManche’a, jeśli ktoś może znaleźć Ryana, to tylko ty.

– Wyprowadzić go z marazmu?

– Tak.

– To się zdarza tylko w książkach.

Oryginały akt nigdy nie opuszczają sali zebrań sekcji Archiwum X. Opowiedziawszy Slidellowi, Barrowowi i Rodasowi wszystko, co pamiętałam o Anique Pomerleau, zabrałam się do kserowania zawartości plastikowego pojemnika.

Slidell wyszedł zadzwonić. I już nie wrócił.

Tuż przed godziną pierwszą odezwał się mój telefon. Tim Larabee chciał, żebym zbadala

szczętki znalezione w bagażniku jakiegoś subaru stojącego na szrocie.

Głowę miałam jak z ołowiu, gardło z gorącego żużlu. Byłam też bliska omdlenia z powodu oparów tonera kserokopiarki.

Chrzanić to.

Zaniosłam duplikat akt Nance na biurko Slidella. Potem wyszukałam jakieś pudełko, włożyłam do niego swoją kopię i wyszłam.

Zamiast udać się do wydziału medycyny sądowej na zachód od centrum miasta, wykonałam błagalny telefon do Larabee'ego, jako wymówki użyłam dręczącej mnie choroby. Potem skierowałam swoją mazdę w stronę enklawy przesadnie drogich domów, usytuowanych pod drzewami tak ogromnymi, że ich listowie zmieniało tamtejsze uliczki w tunele. Myers Park. Moja dzielnica.

Po paru chwilach zjechałam z Queens Road na kolisty podjazd przed pompatycznym ceglany domem w stylu króla Jerzego, górującym nad Sharon Hall. Moim kompleksem mieszkalnym.

Minęłam wozownię i zatrzymałam się przed maleńką dwukondygnacyjną budowlą tkwiącą w narożniku posesji. „Przybudówka”, data powstania i pierwotny cel nieznane. Mój dom.

Weszłam do środka i zawołałam:

– Hej, Bird.

Brak kota.

Rzuciłam pudełko na kontuar i rozejrzałam się po kuchni. Żaluzje były przysłonięte, wpuszczały jednak złote promienie światła, kładące się na dębowej podłodze.

Lodówka pomrukiwała. Poza tym w mieszkaniu panowała cisza niczym w grobie.

Wepchałam się między przesuwne drzwi, przecięłam jadalnię i wspięłam się na piętro.

Birdie leżał skulony na moim łóżku. Słyszac ruch, podniósł głowę znad łap. Wyglądał na zaskoczonego. Może poirytowanego. Trudno powiedzieć coś o kotowatych.

Walnęłam torebkę na fotel, a potem to samo zrobiłam z ubraniem. Wciągnąwszy na siebie dres, połknęłam dwie tabletki udroźniające drogi oddechowe i wsunęłam się pod kołdrę.

Z zamkniętymi oczyma nasłuchiwałam znajomych odgłosów, próbując nie myśleć o Anique Pomerleau. Próbując nie myśleć o Andrew Ryanie. Systematyczne kap, kap, kap z kranu w łazience. Miękkie zgrzyt, zgrzyt gałązki magnolii, trącej o szybę. Rytmiczne *prrrrr* powietrza, przepływającego przez drogi oddechowe Birdiego.

Nagle wszystko zmieniło się w piosenkę. „Nie przestawaj wierzyć...”

Otworzyłam oczy.

W pokoju panował półmrok. Cienie miały cienką szarą obwódkę.

– Chwileczkę...

Przeturlałam się na jeden bok. Lśniące pomarańczowe cyfry na zegarze pokazywały 4.45.

Jęknęłam.

Muzyka nagle ucichła. Sięgnęłam do torebki, wyszarpnęłam swój iPhone i sprawdziłam, kto dzwonił.

I znów jęknęłam.

Padając na skraj łóżka, wcisnęłam „oddzwoni”. Slidell odebrał natychmiast. Hałas w tle sugerował, że jest w samochodzie.

– Jo.

– Dzwoniłeś.

– Powiedz, że to nie jest jakaś nowa epidemia.

Mój otumaniony lekami umysł nie potrafił na to zareagować.

– Najpierw znika Ryan, a potem ty.

Coś podobnego.

– Nie ma za co, jeśli chodzi o te fotokopie – powiedziałam.

Slidell wydał z siebie odgłos, który zinterpretowałam jako podziękowanie.

– Sam dokonałeś aktu zniknięcia. – Wyszarpnęłam chusteczkę z pudełka i trzymałam ją przy nosie.

– Musiałem sprawdzić pewien trop w sprawie Leal.

– Jaki trop?

– Facet spacerujący po Morningside w piątek po południu zauważył, jak jakieś dziecko wsiada do samochodu. Jego zdaniem wyglądało na zdenerwowane.

– To znaczy?

– To znaczy, że ten bałwan ma iloraz inteligencji zupy z soczewicy. Ale zakres czasowy pasuje, a także opis dziecka, jaki gość przedstawił.

– Zapamiętał numer rejestracyjny?

– Dwie cyfry. Co się dzieje z twoim głosem, do diabła?

– To może być przełom.

– Albo halucynacje.

– Jak jest między tobą a Tinkerem?

– Facet przypomina to coś, co wypełzło z latającego talerza w Roswell.

Niechęć Slidella wcale mnie nie zdziwiła. Jego wiedza o domniemanym spotkaniu z UFO – owszem.

– Chodzi tylko o Tinkera?

– Wszystko to jedno wielkie gównno.

– Co masz na myśli?

– Ostatnio SBS stanowiło świetny żer dla mediów. A teraz jakiś dupek z Raleigh uznał, że rozwiązanie sprawy seryjnych morderstw na dzieciach będzie im świetnie pasowało do wizerunku.

W 2010 roku SBS zatrzęsło się w posadach z powodu skandalu, jaki wybuchł w dziale serologicznym i badań krwi tamtejszego laboratorium medycyny sądowej. Prokurator generalny Karoliny Północnej wszczął postępowanie, a jego wyniki okazały się szokujące. Fałszywe raporty laboratoryjne. Brak informowania o wykluczających się rezultatach badań. Kierownik jednostki, który kłamał w sprawie własnego wykształcenia i złożył fałszywe zeznania. Ogromna stroniczość w kierunku pożądanym przez organy ścigania.

Obrońcy sądowi w całym stanie zatańczyli z radości.

Zaczęły wpływać apelacje. Zmieniano wyroki skazujące. Rozpoczęły się lawinowe procesy sądowe, które miały kosztować Karolinę Północną miliony.

Media ogarnęło szaleństwo.

W końcu spadły głowy, w tym również szefa laboratorium. Władze ustawodawcze wprowadziły szereg reform. Zreorganizowano procedury, zmieniono przepisy. SBS wciąż walczyła o utraconą wiarygodność.

Czy Slidell miał rację? Czy biuro wtryniało się w nasze dochodzenie, aby poprawić swój wizerunek?

– Myślisz, że Tinkera przysłano na nasze poranne zebranie z powodów politycznych?

– Nie. Myślę, że on po prostu lubi ogóreczki konserwowe, które podają u nas na parterze.

– Sprawa Nance jest zamrożona od lat. Angażowanie się w dawne, nierozwiązane śledztwo nie byłoby dla SBS zbyt ryzykowne?

– Jeśli opinia publiczna zobaczy rozwiązanie sprawy, uzna ich za bohaterów. Jeśli nie, to i tak cała wina spadnie na nas, durniów, którzy wszystko chrzanią.

Musiałam mu przyznać, że miał trochę racji.

– Udział SBS nie jest wcale taki zły. Może Tinker będzie w stanie pomóc. Wiesz, spojrzeć na sprawę z innej perspektywy.

– Gnojek już wsiadł mi na plecy.

– To znaczy?

– To znaczy, że jestem na samej górze na jego liście szybkiego wybierania w komórce.

– Może ma ci coś ważnego do przekazania?

– Próbuje mi się wpięprzać do śledztwa.

Czując, że dalsza dyskusja o Tinkerze będzie mało produktywna, zmieniłam temat.

– Co sądzisz o Rodasie?

– Powinien się przebrać. To nie jest sezon polowań na niedźwiedzie.

– Ależ jest. W niektórych okęgach.

– Facet wydaje się okej.

– Na imię ma Umpie.

– Nie zalewaj.

– Nie zalewam.

– Więc może będę musiał zmienić o nim zdanie. Słuchaj, kiedy ja jestem zajęty sprawą Leal, ty mogłabyś wrócić na chwilę do Nance. Może coś ci się rzuci w oczy.

– Pewnie. – Zamknęłam na chwilę powieki. Ponownie zmieniłam chusteczkę. – Sądzisz, że znajdziecie ją żywą?

– Muszę wracać na tamtą ulicę.

Trzy piknięcia i głucha cisza.

Birdie był w kuchni i wpatrywał się w swoją miskę. Napełniłam ją.

Nie miałam apetytu, ale zmusiłam się do jedzenia. Tuńczyk na grzance. Delikates.

Kiedy skończyłam, wzięłam akta sprawy Nance do jadalni i rozłożyłam je na stole. Zaczęłam od opisu śledztwa, który czytałam już wcześniej.

Leki wciąż szalały w moim krwiobiegu. Także poranne przypomnienie tego całego horroru mocno podziałało na moje nerwy. Zamiast Lizzie Nance wciąż widziałam stary dom przy rue de Sébastopol. Zatechłą piwnicę, w której Pomerleau i Catts trzymali swoje ofiary.

Cała sprawa zaczęła się dość niewinnie, jak zresztą wiele innych. Lokalik, gdzie sprzedawano pizzę na kawałki. Przeciekające rury. Dawno zapomniane schody.

Nie wiadomo, dlaczego hydraulik zszedł do tej piwnicy. Jak udało mu się zauważyć ludzką kość udową, wystającą z podłoża.

Właściciel wezwał policję. Policja mnie.

Odkopałam trzy niekompletne szkielety; jeden w skrzyni, dwa pochowane bezpośrednio w płytkich grobach. Przywiozłam je do swojego laboratorium, do analizy. Młode dziewczyny.

Przestępstwo? Początkowo nikt tak nie myślał. Kości były prawdopodobnie bardzo stare, podobnie jak ów zaszczurzony budynek, pod którym leżały.

Izotopy radioaktywne dowiodły, że było to błędne mniemanie.

Nad tą sprawą pracował także Ryan. Oraz miejscowy gliniarz, Luc Claudel.

W końcu ustaliliśmy nazwiska zmarłych. I nazwiska ich zabójców.

Pytania jednak pozostały.

Kości nie dostarczyły najmniejszej wskazówki co do przyczyny śmierci. Czy dziewczyny umarły z głodu? Czy je wykorzystywano? A może utraciły wolę życia, spędzenia kolejnego dnia w piekle?

O jednej z więzionych dowiedzieliśmy się z ogłoszenia w gazecie. Nigdy nie znaleziono jej szczątków. Kimberly Harris. Hamilton? Hawking? Gdzie jest ta młoda kobieta, której nazwiska nie mogłam sobie przypomnieć. Czy spoczywa w jakimś nieoznakowanym grobie? Tak jak inne?

Jedna z ofiar przeżyła. Myślę o niej od czasu do czasu. Zadaję sobie pytanie: czy po latach tortur i izolacji można w ogóle przyjść do siebie? Po tym, gdy dzieciństwo przeradza się w szaleństwo?

Moje myśli nawiedzał również Andrew Ryan. Kolejne fragmentaryczne obrazy.

Rysy jego twarzy, wyłaniającej się z ciemności, rozpraszanej tylko żółtą lampką na mojej werandzie.

Jego łzy, gdy mówił o śmierci Lily. Zawstydzenie, że płacze.

Jego plecy znikające w mroku nocy.

Ryan nie poinformował swoich przełożonych, nie wziął urlopu. Nikomu nie powiedział, dokąd wyjeżdża i kiedy wróci. Czy wróci.

W tym także mnie.

Walczyłam z bólem, wyrzucając Ryana ze swoich myśli.

Teraz, gdy próbowałam się skoncentrować, wszystko wróciło.

Zamordowane dzieci w Montrealu. Zamordowane dzieci w stanie Vermont, a być może również w Charlotte. Coś nie do pomyślenia. Przerazająca możliwość, iż Anique Pomerleau znów działa.

Presja, aby zlokalizować mężczyznę, o którym chciałam zapomnieć. Aby przekonać go do powrotu do świata, który celowo porzucił.

Przetaczały się przeze mnie fale gorączki.

O dziewiątej się poddałam.

Po wzięciu gorącego, pełnego pary prysznicę połknęłam dwie kolejne tabletki i opadłam z powrotem na łóżko.

Poleżałam na nim tylko przez chwilę, nim zadzwonił telefon stacjonarny.

Głos w słuchawce spadł zniecka na mój otumaniony, pozostający pod wpływem leków mózg.



## Rozdział 4

Uwielbiam góry w Karolinie Północnej. Kocham jeździć wąskimi drogami, które wiją się niczym czarne wstążki na grzbietach gigantów.

Ale tego ranka całe to piękno marnowało się na mnie. Nie miałam czasu. Ani nastroju na wycieczkę po Paśmie Błękitnym.

Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał 7.44. Nie spałam już od dwóch godzin, jechałam od półtorej. Dziwne, lecz czułam się dobrze. A przynajmniej lepiej. Niech Bóg błogosławi chemię.

Tuż przed Marion skręciłam na wschód, zjeżdżając z szosy numer 226. Nad widnokregiem unosiło się słońce, żółto-pomarańczowa kula, mrugająca do mnie zza zakrętów. Długie, pochyłe promienie rozpały iskrami mgiełkę zalegającą jeszcze na przełęczach.

Minęłam pole, na którym pasła się czekoladowa klacz ze źrebakiem. Oboje unieśli głowy i uszy, łagodnie zaciekawieni, a potem powrócili do jedzenia.

Po paru chwilach wśród listowia z prawej strony drogi ukazał się znak. Pismo z giętego metalu informowało o wjeździe na farmę Heatherhill. Dyskretnie. Jeśli nie wiedziałeś, że tu jesteśmy, jedź dalej.

Skręciłam na niemalowany wąski pas asfaltu, biegnący wśród ogromnych azalii i rododendronów. Gdy otworzyłam okno, do wnętrza samochodu wpadła mieszanina zapachów, jakie występują tylko zaraz po świcie. Igliwie, mokre liście, wilgotna ziemia.

Wkrótce zaczęłam mijać budynki, niektóre małe, inne większe – wszystkie wyglądały jakby żywcem wyjęte z planu filmowego *Świąt w Connecticut*. Porośnięte bluszczem kominy, długie werandy, białe okładziny ścian zewnętrznych, czarne okiennice.

Wiedziałam, że na czterdziestu akrach Heatherhill wznosi się wiele budynków. Ośrodek leczenia chronicznego bólu. Siłownia. Biblioteka. Pracownia komputerowa. Wszelkie udogodnienia dla ludzi z forszą, którzy mają problemy.

Wiedziałam aż za dobrze.

Za czterokondygnacyjnym głównym szpitalem skręciłam w boczną uliczkę, minęłam niską budowlę, w której mieściły się sklepy i biura administracji, i raz jeszcze skręciłam w lewo. Alejka kończyła się pięćdziesiąt jardów dalej prostokątem z żużlu, otoczonym białym płotkiem ze sztachet.

Zaparkowałam, złapałam kurtkę i torebkę i wysiadłam.

Brukowana ścieżka wiodła przez bramkę w płocie do niewielkiego parterowego domu. Nad jego drzwiami widniał napis *River House*. Jeden uspokajający oddech i ruszyłam w tamtym kierunku.

W środku *River House* wyglądał jak typowa góraska chatka. Mógł należeć do dowolnej osoby, tyle że z zamiłowaniem do reprodukcji antyków i dysponującej mnóstwem forsy.

Podłogę, wykonaną z szerokich desek, pokrywały dywany tureckie uszak oraz perskie saruk, które kosztowały więcej niż całe moje mieszkanie. Tapicerka mebli została przez jakiegoś dekoratora zaprojektowana tak, by udawały dotknięte działalnością grzybów i mchu. Te drewniane były odbarwione i sztucznie postarzone.

Przemknęłam przez salon, obok płomieni tańczących w gazowym, kamiennym kominku, i wyszłam przez podwójne szklane drzwi na tyłach domu. Na tarasie stał tekowy stół i pasujące

do niego krzesła, kilka donic, w których rosły bratki i nagietki, a także cztery szezlongi z poduszczkami barwy jasnego melona.

Najdalszy szezlong był odsunięty o kilka stóp i ustawiony pod innym kątem. Siedziała na nim kobieta o białych, krótko przyciętych włosach. Przed nią, na poręczy tarasu, tkwił gruby ceramiczny kubek. Kobieta miała na sobie spodnie khaki oraz irlandzki sweter, który sięgał jej do połowy ud. Na stopach widać było buty na płaskim obcasie, dwubarwne; skóra na części zakrywającej palce doskonale pasowała do spodni.

Przyglądałam się jej przez chwilę. Kobieta siedziała nieruchomo, ze złożonymi dłońmi, wpatrzona w las gęsty od porannych cieni.

Podeszłam, odgłos moich kroków głośno zabrzmiał w panującej ciszy.

Kobieta się nie odwróciła.

– Przepraszam, że nie przyjechałam wczoraj. – Powiedziałam wesoło, niczym Myszka Miki dyrygująca swoją orkiestrą.

Żadnej odpowiedzi.

Przysunęłam sobie szezlong i ustawiłam go równolegle. Usiadłam na nim bokiem, twarzą do kobiety.

– Podoba mi się twoja nowa fryzura.

Nic.

– Droga w porządku. Pokonałam trasę w niecałe dwie godziny.

Wciąż żadnego znaku świadczącego, że wie o mojej obecności.

– Wczoraj wieczorem wydawałaś się zdenerwowana. Czujesz się już lepiej?

Na poręczy wylądował jakiś ptak. Kowalik, a może jemiołuszka.

– Jesteś na mnie zła?

Ptak przechylił głowę i przyglądał mi się jednym lśniącem czarnym okiem. Kobieta skrzyżowała stopy. Ptak zerwał się i odleciał.

– Planowałam przyjechać na Święto Dziękczynienia. – Wciąż mówiłam do jej profilu. – Czyli w następny czwartek.

– Wiem, kiedy to wypada. Nie jestem idiotką.

– Oczywiście, że nie.

Na krawędzi kubka usiadła teraz mucha. Patrzyłam, jak porusza się po jego obrębie, czułki i przednie nogi pracowały nad substratem. Niepewnie. Nie wiedząc, czego można się spodziewać. Doskonale ją rozumiałam.

– Wiedziałaś, że najwyższą górą Irlandii jest Carrauntoohil? – Kobieta rozłączyła dłonie i położyła je na podłokietnikach. Na jej skórze widać było plamy wątrobowe, idealne owale paznokci miały barwę „przydymionej róży”.

– Nie.

– Leży w hrabstwie Kerry. Wznosi się na trzy tysiące czterysta stóp nad poziom morza. Moim zdaniem niezbyt wielka ta góra.

Wyciągnęłam rękę i położyłam ją na jej dłoni. Poczułam kruchość kości.

– Jak się masz? – spytałam.

Jedno ramię odziane w sweter uniosło się z lekka.

– Powiedziałas, że chcesz się ze mną czymś podzielić.

Wolna ręka kobiety poruszyła się i znieruchomiała, jakby niepewna, czy jest sens się podnieść. Opadła.

– Źle się czujesz?

Znów wzruszenie ramienia.

– Mamo?

Głębokie, gwałtowne westchnienie.

Podobno córka staje się z wiekiem wersją swojej matki. Innym odczytaniem tego samego przepisu. Nową interpretacją istniejącej wcześniej postaci.

Studiowałam tę twarz, tak starannie zakonserwowaną przez kremy, liftingi i zastrzyki. Przez kapelusze z szerokim rondem noszone latem oraz długie kaszmirowe szale noszone zimą. Skóra była luźniejsza, zmarszczki głębsze, powieki nieco obwisłe. Poza tym widziałam w niej to samo, co w lustrze w centrum policyjnym. Zielone oczy, mocny zarys szczęk.

Atmosfera napięcia. Uniesionej gardy.

Wiedziałam, że fizycznie przypominam swoją matkę. Zawsze jednak wierzyłam, że w tym miejscu wszelkie podobieństwo się kończy. Że jestem wyjątkiem, zaprzeczeniem reguły.

Nie byłam moją matką. I nigdy nie będę.

Lekarze ogólni, psychiatrzy, psychologowie. Tyle diagnoz. Choroba dwubiegunowa. Schizofrenia z dwubiegunowością. Najmłodniejsze w danym okresie zaburzenie. Proszę sobie wybrać ulubione.

Lit. Karbamazepina. Lamotrigan. Diazepam. Lorazepam.

Żadne leki nie działały zbyt długo. Żadna terapia nie przynosiła większych efektów. Przez parę tygodni matka bywała ciepłą, pełną życia osobą, którą kochałam, kobietą, która wносиła promień słońca do każdego pomieszczenia. Szczęśliwą, zabawną, mądrą. A potem demony znów przychodziły po swoją własność.

Krótko mówiąc: moja matka jest naprawdę nieźle stuknięta.

Przez całe moje dzieciństwo, gdy tylko ciemność przybywała, mama pakowała swoją torebkę od Louisa Vuittona, całowała moją siostrę Harry i mnie, a potem znikwała starym buickiem z tatą za kierownicą. Później za kierownicą siedziała babcia.

W przypadku Daisy Brennan, z domu Katharine Daessee Lee, publiczne szpitale nie wchodziły w grę. Przez te lata mama odwiedziła dziesiątki prywatnych placówek, w tym wszystkie, które w swojej nazwie obiecywały uzdrowienie za pomocą sił natury. Srebrna Brzoza. Szepczące Dęby. Słoneczna Dolina.

Mama nigdy nie pojawiała się tam drugi raz. Zawsze coś jej nie odpowiadało. A to jedzenie, a to pokój, a to opieka personelu.

Aż do czasu Heatherhill. Tutaj pasowało jej menu, miała swój własny pokój z łazienką. Po wielu pobytach pozwolono jej zostać tak długo, jak chce. Tak długo, jak fundusz powierniczy rodziny Lee za wszystko płacił.

Mama mówiła, nie patrząc mi w oczy, głosem przyciszonym i przesłodzonym niczym Charleston w sierpniu.

– „W tamtym drugim pokoju będę już mogła widzieć”.

Ten cytat spowodował, że poczułam w piersiach zimny dreszcz.

– Helen Keller. – Mama uwielbiała historię Keller, często ją opowiadała, gdy Harry i ja byliśmy dziećmi.

Skinęła głową.

– Ona mówiła o śmierci.

– Jestem stara, kochanie. Wszystkich nas to czeka.

Czy to był jakiś podstęp? Nowy fortel mający na celu zwrócenie mojej uwagi? Urojenie?

– Spójrz na mnie, mamo. – Powiedziałam to ostrzej, niż zamierzałam.

Po raz pierwszy obróciła ku mnie twarz. Jej wyraz był spokojny, spojrzenie czyste i opanowane. Słoneczna mama.

Gdy byłam młodsza, domagałam się wyjaśnień. Teraz już wiedziałam.

– Porozmawiam z doktor Finch.

– Świetny pomysł. – Wypielęgowana ręka uwolniła się z mojej i opadła na me kolano. – Nie ma sensu psuć tych krótkich chwil, które spędzamy razem.

Za nami otworzyły się szklane drzwi. I zamknęły.

– A co u ciebie, kochanie? Czym się obecnie zajmujesz?

– Niczym szczególnym. – Zamordowane dzieci. Zdeprawowana zabójczyni, której miałam nadzieję nigdy więcej nie spotkać.

– Nadal widzisz się z tym młodym człowiekiem?

To mnie zaskoczyło.

– Jakim młodym człowiekiem?

– Tym twoim francusko-kanadyjskim detektywem. Jesteście jeszcze razem?

Pytanie za milion dolarów. Ale skąd mama o tym wie?

– Czy to Harry mówiła ci, że się z kimś spotykam? – Naprawdę? Spotykam? Czy ten wyraz miał w ogóle jakiejkolwiek zastosowanie do skomplikowanych rytuałów ludzi po czterdziestce?

– Oczywiście, że tak. Twoja siostra i ja nie mamy przed sobą tajemnic.

– Harry mogłaby zachować odrobinę dyskrecji.

– Harry jest w porządku.

O ile czterech mężów, obsesyjne folgowanie własnym zachciankom oraz nienasycona potrzeba uwagi ze strony mężczyzn klasyfikują się jako „w porządku”.

Mama nachyliła się ku mnie i poruszyła brwiami. Miało to oznaczać zaproszenie do intymnej bliskości.

Nie było sensu jej okłamywać.

– Ostatnio się z nim nie widuję.

– O rany. Rzucił cię?

– Zmarła mu córka. Musi pobyć chwilę sam.

– Zmarła? – Idealnie wyskubane brwi uniosły się do góry.

– Była chora. – W sumie to prawda.

– Och, to bardzo, bardzo smutne.

– Tak.

– Masz od niego czasem jakiegoś wiadomości? Jak ten dżentelmen się nazywa?

– Andrew Ryan.

– Uroczo. Komunikowałaś się z nim po śmierci jego dziecka?

– Jedne odwiedziny i jeden e-mail.

– Ojejku. Trudno to nazwać oddaniem.

– Mm.

– Powiedział ci, dokąd się wybiera?

– Nikomu nie powiedział – zabrzmiało to defensywnie.

– Inni ludzie go szukają?

Mamie nic nie mogło umknąć.

– Pewni detektywni chcieliby skorzystać z jego pomocy.

– Czy chodzi o jakiś koszmar, zbyt okropny, żeby go ubrać w słowa?

Mama zawsze wykazywała żywe zainteresowanie moją pracą. Moimi „biednymi,

zagubionymi duszami”, jak nazywała niezidentyfikowanych umarłych.

Nie widząc przeszkód, opowiedziałam jej więc o śledztwach w sprawach z Archiwum X, w tym także tych z Vermontu i Charlotte. O Anique Pomerleau i o Montrealu. Nie wspomniałam tylko o Shelly Leal.

Mama zadawała te same co zwykle pytania: kto, kiedy, gdzie. A potem oparła się na szezlongu i ponownie skrzyżowała nogi w kostkach. Po pełnej minucie powiedziała:

– Ci inni detektywi sądzą, że twój Andrew Ryan potrafi ująć tę straszną kobietę?

– Tak.

– A ty?

– Być może. – Gdyby nie zniszczył sobie mózgu alkoholem i nie zapadł się w sobie w żalu i pogardzie dla samego siebie.

– W takim razie znajdziemy go.

Żachnęłam się.

Mama napięła mięśnie zuchwy.

– Przepraszam. Wiem, że masz inne rzeczy na głowie. Musisz najpierw wyzdrowieć. Nie mam wątpliwości, że potrafisz go znaleźć.

Bo nie miałam.

Gdy mama skończyła pięćdziesiąt osiem lat i wydobywała się ze szczególnie otchłannej przepaści lęku, kupiłam jej pierwszy komputer, iMac, na który wydałam więcej, niż mogłam sobie pozwolić. Miałam bardzo wątpliwą nadzieję, że uzna cyberświat za atrakcyjny, musiałam jednak koniecznie czymś ją zająć. Czymś innym niż ja.

Pokazałam jej, jak wysyła się maile, jak obsługuje edytor tekstu, arkusze kalkulacyjne, Internet. Wyjaśniłam działanie przeglądarek i wyszukiwarek. Ku memu zaskoczeniu mama była zafascynowana. Uczyla się jednej nowej rzeczy za drugą. iTunes, Myspace, Facebook, Twitter, Photoshop. Ostatecznie, jak zwykle, osiągnęła więcej w tym sporcie niż ja.

Nie nazwałabym swojej matki hakerką. Nie interesowały jej tajemnice Ministerstwa Obrony czy NASA. Nie zbierała numerów kart kredytowych ani bankomatowych. A jednak, gdy już wchodziła do gry, nic jej nie mogło oderwać od stron www.

– Masz jeszcze ten e-mail? – spytała mama.

– Chyba gdzieś mam. Ale napisał tylko, że...

– Zaraz wracam.

Zanim zdążyłam się sprzeciwić, wstała i weszła do domu. Po chwili wróciła z komputerem marki Mac wielkości czasopisma o modzie.

– Korzystasz z konta na Gmailu, prawda, kochanie? – Uniosła pokrywkę i postukała w klawisze.

Kiwnęłam głową.

Poklepała miejsce na prawo od siebie. Kiedy przeniosłam się na jej szezlong, położyła mi laptop na kolanach.

– Poszukaj.

Zalogowałam się do serwisu i wpisałam swój identyfikator, który moim zdaniem mógł jeszcze zadziałać. Po paru sekundach na ekranie pojawił się mail od Ryana. Otworzyłam go.

Daję radę. Tęsknię. AR.

Przekazałam komputer mamie. Kliknęła maleńki trójkąt na prawo od strzałki odpowiedzi.

Z rozwijanego menu wybrała polecenie „Pokaż oryginał”.

Pojawiła się masa danych. Czcionka wyglądała jak ta ze starego peceta, którego używałam, będąc studentką.

Mama wskazała linię znajdującą się mniej więcej w połowie. Nagłówek informował: „Otrzymane”. Wśród całego tego chaosu wyróżniał się szereg czterech liczb oddzielonych od siebie przecinkami.

– Każda wiadomość mailowa zawiera adres IP. To mniej więcej to samo co normalny adres pocztowy w przypadku poczty tradycyjnej. Tu mamy naszego słodkiego chłopaka.

Zaznaczyła i skopiowała numery do zakładki. Następnie wylogowała się z Gmaila i weszła na stronę o nazwie ipTRACKERonline.com.

– A teraz wykonamy coś, co nazywa się geolokacją.

Wkleiwszy ciąg liczb do okienka pośrodku ekranu, wcisnęła klawisz enter. Po paru sekundach pojawił się obraz z satelity Google Earth. Widniał na nim czerwony okrąg z pinezką przypiętą do podłoża.

Pod mapką znajdowały się informacje zorganizowane w trzech kategoriach: dostawca Internetu, kraj pobytu oraz aktualna godzina.

Przeczytałam szybko środkową kolumnę. Kraj. Region. Miasto. Kod pocztowy. Spojrzałam na mamę.

– To jest aż tak łatwe?

– Aż tak łatwe.

Zamknęła laptop, odwróciła się i objęła mnie. Pod wełną swetra kryły się jej kruche ramiona.

– A teraz, moja słodka dziewczynko, jedź odszukać swojego Andrew Ryana.

– Jeśli pojedę, nie będę mogła cię odwiedzić w czwartek.

– Zjemy indyka innym razem. Jedź.

Zanim wyszłam z River House, minęłam kryty dywanami korytarz, do którego wchodziło się z jadalni. Drzwi gabinetu doktor Finch były uchylone, dzięki czemu widać ją było siedzącą za misternie rzeźbionym biurkiem. Tabliczka informowała, że lekarka ma na imię Luna.

Zapukałam delikatnie, a potem weszłam do środka.

Doktor Finch uniosła wzrok. Po chwili zaskoczenia gestem ręki poprosiła, abym usiadła na jednym z dwóch krzeseł naprzeciwko niej.

Gdy już to zrobiłam, doktor Finch odchyliła się w stronę oparcia i złożyła koniuszki palców obu dłoni. Była niska i okrągła, ale nie nazbyt niska ani nazbyt okrągła. Miała kręcone włosy, farbowane na brązowo, przycięte tuż poniżej uszu.

– Jest w lepszej formie – powiedziałam.

– Tak.

Uśmiechnęłam się, doktor Finch odwzajemniła uśmiech.

– Myśli, że umiera.

Po krótkiej pauzie lekarka odparła:

– Pani matka ma raka.

Serce zamarło mi w piersi.

– Właśnie się dowiedziała?

– Spotyka się z onkologiem od kilku miesięcy.

– A mnie o tym nie poinformowano?

– Nie jesteśmy lekarzami prowadzącymi pani matkę. Dbamy o jej formę psychiczną.

– Czy te dwie kwestie można oddzielić?

– Zaraz po przybyciu tutaj pani matka poinformowała nas o swoim stanie i zażyczyła sobie poufności. Jest osobą dorosłą. Musimy szanować jej życzenia. Teraz uznała, że przyszła pora na rozmowę z panią.

– Proszę mówić dalej.

– Słucham?

– Niech pani opowie mi całą resztę.

– Rak się rozwija.

– Oczywiście. Tak właśnie jest z rakiem. Jak jest leczona?

Luna Finch spojrzała na mnie wzrokiem, w którym malowała się odpowiedź.

*Tak, pomyślałam. Żadnej utraty włosów, żadnych peruk dla mamy.*

– Czy chemioterapia byłaby pomocna? – spytałam.

– Możliwe.

Przełknęłam ślinę.

– A jeśli dalej będzie odmawiać?

Znów te oczy.

Spojrzałam w dół na swoje ręce. Prawy kciuk miałam czerwony i opuchnięty. Swędział. Pewnie komar.

– Co teraz?

– Pani mama podjęła decyzję, że pozostanie w Heatherhill Farm tak długo, jak się da.

– Czyli jak długo?

– Prawdopodobnie dość długo.

Kiwnęłam głową.

– Czy pani numer, który mamy w aktach, jest aktualny? W razie, gdybyśmy musieli się skontaktować?

– Tak. – Wstałam.

– Bardzo mi przykro – powiedziała.

Mgła na zewnątrz już wyparowała. Wysoko nad moją głową na bezchmurnym błękitnym niebie biegła biała smuga kondensacyjna.

Niemożliwe, żeby mama była umierająca.

A jednak Luna Finch powiedziała, że tak właśnie jest.

## Rozdział 5

Nie śpiam zbyt dobrze w samolotach. Wierzcie mi, próbowałam.

Gdy wróciłam do Charlotte, było wczesne popołudnie. Dwudziesta, kiedy skończyłam wstępne ustalenia w sprawie zwłok w bagażniku dla Larabee'ego. A gdy wreszcie znalazłam i zabukowałam swój lot, minęła już dwudziesta druga.

Załatwiwszy z sąsiadami opiekę nad kotem, spakowałam torbę podręczną, wzięłam prysznic i padłam na łóżko.

W mojej głowie nieustannie się kotłowało, pojawiały się urywane sceny, niezmontowane, pozbawione chronologii.

Wspomnienia matki z dzieciństwa.

Szczęśliwy okres. Gdy czytała Harry i mnie, bujającym się na ogrodowej huśtawce. Cytowała Szekspira, Milтона, innych dawno już nieżyjących obcych ludzi, których nie rozumialiśmy. Jeździła z nami buickiem na potajemne wypadki na lody w porze, gdy powinnyśmy już spać.

Smutne czasy. Podśluchiwanie pod drzwiami sypialni mamy. Zakłopotanie wywołane jej łzami, tłuczonym szkłem. Przerazenie, że wyjdzie. Przerazenie, że może nie wyjść.

Wspomnienia o Andrew Ryane. Szczęśliwych czasów. Narty na Mont Tremblant w Górach Laurentyńskich. Świętowanie sukcesów w irlandzkim pubie u Hurleya. Śmiechy ze sprośnych odzywek naszej wspólnej papużki imieniem Charlie.

Smutne czasy. Dzień, w którym Ryana postrzelono. Katastrofa samolotu, w której zginął jego partner. Noc, kiedy zakończyliśmy nasz związek.

Wątpliwości co do mojej zbliżającej się wycieczki. Czy nie będzie daremna? E-mail od Ryana przyszedł prawie miesiąc temu. Może się stamtąd wyniósł?

Nie. Barrow nie bez kozery pytał, czy Ryan kiedykolwiek wspominał o jakimś ważnym dla siebie miejscu. Przypomniłam sobie tamte wypowiedzi. Ryan uwielbiał tę lokalizację. To tam by się ukrył, gdyby chciał zniknąć.

Wątpliwości co do decyzji, żeby nic nie mówić mojej córce o mamie. Nie. To była sensowna decyzja. Katy służyła w Afganistanie. Miała dość spraw na głowie.

Całą noc wierciłam się i przewracałam z boku na bok, w głowie i ośrodkach nerwowych kłębiły się pytania. Wątpliwości. Niepewność.

Oraz to, co pewne. Luna Finch. Wrogie komórki mnożące się poza wszelką kontrolą.

Ostatni raz sprawdzałam zegar o 2.54. Alarm odezwał się o piątej.

Lot do Atlanty był krótki, przerwa w podróży trwała nieco ponad godzinę. Nieźle. Ale to i tak tortura.

Próbowałam czytać. *Życie*. Może problemy Keitha Richardsa sprawią, że swoje ujrę jako bardzo małe. Nie ma mowy.

Zamknęłam książkę i oczy.

Coś szturchnęło mnie w ramię. Uniosłam powieki i podbródek znad piersi.

Pasażer siedzący obok mnie próbował ustabilizować plastikowy kubek z resztkami mojego soku żurawinowego. Był wysoki, o rzadziejących rudych włosach oraz oczach koloru przydymionego szkła.

– Zaraz lądujemy. – Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od chwili startu, cztery



godziny wcześniej.

– Przepraszam. – Wzięłam kubek i zamknęłam stolik przed sobą. Wyprostowałam też swój fotel.

– Jest pani na wakacjach? – zapytał mężczyzna z delikatnym obcym akcentem.

O co mu chodzi, do diabła? Przecież tylko udało mu się zapobiec rozlaniu soku.

– Próbuję kogoś odnaleźć.

– W Liberii?

– W Playa Samara.

– Ach. Też tam jadę.

– Hm.

– Mam tam nieruchomości.

Mężczyzna wyciągnął z portfela wizytówkę i mi podał. Nazywał się Nils Vanderleer. Sprzedawał systemy nawadniające dla firmy, której siedziba mieściła się w Atlancie. A przynajmniej tak głosiła jego wizytówka.

Udało mi się uśmiechnąć. Chyba.

– Mógłbym pani w czymś pomóc? – zapytał Vanderleer.

– Nie trzeba. Dziękuję.

– W porządku.

Samolot przechylił się na skrzydło i oboje spojrzeliśmy na okno. Vanderleer mógł coś przez nie zobaczyć, ja nie.

Po chwili koła dotknęły gruntu. Vanderleer odwrócił się ku mnie.

– Czy mogę zaprosić panią na kolację któregoś wieczoru?

– Mam nadzieję, że zostanę w Samarze tylko jedną noc.

– Szkoda. Kostaryka to magiczne miejsce.

Pół godziny stałam w kolejce do kontroli paszportowej. Wyszłam z terminalu spocona, z bolącą głową, zła jak diabli.

Vanderleer kroczył wolno chodnikiem, czymś zafasowany. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko go minąć. Kiedy mnie zobaczył, podniósł do góry ręce w geście oznaczającym „I cóż ja mam począć?”.

– Zarezerwowałam samochód, ale oczywiście nie przyjechał na czas. Kierowca ma już dziesięć minut opóźnienia. Jeśli nie przeszkadza pani chwila oczekiwania, chętnie podwiozę ją do Samary.

– Dziękuję za propozycję. Mój hotel już zamówił mi taksówkę.

Trzy godziny po wylądowaniu przeszłam wreszcie pod białym kamiennym łukiem wyrastającym ze ściany porosłej jakimś kwitnącym pnączem. Drewniany znak informował, że przybyłam do Villas Katerina.

Miejsce wyglądało tak samo jak na reklamie w Internecie. Palmy. Ręcznie wyplatane hamaki. Tynkowane na żółto wille, z białą obwódką wokół ścian i czerwonymi dachówkami, otaczające basen w kształcie ameby.

Kobieta w recepcji była mała, energiczna, z brzydkim przypadkiem trądziku. Wzięła ode mnie kartę kredytową, cała w uśmiechach, a następnie zaprowadziła mnie do grupki stojących osobno willi. Mniejszych. Z widokiem na ogród pełen bujnej tropikalnej roślinności.

Weszłam do środka, podciągnęłam torbę podróżną do rzeźbionego drewnianego krzesła obok okna, rozsunałam zasłony i wyjrzałam. Nic, tylko liście.

Odwrociłam się i zlustrowałam otoczenie: ściany barwy maślanej, z pomarańczowym wykończeniem, pomarańczowa pościel i zasłony. Sztuka ludowa, prymitywna, pewnie tutejsza. Małe aneks kuchenny. Wykładana płytkami łazienka, szokująco niebieska w porównaniu z marchewkową sypialnią.

Poczułam się nagle wyczerpana. Zrzuciłam buty i rozwalłam się na łóżku, żeby rozważyć możliwości. Drzemka? Nie ma mowy. Im szybciej znajdę Ryana, tym szybciej będę mogła wyjechać.

Gdzie ja właściwie jestem? Na Plaży Samara. Playa Samara. Na wybrzeżu Pacyfiku, na półwyspie ciągnącym się od północno-zachodniego narożnika Kostaryki, niedaleko granicy z Nikaraguą.

Poprzedniego wieczoru dokonałam małego rozeznania. Kostaryka to niewielki kraj, o powierzchni nieco ponad pięćdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych. Kraj słynący ze swojego zróżnicowania przyrodniczego. Lasów deszczowych, lasów mglistych, terenów zielonych i mokradeł. Kraj, którego jedna czwarta terytorium chroniona jest przez parki narodowe i rezerwy.

Gdzieś tutaj przebywał Ryan. Miałam taką nadzieję.

Adres IP wskazywał, że cztery tygodnie temu Ryan napisał maila z Samary. Miasto było małe, mniej turystyczne niż eleganckie piaszczyste plaże w Tamarindo czy Flamingo. To działało na moją korzyść.

Wyjęłam mapę, którą ściągnęłam sobie wcześniej z sieci, i studiowałam skromną płataninę uliczek. Zauważyłam kościół, pralnię publiczną, kilka sklepów, hoteli, barów i restauracji. Ze dwie kafejki internetowe.

Ryan ma wiele pozytywnych cech. Jest dowcipny, szczodry, znakomity z niego detektyw. Lecz jeśli chodzi o komunikację, to technofob. Oczywiście ma smartfona. I wie, jak korzystać z narzędzi, którymi dysponuje policja. CODIS, AFIS, CPIC i tak dalej. Ale to wszystko. Kiedy nie pełni służby, woli telefonować. Nigdy nie pisze esemesów, e-maile rzadko.

Nie ma także własnego laptopa. Twierdzi, że chce, aby jego życie osobiste było osobiste.

Wstałam, rozebrałam się i weszłam pod prysznic. Wytarłszy się do sucha, założyłam sandały, dzinsy i koszulkę. Następnie połknęłam dwa sudafedy, zarzuciłam torebkę na ramię i wyszłam.

Kobieta z trądzikiem zamiatała zwiędłe kwiaty z kamiennej podmurówki otaczającej basen. Zbliżyłam się do niej z marszu i odezwałam po hiszpańsku. Pokazałam fotografię Ryana.

Kobieta miała na imię Estella. Nie słyszała o żadnym Kanadyjczyku mieszkającym w Samarze. Przypomniała sobie, że niedawno wpadły tu na krótko dwie pary z tego kraju, z Edmonton. Obaj mężczyźni byli niscy i łysi. Wesoło podała mi wskazówki, jak do nich trafić.

Spacer wzdłuż plaży zajął mi tylko parę chwil. Minęłam restaurację, szkołę surfingu i posterunek policji rozmiarów mydelniczki.

Główna ulica Samary stanowiła fragment szosy przecinającej miasteczko. Dotarłam do niej, idąc prosto od morza, cały czas pod górkę.

Na skrawku trawy przy rogatkach pasła się para koni. Po obu stronach jezdni parkowało kilka samochodów i motocykli. Niebo przecinały skrzyżowane przewody energetyczne.

Najbliższa kafejka internetowa tkwiła pomiędzy sklepem z pamiątkami i niewielkim spożywczakiem. Tynkowana od frontu, pomalowana na taki sam cytrynowo-mandarynkowy kolor jak mój pokój. Napisy na oknie oferowały międzynarodowe rozmowy telefoniczne, usługi internetowe, naprawy komputerów i iPhone'ów.

Wnętrze, o wiele bardziej bez wyrazu niż elewacja, mieściło kontuar, automat sprzedający

napoje oraz sześć stanowisk komputerowych. Przy jednym z nich siedziała wyglądająca na zagubioną młoda kobieta, studiująca przewodnik Lonely Planet, z plecakiem u nóg. Założyłam, że inne usługi oferuje się za drzwiami na drugim końcu pomieszczenia.

Przy kasie, oparty o ścianę, siedział bardzo młody chłopak; przednie nogi jego stołka były uniesione nad podłogą. Miał może szesnaście lat, ziemistą cerę i niechlujne jasne dredy zebrane wysoko na głowie. Gdy rozmawiał przez telefon komórkowy, dredy podrygiwały.

Podeszłam bliżej.

Chłopak kontynuował rozmowę.

Odchrząknęłam.

Chłopak wskazał na komputery, ale mówił dalej.

Położyłam na kontuarze zdjęcie i przesunęłam w jego kierunku.

Wyprostował się na stołku i zerknął na fotografię. A potem na mnie. Coś błysnęło w jego oczach, a potem znikło.

– Oddzwonię do ciebie. – Akcent prawdopodobnie ze Wschodniego Wybrzeża, może z Nowego Jorku. Do mnie zwrócił się pytająco: – Tak?

– Widziałeś go?

– Dlaczego pani myśli, że mogłem widzieć?

– Niewykluczone, że przychodził tutaj korzystać z Internetu.

– Proszę pani, to właśnie się tu robi.

– Rzuciłby ci się w oczy. Ma włosy barwy piasku, mierzy ponad sześć stóp.

– W mokasynach?

Nie miałam pojęcia, co chciał przez to powiedzieć.

– Niech mnie cholera, bohaterski Natty Bumppo właśnie tutaj, w Samarze.

Okej. Chłopak czytał Jamesa Fenimore'a Coopera. Może nie był totalnie do niczego.

– Muszę go znaleźć, to ważne.

– A co zmalował?

– To gliniarz. Niezbędny do poprowadzenia pewnego śledztwa.

Chłopak rzucił okiem w kierunku drzwi, na dziewczynę z przewodnikiem Lonely Planet. Następnie pochylił się do przodu, wsparty na łokciach, i wyszeptał:

– Możliwe, że go widziałem.

– Tutaj?

– Mam pewne kłopoty z pamięcią. – Jego brwi poskoczyły i opadły. – Łapie pani, o co mi chodzi?

Łapałam. Wyciągnęłam portfel z torebki i wysunęłam dwudziestkę.

Ręka chłopaka wystrzeliła do przodu. Trzymałam jednak banknot poza jej zasięgiem.

– Proszę jechać szosą na zachód od miasta. Tam, gdzie alejka Arria rozdziela się na dwie odnogi, za Las Brisas del Pacifico, na plażę. Jest tam niebieska markiza. Niech pani szuka drogi wcinającej się w łąd po lewej. Facet nazwiskiem Blackbird wynajmuje kilka domów na drzewach. Pani człowiek mieszka w jednym z nich.

– Wciąż tam jest?

– Wciąż tam jest.

Nasze oczy spotkały się na chwilę, a potem pozwoliłam mu porwać pieniądze.

Wracając pośpiesznie w kierunku oceanu, czułam, jak mój puls przyspiesza. Czyżby to było aż tak proste? Wejść do kafejki i od razu mieć wynik?

A może zrobiono mnie w konia. I teraz ten dzieciak śmieje się ze mnie przez swoją komórkę,

opisując głupią gringo, którą właśnie okantował.

Jednak musiał wiedzieć, że wrócę, jeśli rzeczywiście zostanę oszukana. No właśnie. Wrócę i co?

Znów zaczęłam analizować różne możliwości. Było ich niewiele, jak się wydaje. Jechać tam od razu? Zaczekać, aż Ryan pójdzie spać? Jak długo? Przespać się, a potem zaskoczyć go o świtaniu?

Mój żołądek odezwał się burkliwie.

To zdecydowało. Najpierw kolacja, a potem wyruszam.

Rozłożyłam i przejrzałam wydruki ze strony TripAdvisor. El Lagarto leżało tuż przy plaży. Wielu ludziom się tam podobało. No bo czego nie lubić w lokalu, który ma w swoim logo parę tańczących aligatorów?

Znalazłam wejście i przeszłam oświetloną latarenkami ścieżką do bardzo długiego baru. Za nim na wielkim grillu jakiś mężczyzna smażył steki, ryby i rajskie banany. Zapach sprawił, że mój żołądek znów się odezwał.

Kobieta ubrana w haftowaną bawełnianą bluzkę posadziła mnie pod gołym niebem, przy jednym z wielu stolików z krzesłami, które wyglądały, jakby wykonano je ze skamieniałego drewna. Połowa była zajęta. Nad moją głową mrugały latarenki i kolorowe światełka. Ustawione na ziemi dziesiątki lamp sztormowych migotały blaskiem świec. W gęstniejącym zmierzchu ocean uderzał miękko o piasek.

Zamówiłam półmisek owoców morza. Zjadłam. Poczułam się senna, gdy krew spłynęła mi do żołądka.

Piłam właśnie drugą kawę, przelotnie lustrując innych biesiadników, gdy nagle mój mózg stanął znów na baczność.

Po drugiej stronie restauracji stał mężczyzna i rozmawiał z barmanem, zwrócony do mnie bokiem. Miał na sobie czarną koszulkę z logo szkoły surfing, jaskrawozielonym, wyblakłe dżinsowe szorty i mokasyny. Włosy jaśniejsze i bardziej potargane niż wtedy, gdy widziałam je ostatni raz. Ale znałam ten zarys szczęk, te ramiona, długie kończyny.

Gdy tak się nań gapiłam z bijącym sercem, mężczyzna machnął barmanowi jednym palcem na pożegnanie, odwrócił się i wyszedł.

Wyciągnęłam z torebki pieniądze. Zbyt dużo. To nie miało teraz znaczenia.

Rzuciłem tutejsze *colones* na stół i podbiegłam w stronę drzwi.

## Rozdział 6

W nastrojowym, lecz mało efektywnym świetle latarenek zobaczyłam jaskrawozielone logo szkoły surfingu znikające na końcu ścieżki. Mężczyzna w koszulce skręcił w prawo.

Gdy dotarłam do drogi biegnącej wzdłuż plaży, Ryan był dziesięć jardów przede mną. Nie szedł zbyt szybko, musiałam jednak przyspieszyć kroku, aby za nim nadążyć.

Po pokonaniu kilku przecznic w kierunku północnym skierował się na zachód wzdłuż głównej szosy. Pasowało to do relacji młodzieńca z dreadami.

Im bardziej oddalaliśmy się od centrum, tym mniej turystów spotykaliśmy. Nie mając zbyt wiele rywalizujących z sobą odgłosów, ocean wydawał się potężniejszy. Na niebie, teraz już zupełnie czarnym, zaczynały ukazywać się mrugające jasne punkciki.

Po kwadransie marszu Ryan zatrzymał się gwałtownie. Zamarłam, pewna, że mnie zauważył. Nie wiedziałam, jak zostanie potraktowane to moje wtargnięcie w jego nowe życie.

Ryan złożył dłonie i uniósł je do nosa. Błysnęła zapalka. Małe pomarańczowa kropka oświetliła na chwilę jego twarz. Potem wyprostował się i skręcił w lewo.

Pozwoliłam, żeby dzielący nas dystans się zwiększył, po czym ruszyłam za nim.

Droga była wąska, utwardzana jedynie żuzłem, z bujną roślinnością po obu stronach, ciemną i gęstą w tę bezksiężycową noc.

Słyszałam bzyczenie komarów. Bojąc się zdemaskowania, musiałam powstrzymać się od ich zabijania na skórze.

Ryan przeszedł jeszcze z pięćdziesiąt, sześćdziesiąt jardów. Potem jakieś drzwi otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Po chwili przez gąszcz roślinności przebiły się promienie światła.

Odczekałam pełną minutę, a potem ruszyłam dalej.

Chatka nadawałaby się dla Tarzana. Była prymitywna, stała na palach tkwiących pomiędzy gałęziami drzewa. Zakradłam się bliżej i zajrzałam przez szybki w drzwiach.

Na dolnym poziomie znajdowała się skromna kuchnia, której środek zajmował drewniany stół z dwoma plastikowymi, niebieskimi krzesłami. W jednym rogu widać było otwarte drzwi, prowadzące do łazienki o krytych kamieniem ścianach. W drugim – schody z listew, wznoszące się stromo na pięterko. Z góry sączyło się słabe światło.

Stałam tak przez chwilę, wstrzymując oddech. A jeśli się pomyliłam? A jeśli to wcale nie był Ryan?

To był Ryan.

Poruszając się ostrożnie, otworzyłam drzwi z szybkami, przeszłam na palcach po płytkach podłogi i zaczęłam wspinać się po schodach. Znajdowałam się na przedostatnim stopniu, licząc od góry, kiedy się odezwał.

– Czego chcesz?

Miał ochrypliwy, zmęczony głos. Był zły? Nie potrafiłam stwierdzić.

– To ja, Tempe.

Brak odpowiedzi. Przełknęłam ślinę. Próbowałam przypomnieć sobie słowa, które ćwiczyłam wcześniej w głowie.

– Dlaczego mnie śledzisz?

– Zlokalizowałam cię przez e-maila.

– Gratulacje.

– To nie było trudne.

Cholera. Czyżbym starała się mu dopiec?

– Chociaż właściwie ktoś mi pomógł.

– No więc mnie znalazłaś. A teraz zostaw w spokoju.

– Mogę wejść na górę?

Cisza.

– Nie chcesz wiedzieć, po co przyjechałam?

– Nie. Nie chcę.

Weszłam o stopień wyżej.

Ryan siedział na niepościelonym łóżku, z uniesionymi kolanami, plecami do ściany. Ponad jego lewym ramieniem pojedyncza żarówka rzucała skąpe światło przez papierowy abażur. Wentylator pod sufitem obracał się wolno. Na piersi Ryana leżała otwarta książka.

Na prawo od łóżka, na stoliku zrobionym z patyków, stała otwarta butelka szkockiej. Inna, pusta, spoczywała pod ścianą, zapewne tam, gdzie upadła. Zapach strawionego alkoholu i brudnych ubrań dominował nad bukietem aromatów dżungli, dochodzących zza siatki tworzącej górną część ścian.

– Dobrze wyglądasz – powiedziałam.

Była to tylko częściowo prawda. Ryan miał ładną opaleniznę i włosy spłowiałe od wielu godzin spędzonych na słońcu. Ale schudł, pod kilkudniowym zarostem kryły się zapadnięte policzki. Jego koszulka marszczyła się i wybrzuszała na żebrach.

– Wyglądam jak gówno – odparł.

Zacząłam przemówienie, które sobie wyćwiczyłam.

– Jesteś potrzebny. Czas wracać do domu.

Nic.

Chrzanić to. Przeszłam od razu do rzeczy.

– Anique Pomerleau.

Oczy Ryana skierowały się na mnie. Już miał coś powiedzieć, ale zrezygnował i otworzył książkę.

– To ona, Ryan. Znowu zabija. W dwa tysiące siódmym w Vermoncie zamordowano dziewczynkę. Jej ciało upozowano. Detektyw prowadzący tę zamrożoną sprawę...

– To dawne życie – spojrzenie powróciło do książki.

– Na ciele dziecka znaleziono DNA Pomerleau.

Oczy nie oderwały się od kartki. Ale zauważyłam w linii jego szyi napięcie, a ramiona odpowiedziały mi, że słucha.

– To ty namierzyłeś Pomerleau. Złapałeś ją. Wiesz, jak ona myśli.

– Już się tym nie zajmuję. – Wciąż nie podnosił wzroku.

– Ona znowu wypłynęła, Ryan. Uciekła nam wtedy, na rue de Sébastopol, a teraz wraca do gry.

Wreszcie jego spojrzenie spoczęło na mnie. Jasnoniebieskie źrenice otaczała pajęczyna czerwonych naczynek.

– W dwa tysiące dziewiątym w Charlotte zamordowano inną dziewczynkę. Według wiktymologów i danych porównawczych z miejsc zbrodni istnieje związek ze sprawą z Vermontu.

– W tym także DNA Pomerleau?

– To zostało potwierdzone.

– Nie brzmi zbyt przekonująco.

– To ona, na pewno.

Patrzył mi w oczy bardzo długo, a potem znów skierował wzrok na książkę, której nie czytał.

– A teraz zaginęła kolejna dziewczynka. Te same cechy budowy fizycznej. Ten sam modus operandi.

– Nie.

– Nie ma wątpliwości, że między tymi ofiarami były też inne.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Potrzebujemy cię. Musimy ją przymknąć.

– Znasz drogę powrotną do hotelu?

– Nie jesteś sobą, Ryan. Ty byś się nie odwrócił plecami do tych dzieci, wiedząc, że będzie więcej ofiar. Więcej zabójstw małych dziewczynek.

Ryan wyciągnął rękę i zgasił światło.

Ponad bzykaniem owadów i delikatnym stukotem liści o okno usłyszałam, jak odwraca się do mnie tyłem.

Kiedy wróciłam do Villas Katerina, mój iPhone złapał zasięg. Otrzymałam wiadomości.

Slidell dzwonił trzykrotnie.

W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin spałam może ze dwie. Mimo to zatelefonowałam do niego. W typowym dla siebie stylu Slidell wypalił bez przywitania.

– Gdzie ty jesteś, do cholery?

– W Kostaryce.

– Długa droga, żeby kupić sobie taco.

– Rozmawiam z Ryanem. – Nie było sensu dyskutować o niuansach kuchni narodowej tego kraju.

– Taa? Jak idzie?

– Nie idzie.

– Powiedz gnojkwowi po prostu, żeby zabierał stamtąd dupę i wracał.

– Nigdy bym na to nie wpadła. Po co dzwoniłeś?

– Kiedy Barrow dostał telefon od Rodasa, kazał odgrzać tę zamrożoną sprawę Nance.

Wiedziałam o tym.

– Najpierw polecił zbadać ubrania małej i to gównno, które przylegało do jej ręki.

– Myślisz, że od dwa tysiące dziewiątego technika poczyniła postępy? – stłumiłam ziewnięcie.

– No. Wyobraź sobie, że owszem.

Nagle stałam się czujna.

– W laboratorium znaleźli DNA, które nie należało do Nance?

– Zgadnij, do kogo.

– Pomerleau.

– Do kogóż by innego.

– Jasna cholera.

Termin wpłynięcia raportu wcale mnie nie zdziwił. Policja w Charlotte ma swoje ograniczone zdolności przerobowe, a jeśli chodzi o DNA, okres wykonania badań wynosi przeciętnie dwa tygodnie. Zaszokował mnie jednak fakt, że powiązanie stało się teraz oczywiste. Jednoznaczne. Anique Pomerleau porwała i zamordowała dziecko w moim mieście.

– A co z Shelly Leal?

– Wciąż nic konkretnego. Ale chyba jest szansa na przełom. Dziewczynka miała własny laptop. Kazałem facetom od komputerów go przejrzeć. Został wyczyszczony.

– Kiedy?

– W piątek, około trzeciej po południu.

– Tuż przed jej zniknięciem.

– Ija.

– Co usunięto?

– Historię wyszukiwania oraz e-maile. Do czysta. Ani jednej pieprzonej wiadomości. Ani jednej cholernej stronki.

– Czy komputery nie mają takiej opcji, że czyszczą historię w określonych odstępach czasowych? A może przy każdym wylogowaniu?

– Technik powiedział, że też o tym pomyślał. Kiedy sprawdził, okazało się, że wyszukiwarka nie jest nastawiona na taką opcję. Więc wykonał te ich całe czary i stwierdził, że ktoś ręcznie wszystko wykasował. Opróżnił archiwum e-maili stąd do Marsa.

– Coś jeszcze?

– Zdjęcia, utwory muzyczne, dokumenty i inne pliki są. Nietknięte od piątku rano. Zlikwidowano tylko to, co miało związek z netem.

– Uczennica podstawówki raczej nie potrafiłaby tego zrobić.

– Jej mama mówiła, że córka nie miała drygu do techniki.

– Pewnie ktoś ją poinstruował.

– Ija.

– Sądzisz, że poznała Pomerleau przez Internet?

– Sądzę, że z całą pewnością się tego dowiem.

– Czy twój technik może odtworzyć wykasowane pliki?

– Pracuje nad tym, ale niczego nie obiecuje.

– Przekazałeś to wszystko Rodasowi?

– Ta mała z Vermontu nie miała własnego komputera.

– A komórkę? Inne urządzenia?

– Gower nie posiadała komórki. Leal tak, ale telefon też zaginął. A analiza rozmów guzik dała.

– A co z Nance?

– Właśnie dlatego dzwoniłem. Czy w raporcie koronera wspomina się coś o telefonie?

– Sprawdzę, jak tylko wrócę.

– Czyli kiedy?

– Jutro.

– Dobrze. Chcę mieć tę sukę w kajdankach, zanim zabije kolejnego dzieciaka.

Rozłączyłam się i zaczęłam odtwarzać w myślach swoją rozmowę z Ryanem. Czułam gniew i żal z powodu jego odmowy pomocy. A potem cofnęłam się do przeszłości.

Ryan był dobrym człowiekiem. Przeżył kilka trudnych lat, miał parę falstartów. Jednak po szalonej młodości podążał właściwą ścieżką. Ułożył sobie uczciwe życie jako gliniarz. Bardzo się starał jako ojciec.

Oczywiście poniósł niewyobrażalną stratę. Ale czas zatruwania siebie samego już minął.

Miałam pewien pomysł. Czyżby bezduszny?

Nie. Dość uzalania się nad sobą.

Podjąwszy decyzję, wygrzebałam swojego maca, zalogowałam się i weszłam na stronę linii



US Airways. Kiedy skończyłam, siedziałam przez chwilę, próbując uspokoić rozdygotane nerwy.

Na zewnątrz w basenie pluskali się amatorzy późnej kąpieli. Wysoko wśród palm wyjec obwieszczał koniec dnia. Inny mu odpowiedział. Jakies małe stworzenie, być może gekon, przemknęło po siatce okiennej.

Moje myśli powróciły do chatki nad rzeką, ocienionej przez porośle mchem drzewa.

Wiedziona impulsem, zadzwoniłam do mamy. Odezwała się poczta głosowa. Zostawiłam chaotyczną wiadomość o Samarze i świeżych owocach morza, plażach i spotkaniu z Ryanem. Życzyłam jej dobrej nocy. Powiedziałam, że ją kocham.

W chwilach tuż przed zaśnięciem mój umysł znów bombardowały wspomnienia związane z Ryanem. Jego ciało osłaniające moje niczym tarcza podczas strzelaniny na cmentarzu w Montrealu. Rozciągnięte na całą długość na plaży w Honolulu. Leżące obok mnie w hamaku w Gwatemali.

Przyśniła mi się piwnica obok torów kolejowych przykrytych śniegiem.

## Rozdział 7

O szóstej rano znów pędziłam po drodze wiodącej wzdłuż plaży.

Niebo przechodziło z czerni w szarość. W nocy ocean się uspokoił. Jego powierzchnia marszczyła się w żółto-różowy trójkąt, obwieszczający powrót *el sol*.

Kilku kupców rozstawiało już swoje towary. Mewy organizowały sobie imprezę na plaży. Od czasu do czasu mijał mnie jakiś samochód, motocykl lub wysłużony pick-up. Większość chodnika miałam tylko dla siebie.

Ryan siedział na parterze, na jednym z niebieskich kuchennych krzeseł, ubrany w tę samą koszulkę i szorty, które nosił poprzedniego wieczoru. Podniósł na mnie wzrok, gdy otworzyłam drzwi z siatką przeciwko owadom, a potem wrócił do jedzenia płatków Cheerios. Jego twarz nie wyrażała niczego.

– Dlaczego Kostaryka? – spytałam.

– Ptaki.

– Ponad osiemset gatunków – powiedziałam.

– Osiemset dziewięćdziesiąt cztery.

– Charlie czułby się tu jak w domu. – Miałam na myśli naszą wspólną papuzkę.

– Charlie spogląda na nas teraz z dołu. Głodna?

Gdy usiadłam na drugim krześle, z kontuaru za sobą Ryan wyciągnął miskę i łyżkę. Jego twarz była ziemista, miał worki pod oczami. Pachniał potem i alkoholem. Zastanawiałam się, czy wypił całą butelkę szkockiej.

Nasypałam sobie płatków. Dodałam mleko, zwalczając chęć sprawdzenia jego daty ważności.

– W tym kraju jest pół miliona gatunków zwierząt – odezwał się Ryan, nie patrząc na mnie.

– Z tego trzysta tysięcy to owady.

– One też muszą żyć.

– Jakie są twoje plany?

– Poznać je wszystkie.

– I jak ci idzie?

– To miejsce ma jeszcze inne zalety.

Uniosłam brew. Ryan był skupiony na jedzeniu, dlatego nie zauważył.

– Stąd do Quebecu są tysiące mil.

– I to wszystko? Tylko odległość i fauna?

– Wóda jest tania. – Ryan wskazał łyżką na mnie. – A mało wymagający konsument może zadowolić się płatkami Cheerios.

– Nie jesteś sobą, Ryan.

Udał, że ogląda się za siebie.

– A kim?

– Nie mogę sobie wyobrazić, czym jest strata dziecka, i nie będę udawać, że rozumiem twój ból. Ale taplanie się w żalu nad sobą, ogłuszanie się alkoholem, odwracanie do życia plecami? To nie ty.

– Myślałam, czy nie prowadzić dziennika – powiedział z pełnymi ustami. – Jak Darwin na Galapagos.

- Co się stało?
- Nie umiem rysować.
- Co się stało z tobą?

Łyżka trzymana dotąd przez Ryana zagrzechotała o dno pustej miski. Sięgnął po leżącą na stole paczkę papierosów, wysunął jednego, zapalił zapałkę i przyłożył ogień do tytoniu. Zaciągnąwszy się mocno, tylko raz, spojrzął mi wreszcie w oczy.

– Znalazłaś mnie. Wezmę cię na barana i przemaszeruję tak z tobą przez cały pokój.

– Miej jaja, Ryan. Jedź ze mną. Rób to, czym się normalnie zajmujesz. Czym *my się zajmujemy* od prawie dwudziestu lat. Łapiemy bandziorów. Usuwamy z ulic popaprańców takich jak Pomerleau.

– Wracaj i powiedz swoim kumplom, że to nie mnie potrzebują.

Weszłam na informacje o locie i wsunęłam mu iPhone'a do ręki. Popatrzył na ekran.

– Kto za to zapłacił?

– To bez znaczenia.

– Nie ma mowy, żeby policja z Charlotte opłacała mi lot powrotny do kraju.

– Masz swój paszport?

Ryan zaciągnął się głęboko dymem i wypuścił go przez nos.

– Oni cię tam naprawdę potrzebują – powiedziałam.

– Mam nadzieję, dla twojego dobra, że linia zwraca pieniądze za bilety.

– Wczoraj wieczorem odebrałam telefon. Od Chudego Slidella.

Ryan znał Slidella dzięki sprawie, nad którą pracowaliśmy wspólnie wiele lat temu w Charlotte. Milczał.

– W badaniach laboratoryjnych wyodrębniono DNA na ubraniu Lizzie Nance.

W przekrwionych oczach Ryana czaiło się pytanie.

Kiwnęłam głową.

Zgasił papierosa jednym gwałtownym ruchem. Oparł się na krzesło i skrzyżował ramiona.

– Poza tym Slidell sądzi, że możliwy jest przełom w sprawie Leal.

W miarę jak opowiadałam Ryanowi o skasowanych plikach, kontur i cienie na jego twarzy stawały się jakby głębsze.

– Jeżeli to Pomerleau porwała Leal, rozpoczęła z nami swoją grę – powiedziałam. – Teraz szuka ofiar w Internecie. Ale przede wszystkim nasuwa się pytanie, dlaczego w Charlotte. Chyba wiem. Dowiedziała się, że tam mieszkam, i chce mi dokopać. Przesyła wiadomość, że nie zdołam jej pokonać.

Oparłam się. Czekałam.

Ryan obrzucił mnie długim spojrzeniem.

– Rób, jak chcesz. – Chwyciłam swój telefon komórkowy i wrzuciłam go do torebki.

Byłam już na zewnątrz, gdy przez drzwi dobiegł mnie jego głos.

– O której jest ten lot?

– Musimy wyjechać z Samary przed dziesiątą – odrzekłam, maskując zaskoczenie. – Zaczekam, aż weźmiesz prysznic i się spakujesz.

– Przedtem muszę się z kimś spotkać.

– Nie ma problemu. – Teraz maskowałam ból. To nieracjonalne. Tym „kimś” mógł być przecież właściciel chatki. Dostawca płatków Cheerios. I przecież uzgodniliśmy z Ryanem, że nie pasujemy do siebie jako para. A mimo to jego słowa mnie zraniły. Inna kobieta w życiu Ryana? Przecież od tak dawna znaczyliśmy dla siebie tak dużo.

- Gdzie się zatrzymałaś?
  - W Villas Katerina.
  - Spotkamy się tam o dziewiątej trzydzieści.
- Zawahałam się. Zaufać mu?  
Czy miałam jednak inny wybór?

Zegarek wskazywał 9.40. Jeszcze się nie poddałam, ale byłam już blisko.  
9.50.

Oczywiście, że Ryan nie przyjdzie. Drań jest już pewnie w połowie drogi do San José.

Wiedziałam, że nosi w sobie ranę, nie dostrzegłam jednak, jak bardzo jest głęboka i bolesna. Zastanawiałam się, czy Ryan jeszcze kiedykolwiek dojdzie do siebie. Mimo wszystko mocniej, niż się spodziewałam, czułam się dotknięta faktem, że zostawił mnie samą wobec konfrontacji z Pomerleau.

Kiedyś Ryan bardzo martwiłby się o moje bezpieczeństwo. O to, jak dana sprawa wpłynie na moje życie, a także o potencjalne ofiary. Jego paternalizm jednocześnie irytował mnie i otulał ciepłem. Zobaczywszy go, zdałam sobie sprawę, jak bardzo za nim tęsknię.

Na ulicy za murem rozległ się dźwięk klaksonu.

Pięć po dziesiątej.

Przejechałam ze swoją walizką na kółkach przez drzwi i zaczęłam iść ścieżką. Estella pomachała mi z okna, gdy mijałam recepcję.

Kierowca opierał się o maskę taksówki. Uśmiechnął się, wziął ode mnie walizkę i umieścił w bagażniku.

Właśnie wsiadałam do samochodu, rozmyślając o długiej podróży powrotnej, o tym, co powiem Slidellowi i Barrowowi, gdy nagle zauważyłam Ryana przepychającego się przez tłumek nasmarowanych filtrami przeciwsłonecznymi turystów, zmierzających ku plaży. Był ogolony, przebrał się w czarne polo i dzinsy. Z jednego ramienia zwisał mu nadmiernie wypchany plecak.

– Dzięki – powiedziałam.

– Skończyły mi się płatki Cheerios – odparł.

Dwie następne godziny spędziliśmy w milczeniu. Na lotnisku Daniel Oduber Quirós przeszliśmy przez odprawę, następnie kontrolę bezpieczeństwa, pokazaliśmy komu trzeba swoje karty pokładowe, zajęliśmy wreszcie miejsca w samolocie i zapięliśmy pasy. Ani słowa przez cały ten czas.

Tym razem siedziałam przy oknie i obserwowałam, jak pod nami niknie Kostaryka. Gdy nie mogłam już znieść ciszy, powiedziałam:

– Ciekawe, jaka w Charlotte jest pogoda.

– W nocy zachmurzenie ciągłe, nad ranem przejaśnienia.

Rozpoznawszy cytaty z George'a Carlina, uśmiechnęłam się w duchu. Dawny Ryan wciąż istniał.

I wtedy zasnąłam.

Obudziłam się, gdy kapitan ogłaszał podejście do lądowania. Życzył pasażerom i załodze szczęśliwego Dnia Dziękczynienia.

Gdy Ryan szedł rampą prowadzącą na lotniskowy parking, zaproponowałam mu swój pokój dla gości.

– Jakiś hotel blisko siedziby policji całkowicie wystarczy.

Nie dziwiła mnie jego odpowiedź. Skąd zatem to uczucie pustki? Ulgi? Rezygnacji? Smutku, że w końcu uzyskałam ostateczne potwierdzenie?

Tak. To był zdecydowanie smutek.

Milczałam.

– Tak będzie lepiej – odpowiedział na moje milczenie.

– Pasuje mi – rzekłam.

– Nie jestem już tym samym człowiekiem, Tempe. Nie jestem tym samym mężczyzną, którym byłem.

Wysadziłam go przy Holiday Inn na College.

Gdy dotarłam do swojej przybudówki, było już po dziesiątej. Dom bez Birdiego wydawał się niekompletny. Pochłonęłam burritos kupione po drodze i zadzwoniłam do Barrowa.

Był pod wrażeniem, że polowanie na grubego zwierza okazało się udane. I zadowolony. Zaproponował spotkanie o ósmej następnego ranka. Powiedział, że da znać Rodasowi i Slidellowi.

Gdy się rozłączyłam, wybrałam numer Holiday Inn. Zapytałam o Ryana. Zdumiewające, ale uzyskałam połączenie. Naprawdę się tam zameldował.

Zaoferowałam mu podwiezienie z samego rana. Ryan odparł, że sam trafi do Archiwum X. *Albo z powrotem na lotnisko*, pomyślałam cynicznie.

Tylko tyle mogłam wytrzymać.

Wyczerpana padłam na łóżko.

– Szkoda, że nie mogę powiedzieć, że dobrze wyglądasz – Slidell wpatrywał się w Ryana z wyrazem rozbawienia na twarzy.

Ryan wzruszył ramionami.

– Co jest, kurwa, z twoimi włosami?

– Wybrałem się na tournée z Shaggym.

Nawiązanie do reggae było w przypadku Slidella ślepym strzałem, gdyż jego gusta muzyczne ograniczały się do country oraz rock and rolla z lat sześćdziesiątych.

Barrow odchrząknął.

– Im szybciej zaczniemy, tym prędzej będziemy mogli się dorwać do resztek indyka.

– Albo wrócić na ulicę – dodał Slidell.

– To nie potrwa długo. W sprawie Pomerleau nie mamy nic nowego. Leal nadal jest zaginiona. Jak informuje detektyw Slidell, technicy nie znaleźli w jej macu nic konkretnego. Wciąż nad tym pracują.

– Komputer nie jest ze świata tego. – Był to sposób Slidella na podkreślenie, że nie ma o czym chwilowo gadać z prasą.

– Racja – zgodził się Barrow. – Media zaczynają svirować. Dlatego właśnie chciałem, żebyśmy spotkali się ze sobą twarzą w twarz...

– Bez tego popaprańca Tinkera.

Nim znów podjął wątek, Barrow rzucił Slidellowi dłuższe spojrzeenie.

– Chciałem, żeby detektyw Ryan poznał detektywa Rodasa.

Obaj mężczyźni skinęli sobie głowami, potwierdzając fakt, że ich sobie przedstawiono.

– Doktor Brennan wprowadziła detektywa Ryana w szczegóły spraw z Vermontu i z Charlotte? – Mówił tonem pytającym, nie twierdzącym.

– Tak. – Zrobiłam to podczas jazdy z lotniska do hotelu Ryana. Z jego strony nie doczekałam się najmniejszej reakcji.

– Jestem tu tylko jako obserwator – Ryan obdarzył mnie kosym spojrzeniem. – Oraz dla zadowolenia doktor Nachalnej.

Ból i gniew wybuchły we mnie w równych proporcjach. Oba je zwalczyłam.

– Mamy dwa morderstwa – rzekł Barrow. – A dziś mija tydzień od zaginięcia Shelly Leal.

– Mimo wszystko powiązanie jest dość słabe – Ryan często grywał rolę adwokata diabła.

– DNA łączy Gower z Nance, a także je obie z Pomerleau. Modus operandi w przypadku Leal jest identyczny.

Ryan przeciągnął paznokciem kciuka wzdłuż krawędzi stołu. Czy rozmyślał o zaginionych przed laty dziewczętach z piwnicy? O swojej zmarłej córce? O butelce szkockiej, którą zostawił w pokoju?

– Ryan... – zaczęłam.

– Do niczego się wam nie przydam.

– Znasz Pomerleau – powiedziałam.

– Jestem w rozsypce.

Slidell parsknął.

– No to zdjąłeś mi ciężar z serca.

– Przykro mi. – Ryan pokręcił głową. – Skończyłem z rozwalonymi czaszkami, poderzniętymi gardłami i śladami po przypalaniu papierosem. Żadnych więcej martwych dzieciaków.

– A co z żywymi?

Kciuk Ryana nieustannie przesuwiał się wolno w tę i we w tę. Miałam ochotę dać mu klapsa, potrząsnąć nim, żeby odzyskał zmysły. Tymczasem mówiłam głosem cichym i neutralnym.

– Pomerleau nie znajduje głównej przyjemności w samym zabijaniu. Wiesz o tym. Karmi swoje ofiary, by utrzymać je przy życiu, by mogła je torturować i gwałcić. Ona i ten jej walnięty pomagier.

– Neal Wesley Catts – wtrącił Rodas. – Znany także jako Stephen Menard.

– Możliwe, że Leal jeszcze żyje – ciągnęłam. – O ile w przypadku Nance i Gower Pomerleau postąpiła zgodnie ze schematem, o tyle tutaj sytuacja jest inna. Sposób działania się zmienił. Leal długo nie pożyje.

Ryan wciąż milczał.

Rodas położył otwartą dłoń na kartonowym pudełku, w którym znajdowały się akta jego śledztwa.

– Rano muszę wracać na północ. Mógłbyś przynajmniej przejrzeć te papiery?

Ryan zamknął oczy.

Popatrzyłam na Slidella. Wzruszył ramionami.

Minęła bardzo długa chwila.

Ryan potarł ręką szczękę. Westchnął. Następnie uniósł oczy na mnie.

– Jedna doba.

Spojrzał na swój nadgarstek. Na którym nie było zegarka.

– Dwadzieścia cztery godziny.

## Rozdział 8

Zanim zagłębiliśmy się w akta Nance, kupiliśmy sobie z Ryanem po kawie. Ale jej nie wypiliśmy. Smakowała jak rozcieńczony obornik. Był to jedynie rytuał, niczym ostrzenie ołówka czy prostowanie podkładki na biurku. Pozbawione sensu działanie jako preludium do prawdziwego spektaklu.

Zaczęliśmy od rozdziału zatytułowanego *Opis przestępstwa*.

Dnia 17 kwietnia 2009 roku o godzinie 16.20 Elizabeth Ellen „Lizzie” Nance, lat 11, wyszła ze Szkoły Tańca Isabelle Dumas, mieszczącej się w Centrum Handlowym Park Road, i skierowała się w stronę kompleksu mieszkalnego Charlotte Woods przy East Woodlawn. Pewien kierowca zeznał, że widział dziecko odpowiadające rysopisowi Lizzie na skrzyżowaniu ulic Park i Woodlawn około godziny 16.30.

Lizzie mieszkała z matką, Cynthią Pridmore, lat 33, oraz dziewięcioletnią siostrą, Rebeccą Pridmore. Cynthia Pridmore zgłosiła zaginięcie córki telefonicznie o godzinie 19.30. Powiedziała, że kontaktowała się wcześniej ze szkołą, z kilkoma koleżankami z klasy Lizzie, a także ze swoim byłym mężem, Lionelem Nance’em, lat 39. Pridmore zeznała, że wspólnie zjeździli trasę między szkołą a domem tam i z powrotem. Według niej córka nie była typem uciekiniarki. Dziewczynkę wpisano na listę osób zaginionych, śledztwo poprowadziła detektyw Marjorie Washington.

Dnia 30 kwietnia 2009 roku konserwator zieleni Cody Steuben, dwudziestoczterolatek, znalazł rozkładające się zwłoki dziecka w rezerwacie przyrodniczym Latta Plantation, na północny zachód od Charlotte. Medyk sądowy Timothy Larabee zidentyfikował szczątki jako należące do Lizzie Nance. Sprawę przekazano do wydziału zabójstw, śledztwo przejął detektyw Erskine Slidell.

Lizzie Nance była uczennicą szóstej klasy, bez kartoteki dotyczącej brania narkotyków, picia alkoholu czy problemów psychicznych. Ofiara niskiego ryzyka z punktu widzenia wiktymologii. Cynthia Pridmore pracowała jako sekretarka w firmie prawniczej, była dwukrotnie rozwiedziona. Jej drugi eksmąż, John Pridmore, lat 39, zajmował się handlem nieruchomościami. Natomiast Lionel Nance był elektrykiem, w czasie zaginięcia córki bezrobotnym.

Żadne z małżonków Pridmore nie figurowało w aktach sądowych, nigdy nie byli aresztowani. Lionel Nance został zatrzymany w 2001 roku za spożywanie alkoholu w miejscu publicznym.

Wszyscy świadkowie, którzy znali ofiarę, zgodnie zeznali, że sprawca musiał być osobą znaną Lizzie oraz kimś, komu ufała. Jednocześnie wyrażali wątpliwości, aby za jej zniknięcie odpowiedzialni byli Nance bądź Pridmore’owie.

Przejrzelśmy kilka artykułów prasowych. Zwykła w takich wypadkach żądza krwi. Zaginięcie. Poszukiwania. Twarzyczka aniołka o długich, brązowych włosach. Nagłówek krzyczący, że dziecko nie żyje.

Wciąż jeszcze czytałam, gdy Ryan odchylił się na oparcie krzesła. Położyłam kartkę na stole.

- Wszystko w porządku?
- Kwitnąco.
- Przechodzimy do miejsca zdarzenia?

– Jasne.

Zamieniłam dotychczasowy folder na ten zawierający raport z miejsca zbrodni.

Ekipa techników sądowych pojawiła się na miejscu zdarzenia dnia 30 kwietnia 2009 roku o godzinie 9.31. Było to pole uprawne, ograniczone lasem, teren niestrzeżony, raczej nieuczęszczany przez zwykłych ludzi. Zwłoki pozostawiono piętnaście stóp na północ od niewielkiej drogi dojazdowej.

Ofiara spoczywała twarzą do góry, była ubrana, miała złączone stopy, ramiona ułożone prosto wzdłuż boków. Zwierzęta nie poczyniły większych szkód. Na szczątkach było nieco śmieci (liście, gałązki itp., wszystko zebrała ekipa techniczna), ale nic nie świadczyło o tym, by próbowano je ukryć lub pogrzebać.

Zdjęcie odcisków palców okazało się niemożliwe z powodu stopnia rozkładu zwłok. Mimo wszystko pobrano wymazy z obu dłoni. Wykonano fotografię ofiary oraz miejsca jej znalezienia.

Dalej znajdował się szczegółowy raport techniczny. Zostawiłam go Ryanowi, a sama przeszłam do sekcji oznaczonej jako *Materiał dowodowy/Rzeczy znalezione/Analiza*.

Na diagram naniesiono każdy przedmiot. Pięć jego kolumn nosiło następujące tytuły: *Numer kontrolny. Artykuł. Lokalizacja. Sposób uzyskania. Wyniki*.

W rzędach widniało żałośnie mało wpisów. Zdjęcia, czterdzieści pięć. Puszka po napoju gazowanym. Liście. Odłamki kory. Zardzewiała bateria. Włosy. Zniszczona tenisówka damska rozmiar dziesięć. Włosy należały do Lizzie. Puszka, bateria i but nie miały śladów DNA ani żadnych odcisków palców.

Musiałam wydać z siebie jakiś odgłos. A może Ryan dostrzegł coś w mojej twarzy.

– Co jest?

– Jako dziecko Katy uczęszczała na zajęcia baletowe. – Mówiłam o swojej córce. – Nosiła pantofle w worku, na zajęcia chodziła w zwykłych butach.

Ryan uniósł brew. Odwróciłam spis rzeczy znalezionych tak, aby mógł zobaczyć sam. Kiedy skończył, zapytał:

– Gdzie są pantofle do tańca tej małej?

– No właśnie.

– Żaden z techników nic nie wspomina o butach. Nie było ich w worku ani w plecaczku. – Ryan pokręcił głową, próbując pozbyć się napięcia w karku.

– Może ty zajmiesz się zeznaniami świadków, a ja raportem z sekcji zwłok? – zaproponowałam.

– Nie musisz mnie chronić.

– Nie chronię. – Owszem, chroniłam. – Lepiej się znasz na przesłuchiwanie ludzi.

Sekcja oznaczona jako *Świadkowie* liczyła dziesięć stron. Norma. Gdy ginie dziecko, gliniarze rozmawiają z każdym, kto choćby na chwilę wkroczył w jego życie.

Przesłuchania ułożono w porządku chronologicznym. Pierwsze przeprowadzono z konserwatorem zieleni, który znalazł zwłoki. Przepytywał go Slidell.

Przeszłam do części zatytułowanej *Raport medyka sądowego*.

*Elizabeth Ellen Nance*. Ofiara to jedenastoletnia biała dziewczynka, wzrostu 147 cm, szczupłej budowy ciała, szatynka. Sekcję zwłok przeprowadzono w dniu 1 maja. Szczątki częściowo zeszkieletowane, z rozkładającą się tkanką na tylnej części czaszki, tułowiu, kończynach i stopach.

Ciało ubrane w zieloną wełnianą kurtkę, czarny trykot, czarne rajstopy, różową bawełnianą



bieliznę oraz niebieskie plastikowe buty. Majtki prawdopodobnie na miejscu. Cała odzież mocno zabrudzona. Nie zauważono plam krwi.

Zwłoki wykazują brak śladów po ranach ciętych i tłuczonych.

Brak pęknięć czaszki, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Podstawa czaszki nieuszkodzona. Kości twarzy nieuszkodzone. Uzębienie kompletne, z wyjątkiem dwóch prawych górnych siekaczy, które – jak się wydaje – zostały usunięte po śmierci.

Kości gnykowe niezrośnięte z ciałem. Pozostałości chrząstek kraniowych nienaruszone. Zaobserwowanie obecności krwi w górnych drogach oddechowych lub w oskrzelach niemożliwe. Niedrożność dróg oddechowych lub oskrzeli niemożliwa do ustalenia.

Równoległe bruzdy na dwóch prawych palczkach środkowych wskazują na żerowanie gryzoni. Brak dwóch prawych palczków dalszych. Na obu rękach nie ma śladów urazów świadczących o próbie obrony.

Po stronie wewnętrznej prawego przedramienia zauważono pewną liczbę włosów i/lub włókien. Próbkę przekazano do laboratorium kryminalistycznego.

Z powodu rozkładu niemożliwe jest stwierdzenie urazów na narządach płciowych zewnętrznych, znalezienie pozostałości płynów ustrojowych ani jakiegokolwiek materiału obcego, zarówno na samych genitaliach, jak i w części łonowej. Tkanka miękką w dolnej części tułowia, w okolicach podbrzusza, ud i nóg w stanie silnego rozkładu, jednak kości nie wykazują żadnych złamań ani śladów pourazowych.

Jako materiał dowodowy przekazano:

1. włosy z głowy
2. wymazy pobrane z prawej i lewej ręki
3. pozostałości paznokci prawej i lewej dłoni
4. odzież oraz worek na zwłoki, w który zawinięto ciało
5. włosy/włókna zebrane z prawego przedramienia

Poziom etanolu i tlenu węgla we krwi: nieustalone.

Okoliczności śmierci: zabójstwo.

Przyczyna śmierci: nieznana.

Jakże boleśnie mało informacji.

Zegar wskazywał 13.10. Ryan wciąż przedzierał się przez zapisy przesłuchań.

– Znalazłeś coś? – spytałam.

– Wujek tej małej to gnojek, ale nic poza tym.

– Zjemy lunch?

Zjeżdżaliśmy w milczeniu do piwnicy. Wzięłam sobie sałatkę. Ryan wolał kawałek pizzy, który czekał na swego nabywcę już dłuższy czas. Zanieśliśmy tacki do stolika przy tylnej ścianie.

– Ten system nadzoru społecznego jest dobry – podjęłam próbę zainicjowania rozmowy.

– Na to wygląda.

– A śledztwo było wystarczająco dokładne. Po prostu gliny nie miały nad czym pracować.

– Typowe dla porwań przez nieznaną osobę.

– Porwanie przez nieznaną dziecku osobę, ale bez wykorzystania seksualnego?

– Czy nie do takiego wniosku doszedł medyk sądowy?

– Uznał, że to nie do ustalenia. A ponieważ ubranie nie zostało zdjęte ani uszkodzone, miał podstawy do odrzucenia podejrzeń o gwałt. Przyczyny śmierci także nie ustalono.

Kilka chwil jedliśmy w milczeniu.

– Modus operandi Pomerleau polegał na porywaniu dzieci i przetrzymywaniu ich żywych, by zaspokajać własne chore fantazyjki. Dlaczego się zmienił? – Zadawałam sobie to pytanie od chwili, gdy dowiedziałam się o pasującym DNA.

– Gdy tortury przestają już wystarczać, ci psychole podnoszą stawkę.

Mnie jednak nie dawało spokoju coś jeszcze.

– Tamten ostatni wieczór na de Sébastopol. Pomerleau podpaliła dom. – I zostawiła mnie w nim na pewną śmierć. Nie powiedziałam tego głośno. – Uciekła, zanim Claudel zdążył ją aresztować. Dlaczego zatem jej DNA znalazło się w systemie kanadyjskim?

– Kilka lat temu niektóre okręgi z Kalifornii zaczęły zbierać dane na temat DNA groźnych przestępców, którzy zmarli, zanim władze otrzymały ich profile genetyczne.

– Co wykorzystano?

– Stare dowody sądowe, krew i ślinę ofiary albo te znalezione na miejscu zdarzenia. Następnie porównywano uzyskane profile genetyczne z tymi, które znajdowały się w aktach spraw nierozwiązanych.

– DNA z dochodzeń, w których nie wykryto sprawcy.

– Właśnie.

– Czy to wystarczający dowód przed sądem?

– Wątpliwe. Jednak udało się zamknąć niektóre dawne sprawy.

– Więc teraz Kanada robi to samo?

– Wypadłem z obiegu. Ale domyślałem się, że chodzi o coś w tym stylu. Kiedy po raz pierwszy namierzeliśmy Pomerleau, pojechała do szpitala Montreal General, prawda?

Przed oczyma błysnęła mi migawka. Trupioblade ciała w czarnej jak smoła czeluści celi. Kiwnęłam głową.

– Po przyjęciu Pomerleau do szpitala prawdopodobnie pobrano od niej krew. Z domu przy de Sébastopol, jako z miejsca zdarzenia, także wzięto materiał biologiczny. Te profile pasowały do siebie. Następnie, jako podejrzaną o zabójstwo, Pomerleau sprawdzono w Krajowej Bazie Danych DNA.

– I tak wpadli na jej trop.

Gdy wróciliśmy na górę, Ryan dalej czytał zeznania świadków, ja natomiast przeszłam do folderu: *Dochodzenia powiązane*. Spędziłam nad nim godzinę. Siedziałam właśnie zatopiona głęboko w rozdział zatytułowany *Uwagi śledczych*, kiedy pewien wpis kazał mi się wyprostować na krześle.

Notatkę zrobiono odręcznie, nosiła datę 2 maja 2009 roku. Brakowało nazwiska wskazującego jej autora.

Technik sądowy F.D. Ferrara przekazał telefonicznie, że laptop marki Dell Inspiron 1525, zabrany z pokoju ofiary, nie zawiera żadnych istotnych informacji. Braki historii e-maili i wyszukiwarek.

Przebiegłam szybko wzrokiem dalszą część strony. I następną. Nie znalazłam żadnego odniesienia ani do komputera, ani do Ferrary.

– Ryan.

Podniósł wzrok. Odwróciłam kartkę do góry nogami i dźgnęłam palcem w notatkę. Kiedy czytał, wybrałam numer Slidella.

Odezwała się poczta głosowa. Pozostawiłam wiadomość: „Oddzwon do mnie”.

Zatelefonowałam do Barrowa. Poprosiłam, żeby wrócił do centrum policyjnego w Charlotte. Przyjechał w niecałą minutę.

– Co tam?

Pokazałam mu notatkę.

– Co powiedział Slidell?

– Nie odbiera. Ferrara ciągle tu pracuje?

– Zaczekaj. – Barrow wyszedł z pomieszczenia i wrócił po chwili.

– Frank Ferrara przeniósł się do Ohio w dwa tysiące dziesiątym roku.

– Tutaj płaca była za wysoka, godziny pracy zbyt krótkie – rzucił dowcipem Ryan.

– Coś w tym stylu.

– Jaka jest szansa, że ten komputer wciąż gdzieś tu jest? – zapytałam.

– A został zabezpieczony jako dowód?

– Nie.

– Po pięciu latach? – Barrow wolno pokręcił głową.

– Cynthia Pridmore nadal mieszka w Charlotte?

– O tak. Co kilka miesięcy dzwoni z pytaniem o nowe informacje. Ale głównie po to, żebyśmy cały czas myśleli o Lizzie.

– Dryndniesz do niej?

Barrow się zawahał.

– Nie lubię wzbudzać złudnych nadziei.

Ryan i ja czekaliśmy.

– Zobaczą, co da się zrobić.

Wrócił po dwudziestu minutach. Jego mina świadczyła, że przeprowadził przykrą rozmowę. Z kobietą nawiedzaną nieustannym poczuciem winy i żalu. Rozmowę o nocach wypełnionych strachem przed zaśnięciem.

– Pridmore pamięta, że jakiś gliniarz zabrał ten komputer Della, a także inne rzeczy z pokoju jej córki. Przypomina sobie pytania, czy Lizzie korzystała z e-maila i Internetu. To wszystko.

– Gdzie jest teraz ten laptop? – spytałam.

– Zwrócono go Pridmore. Dwa lata temu zamieniła go na nowszy model.

– Pytałeś, czy wcześniej zapisała inne pliki Lizzie?

Barrow kiwnął głową.

– Zapisała. Skopiowała zdjęcia i pliki Worda na dysk, a przed zamianą wyczyściła dane. Pamięta jakąś szkolną pracę na temat pogotowia ratunkowego. Zadanie polegało na dowiedzeniu się jak najwięcej o tym, jak działa. Jej mała chciała być pielęgniarką. Kiedy kobieta to przeczytała, nie była w stanie znieść niczego więcej.

– Powinniśmy odzyskać ten dysk.

– Spróbuję.

– Jakaś szansa na znalezienie laptopa?

Barrow rozłożył ręce w geście „Kto to może wiedzieć?”.

– Albo nikt nie zwrócił uwagi na raport Ferrary, albo nie zdawano sobie sprawy ze znaczenia faktu, że jedenastoletnia dziewczynka tak selektywnie wyczyściła swoją historię użytkownika komputera – powiedział Ryan.

– Czyli Pomerleau mogła wyszukiwać ofiary w Internecie już w dwa tysiące dziewiątym roku – dodałam.

– Przyjrzyjmy się temu jeszcze raz – Ryan przerzucił kartkę w aktach przesłuchań.

Ostatecznie jednak to nie odkrycie, że Pomerleau śledziła ludzi w necie, zmieniło decyzję Ryana co do udziału w śledztwie.

Sprawiła to rozmowa telefoniczna o wpół do dziesiątej.

## Rozdział 9

Gdy skończyliśmy z Ryanem pracę nad aktami, było już dobrze po siódmej. Nie odkryliśmy niczego interesującego.

Wychodząc, zaproponowałam kolację. Zgodził się. Ze znaczącym brakiem entuzjazmu.

Poszliśmy do Epicentre, dwukondygnacyjnego fantastycznego kompleksu pełnego sklepów, teatrów, kręgielni, barów i restauracji, zajmującego całą przecznicę w eleganckiej dzielnicy miasta.

Wszędzie tłumy ludzi. Zdecydowaliśmy się na lokal Mortimera. Bez powodu, poza tym, że były tam wolne miejsca.

Zamówiłam zawijańca z kurczakiem po azjatycku. Ryan wybrał pić Panthers. Wyglądała lepiej niż moje danie.

Kiedy skończyliśmy, odbył się zwykły rytuał z rachunkiem. Nasze palce zetknęły się ze sobą, poczułam gorąco na skórze. Wyrwałam rękę. *Uspokój się, Brennan. To już skończone.*

Ale odniosłam rzadkie zwycięstwo. To zdecydowanie nie była dyscyplina ulubiona przez Ryana.

Wychodziliśmy właśnie na College Street, gdy zawibrował mój telefon; otrzymałam wiadomość z poczty głosowej. Wyciągnęłam aparat z torebki, spodziewając się informacji od Slidella.

Kierunkowy 828. Poczułam ukłucie lęku. Dzwoniono z Heatherhill Farm, godzina połączenia 20.15. Włączyłam odsłuchiwanie: „Doktor Brennan, mówi Luna Finch. Sądzę, że powinna pani o tym wiedzieć. Pani matka... nie przyszła na kolację. Sprawdziliśmy jej pokój, zniknęła. Przeszukaliśmy dom i cały teren wokół, potem drugi raz, a następnie pozostałą część ośrodka. Jestem pewna, że to nic takiego, ale jeśli pani wie, gdzie mama mogła pójść, proszę o telefon. Dziękuję”.

– Cholera! – Wcisnęłam klawisz ponownego wybierania. – Niech to szlag!

Ryan stanął w miejscu, gdy się zatrzymałam.

– Problem?

– Muszę mieć chwilę na wyjaśnienie pewnej sprawy.

Gdzieś daleko w górach zadzwonił telefon należący do Finch. I raz jeszcze.

– Doktor Finch, słucham.

– Mówi Temperance Brennan – odezwałam się tonem nienależącym do moich najsztubniejszych.

Ryan oddalił się o kilka kroków, zostawiając mnie samą. Kątem oka widziałam, jak wytrząsa papierosa z paczki i zapala go.

– Znaleźliśmy ją. Przepraszam, że panią niepokoiłam. Ale nie zgłosiła swojego wyjścia. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło.

– Gdzie ona jest?

– W ośrodku komputerowym, w czytelnicy. Zatarasowała wejście wózkami i się za nim ukryła.

Dlatego początkowo nie mogliśmy jej znaleźć.

– Przecież ma własny laptop. – To wszystko nie miało sensu. – Dlaczego uciekła?

– W River House jest słabe WiFi. Wie pani, jak to działa w górach.

– Nie mogła poczekać, aż zasięg powróci?

Usłyszałam długie westchnienie.

– Daisy uważa, że specjalnie pozbawiamy ją łączności z Internetem.

– I dlatego posłużyła się tym wózkiem?

– Obawiam się, że tak. Podejrzewa, że jest śledzona.

– Przeżyła załamanie po moich odwiedzinach w środę?

– Nie, właściwie wydawała się całkiem szczęśliwa. Może trochę nieobecna. Introspektywna. Jakby nad czymś się głęboko zastanawiała.

– Gdzie jest teraz?

– Kąpie się. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

Jezu Chryste. „Będzie dobrze” to ostatnia rzecz, jaką można było powiedzieć. Przecież ta kobieta umiera.

– Powinam z nią porozmawiać? – Byłam zadowolona ze swojego tonu głosu. Ani śladu szalejącego w moim wnętrzu strachu.

Po krótkiej pauzie Finch odpowiedziała:

– Za godzinę. Niech mama coś zje, a potem położy się do łóżka ze swoim pamiętnikiem.

Przerwałam rozmowę. Włączyłam głośny dzwonek, a następnie wrzuciłam telefon do torebki. Stałam przez chwilę, uspokajając nerwy.

Mama prowadzi dziennik. Przecież to preludium do kolejnej spirali przygnębienia.

Ryan znajdował się dziesięć stóp ode mnie, na chodniku. W silnym blasku neonów Epicentre jego twarz sprawiała wrażenie zerodowanej, pomarańczowej, o zielonych kościach.

Przedarłam się ku niemu przez chmurę piątkowych imprezowiczów.

– Wszystko w porządku? – Zmiażdżył papierosa obcasem.

– W jak najlepszym.

Po sekundzie niezręcznej ciszy zapytał:

– Ale ma pani ochotę na sarsaparillę? – Powiedział to z okropnym kowbojskim akcentem.

Oboje próbowaliśmy się zaśmiać ze starego kawału. Niespecjalnie się udało.

– Lepiej już pójść do domu – powiedziałam.

Ryan kiwnął głową.

I wtedy właśnie zadzwonił telefon. Sądząc, że to znowu Finch, i bojąc się, że doszło do kryzysu, odebrałam natychmiast.

– Tu Slidell.

Chudy nigdy nie zaczynał rozmowy od przedstawienia się. Czekałam.

– Mamy ją.

Zajęło mi to chwilę. A potem dotarła do mnie ta straszna świadomość.

– Shelly Leal?

– Jakiś facet zbierający wodorosty, nasiona czy inne gówno natknął się na ciało około siódmej trzydzieści – oświadczył bez ogródek.

– Gdzie?

– Na Lower McAlpine Creek Greenway, pod estakadą I-485. – Gdzieś w tle słyszałam ludzkie głosy, szum ulicznego ruchu. Zapewne Slidell był na miejscu zdarzenia.

– Larabee już przyjechał?

– No.

– Potrzebuje mnie? – Leal zaginęła przed tygodniem. Jeśli leżała tam długo, a żerujące zwierzęta zrobiły swoje, części jej ciała mogły zostać zawleczone w różne miejsca

i porozrzucane.

– Mówi, że ma wszystko pod kontrolą. Chciał tylko, żeby cię uprzedzić, że jutro z samego rana przeprowadzi sekcję. Nie miałyby nic przeciwko, gdybyś była obecna.

– Oczywiście. – Milczałam przez chwilę, rozmyślając nad kolejnym pytaniem. – Zbieracz wodorostów. Wiarygodny?

– Nie przestaje płakać i rzygać, odkąd tu jestem. Wątpię, żeby maczał w tym palce.

– Ten sam modus operandi?

– Ubrana i upozowana – odrzekł szorstko.

– Tinker wie?

– O tak. Gnojek udaje superagenta, wkurzając wszystkich wokół.

– Przecież nie jest profilerem.

– Spróbuj mu to wyperswadować. Ryan jest z tobą?

– Tak.

– Wprowadź go.

– Jasne.

Usłyszałam głos w radiu, zniekształcony przez wyładowania.

– Muszę lecieć – rzekł Slidell.

– Będziesz jutro przy sekcji zwłok?

– Ochoczy i żwawy.

Rozłączyłam się.

– Dziecko nie żyje? – zapytał Ryan.

Kiwnęłam głową, nie ufając swojej krtani.

– Chcą, żebyśmy dołączyli?

Zaprzeczyłam.

– Larabee przeprowadzi jutro sekcję?

Znów kiwnęłam głową.

Wokół nas w dwóch kierunkach płynęła rzeka ludzi. Minęła mnie jakaś dziewczynka, może dwunasto- lub trzynastoletnia, z rodzicami po obu stronach. Cała trójka jadła lody czekoladowe w wafelkach. Wyobraziłam sobie migające czerwono-niebieskie światła na małym nieruchomym ciele spoczywającym na brudnym betonie. Patrzyłam, jak dziewczynka znika w tłumie, a mój żołądek zmieniał się w twardą, zimną kłuskę.

Nagle zaczęły mi się trząść ręce. Przycisnęłam je do ud. Spojrzałam na swoje stopy. Zauważyłam samotny chwast, wyrastający z pęknięcia w chodniku.

Shelly Leal. Mama. Ryan. A może to była pozostałość po przeziębieniu. Albo po prostu brak snu. Nie miałam już więcej siły, żeby przeciwstawić się rozpacz.

Popłynęły łzy. Uwolniły się. Wierzchem dłoni otarłam grube, słone krople z policzków.

– Odprowadzę cię do samochodu – powiedział Ryan. Nie zadał żadnego pytania o Leal. Ani na temat telefonu od Finch. Doceniałam to.

– Jestem dużą dziewczynką – nie patrzyłam na niego. – Jedź do hotelu.

Gdy w kolosie za nami otworzyły się drzwi, muzyka wybuchła z większym natężeniem. I znów przygasła. Gdzieś rytmicznie pikała ciężarówka na wstecznym biegu.

Ryan wyciągnął ręce i wziął w nie obie moje dłonie. Trzymał je mocno, żeby już nie drżały.

– Odbiorę cię rano – powiedziałam.

Jego wzrok palił mnie w czubek głowy.

– Spójrz na mnie.

Spojrzałam. Tęczówki miał aż nazbyt jasne na tle nabiegłych krwią oczu. Elektrycznie niebieskie. Zadziwiające.

– Gdy dochodzi do zabójstwa dziecka, coś w nas umiera. – Ryan mówił łagodnie, jego ton miał mnie uspokajać. – Ale na żadne śledztwo jeszcze nie reagowałaś tak mocno. To przeze mnie, prawda?

Zaczerpnęłam powietrza i odczekałam sekundę, chcąc mieć pewność, że nie powiem nic, czego bym potem żałowała.

– Życie nie kręci się wokół ciebie, Ryan.

– Nie. Oczywiście, że nie.

Wyrwałam dłonie z uścisku i skrzyżowałam ramiona na piersiach. Spuściłam wzrok.

– Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego musiałem wyjechać. Przeżywać moją żałobę samotnie. Zobaczyć, czy zostało we mnie jeszcze coś, co warte jest uratowania. To było samolubne, ale nie mogę już niczego zmienić.

Skupiłam się na zielonej witce walczącej o życie u moich stóp. Milczałam.

– Musisz wiedzieć, że nigdy nie zamierzałem cię skrzywdzić.

Chciałam walnąć go pięścią. Chciałam przycisnąć policzek do jego piersi. Pozwolić, żeby mnie przytulił.

Ryan zniknął z mojego życia, rzuciwszy mi ledwie jedno pożegnalne spojrzenie. Jedna szybka wizyta. Jeden e-mail. Śmierć córki była niewyobrażalnym ciosem. Ale czy mogłam wybaczyć mu ów brak delikatności? Czy wybaczenie nie narazi mnie na jeszcze większą dawkę cierpienia?

Przyglądałam się dzielnej roślince. Czuję się dziwnie podniesiona na duchu. Co za optymizm w obliczu niemożności.

Nie miałam obowiązku tłumaczyć się przed Ryanem. Ponownie mu zaufać. A jednak nie mogłam powstrzymać słów.

– Moja matka jest tutaj, w Karolinie Północnej.

Wyczułam jego zaskoczenie. Nigdy nie rozmawialiśmy o mamie.

– Umiera – wyszeptalam.

Ryan ciągle milczał, pozwalając mi kontynuować lub nie.

W moim umyśle pojawiały się migawki. Dłoń mamy w mojej ręce, w ciemności, gdy nie mogła zasnąć. Jej twarz pełna zachwytu po udanych zakupach w centrum handlowym. Walizka mamy, zapakowana jedwabnymi szalami, koszulami nocnymi z satyny oraz puszkami z kakao marki Godiva.

Mama przykucnięta z laptopem za bibliotecznym wózkiem.

Chwast rozmazał mi się w oczach, przekształcił w chwiejną zieloną nić. Mój oddech stał się przerywany, rozsadał mi pierś.

*Nie.*

Otarłam kolejne łzy, wyprostowałam ramiona i uniosłam głowę.

Oświetlona neonami twarz Ryana znajdowała się tuż nad moją.

Udało mi się wydobyć słaby uśmiech.

– Może jakaś sarsaparilla?

W mojej przybudówce Ryan parzył kawę, podczas gdy ja udałam się do gabinetu, aby zadzwonić do mamy. Mówiła spokojnie i zrozumiale. Poszła do ośrodka komputerowego, bo chciała kontynuować swoje poszukiwania. Nic wielkiego się nie stało.

Nie dałam się nabrać. Nawet gdy demony zrywały się z uwięzi, mama zawsze potrafiła



wiarygodnie usprawiedliwiać swoje działania. W sposób przekonujący zrzucić na innych winę za przesadną reakcję. Być może to właśnie był najbardziej irytujący aspekt jej szaleństwa.

– Poczyniłaś jakieś postępy? – W jej pytaniu dał się słyszeć odcień ekscytacji, ukryty pod chłodnym spokojem.

– Postępy? – Byłam zdezorientowana.

– W sprawie tych biednych martwych dziewcząt.

– Posłuchaj, mamó. Ja...

– Bo ze swojej strony robię wszystko, co mogę. – Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. – Próbują mnie powstrzymać, ale im się nie uda.

– Nikt nie próbuje cię powstrzymać. Po prostu padł Internet.

– Jest ich więcej, wiesz?

– Więcej?

– Tych biednych zaginionych dusz.

*Jezu.*

– Mamó, bierzesz swoje lekarstwa?

– Gdy tylko wyszłaś ode mnie, zabrałam się za stare historie z gazet z Charlotte i okolic. Dziewczynka z Vermontu została zabita w dwa tysiące siódmym, więc od tego roku zaczęłam.

*Jezus Maria.*

– Znalazłam co najmniej trzy. – Znów powiedziała to szpiegowskim szeptem.

Miałam dwie możliwości. Tę rozsądną, czyli zakończenie rozmowy i zatelefonowanie do Finch. Tę łatwiejszą, czyli wysłuchanie mamy do końca. Było już późno, a ja ledwie żyłam ze zmęczenia. Wybrałam łatwiejszą opcję. Może w nadziei, że mózg mamy funkcjonuje jeszcze na tyle logicznie, że naprawdę na coś wpadł.

– Trzy? – spytałam.

– Zapisałam wszystko w swoim dzienniku. Gdyby coś mi się stało. – Domyśliłam się, że błyszczą jej oczy. – Ale przesłałam ci nazwiska, daty i miejsca. Osobnymi mailami, rzecz jasna.

– To nie było konieczne, mamó.

– A co z twoim młodym człowiekiem?

– Ryan zgodził się pomóc.

– Cieszę się. Jeśli moja genialna córeczka lubi tego dżentelmena, to musi on być bardzo mądry.

– Odwiedzę cię, gdy tylko będę mogła.

– Ani się waż. Najpierw musisz złapać tę okropną kreaturę.

Zastałam Ryana w kuchni, dyskutującego z Birdiem o baseballu. Nad kawą i ciasteczkami z komosy ryżowej i żurawiny przedstawiłam mu zarys sytuacji.

## Rozdział 10

Kiedy miałam osiem lat, po śmierci taty w wypadku samochodowym, a młodszego braciszka na białaczkę, babcia kazała mamie, Harry i mnie przeprowadzić się z Chicago do domu rodziny Lee na Pawleys Island w Karolinie Południowej. Babcia zmarła wiele lat później, w bardzo dojrzałym wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat, gdy Harry i ja wyszliśmy już za mąż i zaczęliśmy własne życie.

Tydzień po jej pogrzebie mama zniknęła. Po czterech latach dowiedziałyśmy się, że mieszka w Paryżu z pokojówką/pielęgniarką, niejaką Cécile Gosselin, którą nazywała Goose.

Gdy skończyłam trzydzieści pięć lat, mama i Goose wróciły do Stanów. Odtąd przemieszczały się pomiędzy domem na Pawleys Island a wielkim osiedlem mieszkaniowym na Upper East Side na Manhattanie.

Przez wszystkie te lata, jeśli mama czuła zbliżającą się ciemność albo gdy Goose zauważała jej wyraźne sygnały, udawały się do tego ośrodka, który akurat zwrócił uwagę mamy. Gdy tylko Daisy wracała do siebie, Goose wyjeżdżała do Francji, by zakosztować życia, jakie prowadziła przed poznaniem Katharine Daessee Lee Brennan.

Zanim wyłożyłam to wszystko Ryanowi, minęła północ. Mówiłam mu o mamie. O jej pięknie. O jej uroku. Szaleństwie. Raku. Pochłonęliśmy na tyle dużo kofeiny, że mogliśmy przejść pieszo całe Appalachee.

– Jest cholernie bystra. Niesamowicie radzi sobie w necie. Potrzebujesz czegoś, mama ci to znajdzie. – Chciałam chyba podkreślić jej pozytywy. – Pomogła mi znaleźć ciebie.

– Wygląda na to, że twoja matka powinna pracować dla NSA.

– Moja matka powinna zostać natychmiast poddana terapii.

Popatrzyliśmy na siebie, oboje świadomi, że czas na terapię już minął.

– Sprawdzisz te e-maile od niej? – zasugerował Ryan.

– Pewnie.

Było ich w sumie dziewięć, wysłanych na moje konta na Gmailu, AOL-u i na uniwersytecie. Sformułowane tak, by samodzielnie dojść, co łączy się z czym.

– Jest przezorna – zauważył Ryan.

– Jest stuknięta – powiedziałam. I zaraz tego pożałowałam.

Otworzyliśmy wszystkie wiadomości. Skopiowałam informacje do dokumentu Worda.

Avery Koseluk, lat 13, zaginęła w Kannapolis w Karolinie Północnej 8 września 2011 roku.

Ojciec dziecka, Al Menniti, zniknął w tym samym czasie.

Tia Estrada, lat 14, zaginęła w Salisbury w Karolinie Północnej 2 grudnia 2012 roku. Jej ciało znaleziono na terenach rolniczych okręgu Anson cztery dni później.

Colleen Donovan, lat 16, z Charlotte, której zaginięcie zgłoszono w lutym tego roku.

– Pamiętam tę Donovan – powiedziałam. – Wyleciała ze szkoły średniej i żyła na ulicy. Jej zaginięcie zgłosiła chyba jakaś prostytutka.

– Pewnie gliny zakwalifikowały ją jako uciekinierkę z domu i dały sobie spokój. Poza tym była starsza, nie pasowała więc do profilu Rodasa – rzekł Ryan. – A Koseluk mogła zostać

potraktowana jako pozbawiona odpowiedniej opieki i nadzoru rodzicielskiego.

– Estrada była Latynoską, dlatego także nie pasowała do profilu Rodasa. – Wypowiedziałam te słowa w chwili, gdy mój telefon piknął trzykrotnie, sygnalizując przychodzące wiadomości. Mama przesłała zdjęcia dziewcząt, niewątpliwie skopiowane z archiwalnych artykułów prasowych, które znalazła.

Gdy stukałam w ekran, starając się powiększyć każde z nich, Ryan zbliżył swoją dłoń do mojej. Musiałam się bardzo starać, żeby oddychać normalnie.

Wszystkie dziewczyny miały jasną cerę i długie brązowe włosy, rozdzielone przedziałkiem pośrodku głowy. Każda znajdowała się w fazie pomiędzy dzieciństwem a kobiecością, wykazywała cechy typowe dla wieku dorastania: tyczkowate kończyny, pierwsze oznaki pączkujących piersi.

Donovan nie wyglądała na szesnaście lat. Estrada nie wyglądała na Latynoskę. Wnioski były oczywiste.

– Slidell mógłby się jutro skontaktować z Salisbury – powiedział Ryan.

Kiwnęłam głową w jego kierunku, ale tak naprawdę go nie widziałam. Wiedzieliśmy, co znajdziemy w raportach policyjnych i z sekcji zwłok. Według artykułu poświęconego Tii Estradzie znaleziono ją na otwartym terenie, ubraną, leżącą na wznak. Przyczyna śmierci nieznana. Nikogo nie aresztowano.

– Tymczasem możemy się chwilę przespać.

– Tak. – Nie ruszyłam się z miejsca.

– Tempe.

Znów skupiłam wzrok na twarzy Ryana. Jego oczy przywodziły na myśl chłodny, niebieski ogień.

– Trzymasz się?

– Jak rosyjski czołgista.

– Nie wolałabyś, żebym został dziś na noc?

Tak.

Wzruszyłam ramionami.

– Idź na górę – głos Ryana brzmiał dziwnie. – Wiem, gdzie sypiasz.

Obudziłam się z uczuciem, że coś jest nie tak.

Birdie zniknął. Przez okiennice przebijały się promienie słonecznego światła.

Skierowałam oczy na zegar: 8.10. Nie słyszałam budzika. Nigdy mi się to nie zdarza. Larabee pewnie już rozpoczął sekcję zwłok Leal.

Wyskoczyłam z łóżka, narzuciłam na siebie ciuchy, nie wzięłam prysznic. Włosy związałam w kucyk, umyłam zęby. Pędem zbiegłam po schodach.

Ryan był w kuchni, sypał do misek otręby z rodzynkami Raisin Bran. Kot spał na lodówce.

– Jezu, Ryan. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? Albo nie wrzasnąłeś?

– Uznałem, że jesteś zmęczona. – Dodał mleko do płatków. – Jedz.

– Musimy jechać.

– Jedz.

– Nie jestem głodna.

– Powinnaś jeść.

– Nie. Wcale nie.

– Ja tak.

Ryan napełnił dwa kubki termiczne kawą, do mojego wlał śmietankę. Następnie usiadł i zaczął łyżką wkładać sobie płatki do ust.

Przewróciwszy oczyma, także usiadłam i opróżniłam miskę.

– Możemy już iść?

– Tak jest, proszę pani. – Zasalutował do daszka czapki koloru fioletowego, z napisem po hiszpańsku: *To nie jest kapelusz twojego ojca.*

Jazda zajęła nam tylko parę minut. Sobotni poranek na przedmieściach ma swoje zalety.

Przesunęłam kartę w czytniku i weszliśmy do wydziału medycyny sądowej. Minęliśmy hol główny, służę biologiczną, po czym skierowaliśmy się do sali sekcyjnej numer jeden, prowadzeni dźwiękiem stłumionych ludzkich głosów.

Gdy tylko precisnęłam się przez drzwi, uderzyła mnie fala zapachów. Nasycony siarką gaz, powstały wskutek działalności bakterii oraz rozpadu czerwonych komórek krwi. Smród procesu gnilnego.

Larabee oglądał zdjęcia rentgenowskie na wyświetlarkach zamontowanych na ścianie. Miał na sobie fartuch, maska zwisała mu poniżej zuchwy. Na kontuarze leżało kilka fotografii z miejsca zdarzenia.

Slidell stał obok Larabee'ego i wyglądał fatalnie. Ciemny, kilkudniowy zarost, worki pod oczami, skóra barwy starej fugi. Zastanawiałam się, czy w ogóle spał tej nocy. A może chodziło o ten odór. Lub ponure przedstawienie, w którym za chwilę miał wziąć udział.

Sekcja zwłok to atak nie tylko na zmysł powonienia, lecz także na wszystkie pozostałe. Widok szybko przeprowadzonego cięcia w kształcie litery Y. Dźwięk nożyc łamiących żebra. *Plaśnięcia* poszczególnych narządów trafiających na wagę. Drażniący zapach spalenizny, wywołany przez piłę przebijającą się przez kości. *Trzask* odrywanej pokrywy czaszki. Odgłos brzącający jak *frrpp*, gdy zdziera się skórę z głowy i twarzy.

Medycy sądowi to nie chirurdzy. Nie obchodzą ich funkcje życiowe, krwawienie, ból. Niczego nie naprawiają ani nie badają. Szukają wskazówek. Muszą zachować obiektywizm i czujność obserwacyjną. Nie muszą być delikatni.

Sekcja zwłok dziecka zawsze wydaje się bardziej brutalna. Dzieci wyglądają tak niewinnie. Są miękkie, piegowate, różowe. Zupełnie nowe stworzenia, gotowe na wszystko, co życie miało im do zaoferowania.

Dotyczyło to nie tylko Shelly Leal.

Leżała naga na stole z nierdzewnej stali pośrodku pomieszczenia; jej klatka piersiowa i podbrzusze były wzdęte i zielonkawe. Skóra złuszczone, blada i przezroczysta jak papier ryżowy – od palców rąk do palców nóg. Oczy, wpółotwarte, matowe i ciemne od zmętniałych błon.

Uzbroiłam się wewnętrznie. Przeszłam w tryb zimnego naukowca.

Był listopad. Chłodno na dworze. Działalność owadów minimalna. Zmiany na ciele wskazywały na niecały tydzień od śmierci.

Podeszłam do kontuaru i zerknęłam na zdjęcia z miejsca zdarzenia. Zobaczyłam znane już sobie ułożenie ciała, twarzą do góry, z wyprostowanymi ramionami.

Obserwowaliśmy, jak Larabee bada zewnętrzne powłoki, zarys brzucha i pośladków, kończyny, palce u rąk i nóg, czaszkę oraz otwory ciała. W pewnej chwili z ust dziecka wyciągnął kilka długich włosów.

– Zbyt jasne, żeby należały do niej? – zapytał Slidell.

– Niekoniecznie. Rozkład i płyny żołądkowe mogą prowadzić do wybielenia. – Larabee

włożył włosy do fiolki, zapieczętował ją i opisał.

Wreszcie cięcie w kształcie litery Y.

Podczas nacinania, ważenia, mierzenia i rejestrowania wyników nikt się nie odzywał. Brakowało ponurego humoru, który pomaga niwelować napięcie w prosektorium.

Slidell starał się głównie patrzeć na wszystko inne niż stół sekcyjny. Od czasu do czasu rzucał mi dłuższe spojrzenie. Przeształpował z nogi na nogę. Ścisnął własne ręce.

Ryan obserwował wszystko w ponurym milczeniu.

Dziewięćdziesiąt minut od chwili rozpoczęcia sekcji Larabee się wyprostował. Nie istniała potrzeba podsumowania jego ustaleń. Słyszeliśmy, jak każdy szczegół omawiał do wiszącego mikrofonu.

Ofiara była zdrową trzynastoletnią dziewczynką średniego wzrostu i wagi. Żadnych wad wrodzonych, anomalii czy oznak choroby. Na niecałe sześć godzin przed śmiercią zjadła hot doga i jabłko.

Na ciele dziecka nie zauważono zaleczonych lub będących w trakcie leczenia złamań, blizn, oparzeń od papierosów. W okolicach odbytu i genitaliów brak sińców i otarć. Żadnych ohydnych oznak, że doszło do wykorzystania seksualnego bądź przemocy fizycznej.

O Shelly Leal ktoś dbał i otaczał ją miłością do chwili, gdy jakiś maniak uznał, że powinna umrzeć. Nic nie wskazywało na sposób, w jaki do tego doszło.

– Nie ma wybroczyn? – Pytałam o małe czerwone plamki, które pojawiają się między innymi w oczach po pęknięciu naczyń krwionośnych.

– Nie. Chociaż twardówka jest jak tost.

– To znaczy? – zapytał Slidell.

– Podbiegnięcie krwawe może świadczyć o uduszeniu – powiedziałam.

– Usta mocno opuchnięte i odbarwione, brak oznak krwawienia powierzchniowego i podskórnego. Żadnych nacięć ani nadgryzień.

– Więc co? Zaduszenie? Zadławienie? – nalegał Slidell.

– Moim zdaniem nie można ustalić przyczyny śmierci, detektywie. – W głosie Larabee’ego słychać było odrobinę irytacji. Przecież przed chwilą podał do dyktafonu swoje wnioski.

Blade dotąd policzki Slidella poczerwieniały.

– Czyli skończone?

– Przejadę po niej jeszcze naświetlarką ALS. Sprawdzę ubranie. Nie ma to większego sensu, biorąc pod uwagę stopień rozkładu, ale spróbuję zebrać próbki do badań toksykologicznych.

Slidell kiwnął głową. Wykonał ruch w kierunku drzwi.

– Ryan i ja sądzimy, że znaleźliśmy dowody na istnienie innych ofiar. – Nie ma mowy, że bym wspomniała o mamie.

– Taa? – Podkrążone oczy wystrzeliły w stronę Ryana. – Macie zamiar się nimi podzielić?

– Właśnie się dzielimy.

Slidell wciągnął głęboko powietrze przez nos. Wypuścił je z długim, świszczącym odgłosem.

– Muszę przedstawić to wszystkim rodzicom. – Trzasnął ręką w stół. – Ryan, może pojedziesz ze mną i po drodze wszystko mi opowiesz? A potem wprowadzimy Barrowa.

– Ty tu rządzisz – odparł Ryan.

Gdy obaj wyszli, wyciągnęliśmy z Larabeem zestaw światła zmiennego, założyliśmy okulary ochronne i zgasiliśmy lampy sufitowe. Przesuwając czytnik nad ciałem Leal, opowiedziałam mu o Koseluk, Estradzie i Donovan. Słuchał bez przerywania.

Nie znaleźliśmy śladów linii papilarnych, włosów, włókien ani płynów ustrojowych. Żadne

zaskoczenie, ale warto było spróbować.

Ubrania Leal wisiały na wieszakach nieopodal bocznego kontuaru, poplamione i sztywne od błota. Żółta nylonowa kurtka z kapturem, koszula w kratkę, czerwone spodnie, bawełniane majtki, czarno-żółte niki, białe skarpetki.

Zaczęliśmy od kurtki. Z przodu nie było nic. Obróciliśmy na drugą stronę.

– Co to jest? – wskazałam na poświatę w kształcie nietoperza na skraju kaptura.

Larabee pochylił się niżej, jednak nic nie powiedział.

– Założę się, że to odcisk warg – powiedziałam. – Popatrz na ten kształt. I faliste pionowe prążki.

– W jaki sposób ślad po ustach mógł przetrwać tydzień w tych warunkach atmosferycznych? – Larabee wciąż studiował słabo połyskującą plamkę.

– Może to błyszczyk. Albo pomadka ochronna ChapStick?

Nasze oczy się spotkały. Bez słowa podeszliśmy do Leal. Pod działaniem światła wzdęte, małe usta nie zamigotały nawet w najmniejszym stopniu, co wskazywałoby na użycie błyszczyku lub szminki. Larabee potarł je wacikiem, a następnie zamknął wacik w fiolce.

– Masz zamiar poddać ją cheiloskopii? – Niektórzy naukowcy sądzą, że wzór na powierzchni ludzkich warg jest równie unikalny jak linie papilarne. Larabee miał na myśli naukę zajmującą się ich analizowaniem.

– Nie. No cóż, może. Głównie chodzi mi o DNA. Jeśli zostało trochę śliny, a odcisk warg nie należał do małej... – Nie dopowiedziałam tej myśli.

– Psia krewka. Czyżbyśmy mieli aż takie szczęście? – Larabee włożył kurtkę do worka na materiał dowodowy i nabazgrał na nim numer sprawy.

Pozostałe ubrania niczego nie wykazały.

Gdy zdjęliśmy już fartuchy, rękawiczki, okulary ochronne i maski, wspomniałam Larabee'emu o pomysle, który dręczył mnie od chwili, kiedy mama przesłała mi swoje e-maile.

– Gower uprowadzono w Vermoncie w dwa tysiące siódmym. Nance została zabita tutaj, w Charlotte, w dwa tysiące dziewiątym. Koseluk w dwa tysiące jedenastym, Estrada w dwa tysiące dwunastym, Dovonan pod koniec dwa tysiące trzynastego albo na początku dwa tysiące czternastego.

– A teraz Shelly Leal. – Larabee zwinął w kulę odzież służbową i wrzucił ją do kosza na odpadki biologiczne. – Co roku jedno morderstwo, odkąd przeniosła działalność do Karoliny Północnej. – Pokrywa kosza zamknęła się ze szczękiem. – Tylko jedna przerwa.

– Zamierzam wyciągnąć akta z dwa tysiące dziesiątego – powiedziałam.

Larabee obrócił się ku mnie z pośpną miną. On także pamiętał.

## Rozdział 11

Zalogowałam się do komputera i znalazłam te akta. Zeskanowałam ich zawartość. Tak jak się obawiałam, sprawa o numerze ME107-10 pasowała do modelu.

Turyści znaleźli czaszkę przy South New Hope Road, niedaleko miasta Belmont, nieco na zachód od Charlotte i zaraz na północ od granicy z Karoliną Południową. Leżała w rowie, naprzeciwko wejścia do Ogrodu Botanicznego Daniela Stowe'a.

Brakowało kości twarzy i żuchwy, sklepienie czaszki było ogryzione i uszkodzone. Pozostałości mózgu przylgnęły do powierzchni wewnątrzczaszkowej, co wskazywałoby, że śmierć nastąpiła w okresie krótszym niż rok.

Stałam na czele zespołu poszukiwania zwłok. Przez cały dzień przetrząsaliśmy pobocze drogi, zaglądaliśmy pod kamienie i leżące drzewa, przeczesywaliśmy zarośla, liście, ściółkę. Znaleźliśmy wprawdzie sporo różnych kości, jednak szkielet jako taki przepadł w wyniku żerowania zwierząt.

Udało mi się ustalić, że szczątki należały do dwunasto-, trzynasto- lub czternastoletniego dziecka. Pozostałości czaszki wskazywały na pochodzenie europejskie.

Określenie płci ofiary przed okresem dojrzewania na podstawie samych wskaźników szkieletowych jest mało wiarygodne. Jednak fragmenty odzieży znalezione w pobliżu kilku grupek kości sugerowały, że ofiara była dziewczynką.

Analiza akt osób zaginionych w Karolinie Północnej i Południowej nic nam nie dała. Podobnie jak przekazanie profilu denatki do systemów NamUS oraz Doe Network, krajowej i międzynarodowej bazy danych osób niezidentyfikowanych i zaginionych.

I tak dziecko pozostało bez imienia, jedynie z numerem ME107-10. Kości złożono na półce, na parterze budynku.

Odepchnęłam się od biurka i poszłam do magazynu; obcasy moich butów wzbudzały echo w panującej w gmachu ciszy.

Po znalezieniu właściwej etykiety wyciągnęłam pudło i zaniósłam je do sali sekcyjnej. Zamknięte drzwi gabinetu Larabee'ego świadczyły o tym, że już wyszedł. Stół do autopsji był wolny. Leżącą na nim wcześniej dziewczynkę zaszyto, włożono do worka na ciało i zamknięto w lodówce.

Pomyślałam o rozdzierającej serce rozmowie, jaką Slidell musiał przeprowadzić z pogrążonymi w żalu rodzicami Shelly Leal. Otrzymywanie wyników sekcji zwłok nigdy nie jest przyjemne. Podobnie jak ich przekazywanie. Współczułam całej trójce.

Głęboki oddech. W powietrzu unosił się tylko słaby zapach, pozostałość po odorze.

Włożywszy rękawiczki, uniosłam pokrywę.

Szkielet był w takiej postaci, w jakiej go zapamiętałam, z brązowymi plamami z powodu kontaktu z roślinnością, wśród której spoczywał. I przygnębiająco niekompletny.

Wciąż podekscytowana faktem znalezienia odcisków ust, rozłożyłam na stole arkusz papieru i zaczęłam umieszczać na nim wszystkie kości i ich fragmenty.

Zewnątrz powierzchnia czaszki nosiła ślady zębów, krawędzie oczodołów oraz wyrostki sutkowate zostały ogryzione. Większość kręgów i żeber była pokruszona. Na połówce miednicy widać było ślady psich pazurów. Każda z pięciu kości długich okazała się przycięta i pęknięta na

obu końcach.

Najpierw badałam to wszystko przy użyciu szkła powiększającego, a następnie aparatem ALS. Nie zauważyłam żadnych włosów i włókien, zahaczonych lub osadzonych na kościach. Lampa ani razu nie zamigotała, choćby najślabiej.

Pakowałam szkielec z powrotem, gdy mój wzrok padł na torebkę wetkniętą w róg pudła. Dziwne. Czyżby ubrania nigdy nie wysłano poza wydział medycy sądowej? A może jednak pojechało do laboratorium kryminalistycznego policji i wróciło? W aktach elektronicznych nie znalazłam żadnej wzmianki na ten temat.

Otworzyłam worek, wyciągnęłam jego zawartość i umieściłam ją na arkuszu papieru.

Jeden sandał koloru lawendy, ze startym od chodzenia oznaczeniem rozmiaru.

Para fioletowych szortów z poliestru, rozmiar dziewczęcy, dwunastka.

Jedna koszulka z napisem *Stuprocentowa Księżniczka*, rozmiar M.

Jeden różowy stanik z poliestru, rozmiar 32AA.

Jedna elastyczna taśma od dziewczęcych majtek, z wyblakłą etykietką, niemożliwą do odczytania.

Powtórzyłam cały proces przy użyciu szkieł powiększających i aparatu ALS.

Oprócz kilku krótkich czarnych włosów, niewątpliwie zwierzęcych, rezultaty były równie rozczarowujące.

Zniechęcona, odłożyłam pudło na półkę i wróciłam do swojego gabinetu. Sądząc, że gdzieś zakradł się błąd i zapodziało odpowiedni raport w aktach, wyciągnęłam własną kopię sprawy ME107-10. Lubię mieć je wydrukowane, nie tylko w wersji elektronicznej. Stare nawyki nie znikają tak szybko.

Brak wprowadzenia niektórych danych. Ubranie przekazano, zbadano i z jakiegoś dziwnego powodu zwrócono nam. Laboratorium nie wykazało niczego.

Wystukiwałam właśnie numer Slidella, gdy odezwał się mój iPhone. Wybierali się z Ryanem do lokalu Penguin. Drzemiący we mnie głodomór podskoczył i otworzył jedno oko.

A co mi tam. Przecież już tu skończyłam.

Posprzątałam po sobie i wyszłam.

Samochód Larabee'ego zniknął z parkingu. Pod ogrodzeniem stały jednak dwa vany. Na jednym widniał napis *WSOC*, na drugim *News 14 Carolina*.

Cholera.

Kiedy szłam do swojej mazdy, drzwi obu vanów otworzyły się ze zgrzytem i wyskoczyły z nich dwa dwuosobowe zespoły. Jedna osoba z każdej pary trzymała w ręku mikrofon, druga wspartą na ramieniu kamerę.

Pospieszyłam do samochodu, wsunęłam się do środka i włączyłam blokadę drzwi. Przejeżdżając pędem przez bramę wjazdową, obniżyłam szybę w oknie i ręką przekazałam im wiadomość, która nie wymagała wyjaśnień.

Wiedziałam, że media podłapały informacje o znalezieniu ciała Leal i że reporterzy czający się u drzwi prosektorium po prostu wykonują swoją pracę. Wiedziałam również, iż od dziesiątek innych roi się w różnych miejscach – pod estakadą, w sklepie spożywczym, w domu Leal – gdzie, śliniąc się, czekają na najmniejszą okazję, by przekazać newsa swoim wydawcom.

Mój gest nie był fair. Zdecydowanie nieelegancki. Odmówiłam jednak dostarczania pożywki podglądaczom chcącym gapić się na tych, którym pękło serce.

Knajpa dla zmotoryzowanych Penguin to miejsce, gdzie świetnie można zablokować sobie



tętnice i oczekiwać rychłego zejścia. W menu są dania tak kaloryczne, że być może już nielegalne, ale sam lokal należał do słynnych instytucji Charlotte jeszcze przed moim urodzeniem. Pożądałam tamtejszych hamburgerów i frytek niczym narkoman działki.

Restauracja znajdowała się w pobliżu sklepu spożywczego, w którym po raz ostatni widziano Shelly Leal. Gdzie kupiła mleko i batonik, co kosztowało ją życie.

Zjeżdżając z ulicy Commonwealth na parking przed wejściem, zobaczyłam Ryana i Slidella przez podwójne soczewki, na które składała się moja przednia szyba oraz barwione szkła frontowego okna lokalu. Widok twarzy Slidella sprawił, że prawie pożałowałam swojej decyzji, aby do nich dołączyć.

Choć dochodziła dopiero czternasta, miejsce było zatłoczone. I pełne hałasu, wywołanego gwarem rozmów, emanujących z zalanych tłuszczem mózgów.

Kiedy podeszłam, obaj mężczyźni unieśli wzrok. Ryan przesunął się w lewo, robiąc mi miejsce w boksie.

Slidell jadł kanapkę, która wcale na nią nie wyglądała. Poczerniała kielbasa bolońska na grzance w stylu teksańskim z sałatą, pomidorem i majonezem. O nazwie Doktor Szatan. Jedno z kilku dań w karcie, jakich nigdy nie spróbowałam. Ryan pracował nad hot dogiem, ledwie widocznym spod warstwy sera i krążków cebulowych. Obaj popijali napoje gazowane z pojemników wielkości beczek na olej. Z plastikowych kubków szczyrzył się kultowy ptak-nielot.

Wśliznęłam się do środka, a Ryan podał mi menu. Nie, dziękuję. Wiedziałam, czego chcę.

Pojawiła się kelnerka i zapytała o moje samopoczucie z silnym, przeciągłym akcentem. Zapewniłam ją, że jest całkiem dobre, po czym zamówiłam hamburgera, takiego, od którego zatrzymuje się praca serca, zwieńczonego serem pimento, oraz ogórki konserwowe w panierce, danie typowe dla Południa.

Czekając na jedzenie, opowiedziałam Ryanowi i Slidellowi o odcisku warg.

– Mógł zostać zrobiony przez Leal – Ryan był sceptyczny.

– Tak – odparłam. – Albo pozostawił go napastnik. Być może Leal się opierała i ktoś przyciągnął ją bliżej, żeby unieruchomić jej ręce. Niewykluczone też, że jej ciało wysunęło się podczas przewożenia pod estakadę. Jest wiele powodów, dla których twarz porywacza weszła w kontakt z kurtką.

– Sądziś, że DNA mogło przetrwać tak długo? – Slidell przebił Ryana w zgłaszaniu wątpliwości.

– Mam nadzieję. – Rzeczywiście miałam. Oraz że wskaże ono bezpośrednio na Pomerleau, i niech idzie do diabła.

Podano mój napój. Słodką mrożoną herbatę, chociaż zamówiłam wersję bez cukru. Sącząc ją, podzieliłam się z nimi myślami o owym roku przerwy, 2010. Opisałam sprawę ME107-10.

Mężczyźni słuchali, przeżuając i wycierając tłuszcz z podbródków. Slidell, aczkolwiek nie zajmował się tą sprawą, dobrze ją pamiętał.

Wspomniałam im o zasadzce zastawionej przez media pod siedzibą zakładu medycy sądowej. Slidell wygłosił wówczas swą zwykłą tyradę. Jego sugestie dotyczące zredukowania zakresu działalności czwartej władzy nie obejmowały tylko zmian w konstytucji.

Zanim dostałam jedzenie, Slidell pożarł całą swoją porcję. Zmiał serwetkę, wyrzucił ją i oparł się wygodnie.

– Jestem przekonany, że rodzice są czyści. Według współpracowników ojca, w chwili zaginięcia dziecka był on cały czas w warsztacie blacharskim. Matka ledwo trzyma się na

nogach. Mówi, że przebywała w domu z pozostałą dwójką, czekając na mleko. Moim zdaniem wszystko pasuje.

Ryan kiwnął głową na znak, że się z tym zgadza.

– Jak przyjęli wiadomość? – Mówiłam z ustami pełnymi wołowiny i ogóreczków.

Wzruszenie ramion. Sama wiesz.

Wiedziałam. Wprawdzie tego rodzaju obowiązki nie przypadają mi często, lecz uczestniczyłam już w powiadamianiu najbliższych krewnych. W chwilach, w których życie zmienia się na zawsze. Widziałam ludzi mdlejących, wrzeszczących, płaczących, popadających w katatonię. Słyszałam, jak nas besztają, oskarżają, błagają o odwołanie informacji, o zapewnienie, że to tylko pomyłka. Niezależnie od tego, jak często w tym uczestniczyłam, to zadanie zawsze łamało mi serce.

– Matka wspomniała o pierścionku, który ta mała nosiła. Srebrny, w kształcie morskiej muszki. Zauważyłaś coś takiego? – zapytał Slidell.

– W sali sekcyjnej nie widziałam żadnej biżuterii, ale sprawdzę – odpowiedziałam. – Może Larabee włożył ją do woreczka, zanim przyszedł. – I odseparował go od ubrań? Wątpliwe, żeby to zrobił. Nie powiedziałam tego głośno.

– Pogrzebaliśmy trochę w aktach pozostałych ofiar. Koseluk i Donovan nadal są zaginione. Sprawy zamrożone, ponieważ nikt nie naciska.

Ryan przeprosił na chwilę. Stałam i patrzyłam, jak podchodzi do drzwi. Wiedziałam, że idzie zapalić.

Gdy znów usiadłam, Slidell odpakował z celofanu wykałaczkę i zaczął nią dłubać w zębie trzonowym. Czynność ta nie przeszkadzała mu w narracji.

– Sprawę Koseluk prowadzi facet nazwiskiem Spero. Z policji w Kannapolis. Jest okej. Kiedyś z nim pracowałem. Raz zastrzelono jednego gangstera...

– Co on o tym sądzi?

– Wciąż interesuje się eksmężem.

– Alem Mennitim?

Slidell kiwnął głową.

– Wypłynął na powierzchnię?

– Nie. – Wyjął wykałaczkę z ust i przyglądał się czemuś na jej czubku. – Rozmawiałem z matką. Mówiła, że ten dumny pojeb nie potrafiłby ukryć własnej dupy, nie mówiąc o dziecku. Bycie ojcem obchodziło go mniej niż dwa własne gówna. Tak powiedziała, dosłownie.

– Liryczne. A co z Colleen Donovan?

– Oboje rodzice nie żyją, mieszkała z ciotką, Laurą Lonergan, która spędza czas, smażąc swój mózg na amfie. A niewiele pozostało do usmażenia. Rozmowa z nią to prawdziwa przyjemność.

Gestem kazałam Slidellowi pominąć analizę charakterologiczną.

– Colleen figuruje w kartotekach?

Kiwnął głową.

– Poprawczak. Dlatego, żeby się dostać do danych, potrzebny będzie nakaz.

Uniosłam pytająco brwi.

– Tak, tak. Wpadłem na coś. – Slidell przerwał, jak gdyby zastanawiając się, czy wygłosić kolejny komentarz.

– Na co? – popędziłam go.

– Na coś dziwnego. Według akt dane Donovan zostały wprowadzone do krajowej bazy zaginionych dzieci.

– Przez kogo?  
– Śledczego, niejakiego Pata Tasata.  
– I co w tym dziwnego?  
– Sprawdziłem. Pół roku temu małą usunięto z systemu.  
– Tasat powiedział, dlaczego?  
– Nie. I nie powie – rzucił szorstko. – Biedny gnojek utopił się w jeziorze Norman podczas ostatniego Święta Pracy.  
– Przykro mi. Znałeś go?  
Slidell kiwnął głową.  
– Ale tak jak zespoły Jimmy B i Jet Skis, nadawaliśmy na innych falach.  
Zastanowiłam się przez moment.  
– Czy usuwając czyjeś nazwisko z bazy danych, nie należy standardowo podać przyczyny, dla której się to robi?  
– Owszem. I to jest właśnie dziwne. Nie podano żadnej.  
– Kto je usunął?  
– Tego też nie wiadomo.  
Zaczęłam się zastanawiać, co to może oznaczać. O ile w ogóle coś znaczyło.  
– A Estrada? – spytałam.  
– Mała zaginęła w Salisbury – to okręg Rowan – a znaleziono ją w Anson, więc tam mają akta. Śledztwo doprowadziło donikąd, ostatecznie przejęła je pewna jędza z biura szeryfa, nazwiskiem Hull. Henrietta Hull. Z nią właśnie rozmawiałem. Mówią na nią Cock. Dasz wiarę?  
Hen. Cock\*. Byłam pewna, że ksywkę tę wymyślili jej koledzy gliniarze. Wątpię, by była podobna do koguta.  
– Czy problem polegał na braku współpracy pomiędzy poszczególnymi komórkami wymiaru sprawiedliwości? – spytałam.  
– Między innymi. Biuro szeryfa okręgu Anson było zajęte zamiataniem własnego podwórka.  
– To znaczy?  
– Dwie spośród ich supergwiazd zostały przyłapane na łapówkarstwie.  
Już sobie przypomniałam. Obaj zastępcy szeryfa poszli do więzienia.  
– Za tę sytuację odpowiedzialny jest też, częściowo, zbieg okoliczności. Główny śledczy przeszedł na emeryturę kilka miesięcy później. Wtedy właśnie sprawę przekazano Hull. Co gorsza, nie natrafiono na nic. Żadnych śladów, żadnych świadków, przyczyna śmierci nieznana.  
– Kto przeprowadził sekcję?  
– Jakiś wyrobnik, który nawet nie pofatygował się na miejsce zdarzenia.  
Nie byłam tym zaskoczona. Gazeta „Charlotte Observer” zamieściła niejedną dużą artykuł obnażający wady systemu pracy medyków sądowych w Karolinie Północnej. Seria zjadliwych publikacji zaczęła się pojawiać w 2013 roku po tym, jak w przeciągu trzech miesięcy pewna starsza para oraz jedenastoletni chłopiec zginęli w tym samym pokoju motelowym w Boone; winowajcą okazał się tlenek węgla. Miejscowy patolog ani nie odwiedził tego motelu, ani nie złożył odpowiedniego raportu na czas. W 2014 roku opinią publiczną wstrząsnęła kolejna seria wydarzeń. Zabójstwa kwalifikowano jako nieumyślne spowodowanie śmierci, wypadki jako samobójstwa, nieprawidłowo zidentyfikowane ciała przekazywano do niewłaściwych zakładów pogrzebowych.  
W wywiadzie dla mediów nowa szefowa stanowych medyków sądowych za wszystkie te problemy obwiniła system finansowania swej instytucji, uznając go za nieadekwatny. Nie bez

podstaw. Z wyjątkiem okręgu Mecklenburg miejscowym patologom płacono sto dolarów od jednej sprawy. A ponieważ władze tego nie wymagały, wielu z nich nie miało żadnego wykształcenia w zakresie medycyny sądowej albo zgoła niewielkie. Niektórzy nie byli nawet lekarzami. Nowa szefowa próbowała wprowadzić zmiany, jednak bez zwiększenia nakładów finansowych szanse powodzenia miała nikłe.

– I nikt nie wywierał nacisku? – spytałam.

– Matkę Estrady deportowano do Meksyku zaraz po zniknięciu dziecka. A żaden *señor* się nim nie zainteresował.

Dokończyłam hamburgera i pomyślałam o trzech dziewczynkach znalezionych przez moją mamę: Koseluk, Estradzie i Donovan. Jedna martwa, dwie zaginione. Ich sprawy zignorowano, ponieważ nikt nie naciskał.

Ryan wrócił do nas, przynosząc ze sobą nutkę papierosowego dymu.

– Tinker był na miejscu zdarzenia wczoraj wieczorem? – zapytałam.

Slidell prychnął głośno, po czym powrócił do dłubania w zębach.

– SBŚ przyjęło stanowisko, że śledztwo najbardziej zyska na informacjach i źródłach danych, jeśli będzie prowadzone na poziomie stanu. – Był to pierwszy wkład Ryana w naszą rozmowę.

– Nie ma mowy, żebym się, kurna, dzielił czymkolwiek z pierdzielonym SBŚ. – Slidell wcisnął wykałaczkę do resztek swojej sałatki. – Ich zdaniem nowa sytuacja daje im prawo do całkowitej zmiany frontu. Czyli pomijania nas.

– Co Tinker sądzi o trzech pozostałych ofiarach? – spytałam.

– Ten dupek nie potrafi zastanowić się nad własnym pierdnięciem bez instrukcji. – Wybuch Slidella sprawił, że kilku klientów odwróciło się w naszą stronę głowy.

– Nie uważa, żeby te sprawy miały ze sobą związek – rzekł Ryan.

– A Leal?

– W tej kwestii twierdzi: być może.

– I co teraz?

– Przekazałem to, co ustaliliśmy, do góry. – Slidell miał na myśli swoich zwierzchników. – Czekamy.

Wracaliśmy do naszych samochodów, gdy odezwała się komórka Chudego. Odebrał, a kiedy słuchał, jego twarz stawała się coraz bardziej czerwona. Wreszcie powiedział:

– Kilka dodatkowych tablic ścieralnych nie posunie sprawy do przodu.

Rozłączył się jednym wściekłym uderzeniem palca, po czym odwrócił ku nam.

– Jesteśmy udupieni.

## Rozdział 12

Przyszło polecenie, że sprawę Leal ma teraz prowadzić jedna osoba, nie żaden zespół zadaniowy. Slidell uzyskał szersze pole działania, ale nie mógł dobierać sobie pomocników. Miał współpracować tylko z Tinkerem, Ryana wykorzystywać co najwyżej nieoficjalnie. Gdyby podczas śledztwa wynikły jakieś powiązania z innymi sprawami, sytuacja miała zostać poddana ponownej ocenie.

Kiedy Ryan i gotujący się ze złości Slidell pojechali do siedziby policji, ja wróciłam do zakładu medycyny sądowej. Pojazdy prasowe zniknęły, pewnie w poszukiwaniu jeszcze bardziej krwawych tematów.

Pierścionka Leal nie było ani w prosektorium, ani na biurku Larabee'ego, w pojemniku. Szybkie zapoznanie się z jego raportem dowiodło, że nie wspomina się tam o biżuterii choćby jednym słowem.

Zastanawiałam się chwilę, po czym założyłam rękawiczki, podeszłam do chłodni i sprawdziłam każdy centymetr worka na ciało, w którym spoczywała Leal. Znalazłam gałązki, liście, trochę żużlu, ale nie pierścionek.

Zadzwoiłam do Larabee'ego. Odezwała się poczta głosowa. Zostawiłam wiadomość.

Nie mając już więcej pomysłów, pojechałam do Centrum Policyjnego. Slidella nie zastałam ani w Archiwum X, ani w jego boksie w wydziale zabójstw. Ryana też nigdzie nie było widać. Kilku detektywów rozmawiało przez telefon. Facet nazwiskiem Porter omawiał kwestię odcisków palców z kimś, kogo nie znałam. Skierował mnie do sali konferencyjnej.

Miejsce to wyglądało jak plan filmowy w jakimś niskobudżetowym serialu o gliniarzach. W jednym rogu tkwił samotny telefon i komputer. Na całej ścianie wisiły zmywalne tablice, w większości zapisane. Tylko dwie były czyste.

Środek pomieszczenia zajmował wielki dębowy stół. Leżały na nim dwa komplety akt osób zaginionych oraz cztery z wydziału zabójstw. Foldery dotyczące Gower i Nance, dzięki pracy Rodasa oraz zespołu dochodzeniowego kierowanego przez Barrowa, były wręcz opasłe, zajmowały pudło i duży pojemnik. Pozostałe sprawiały wrażenie na tyle cienkich, że spokojnie mieściły się w brązowych, pomarszczonych teczkach, zapinanych na elastyczne taśmy.

Ryan przebijał się przez zawartość pudła od Rodasa. Siedzący obok niego Slidell studiował jakiś wydruk. Żaden nie podniósł wzroku, kiedy weszłam.

Zbliżyłam się do tablic. Na sześciu, z łącznej liczby siedmiu, wisiły zdjęcia ofiar. Poniżej dużymi drukowanymi literami wypisano imię i nazwisko każdej z nich. A także miejsce, w których widziano je ostatni raz żywe oraz datę.

NELLIE GOWER, HARDWICK, VERMONT, 2007

LIZZIE NANCE, CHARLOTTE, 2009

AVERY KOSELUK, KANNAPOLIS, 2011

TIA ESTRADA, SALISBURY, 2012

COLLEEN DONOVAN, CHARLOTTE, 2013–2014

SHELLY LEAL, CHARLOTTE, 2014

Każda z tych dat wyznaczała początek wstecznej linii czasowej, według której analizowano aktywność dziecka od chwili jego zniknięcia. Niestety, niewiele danych zostało zapisanych chronologicznie. Na tablicach poświęconych Gower, Nance, Estradzie i Leal przypięto policyjne zdjęcia. Podeszłam bliżej, żeby zobaczyć fotografie Estrady, których wcześniej nie widziałam.

Podobnie jak w pozostałych przypadkach, Tia Estrada leżała twarzą do góry, całkowicie ubrana, z rękami przy bokach. Pod ciałem widać było brązową trawę i zeschnięte liście, nad nim – szare niebo. W tle zobaczyłam stół piknikowy oraz coś, co wyglądało na podstawę ogrodowej altany.

Delikatny zapach brylantyny podpowiedział mi, że zbliżył się do mnie Slidell.

– Czy to jakiś kemping? – spytałam.

Slidell kiwnął głową.

– W rezerwacie Pee Dee. Wiesz, łódki, tłumy ludzi spryskanych środkiem przeciwko komarom. Jest tam parę przystani, miejsca na namioty i przyczepy kempingowe. No i latryny, żeby rodzinka mogła postawić klocka w towarzystwie ptaszków.

*Ślicznie.*

– Tam ją właśnie znaleziono?

– Ija.

– I nikt niczego nie widział?

– Była zima. Pusto.

– Przepymano sąsiadów?

– Przecież to zadupie.

– Nawet tam ludzie coś zauważają – rzuciłam szorstko. – Nikt nie pamięta, żeby sprzedawał komuś obcemu butlę na gaz? Nikt nie widział nieznanego samochodu na drodze? Zaparkowanego na poboczu?

Slidell patrzył na mnie bez mrugnięcia powiek.

– Wiesz, dlaczego ci kretyni nie chcą przyznać, że mamy tu do czynienia z seryjnym zabójcą?

Chociaż podzielałam zdanie Chudego, że jego szefowie są zaślepieni, nie miałam ochoty słuchać jego najnowszej teorii spiskowej.

– Nie znalazłam pierścionka Leal – powiedziałam. – Może jest na parterze, w magazynie dowodów rzeczowych?

Slidell wykrzywił usta, co miało oznaczać „no nie sądzę”. Potem rzekł:

– Wyciągnę raport policji, zobaczę, czy ten pierścionek gdzieś się nie pojawia.

– I poproś matkę, żeby dobrze poszukała w domu.

Slidell kiwnął głową.

– Nance powinna była mieć przy sobie strój baletowy, a przynajmniej buty. W aktach nic na ten temat nie ma.

Znów skinął głową.

– Powinniśmy przepytac tę Hull, czy w przypadku Estrady także czegoś nie brakuje. I zadzwoń do Rodasa, zapytaj o Gower.

Slidell wiedział, co miałam na myśli. Pamiętki. Trofea po zabójstwach. Podeszedł do Ryana. Wyjaśnił mu sprawę. Ryan pokiwał głową. Wyciągnął swój telefon.

Gdy zbliżyłam się do ostatniej tablicy, Slidell dołączył do mnie.

– Ryan opowiedział ci o Anique Pomerleau? – spytałam. Minęła cała dekada, a ja wciąż nie mogłam spokojnie wymówić tego nazwiska.

– No.

– To dobrze.

– Zanim usiedliśmy sobie tutaj we dwóch, zadzwonił do swoich ziomków. Ja nie bardzo parle-wu, ale wyglądało na to, że musiał się gęsto tłumaczyć.

Zastanawiałam się, jak sobie radził.

– Mówi, że spartolił sprawę Pomerleau. Ale domyślam się, że nieźle przypalił dupska kilku koleśiom w Kanadzie, żeby to naprawić.

Przez chwilę koncentrowałam się na swoim oddechu. Na moim pulsie. A potem spojrzałam na fotografię.

Było to policyjne zdjęcie profilowe zrobione na wiele lat przed horrorem, jaki wydarzył się w Montrealu. Twarz Pomerleau wydawała się delikatniejsza, stanowiła jakby embrionalną wersję tej, która na zawsze wryła mi się w mózg. Rozpoznałam ciężkie brwi, ciągnące się ukośnie nad głęboko osadzonymi oczyma. Wąski nos, pełne wargi, prowokująco kwadratowy podbródek.

– Ile miała wtedy lat, szesnaście? – zapytał Slidell.

– Piętnaście. W dziewięćdziesiątym roku właściciel sklepu w Mascouche przyłapał ją na kradzieży. Domagał się wniesienia zarzutów. To jedyne zdjęcie, jakie mieliśmy wtedy, w dwa tysiące czwartym.

– Ryan nie mógł się dokopać czegoś mniej starożytnego?

– Rodzice Pomerleau stracili wszystkie należące do niej rzeczy w pożarze, który wybuchł w dziewięćdziesiątym drugim. Nie mieszkała już wtedy w domu, rozrabiała w Montrealu.

– Kradła?

– Plus inne drobne przestępstwa, których nie pamiętam.

– Więc jej odciski palców są w aktach?

Kiwnęłam głową.

– Piętnaście lat? Mama i tata nie zmusili jej do powrotu w domowe pielesze?

– Kiedy Anique się urodziła, oboje byli po czterdziestce. W momencie, gdy rzuciła szkołę i wyrwała się do wielkiego miasta, mieli już serdecznie dość użerania się z nią.

Slidell wyduł usta i potarł się po karku.

– Czyli przyjechała do Stanów gdzieś między dwa tysiące czwartym rokiem, po tym, jak ty i Ryan przymknęliście ją w Montrealu, a dwa tysiące siódmym, kiedy zostawiła swoje DNA na małej Gower. – Zmrużył oczy, jakby dokonywał skomplikowanych obliczeń. – Teraz ma trzydzieści dziewięć lat, na pewno posługuje się fałszywym nazwiskiem. I zakładam, że wie, jak się znaleźć w półświatku?

– Pomerleau jest zdeprawowana i miewa urojenia, ale jednocześnie jest cholernie bystra.

– A jedyne jej zdjęcie, jakim dysponujemy, liczy ponad dwie dekady. Nic dziwnego, że ciągle udaje jej się uciekać.

Nagle przyszła mi do głowy myśl. Podeszłam do tablicy z danymi Leal. Umieszczono na niej czarno-biały rysunek twarzy dziecka, bardzo podobny – aczkolwiek pozbawiony życia – do jej szkolnego portretu, znajdującego się powyżej. Domyśliłam się, że wizerunek ten wygenerowano komputerowo, dzięki programom takim jak SketchCop, FACES czy Identi-Kit, które selekcionują zmienne cechy fizjonomiczne w oparciu o dane zebrane od poszczególnych osób, pamiętających konkretną twarz. Zakładałam, że naoczny świadek, którego Slidell namierzył na Morningside, też wniósł swój wkład w jego powstanie.

– Kto robił to zdjęcie kombinowane? – spytałam.

– Dostaliśmy je od łącznika FBI.

– Czy mógłby jeszcze trochę postarzyć policyjną fotografię Pomerleau? – Kiedy to powiedziałam, sama odczułam zdziwienie, że nikt o tym wcześniej nie pomyślał. A może ja coś przeoczyłam? Zanotowałam sobie, żeby to sprawdzić.

Slidell się uśmiechnął. Chyba.

– Nieźle, doktorko.

– Rodas mówił, że Gower nosiła na szyi klucz od domu, na łańcuszku. – Odezwał się Ryan z drugiej strony pomieszczenia. – Ale nigdy go nie znaleziono.

Podeszliśmy do niego ze Slidellem.

– A co z Estradą? – spytałam.

– W aktach ani słowa. – Ryan pokazał papiery rozłożone półkolistnie wokół niego. – Hull też nic nie wie o brakujących drobiazgach. Powiedziała tylko, że jeszcze sprawdzi.

Spotkałam się wzrokiem z Ryanem. Popatrzył mi prosto w oczy, a potem zaczął dalej czytać protokoły przesłuchań.

– Zadzwoń w sprawie tego rysunku pamięciowego – Slidell odwrócił się i wytoczył z pokoju.

Opadłam na krzesło. Przeglądałam akta Estrady, dopóki nie znalazłam tego, czego szukałam.

Raport z jej sekcji zwłok zawierał jedną stronę tekstu oraz cztery kartki zeskanowanych kolorowych fotografii. Podpisał go doktor Perry L. Bullsbridge.

Slidell miał rację. Jeśli się wzięło pod uwagę fakt, że to była sekcja zamordowanego dziecka, Bullsbridge wykonał naprawdę syfiastą robotę. Jeśli się wzięło pod uwagę fakt, że to była sekcja jakiegokolwiek zamordowanego człowieka.

Przeczytałam fragment o deskryptorach fizycznych i stanie zwłok. Krótkie uwagi na temat zdrowia, higieny, odżywiania. Jedno zdanie o braku stwierdzonych urazów.

Sprawdziłam ciężar poszczególnych narządów wewnętrznych w protokole. Przeglądałam właśnie listę przedmiotów zabezpieczonych jako materiał dowodowy, gdy coś zwróciło moją uwagę.

– Z tchawicy Estrady wyciągnięto dwa włosy.

– No i? – Ryan nie podniósł wzroku.

– A Larabee wyjął dwa włosy z tchawicy Leal.

– Sądził, że należały do niej.

– Powiedział, że to dziwne, że włosy znalazły się tak głęboko w gardle.

Oczy Ryana spojrzały w moje.

– Co chcesz zasugerować?

– Nie wiem. – Bo nie wiedziałam. – Zbieg okoliczności?

– Przecież nie wierzysz w zbiegi okoliczności.

– Nie – potwierdziłam. – Nie wierzę.

Tego wieczoru Ryan pojechał do mnie; w restauracji Baku kupiliśmy sushi na wynos. Jedliśmy w kuchni pod nieruchomym spojrzeniem Birdiego. Co kilka minut Ryan rzucał kotu kawałek surowej ryby. Beształam za to obu. I tak w koło Macieju.

Sprzątaliśmy właśnie ze stołu, gdy zadzwonił Slidell. Odruchowo sprawdziłam godzinę. Dwudziesta pierwsza czterdzieści, a ten ciągle w pracy. Imponujące. Mniej korzystne wrażenie wywołały najnowsze informacje od niego.

Naoczny świadek, który prawdopodobnie widział Leal w sklepie spożywczym i którego Chudy przesłuchiwał przed tygodniem, podał cechy charakterystyczne samochodu oraz dwie



cyfry z jego tablicy rejestracyjnej. Na ich podstawie wygenerowano ponad tysiąc dwieście możliwych pojazdów. Rozpoczęło się wydzwanianie.

Pierścionka Leal nie było ani na liście inwentarzowej wydziału Archiwum X, ani w magazynie dowodów rzeczowych. Brakowało go również na zdjęciach z miejsca zdarzenia.

Komputerowcy nadal pracowali nad odzyskaniem historii korzystania z wyszukiwarek, którą usunięto z laptopa Leal. Ciągłe próbowali.

Rysownik FBI zgodził się postawić profilowe zdjęcie Pomerleau. Kiedy tylko znajdzie czas.

Jasna cholera. Szło nam super.

– Jutro planuję odwiedzić mamę – powiedziałam do Ryana, wycierając z talerza ryż i sos sojowy.

– Ja zostanę tutaj, przejrzę do końca te akta, ponaciskam na swoich ludzi, żeby intensywniej szukali Pomerleau.

– W porządku.

– Nie powinnaś przekazać Daisy najświeższych informacji?

– Na wypadek, gdyby ponownie zwała? – spytałam, odkręcając kran.

– Przecież chętnie zmienia miejsce pobytu.

– Bardzo śmieszne.

Właściwie to było zabawne. Trochę.

Zabrałam komórkę do gabinetu i usiadłam na kanapie. Plecak Ryana zwiisał z poręczy mojego fotela. Z gniazdka wystawała jego ładowarka. W jakiś niewytłumaczalny sposób widok jego rzeczy osobistych w moim domu wpłynął na mnie uspokajająco. I nappełnił smutkiem.

Cieszyłam się, że Ryan zgodził się przenieść do pokoju gościnnego. Fajnie było mieć go pod swoim dachem. Po prostu przyjaciel, nic więcej. Czułam radość, że tu jest.

Wybrałam numer. Odebrała po pierwszym dzwonku.

– Jak miło, że dzwonisz – głos mamy miał intensywność głosu pitbulla sygnalizującego atak.  
– Już miałam zrobić to samo.

– Mamo...

– Chciałam być pewna.

– Jutro przyjadę do ciebie.

– Wielokrotnie dochodziłam do ślepych zaułków. „Daisy” – powiedziałam sobie – „diabeł tkwi w szczegółach. Skup się na detalach”.

Kiedy mama jest podekscytowana, nie można zbyt polegać na jej umiejętności słuchania innych.

– Będę u ciebie jutro w południe.

– Słyszysz mnie, Tempe?

– Tak, mammo. – Wiedziałam, że próba przerwania jej tylko pogorszy sprawę.

– Wykryłam coś strasznego.

Poczułam ukłucie niepokoju.

– Strasznego?

– Zginie kolejna dziewczynka.

## Rozdział 13

– Dany, Tempe. Dany. – Powiedziała to niemal na bezdechu. – Skończyły mi się pomysły, więc zaczęłam analizować wzorzec dat.

– Jakich dat?

– Niektóre sama mi podałaś, większość znalazłam w Internecie, w serwisach prasowych.

– Nie bardzo rozumiem, mamu.

– Dany, kiedy uprowadzono te dzieci. Nie dysponuję wszystkimi, oczywiście. Ale jest ich wystarczająco dużo.

– Jakie dzieci? – starałam się mówić spokojnie.

– Te z Montrealu. I późniejsze. Masz coś do pisania? – Znow drammatyczny szept sceniczny. – Przekazywanie takich informacji drogą elektroniczną nie jest bezpieczne.

Przeniosłam się do biurka, znalazłam papier i długopis. Następnie wcisnęłam guzik i odłożyłam telefon.

– Co to było? Przełączyłaś się na głośnik?

– Wszystko w porządku, mamu.

– Jesteś sama?

– Tak.

W drzwiach pojawił się Ryan. Gestem nakazałam mu ciszę, a jednocześnie chciałam, by podszedł bliżej i wszystko słyszał.

– Udało mi się pozyskać mnóstwo informacji dotyczących sytuacji w Montrealu.

– Jak?

– Zaczęłam od imion i nazwisk: Anique Pomerleau, Andrew Ryan, Temperance Brennan. Sparowałam je ze słowami kluczowymi, takimi jak „SQ”, „Montreal”, „szkielety”. Jedno prowadziło do drugiego i tak dalej. Zawsze tak jest. Danych było całe mnóstwo, zarówno po francusku, jak i po angielsku.

Mało powiedziane.

– Mówiłam ci, jak bardzo dumna jestem z...

– Do czego zmierzasz, mamu?

Po chwili pauzy odpowiedziała:

– Na podstawie szkieletów znalezionych w piwnicy zidentyfikowałaś trzy dziewczyny: Angelę Robinson, Marie-Joëlle Bastien i Manon Violette. Zgadza się?

– Tak.

– Zapisz te nazwiska.

Zapisałam.

– Angela Robinson zaginęła dziewiątego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Marie-Joëlle Bastien dwudziestego czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego. Manon Violette dwudziestego piątego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego.

Przy każdym nazwisku nabazgrałam odpowiednią datę.

– Zapisałaś?

– Tak.

– Były jeszcze jakieś inne?  
– W dzienniku znalezionym w domu Pomerleau widniało imię dziewczynki. Nic jednak nie ustaliliśmy w jej sprawie, szczątków też nie znaleziono.  
– Słuchasz mnie teraz bardzo uważnie?  
– Oczywiście.  
Spojrzeliśmy z Ryanem po sobie, oboje nieco zdezorientowani.  
– Nellie Gower została uprowadzona w Vermoncie osiemnastego października dwa tysiące siódmego roku. Lizzie Nance w Charlotte siedemnastego kwietnia dwa tysiące dziewiątego. Tia Estrada w Salisbury drugiego grudnia dwa tysiące dwunastego. Dodaj to wszystko do swoich notatek.  
Zaczęłam nową listę, składającą się z dwóch kolumn.  
– A teraz przeczytaj to, co napisałaś.  
I Ryan, i ja zrozumieliśmy wszystko w tej samej chwili.  
– Jasna cholera – nie mogłam się powstrzymać.  
– Nie warto być wulgarną, kochanie. Ale chyba pojęłaś to, co chciałam ci przekazać.  
– Każda z kolejnych ofiar zniknęła dokładnie na tydzień przed datą uprowadzenia którejś z poprzednich.  
– Tak – potwierdziła lekko ochrypłym głosem.  
– Sugerujesz, że Pomerleau odtwarza swoje wcześniejsze porwania?  
– Nie mam pojęcia o jej motywach. Ani dlaczego morduje te biedne małe niewiniątka.  
– Mamo, ja...  
– Jedno dziecko przeżyło, dziewczynka przetrzymywana w piwnicy przez pięć lat. Zgadza się?  
– Tak.  
– Była nieletnia, dlatego jej tożsamości nie można było podać publicznie. Ale nazwisko ustaliłam bez większego trudu. – Przerwa. – Tawny McGee.  
Milczałam.  
– Cofając się w czasie, udało mi się znaleźć datę jej zniknięcia. Trzynasty lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.  
Spojrzałam na Ryana. Kiwnął głową w geście potwierdzenia.  
Gdzieś w tle rozległ się przytłumiony głos. Mama kogoś uciszyła, zapewne swoją pielęgniarkę.  
– Posłuchaj, mamo. Spotkamy się jutro i omówimy...  
– Absolutnie nie. Masz kontynuować swoje dochodzenie.  
Znów odezwał się ten sam głos. Powietrze zgęstniało, jak gdyby słuchawkę telefonu ktoś nakrył dłonią albo przycisnął do piersi. A potem trzy piknięcia powiedziały mi, że połączenie zostało zakończone.  
Zerknęłam na Ryana. Gapił się na tablet.  
Odczytałam nabazgrane przez siebie imiona, nazwiska i daty. Wyobraziłam sobie szkielety poukładane na stołach sekcyjnych w laboratorium w Montrealu.  
Angela Robinson była pierwszą ofiarą Neala Wesleya Cattsa, porwaną w Kalifornii w 1985 roku, na długo przed jego wejściem w śmiertelny związek z Anique Pomerleau. Catts przewiózł szczątki Robinson na wschodnie wybrzeże, zakopał je w Vermoncie, a potem odkopał i znów pochował, już ostatecznie, w piwnicy pizzerii w Montrealu.  
Marie-Joëlle Bastien, Akadianka z Nowego Brunszwiku, miała szesnaście lat, gdy wybrała się

do Montrealu na wiosenne ferie. Zniknęła na rue Sainte-Catherine, we wschodniej części miasta, gdzie obejrzała film i zjadła kolację z kuzynkami. Analiza szkieletu wskazała, że umarła niedługo po uprowadzeniu.

Piętnastoletnią Manon Violette ostatni raz widziano w *la ville souterraine*, montrealskim półświatku. Kupiła buty, zjadła *poutine*, zadzwoniła do matki i zniknęła. Jej kości sugerowały, że przeżyła jeszcze siedem lat.

Tawny McGee jako jedyna uwięziona żyła w chwili pojawienia się policji w 2004 roku. Została porwana w 1999, w wieku lat dwunastu.

McGee odwiedziła mnie po swoim uratowaniu tylko raz. Psychiatra pracujący dla opieki społecznej, choć niechętnie, przystał na jej prośbę spotkania się ze mną w moim biurze.

Przywołałam w pamięci tę poważną twarzyczkę pod przekrzywionym beretem. Zaciśnięte ręce i ponury głos. Udało mi się nie skrzywić na to wspomnienie.

– Nie żartowałaś. Twoja mama jest naprawdę dobra. – Głos Ryana przeciął moje myśli.

– Sądzisz, że te powiązania są rzeczywiste?

– Aż trzy zbieżności tego rodzaju stanowiłyby cholernie dziwny zbieg okoliczności.

– Shelly Leal zniknęła dwudziestego pierwszego listopada. Jeśli mama ma rację, to Pomerleau upamiętnia jakieś dzieciaki, o których nawet nie wiemy.

Ryan sprawiał wrażenie równie poruszonego tą myślą co ja.

– Według informacji, jakie Pomerleau podała lekarzom pogotowia ratunkowego w 2014 roku, Catts dorwał dziewczynkę, kiedy miała piętnaście lat – powiedziałam.

– Mieszkała wtedy sama, nikt nie zgłosił jej zaginięcia, dlatego być może nigdy nie ustalimy dokładnej daty jej uprowadzenia.

– Tak samo w przypadku Colleen Donovan. I mojej nieznaney, szkielet ME107-10.

– Jakies postępy, jeśli chodzi o nią?

Potrząsnęłam głową.

– Jeszcze raz przepuściłam deskryptory przez bazy danych. Żadnych trafień.

– Coś takiego nigdy nie daje mi spokoju. Taka młoda dziewczyna, a nikt jej nie szuka.

– To wiek cię trapi? – spytałam.

– Co masz na myśli?

– Pomerleau i Catts polowali zwykle na dziewczęta w wieku od piętnastu do dziewiętnastu lat. Jednak najnowsze ofiary były młodsze. Albo wyglądały na młodsze, jak choćby Donovan.

– Z czasem nawet psychole ewoluują.

Birdie wybrał sobie właśnie ten moment, żeby wskoczyć na biurko i potarzać się na grzbiecie. Podrapałam go po brzuchu. Zaczął mrużyć.

– Myślisz, że powinniśmy powiedzieć o tym Slidellowi? – zapytałam.

W oczach Ryana zobaczyłam odpowiedź.

W niedzielę pojechałam jednak do Heatherhill Farm. Moje poczucie winy z powodu nieobecności przy matce okazało się większe niż poczucie winy, że ten czas mogłabym poświęcić na prowadzenie dochodzenia.

Zastałam mamę siedzącą na łóżku ze skrzyżowanymi nogami; lilipuci laptop oświetlał jej twarz. Drzwi do pokoju były zamknięte, telewizor włączony na cały regulator.

Wygłosiwszy słowa reprymendy, której się spodziewałam, mama westchnęła i przyznała, że bardzo się cieszy z mojego przyjazdu. Ponieważ dzień był zimny i pochmurny, co wykluczało przebywanie na werandzie, nalegała, byśmy zostały w jej pokoju.

Wyczuwałam w niej ekscytację, podenerwowanie. Gdy rozmawialiśmy, co chwila podbiegała do drzwi i przykładała do nich ucho.

Znając źródło jej podniecenia, próbowałam skierować rozmowę na lżejsze tematy. Mama, jak zawsze, okazała się niesterowalna.

Niestety, a może na szczęście, nie zdobyła żadnych nowych informacji dotyczących porwań i morderstw. Powiedziałam, że powinna zrezygnować. Wygłosiłam kilka komentarzy sugerujących, że poczyniliśmy większe postępy niż w rzeczywistości.

Mama zażądała pełnego wprowadzenia w temat. Zaserwowałam jej dość mglisty opis ostatnich wypadków.

Zapytała o Ryana. Przeszłam samą siebie, jeśli chodzi o mętne wypowiedzi.

Kiedy poruszyłam kwestię chemioterapii, szybko mnie zgasiła. A gdy spytałam o Goose, przewróciła oczyma i machnęła ręką, żeby dać jej spokój.

Ryan został w Charlotte i przeglądał akta, z którymi nie uporał się w sobotę. Slidell łąził po lombardach w poszukiwaniu pierścionka Leal.

Przyjechałam do domu koło dziewiątej. Gdy siedziałam nad lodami czekoladowo-nugatowymi Ben&Jerry's, Ryan zrelacjonował mi swój dzień.

Skupił się na chronologii śledztw, uporządkował w czasie działania podejmowane przez detektywów, telefony od ludzi oraz przesłuchania świadków. Wyglądał jednak na człowieka zniechęconego.

– Jeśli chodzi o Donovan i Koseluk, niewiele było do przeczytania. W ciągu paru tygodni od zaginięcia każdej z nich nie wydarzyło się nic ciekawego, nikt nie zadzwonił na policję. Podałam się.

Tymczasem do kostnicy trafiały inne ciała. Gliniarze uwijali się jak w ukropie. Nie powiedziałam tego głośno.

– Jeśli chodzi do Estradę, to dochodzenie prowadzono bardziej gruntownie. Przesłuchano ludzi w Salisbury i w okręgu Anson: zarejestrowanych gwałcicieli, znajomych i rodzinę ofiary, nauczycieli, właścicieli kempingu, mieszkańców domów przy szosie.

To samo można było powiedzieć o śledztwie w sprawie Nance czy Gower. O dochodzeniu w sprawie zamordowanego dziecka. Tego też nie wyraziłam na głos.

– Kilka przesłuchań miało swój dalszy ciąg. Ale żadne nie wyłoniło podejrzanego.

– Wszyscy mieli alibi?

Ryan kiwnął głową.

– Po znalezieniu zwłok Estrady było mnóstwo telefonów z informacjami, jak zwykle w takich przypadkach. O zbrodnię oskarżano na przykład właściciela sklepu sportowego, jakiegoś młodziaka, który jechał na harleyu za głośno i za szybko, farmera, który wcześniej zastrzelił swojego owczarka collie.

– Nienawidzący motocyklistów miłośnicy psów.

– Właśnie. Z czasem telefonów było coraz mniej, po miesiącu ustały w ogóle.

– Potem wybuchł skandal, a detektyw prowadzący śledztwo przeszedł na emeryturę. Sprawę przejęła Hull – dodałam.

– Ostatni telefon wykonała dziennikarka z „Salisbury Post”. Dzwoniła pół roku po zaginięciu Estrady.

– I to wszystko.

Ryan odłożył miskę i łyżkę. Poklepał się po piersi. Przypomnił sobie, gdzie się znajduje,

i opuścił ręce.

– Możesz palić, nie przeszkadza mi. – Przeszkadzało. Nienawidzę zapachu papierosów w swoim domu.

– A-ha. – Kącik jego ust wykrzywił się ledwo zauważalnie. Zanim znów się odezwał, minęła dłuższa chwila. – Rzecz nie w tym, że gliniarzom nie chciało się rozwiązać tych spraw. Po prostu nie mieli punktu zaczepienia. W domu tej małej nie zatrudniono, na przykład, jakiejś bylewej przestępczyni, nie miała też nauczyciela psychopaty, rodzice nie byli nigdy notowani. Ofiary były zbyt młode, żeby mieć agresywnych chłopaków. Tylko Donovan wchodziła w zakres grupy wysokiego ryzyka, pozostałe nie.

– A Donovan i Estrada nie należały do tych, którymi media nieustannie się zajmują. – Nie mogłam powstrzymać goryczy.

– Kiedy znaleziono ciała, brakowało świadków oraz jakichkolwiek śladów medyczo-sądowych.

– Nie było niczego, co wskazywałoby na osoby podejrzane.

– Dopóki Rodas nie przedstawił tego trafienia z DNA.

Mignęło mi wspomnienie ciemnej postaci biegnącej przez płomienie z pięciogalonowym kanistrem w ręku. Pamięć podsunęła mi zapach nafty i smród własnych spalonych włosów. Prerażenie, jakie stało się moim udziałem, gdy ocknęłam się w płonącym domu. Zdjął mnie gniew, nieustępliwy niczym kurcz mięśni.

– Pomerleau mną gardzi – rzuciłam.

– Obojga nas nienawidzi.

– To przeze mnie jest tutaj. – Wiem, że brzmiało to melodramatycznie, ale i tak to powiedziałam. – Pozwoliłam jej uciec. Chce mi o tym przypomnieć, zadrwić ze mnie.

– Wszyscy pozwoliliśmy jej uciec.

– Ponieważ nie wzięliśmy pod uwagę, że te dzieci już nie żyją. Że może umrzeć kolejne.

Spoczęło na mnie dwoje wzburzonych niebieskich oczu.

– Tym razem ćma podleciała zbyt blisko ognia.

– I musi spłonąć.

To głupie, ale przybiliśmy piątkę.

Nazajutrz rano nasza pewność siebie przestała istnieć.

## Rozdział 14

Okno mojej sypialni wychodzi na patio. Gdy następnego ranka otworzyłam okiennice, na jednej z ławek z kutego żelaza na dole zobaczyłam Ryana. Siedział pochylony do przodu, z łokciami na kolanach. Domyśliłam się, że pali. Przyglądałam się, jak opada mu głowa, a ramiona zaczynają unosić się i drgać w nierównych, drobnych podskokach.

Poczułam, że ściska mi się serce. A także, że jestem podglądaczką. Szybko się wycofałam.

Dokonawszy pospiesznej toalety, ubrałam się i zbiegłam do kuchni.

Kawa już się parzyła. Birdie jadł. Telewizor był włączony, ale bez fonii.

Rzuciłam okiem na ekran. Reporterka o idealnych włosach i nienaturalnie białych zębach, stojąca obok zbitej w harmonijkę ciężarówce, mówiła coś, prezentując dobrze przeciwzoną mieszaninę szoku i zatroskania.

Jadłam jogurt z granolą, gdy otworzyły się tylne drzwi. Uniosłam wzrok znad porannego wydania „Observera”. Ryan wydawał się spokojny, choć zdradzała go opuchlizna pod oczami.

– Dobra kawa. – Uniosłam swój kubek.

Dosiadł się do mnie do stołu.

– Widziałeś? – Pokazałam mu nagłówek. Wprawdzie w dolnej części, ale nadal na pierwszej stronie. *Morderca Shelly Leal nie został ujęty.*

– Slidell będzie wściekły – rzekł Ryan.

– Ten artykuł sugeruje, że Tinker i SBS pociągają za sznurki.

– A to coś ci mówi? – Ryan zmrużył oczy, odczytując nagłówek. – Leighton Siler?

– Nie. Musi być nowy w tej ekipie. – Skierowałam brodę w stronę Panny Doskonałe Włosy i Uzębienie. – Było coś w telewizji?

– Daisy nie pochwaliby twojej wulgarności.

No świetnie. Zatem kamera zrobiła mi zdjęcia, kiedy, odjeżdżając spod wydziału medycyny sądowej, pokazałam im środkowy palec.

– Będziesz dziś dalej przeglądać akta? – spytałam.

Ryan kiwnął głową.

– Nie ma nic, co by jednoznacznie łączyło te dzieci ze sobą. Żadnych wspólnych lekarzy, bibliotek, do których by chodziły, zajęć, hobby, letnich obozów, balów gimnazjalnych, nauczycieli, księży, pastorów, sklepów ze zwierzętami, alergii czy wysypek. W Internecie też zero informacji o Nance i Leal. Zamierzam skupić się na najdrobniejszych szczegółach, zobaczyć, czy znajdzie się jakiś detal, który przeoczyliśmy albo na który nie zwróciliśmy dostatecznej uwagi. Musi istnieć coś, co łączy każdą ofiarę z kolejną.

Kiedyś Ryan opisał mi tak zwany „wielki przełom”: wystarczy jedna wskazówka albo głębsza myśl, która nagle kieruje śledztwo we właściwą stronę. Jeden moment złączenia się synaps, gdy świadomość eksploduje, a poszukiwania obierają odpowiednią trajektorię. Ryan uważał, że w każdej sprawie zdarza się przynajmniej jeden „wielki przełom”. I mimo osobistego bólu zdecydowany był przeżyć go dla owych „biednych niewiniątek”. Jego zaangażowanie podniosło mnie na duchu.

Wycierałam miskę i kubek, gdy odezwał się telefon. Dzwonił Larabee z przypomnieniem o porannym spotkaniu. Do wydziału medycyny sądowej miał przyjechać prokurator, aby

przyrzeć się temu, co ustaliliśmy, w kontekście ewentualnych zeznań. Larabee miał się tam pojawić o ósmej, ja o dziewiątej.

Chodziło o sprawę śmierci pewnego aktora z Los Angeles, który przyleciał do Charlotte zagrać rolę królika w filmie długometrażowym. Po dwóch dniach zdjęciowych mężczyzna nie pojawił się na planie. Znalaziono go cztery tygodnie później w rowie obok torów w Chantilly. Ówczesny chłopak aktora został aresztowany i oskarżony o zabójstwo pierwszego stopnia.

Gdy skończyłam rozmowę z Larabeem, Ryan złapał mnie wzrokiem i wskazał na piętro. Kiwnęłam głową, zamyślona. I zirytowana. Nie miałam w planach na dzisiaj niańczenia jakiegoś prawnika.

Dziesięć minut później Ryan wrócił z mokrymi włosami, zaczesanymi do tyłu pod czapką z Kostaryki. Miał na sobie dżinsy i polo z krótkim rękawem, narzucone na koszulę.

W samochodzie rozmawialiśmy niewiele. Dzięki mojemu pasażerowi wewnątrz wozu pachniało kosztownym egipskim czarnym mydłem piżmowym.

Wysadziłam Ryana w centrum policyjnym, a sama pojechałam do wydziału medycyny sądowej. Przeglądałam właśnie akta dotyczące Pana Króliczka, gdy w drzwiach pojawił się Larabee.

– Jak minął weekend? – zapytał.

– Dobrze. A tobie?

– Nie narzekam. Słyszałem, że Ryan jest w okolicy.

– Hm. – Zastanawiałam się, kto mu powiedział. Pewnie Slidell.

– Nie zgadniesz, co czekało na mnie na poczcie głosowej dzisiaj rano. – Larabee uwielbiał zmuszać mnie do przewidywania, co ma zamiar powiedzieć. Męczyła mnie ta zabawa.

– Telefonował do ciebie gigantyczny morski ślimak.

– Zabawne.

– Że zostanie tu przez tydzień.

– Dzwoniła Marty Parent.

Potrzebowałam chwili, żeby skojarzyć to nazwisko.

– Nowa analityk DNA w laboratorium policyjnym okręgu Charlotte-Mecklenburg?

– Przebojowa osoba. Bardzo wczesnie wstaje. Zostawiła wiadomość o siódmej cztery z prośbą, żebym oddzwonił.

Czekałam, nic nie mówiąc.

– Zrobię to, jak tylko skończę z tym Vinnym Gambinim. – Kiwnął głową w stronę małej sali konferencyjnej.

– Kto to jest?

– Connie Rossi.

Constantin Rossi pracował w biurze prokuratora, odkąd tylko sięgałam pamięcią. Był przenikliwy, zorganizowany, nie lubił marnować czasu. Ani zmuszać nas do wyciągania wniosków wykraczających poza fakty.

– Rossi jest w porządku – powiedziałam.

– Owszem.

Skończyłam o jedenastej i poszłam poszukać Larabee'ego. Znalazłam go w sali prosektoryjnej numer jeden, krojącego jakiś mózg.

– Co powiedziała ta Parent? – zapytałam.

Larabee spojrział na mnie, z nożem w ręku, w fartuchu i rękawiczkach poplamionych krwią.

– Nie jestem pewny, czy to dobra, czy zła wiadomość. – Mówił przez trzywarstwową



papierową maskę zawieszoną na uszach.

Poruszyłam palcami w geście „dawaj, co masz”.

Larabee odłożył nóż i obniżył maseczkę.

– Parent spędziła cały weekend, analizując tę plamkę na kurtce Leal.

– Żartujesz.

– Jest rozwiedziona, dziecko mieszka z byłym.

– Mimo wszystko.

– To córka. Ma dziesięć lat.

– Rozumiem. – Jako matka Katy, która kiedyś też miała dziesięć lat, zrobiłabym dokładnie to samo, gdyby jakiś maniak brał sobie na cel dziewczynki w tym wieku.

– Miałaś rację. Obiekt widziany w świetle alternatywnym okazał się odciskiem warg. Nasza próbka zawierała wosk pszczoły, olej słonecznikowy, olej kokosowy, olej sojowy...

– Balsam do ust.

– Tak jest.

– Ślina? – Czułam, że nieznacznie przyspiesza mi tętno.

W odpowiedzi Larabee się uśmiechnął.

– O cholera. Powiedz mi, że wyodrębniła DNA.

– Wyodrębniła DNA.

– Tak! – Naprawdę wykonałam gest pompowania jednym ramieniem.

– Jeszcze dzisiaj przepuści dane przez system.

– Także kanadyjski?

– Być może.

– Co to znaczy „być może”? Wynik musi wskazać na Pomerleau. – Byłam maksymalnie podekscytowana. Oto „wielki przełom” Ryana. Slidell dostanie z powrotem swój zespół zadaniowy.

– Mówi ci coś termin „amelogenina”?

Larabee miał na myśli grupę białek odpowiedzialnych za amelogenezę, czyli rozwój szkliwa zębów. Uważa się, że mają decydujące znaczenie podczas powstawania uzębienia.

Geny amelogeninowe, AMELX i AMELY, znajdują się w chromosomach płciowych: wersja X różni się nieco od wersji Y. Ponieważ kobiety są nosicielkami chromosomów XX, a mężczyźni XY, różnica ta pozwala zwykle określić płeć. Dwa prążki, a nieznany sprawca jest mężczyzną. Jeden prążek – sprawczyni należy do płci pięknej.

– Tak? – Ton mojego głosu dowodził, że pytanie Larabee’ego wywołało moje zdziwienie.

– Amelogenina wskazuje, że pozostawiona na ciele ślina należała do mężczyzny.

– Parent jest pewna? – Oczywiście, że była pewna. Przecież nie dzwoniłaby tylko dla kaprysu.

– Tak.

– A czy nie zdarza się, że wyniki badań amelogeniny dają błędny odczyt?

– Były przypadki fałszywego wskazania na kobietę jako sprawczynię. Prawdopodobnie dlatego, że allel specyficzny dla chromosomu Y został usunięty. Ale nigdy nie słyszałem o błędzie w drugą stronę.

Wiedziała o tym. Szok sprawiał, że zadawałam idiotyczne pytania.

Larabee z powrotem założył maskę i chwycił za nóż.

– Dam ci znać, jeśli Parent dostanie informacje o trafieniu, albo w naszym systemie, albo w CODIS.

Wróciłam do swojego gabinetu. Usiadłam i wsłuchiwałam się w ciszę. Zdumiona.

Rozczarowana. Głównie zdezorientowana.

Czyżby szefowie Slidella mieli rację? Zabójstwa Leal nic nie łączyło ze śmiercią Gower i Nance? Z innymi ofiarami? I czyżby jej morderca był mężczyzną?

Ale przecież istniał wiktymologiczny model oraz sposób działania sprawcy. Podobieństwo wieku i cech fizycznych ofiar. Porwania w biały dzień. Ułożenie zwłok, brak zamiaru ich ukrywania.

Musiał być jeden sprawca. To musiała być Pomerleau.

Jej nazwisko wywołało we mnie kolejną neuronową burzę. Krew sącząca się z dziury wielkości sporej monety, przez linię włosów, skroń, policzek. Mózg rozprysnięty na ciemnej ścianie saloniku.

Słodki Jezu. Czy to możliwe?

Zadzwoiłam do Ryana.

– *Oui.*

Zrelacjonowałam mu, co powiedział mi Larabee.

– To może nic nie znaczyć. Ktoś przypadkowo otarł się twarzą o jej kurtkę.

– Ale odcisk ma wyraźne i czyste krawędzie.

– To znaczy?

– Nie powstał przypadkiem.

– Nie wiemy, jak dawno powstał. To mogły być tygodnie, nawet miesiące temu.

– Na nylonie? Po stronie zewnętrznej? Nie ma mowy. Zbyt wiele szczegółów. Do kontaktu doszło tuż przed śmiercią Leal.

Ryan długo milczał. Wiedziałałam, że jego myśli podążają tymi samymi ścieżkami co wcześniej moje.

– Sądzisz, że ona ma współnika – powiedział.

– Kolejnego pokręconego świra, takiego jak Catts.

Znów nastąpiła długa pauza. Słyszałam męskie głosy w pokoju. Ostre.

– A co z tymi włosami, które Larabee znalazł w gardle Leal? – Ryan przeciął moje domysły na temat kłótni rozgrywającej się gdzieś w tle.

– Nic o nich nie wspomniał. – A ja byłam wtedy zbyt skoncentrowana na amelogeninie, żeby spytać.

– Slidell się wścieknie – powiedział Ryan.

– Gdzie on jest?

– Tutaj. Wyszukiwarka numerów rejestracyjnych podała mu tysiąc dwieście wyników. Właśnie skończył ponownie przesłuchiwać tego gościa, który widział małą na Morningside.

– Na co liczył?

– Że dowie się przynajmniej, w jakiej kolejności były numery na rejestracji, że tamten poda mu kolor wozu, czy był czterodrzwiowy czy dwudrzwiowy i tak dalej. Żeby mieć coś, co pomogłoby mu wyeliminować część danych.

– I jak mu poszło?

– Samochód był niebieski albo czarny. A siódemka na tablicy rejestracyjnej mogła być jedyneką.

– Chudy na pewno nie jest zadowolony.

– To mało powiedziane. A potem jeszcze zjawił się Tinker. Od tej pory prowadzą ze sobą wojnę, który z nich ma większego.

– Co Tinker robi?

– Przegląda akta Leal i odbiera telefony z gorącej linii.  
– Były jakieś interesujące?  
– Głównie od oszołomów, jak zwykle. Nauczyciel, który chciał przedyskutować nieskromny sposób ubierania się współczesnej młodzieży. Facet wygłaszający tyradę przeciwko muzułmanom. Kobieta wygrażająca palcem tym, którzy nie chodzą do kościoła.  
– Super. A jak twoje poszukiwania?  
– Skończyłem już z Gower. Ten Rodas to solidny facet.  
– Umpie.  
– Co?  
– Ma na imię Umpie.  
– A potem zająłem się Koseluk i Estradą. Raporty, zeznania, wiadomości telefoniczne, cynki. I nic. Donovan zostawiłem dla ciebie.  
– I co teraz?  
– Przycisnę ludzi szukających Pomerleau, ponowię monity wysłane do Quebecu, Vermontu, na cały kraj. Tym razem poproszę o sprawdzenie ewentualnych pseudonimów i fałszywych nazwisk. Zrobiłem ich listę.  
– Jak?  
– Ludzie wcale nie są aż tak kreatywni. Mają skłonność od używania czegoś łatwego, zazwyczaj wariacji własnego imienia, nazwiska albo inicjałów. Ann Pomer. Ana Proleau. Coś w tym stylu.  
– Warto spróbować.  
– Następnie zajmę się danymi z wydziału komunikacji, z ubezpieczeń społecznych, zeznaniami podatkowymi. Dużo roboty, ale co mi tam.  
– Dużo roboty to lepiej niż brak roboty. – Ileż to razy Ryan i ja powtarzaliśmy to zdanie przez wszystkie te lata?  
Sprzeczka w tle rozgorzała ze zwiększoną siłą. Trzasnęły drzwi. Zastanawiałam się, czy to Slidell, czy może Tinker wyszedł gwałtownie z pokoju.  
Ryan zignorował ten konflikt.  
– Kiedy Pomerleau wymknęła się nam z sieci w dwa tysiące czwartym roku, rozesłaliśmy jej fotkę po całym kontynencie.  
– Owszem – prawie się zachnęłam. – Policyjne zdjęcie profilowe, zrobione, gdy miała piętnaście lat.  
– Zgadza się. Ale potem mieliśmy dziesiątki telefonów.  
Przypomniałam sobie. Pomerleau widziano w Sherbrooke, w Albany, w Tampie, w Thunder Bay.  
– Do czego zmierzasz? – spytałam.  
– Tutaj nie mamy już pola manewru.  
– I?  
– Może trzeba spróbować gdzie indziej.  
Skinęłam głową. Bez sensu. Przecież Ryan mnie nie widział.  
– Musimy pojechać do Montrealu.

## Rozdział 15

Zapytałam Larabee'ego. Moja kilkudniowa nieobecność nie stanowiła dla niego problemu.

Przed wyjściem z biura zarezerwowałam dwa miejsca na bezpośredni lot o 8.25 z portu Pierre-Elliott-Trudeau. Następnie telefonicznie załatwiłam wypożyczenie samochodu.

Moja sąsiadka nie mogła pomóc, zaproponowała jednak, że zastąpi ją wnuczka, Mary Louise Marcus, która mieszka o kilka przecznic od Sharon Hall. Zadzwoiłam. Mary Louise miała czas, ale aż za dziesięć dolarów dziennie. Obiecała wpaść o siódmej, żeby poznać mnie i Birdiego.

W drodze na przedmieścia zatrzymałam się w Bojangles', ulubionym lokalu Slidella, i nakupiłam tyle jedzenia, że wystarczyłoby dla sześciuosobowej rodziny.

Gdy przyjechałam do Centrum Policyjnego, było już po drugiej. Slidell siedział przy komputerze, z zaciśniętymi wargami i głową kiwającą się wolno to w jedną, to w drugą stronę. Tinker przypinał pinezki na mapie Karoliny Północnej, umieszczonej na korkowej tablicy, której wcześniej tu nie było. Wyglądał dziś jak ktoś, kogo sponsoruje sycylijska mafia. Czarna marynarka, czarna koszulka, lśniący krawat koloru lawendy.

Ryan rozmawiał przez komórkę. Usłyszałam imię Manon i domyśliłam się, że stara się zlokalizować rodzinę Violette'ów. Jego cicha francuszczyzna rozbrzmiewała w powietrzu pełnym napięcia tonem dławionej wrogości.

Rzuciłam kurtkę na krzesło i czekałam. Skończywszy rozmowę, Ryan wprowadził mnie w bieżącą sytuację.

Jeśli chodzi o poszukiwania tablicy rejestracyjnej, Slidell poczynił zerowe postępy. Informatyk odzyskał tylko fragmenty danych z komputera Leal, nic, co mogłoby się przydać. Także Barrow nie miał szczęścia i nie znalazł laptopa Nance. Postarzałe zdjęcie Pomerleau miało być gotowe dopiero za kilka dni, może za tydzień. To samo, jeśli chodzi o sekwencję DNA z włosa znalezionej w tchawicy Leal. Badania toksykologiczne doprowadziły nas donikąd.

Położyłam swoje torby na stole.

– Jak Slidell zareagował na tę szokującą informację o amelogeninie?

– Jego komentarz był mało konstruktywny.

– Pora na obiad – oznajmiłam.

Slidell przewrócił oczami i spojrzał na mnie znad ekranu. Niemal czułam, jak zapach głęboko smażonego jedzenia uderza w jego płaty węchowe.

Gdy zaczęłam rozkładać papierowe talerze, plastikowe sztuczce oraz kartoniki z kurczakiem i dodatkami, Slidell zerwał się na nogi. Słyszałam, jak gdzieś za moimi plecami Tinker przecina pomieszczenie; kluczyki dyndały mu z kieszeni albo z breloczka przy pasku.

– Musimy wziąć pod uwagę główne drogi – Tinker nabrał łyżką ziemniaczane puree i nałożył sobie na talerz, po czym dodał do niego gęsty sos, sałatkę i biszkopta. – Nance została porzucona na Latta Plantation, niedaleko I-485. – Do Slidella rzucił: – Zbadasz tam każdy skrawek?

Slidell macał leniwie kurczaka, a może nawet jeszcze spowolnił tę czynność. W końcu oderwał dwa udka.

Tinker podszedł i poczęstował się piersią. Nadgryzł ją, zanim uraczył nas kontynuacją swojego ciągu myślowego.

– Gower pozostawiono niedaleko drogi stanowej Vermont 14. Tak chyba mówił Rodas.

– Czysty geniusz z ciebie – rzekł Slidell, przeżuując udko. – Przecież już ustaliliśmy, że ofiary były przewożone samochodem. Możemy zapomnieć o helikopterach i jachtach.

Zignorowałam sarkazm Chudego.

– Koseluk została porwana w Kannapolis, Estrada w Salisbury. Obie leżały przy szosie I-85.

Tinker popatrzył na mnie swymi małymi, płaskimi oczyma.

– Te dwie jakoś mi nie pasują do reszty.

– Leal znaleziono koło drogi numer I-485 – dodałam.

– Amelogenina twierdzi, że ona też nie pasuje.

– Niekoniecznie.

Tinker wykonał coś, co stanowiło połączenie wzruszenia ramion i skrzywienia palca w geście „No, dawaj”.

– Pomerleau może mieć współnika. Albo...

Slidell przerwał mi; gdy zwrócił się do Tinkera, jego głos ociekał pogardą.

– Mniejsza liczba ofiar ułatwia papierkową robotę? Poprawia wizerunek?

– A może tylko dokonujesz projekcji, detektywie? Mówisz o samym sobie – odparował Tinker.

Obawiałam się, że ten przemądrzały ton sprowokuje Slidella do wciśnięcia Tinkerowi talerza w twarz, jak w jakimś kinowym dowcipie. Zerknęłam na Chudego. Jego dolne powieki były ściągnięte i drżały, na górnej wardze i brodzie lśnił tłuszcz.

– O czym ty, kurwa, mówisz? – Teraz spojrzenie płaskich oczu Tinkera spoczęło na Slidellu. Przez chwilę mocowali się wzrokiem. Chudy pierwszy zrezygnował. – To koniec. Nie będę pracować z tym trollem. – Zawinąwszy kurczaka w serwetkę, Slidell wyszedł z pokoju.

Tinker dokończył posiłek, wytarł starannie palce jeden po drugim i wrócił do swojej mapy.

Uniosłam brew w kierunku Ryana. On uniosł brew ku mnie.

Wskazałam na kurczaka.

Ryan potrząsnął głową.

Uświadomiwszy sobie, że nie odpowiedziałam na pytanie Slidella o komórkę Nance, spytałam Ryana, czy nie zauważył gdzieś w aktach jakiejś informacji na ten temat. Nie zauważył.

Sprzątając reszki po lunchu, opowiedziałam Ryanowi o rezerwacji lotu. Wahał się chwilę, a potem mi podziękował. Spytał, ile mamy czasu. Zaproponowałam, żebyśmy wyjechali stąd przed szóstą. Kiwnął głową, chwycił swój telefon i zaczął wciskać klawisze.

Ryan nie był w Montrealu od śmierci Lily. Zastanawiałam się, jak wielka burza kotłuje się teraz w jego wnętrzu. Ale o nic nie spytałam.

Ustawiłam sobie jedną z pustych tablic między tymi opisującymi Nance i Koseluk, wyciągnęłam z torebki akta sprawy ME107-10 i zaczęłam umieszczać dane. Profil biologiczny. Przybliżony czas zgonu. Data znalezienia zwłok. Miejsce. Fotografie szkieletu i innych przedmiotów.

Tinker zostawił swoje pinezki i podszedł zobaczyć moją wystawkę. Raczej skromną.

– Co jest?

– Na niektórych zbitkach kości wciąż znajdowała się odzież. Jeśli czegoś brakowało, to prawdopodobnie w wyniku aktywności zwierząt.

Tinker niezobowiązująco kiwnął głową.

– Spora zgodność ze wzorcem.

– Gdzie było dziecko?

Pokazałam Tinkerowi na jego mapie. Wbił w to miejsce żółtą pinezkę, tak jak chciałam.

Rozszyfrowanie jego systemu kodowania zajęło mi chwilę. Kolorem zielonym zaznaczył skrzyżowanie, na którym po raz ostatni widziano Nance żywą, czerwonym – miejsce znalezienia jej zwłok. Barwy używane w sygnalizacji świetlnej, solidnie połączone ze sobą kolorem pomarańczowym, oznaczającym odkrycie DNA.

Na niebiesko zaznaczono miejsca, w których ostatni raz widziano żywe dziewczęta „spoza wystawy”, na żółto – lokalizację zwłok Estrady i Leal.

Na północy, wzdłuż drogi I-85, ciągnęły się pinezki tęczone, okrążające Charlotte po obwodnicy I-485 i zmierzające dalej na południe w kierunku granicy z Karoliną Południową. Jedna czerwona i dwie niebieskie oznaczały lokalizacje w granicach miasta.

Na południowym wschodzie sterczała samotna żółta pinezka.

Tinker jakby czytał mi w myślach.

– Ciało Estrady wcale nie leżało w pobliżu trasy I-85.

– Ale niedaleko NC-52. – Przyglądałam się tej konfiguracji, pragnąc dojrzeć w niej jakiś wzorzec. – Estrada przebywała na kempingu w pobliżu rezerwatu przyrodniczego Pee Dee. Nance w Latta Plantation. – Mówiłam głośno, zonglując nazwami, mieszając ze sobą fragmenty danych tak, by znaleźć jakieś połączenie. – ME107-10, moja NN, została znaleziona przy Ogrodzie Botanicznym Daniela Stowe’a. A Gower w kamieniołomie.

– Otwierać szampana. Więc ustaliliśmy, że to miłośnik przyrody.

Uśmiechnąwszy się chłodno na ów przejaw lizusowskiego cynizmu Tinkera, wróciłam do układania informacji o ME107-10.

Przez następne dwie godziny pracowaliśmy, prawie się do siebie nie odzywając. Gdy skończyłam tablicę mojej NN, zabrałam się za kolejną dziewczynkę, o której nic nie wiedzieliśmy. Ryan miał rację. Niewiele zrobiono, żeby znaleźć Colleen Donovan. A papierkowa robota nie stanowiła mocnej strony Pata Tasata.

Przejrzałam streszczenia zeznań. Ciotki, Laury Lonergan, zażywającej amfetaminę byłej prostytutki. Dyrektora schroniska dla bezdomnych. Kilkunastu dzieciaków z ulicy. Panienci lekkich obyczajów nazwiskiem Sarah Merikoski, znanej również jako Crystal Rose, która zgłosiła zaginięcie.

W pewnej chwili usłyszałam, jak Slidell wchodzi z powrotem do pokoju, przygarbiony, i siada za komputerem. Czytałam dalej.

Wyglądało to na banalną sprawę. Ale sprawy banalne stają się takie, ponieważ zdarzają się ciągle. Albo zostają rozwiązane w ciągu pierwszych gorączkowych dni śledztwa, gdy świadkowie jeszcze wszystko żywo pamiętają, materiał dowodowy jest świeży i nie brakuje teorii, albo też wloką się miesiącami, cichną, by ostatecznie zostać zamrożone. Im dłużej to trwa, tym stopień zamrożenia jest większy.

W przypadku Colleen Donovan było trochę inaczej. Dwadzieścia cztery czy czterdzieści osiem godzin, rok czy półtora. To nie miało żadnego znaczenia. Ponieważ na samym starcie nie mieli nic, co by wskazywało na przebieg wydarzeń ani motyw. A nawet czas.

O ile w ogóle cokolwiek *stało się* tej dziewczynie. Brakowało dowodów popełnienia przestępstwa. Plam krwi na ścianie w hotelu. Żadnych cennych osobistych drobiazgów pozostawionych na miejscu. Żadnego portfela czy portmonetki znalezionych w koszu na śmieci. Pełnych strachu szepców o jakimś kliencie lub alfonsie.

We wszystkich zeznaniach świadków przewijał się jeden wspólny element. Życie na ulicy jest ciężkie i nieprzewidywalne. Dzieciaki przychodzą i odchodzą. Każdy, z wyjątkiem Merikoski, ulicznicy w dawnym stylu i samozwańczej nauczycielki Donovan seksualnego rzemiosła,

uważał, że Colleen sama się ulotniła. Chociaż nawet Merikoski miała takie obawy.

Brak dowodów oznaczał, że nie można było stworzyć zwartej narracji sprawy. Brak narracji oznaczał brak podejrzanego.

Nie będzie „wielkiego przełomu”.

Gdy układałam sobie chronologię zdarzeń, pobieżnie zarejestrowałam fakt, że Slidell odszedł od klawiatury komputera. Spod tablicy korkowej dobiegały podniesione głosy.

Telefonów od obywateli było tylko kilka, czyli niewiele. Młodzieniec nazwiskiem Jon Sapuppo informował, że widział Donovan w autobusie przy Wilkinson Boulevard dwa tygodnie po tym, jak Merikoski zgłosiła policji jej zaginięcie. Jakiś ekspedient twierdził, że sprzedał Donovan papierosy na stacji benzynowej przy Freedom Drive.

Mój mózg zarejestrował, że tumult przy tablicy przybiera na sile. Nadal go ignorowałam.

Z czasem liczba telefonów stopniowo się zmniejszyła, ostatni zanotowano pod koniec lutego. W sierpniu zadzwoniła ciotka z pytaniem, jak wygląda sprawa. I to wszystko.

– ...kwestionujesz moją uczciwość?

– Kwestionuję twoją skuteczność.

Slidell i Tinker znów rzucili się sobie do gardeł.

– Trzymaj się starszych spraw, tych zamrożonych – warknął Slidell. – Leal zostaw mnie.

– Raz się sparzysz, potem dwa razy dmuchasz na zimne, co, Chudy?

– Co to ma, do cholery, znaczyć?

Obróciłam się w krzesle. Slidell gapił się na Tinkera, ramiona miał opuszczone, dłonie zaciśnięte w pięści.

– Żeby nie naciskać zbyt mocno? Żeby rozgrywać to delikatniej?

– Naciskam, jak tylko mogę. Ale nie ma się za bardzo czego chwycić.

– Sprawdziłeś tego gościa, który widział samochód?

– Ma zaćmę i prostatę wielkości kabaczka.

– A jak idą poszukiwania w komputerze?

– Idą. – Głos Slidella przybrał groźne tony.

– Uzyskałeś dostęp do akt Donovan jako nieletniej?

– No. Ukradła zegarek w Kmarcie. Złapano ją także podczas policyjnego nalotu z uncją zioła w torebce. Och, i jeszcze największe przestępstwo. Kiedy była narąbana, upadła i trzeba było jej szyc głowę.

Ta wypowiedź na chwilę zamknęła Tinkerowi usta.

– A Pomerleau... Pracuje na twoim terenie od ilu? Pięciu lat? A ciągle nie możesz jej namierzyć?

– Badam każdy trop, ty beznadziejny gnojku...

– Doprawdy?

– Co sugerujesz?

– Tak się tylko zastanawiam. Trochę ci zajęło uporanie się z tamtą sprawą. Może tym razem postanowiłeś rozegrać wszystko bezpiecznie. Jak nie spieprzysz, zapomną ci tamto. I znów będziesz gwiazdą.

– Ty pierdolony durniu.

– A może twój problem polega na czymś innym? – Usta Tinkera wykrzywiły się w sarkastycznym uśmiechu. – Na czymś bardziej osobistym?

Slidell rzucił Tinkerowi długie, twarde spojrzenie; jego twarz była tak czerwona, że niemal purpurowa.

– Musiałeś wiedzieć, że po Verlene przyjdzie w końcu coś lepszego. – Tinker uniósł wysoko brwi, niczym Groucho.

– Do jasnej cholery!

Zerwałam się na nogi.

– Czy będę musiała p olać was obu zimną wodą?

Slidell spoj rzał na mnie. Potrzęsnał z niesmakiem głową, że nic nie rozumiem.

– Złożę skargę na tego dupka. – Obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Sprawdziłam godzinę na zegarku. Ryan musiał już przejrzeć wszystkie pozostałe akta. Pewnie koncentrował się teraz na podróży do Montrealu.

Podeszłam do tablic. Powoli przesuwalam się wzdłuż ich szeregu. Patrzyłam właśnie na szkolne zdjęcie Shelly Leal, gdy nagle w mojej głowie rozległo się *pssst*.

Co jest?

Pinezki Tinkera nie układały się w żaden wzór. Żaden profil geograficzny, sugerujący sposób działania motywowany terenem.

Mama uważała, że daty, w których ofiary widziano żywe po raz ostatni, miały wielkie znaczenie. Czyżby moja podświadomość mówiła mi, że chodzi o coś jeszcze?

Leal zaginęła dziesięć dni temu, w piątek 21 listopada. Wyjęłam iPhone'a i włączyłam kalendarz roku 2009. Poczulałam ukłucie ekscytacji. Nance również zniknęła w piątek.

Sprawdziłam 2007. Ekscytacja opadła. Gower widziano po raz ostatni w czwartek. Koseluk również. Estrada zaginęła w niedzielę.

Wpisałam daty na tablicy, wróciłam do stołu i studiowałam listę.

*Pssst* w mojej głowie rozległo się głośniej.

Dokonałam małych obliczeń.

Przez chwilę siedziałam bardzo spokojnie, wpatrując się w liczby, które zapisałam. Czulałam, jak w gardle rośnie mi klucha.

– Ryan.

Podniósł wzrok.

– Gower zniknęła osiemnastego października dwa tysiące siódmego roku. Nance siedemnastego kwietnia dwa tysiące dziewiątego.

Kiwnął głową, wyraźnie zaintrygowany chłodem mojego głosu.

– Te dwa uprowadzenia dzieli osiemnaście miesięcy.

Ryan znów kiwnął głową.

– A między Nance i Koseluk jest nieco ponad dwa i pół roku.

Szybko przeliczył w głowie.

– Dwadzieścia dziewięć miesięcy.

– Lecz jeśli wcisnąć w ten odstęp ofiarę zwaną ME107-10, moją NN, interwały zmniejszają się do około piętnastu miesięcy. – Ryan zaczął coś mówić. Przerwałam mu. – Koseluk zniknęła ósmego września dwa tysiące jedenastego. Estrada drugiego grudnia dwa tysiące dwunastego.

Już rozumiał, do czego zmierzam.

– Między nimi jest piętnaście miesięcy.

– Merikoski zgłosiła zaginięcie Donovan pierwszego lutego dwa tysiące czternastego roku.

– Zeznała, że nie widziała tej małej już od kilku tygodni.

– Dziewięć miesięcy później znika Leal.

– Pamiętasz teorię mamy?

– Każda data wcześniejszego porwania nawiązuje do daty uprowadzenia ofiary w Montrealu.



Już wcześniej koncepcję łączących się dat uznawaliśmy za słuszną. Ale to mama w pełni pojęła znaczenie tego wzorca, ponieważ tamtego dnia ani Ryan, ani ja nie odrobiliśmy zadania z matematyki, niczego nie dostrzegliśmy. Może byliśmy zbyt skoncentrowani na różnicy wieku między wcześniejszymi a późniejszymi ofiarami.

Jakby na komendę ogarnęła nas oboje ta sama przerażająca myśl.

– Interwały się zmniejszają – powiedziałam. – Następne dziecko może zostać porwane szóstego lutego. Czyli za mniej więcej dwa miesiące.

## CZĘŚĆ II

## Rozdział 16

Centrum Policyjne opuściliśmy dwadzieścia minut później. Na szczęście dziewczynka, która miała zajmować się moim kotem, przyjechała do przybudówki punktualnie o siódmej. Była tyczkowata i nosiła wielki kapelusz w rodzaju tych, które niegdyś tak lubiły światowe damy. Birdiemu natychmiast przypadła do gustu. Zostawiliśmy ich bawiących się w gabinecie czerwoną kraciatą myszką, którą kot próbował złapać.

Bywam na wielu lotniskach. Nie licząc kwestii odzyskiwania zagubionego bagażu, co trwa dłużej niż przeciętne sierpniowe żniwa, port Douglas w Charlotte jest chyba moim ulubionym. Bujane fotele. Wielki fortepian. Bar sushi. Jednak tego wieczoru – dajcie spokój. Mieliśmy akurat tyle czasu, żeby wziąć coś na wynos i popędzić prosto do bramki.

Koła samolotu oderwały się od asfaltu dokładnie o czasie. Ryan i ja musieliśmy pokonać tysiąc dwieście mil wschodniego wybrzeża, podczas których jedliśmy letnie danie z grilla z frytkami i obmyślaliśmy nasz atak.

Wiedzieliśmy, że będziemy zdani tylko na siebie. Detektywi pracujący w Service de police de la Ville de Montréal, którzy wcześniej zajmowali się tą sprawą, czyli Luc Claudel i Michel Charbonneau, byli niedostępni. Claudel przebywał we Francji, Charbonneau na zwolnieniu zdrowotnym z powodu operacji kolana. Być może dobrze się składało. Biorąc pod uwagę rywalizację poszczególnych organów ścigania, zwłaszcza gliniarzy z prowincji z tymi z wielkich miast, wątpliwe, aby ci ostatni zaoferowali nam istotną pomoc w sprawie sprzed dziesięciu lat.

Gdy Angela Robinson zniknęła w Corning w Kalifornii w 1985 roku, miała lat czternaście. To do niej należał jeden z trzech szkieletów odkopanych w piwnicy pizzerii w 2004. Nie mając już zupełnie innego wyjścia, Slidell zgodził się zadzwonić do departamentu szeryfa okręgu Tehama, aby nieco zmacić im spokój i zobaczyć, co z tego wyniknie. Wykazywał przy tym niewiele optymizmu. Od uprowadzenia Robinson minęło przecież prawie trzydzieści lat.

Pozostałe szkielety należały do Manon Violette i Marie-Joëlle Bastien. Gdy zniknęły w 1994 roku, ta pierwsza miała piętnaście lat, druga szesnaście.

Telefony Ryana w sprawie Bastien nie dały żadnych rezultatów. Pochodziła z Bouctouche w Nowym Brunszwiku, a w okresie dwudziestu lat od porwania dziewczyny jej najbliższa rodzina rozproszyła się po świecie; na miejscu pozostało jedynie kilku kuzynów. O Marie-Joëlle Bastien nikt niczego nie pamiętał, poza tym, że została zamordowana. I że jej szczątki pochowano na cmentarzu w Saint-Jean-Baptiste.

Z Violette poszło Ryanowi trochę lepiej. Rodzice Manon wciąż mieszkali pod tym samym adresem przy bulwarze Édouard-Montpetit w Montrealu. Wprawdzie niechętnie, jednak zgodzili się z nami spotkać nazajutrz.

Rankiem, po ponownym przeanalizowaniu stosownych akt, przesłuchaliśmy *mère* i *père* Violette'ów. Następnie podjęliśmy próbę zlokalizowania Tawny McGee, jedynej ocalałej z królestwa terroru Pomerleau i Catts. Nie tryskaliśmy optymizmem, że wizyta u niej przyniesie wielkie efekty. Trudno. Nie mieliśmy przecież nic innego do roboty.

Kolejny cud w świecie lotnictwa. Wylądowaliśmy przedwcześnie. Taka idealna punktualność sprawiła, że poczułam się dziwnie nieswojo.

Gdy wychodziliśmy z lotniska, uderzył we mnie silny podmuch wiatru, wiejącego znad

tundry. Muszę się przyznać – ciężko westchnęłam. Nieważne, jak często się to dzieje, nigdy nie jestem przygotowana na ów pierwszy lodowaty cios.

Z lotniska Dorval Ryan i ja wzięliśmy taksówkę – podzieliliśmy się jej kosztami. Ponieważ należał, wysiadłam pierwsza. Chyba słusznie. Moje mieszkanie leży w Centreville. Jego po drugiej stronie Rzeki Świętego Wawrzyńca, w betonowym dziwołagu przypominającym klocki Lego, zwanym Habitat 67.

Ryan zaproponował, że odbierze mnie rano. Szczęśliwa, że uniknę jazdy metrem tudzież odmrożeń, zgodziłam się.

Sięgając po klucze, widziałam, że taksówka nadal stoi przy krawężniku; spaliny kłębiły się jak małe cumulusy w czerwonej poświacie tylnych lamp. Czułam się poruszona. Wiedziałam wprawdzie, że nie ma dla nas wspólnej przyszłości, jednak fakt, że on nadal troszczy się o moje bezpieczeństwo, coś przecież znaczył.

Mieszkanie było zimne i ciemne. Zanim zdjęłam swoją jesienną południową kurtkę, tutaj absolutnie niedorzeczną, podkreśliłam termostaty. Bardzo. Szum uruchamiającego się pieca rozległ się w panującej ciszy.

Po pobieżnym obmyciu twarzy i zębów narzuciłam na siebie sweter i padłam na łóżko.

Śnił mi się śnieg.

Obudziłam się w jaskrawym świetle słońca, sączącym się przez żaluzje. Wiedziałam, że dzień będzie zimny jak cholera.

W szafce nie znalazłam nic, nawet kawy. Wolałam darować sobie śniadanie niż lecieć do narożnego *dépanneur*.

Ryan zadzwonił o 7.55, skręcając w moją ulicę. Wyszukałam ciepłą kurtkę marki Kanuk, grube rękawiczki i szalik. Założyłam ciężkie buty i wyszłam.

Nie pomyliłam się. Powietrze było rześkie, w moim nosie ślizgały się w tę i z powrotem maleńkie kryształki lodu. Słońce było zbitą białą kulą wiszącą nisko na nieskazitelnie błękitnym niebie.

Pośpieszyłam do jeepa Ryana i wskoczyłam do środka.

Ryana nigdy nie męczyły żarciki z mojego nieprzystosowania do polarnego klimatu. Dziś jednak milczał. Jego skóra miała szary odcień, pod powiekami widniały ciemne półksiężyce.

Na jego brodzie zobaczyłam nieco zakrzepłej krwi, pewnie w miejscu, gdzie zaciął się przy goleniu. Zastanawiałam się, czy w ogóle spał. Jeśli tak, zapewne śniła mu się pustka, przybierająca kształt Lily, która na zawsze pozostanie w jego życiu.

Zastanawiałam się również, czy dzwonił już do swoich ludzi, a może wolał pojawić się niezapowiedziany. Tak czy owak podejrzewałam, że lękał się tego spotkania.

Z pewnością. Ale o nic nie zapytałam.

Ruch w całym Centreville i w tunelu Ville-Marie był zaskakująco niewielki. O ósmej piętnaście zaparkowaliśmy przy Édifice Wilfrid-Derome, wysokościowcu w kształcie litery T w dzielnicy robotniczej, nieco na wschód od centrum miasta.

Oto, jak wygląda moja sytuacja zawodowa.

Od prawie dwudziestu lat pracuję jako antropolog sądowy w Laboratoire de Sciences Judiciaires et de Médecine Légale, czyli centralnym laboratorium kryminalistycznym prowincji Quebec. A Charlotte w Karolinie Północnej? A Montreal? No tak. Dojazd do pracy może sprawiać trochę trudności. Lecz to historia na inną okazję.

LSJML zajmuje dwa górne piętra gmachu Wilfrida-Derome'a, jedenaste i dwunaste. Bureau

du coroner mieści się na dziewiątym i dziesiątym. Kostnica i prosektorium w piwnicach.

Ryan pracuje jako lieutenant-detective w policji prowincji, zwanej Sûreté du Québec. SQ zajmuje pozostałą część budynku.

Weszliśmy frontowymi drzwiami, przeciągnęliśmy nasze karty magnetyczne przez czytniki i minęliśmy pikające wykrywacze metalu. Ryan pojechał windą do Service des enquêtes sur les crimes contre la personne, mieszczącego się na pierwszym piętrze. Ja czekałam na specjalną windę do LSJML i działu koronera.

Jechałam nią z kilkunastoma innymi osobami, co chwila mrucząc „Bonjour” i „Comment ça va?”. O tej porze każde „dzień dobry” i „co słytać” jest równie zdawkowe w każdym języku.

Jakaś kobieta z działu balistyki spytała, czy to ja właśnie przyjechałam z Karoliny. Potwierdziłam. Zaciekawiała ją pogoda. Gdy odpowiedziałam, wszyscy współpasażerowie jęknęli.

Pięcioro z nas wysiadło na jedenastym piętrze. Po przejściu wykładanego marmurem holu przeciągnęłam inną kartę magnetyczną przez czytnik, a potem raz jeszcze, by dostać się do skrzydła medyczno-sądowego. Tablica ścienna informowała, że obecnych jest tylko dwóch patologów, Jean Morin i Pierre LaManche, szef. Pozostali zeznawali w sądach, nauczali albo wzięli urlopy.

Idąc dalej korytarzem, z lewej strony minęłam laboratoria histopatologii, z prawej zaś biura medyków sądowych. Przez okna obserwacyjne i otwarte drzwi widziałam sekretarki włączające komputery, techników stukających w klawisze, naukowców i analityków wkładających fartuchy. Wszyscy bez wyjątku pochłaniali morze kawy.

Laboratorium antropologiczno-odontologiczne było ostatnie w szeregu. Aby do niego wejść, użyłam zwykłego staromodnego klucza.

Ostatnio byłam tutaj prawie miesiąc temu. Biurko miałam zarzucone listami, ulotkami i reklamami. A także paczką zdjęć od fotografa z Division d'identité judiciaire. Egzemplarz „Voir Dire”, plotkarskiej gazetki LSJML. Jeden formularz *demande d'expertise en anthropologie*.

Zdjąwszy swą grubą odzież, przejrzałam wniosek o konsultację antropologiczną. Na polu jakiegoś farmera niedaleko Saint-Chrysostome znaleziono kości. Mogły należeć do człowieka, dlatego LaManche chciał dostać pełny profil biologiczny, określenie przypuszczalnego czasu zgonu oraz analizę urazową.

Jęknęłam w duchu, podeszłam do bocznego kontuaru i otworzyłam brązową papierową torbę z numerami ewidencyjnymi SQ. W środku znajdował się kawałek piszczeli, jeden paliczek i jedno żebro. Żadna z tych kości nie należała do człowieka. To dlatego LaManche nie dzwonił do mnie do Charlotte. Wiedział. Ale jako perfekcjonista staruszek zachował te szczątki, bym sama je oceniła.

Kupiłam sobie kawę, wróciłam do laboratorium, po czym z szarej metalowej szafki na dokumenty, stojącej w rogu mojego biurka, wyjęłam foldery z aktami. LSJML-38426, LSJML-38427, LSJML-38428. System ewidencyjnym był tu odmienny, ale okładki akt tak samo neonowożółte jak w zakładzie medycyny sądowej w Charlotte.

Zaczęłam od analizy zdjęć. I natychmiast znów znalazłam się w tej piwnicy, ze szczurami, odpadkami i smrodem rozkładu.

Kości Manon Violette leżały w nieładzie, w skrzynce z napisem *Dr. Energy's Power Tonic*. Szkielet Marie-Joëlle Bastien spoczywał w płytkim grobie, nieosłonięty. Angelę Robinson zawinięto w zbutwiały skórzany całun.

Migawki. Moje ustalenia. Raporty SQ i policji metropolitalnej. Wyniki badań laboratoryjnych. Ostateczna pozytywna identyfikacja. Nazwiska sprawców. Pomerleau. Catts alias Menard.

W pewnej chwili zatrzymałam się dłużej na fotografii domu przy ulicy de Sébastopol, miejscu zdarzenia. Pomyślałam o jego pierwszych właścicielach, dziadkach Menarda, nazwiskiem Corneau. Ciekawe, czy kiedykolwiek przeprowadzono śledztwo w sprawie wypadku drogowego, w którym oboje zginęli.

Czytanie tych akt wywoływało we mnie wrażenie, jakbym cofnęła się o dziesięć lat.

Dwie godziny później siedziałam oparta w swoim fotelu, sfrustrowana i zniechęcona. Nie znalazłam niczego, czego bym wcześniej nie wiedziała. Z jednym wyjątkiem: Angela Robinson złamała sobie nadgarstek, spadając z huśtawki w wieku ośmiu lat. O tym zapomniałam.

Zegar na ścianie wskazywał 10.40.

Napisałam krótki raport na temat kości spod Saint-Chrysostome. *Odocoileus virginianus*. Mulak białoogonowy. Potem poszłam powiedzieć o tym LaManche'owi. Nie było go w gabinecie. Zostawiłam wiadomość.

Zgodnie z umową spotkałam się z Ryanem o jedenastej w holu.

André i Marguerite Violette mieszkali w Côte-des-Neiges, dzielnicy słynącej z rozległego cmentarza oraz Université de Montréal, nie zaś z architektury niezwyklej urody. Podobnie jak Westmount, zamieszkane przez zamożną ludność anglojęzyczną, oraz Outremont, jej francuski odpowiednik, kwartał ten wznosi się wyżej, ponad Centreville. Zajmują go pospołu studenci i przedstawiciele klasy średniej i robotniczej, a niektóre z tutejszych miejsc, surowych w klimacie, sprawiają, że dzielnica jest interesująca.

Dwadzieścia minut po naszym wyjściu z Wilfrid-Derome Ryan zatrzymał samochód przy krawężniku na bulwarze Édouarda Montpetita, o rzut beretem od kampusu uniwersyteckiego. Oboje rozglądaliśmy się przez chwilę.

Wzdłuż ulicy ciągnęły się domki bliźniaki i niskie apartamentowce z czerwonej cegły, proste i funkcjonalne. Żadnych wieżyczek, dachów z mansardami, klatek schodowych z zawijasami. Brak wszelkiej kapryśności, która przydaje Montrealowi jego czaru.

Budynek Violette'ów nie różnił się od innych. Adres pasował do dwukondygnacyjnego ceglanego pudełka, przyklejonego do innego dwukondygnacyjnego ceglanego pudełka, do których wchodziło się po schodkach z boku.

- Przypomnij mi – powiedziałam – czym zajmuje się ten André.
- Był monterem rur. Nadal jest.
- A Marguerite?
- Prasuje mu koszule.
- O ile dobrze pamiętam, facet jest trudny.
- To zarozumiały mały palant.
- Ujmująca fraza.
- To, co chciałbym powiedzieć, jest niecenzuralne.

Wysiedliśmy z samochodu i wspięliśmy się po schodach do drzwi; sztywne metalowe stopnie dzwoniły z każdym naszym krokiem.

Gdy Ryan nacisnął guzik, usłyszałam stłumiony podwójny gong, a potem rozległo się warknięcie, jakby doberman ostrzegał swoich właścicieli. Po paru sekundach szczęknięty zamki i drzwi się otworzyły.

André Violette wyglądał na mniejszego, niż go zapamiętałam, niższego i chudszeo. Miał teraz farbowane włosy, matowe i nieubłaganie czarne. Styl fryzury z lat pięćdziesiątych nie

zmienił się u niego od 2004 roku. Podobnie jak postawa typu „pocałujcie mnie w dupę”.

– Chyba nas pan pamięta? Jestem detektyw Ryan. A to doktor...

– Wiem, kim jesteście.

– Dziękuję, że zgodził się pan z nami spotkać.

– Pfff. A dalszcie mi jakiś wybór?

Joual to dialekt języka francuskiego występujący w Quebecu. Posługuje się nim wiele osób bez wykształcenia, inne natomiast używają go celowo, manifestując swą przynależność do frankofonów. Akcent André był silniejszy, niż pamiętałam. Jego *moi* brzmiało nosowo, jak „moe”, a *toi* jak „toe”. Wątpiłam, by za tym wyborem leksykalnym stały poglądy polityczne.

– Bardzo nam przykro...

André mi przerwał.

– I wyrażacie swoje kondolencje. Słyszałam tę gadkę dziesięć lat temu.

– Nadal staramy się znaleźć kobietę, która skrzywdziła pańską córkę.

Brak odpowiedzi.

– Możemy wejść? – Ton głosu Ryana świadczył, że to czysto retoryczne pytanie.

André wycofał się do wnętrza domu. Poszliśmy za nim przez krótki korytarz do salonu, przepełnionego zwalistymi sofami, krzesłami i rzeźbionymi meblami z mahoniu. Na każdym stoliku stała lampa z frędzlami, każde oparcie siedzenia chroniła papierowa serweta o koronkowym wzorze. Na półkach po obu stronach malowanego ceglanego kominka ustawiono bibeloty, posążki świętych i fotografie w ramkach.

André opadł na fotel i założył nogę na nogę. Jego uniesiona stopa wyglądała na nienaturalnie dużą w poplamionym solą bucie.

Gdy Ryan i ja zasiedliśmy na przeciwległych krańcach kanapy, w drzwiach po naszej lewej zmaterializowała się kobieta. Jej włosy, niegdyś brązowe, siwiały. Nie starała się tego ukryć. Polubiłam ją za to.

André też dostrzegł żonę.

– Wszystko w porządku...? – zaczęła.

Mężczyzna machnął niecierpliwie ręką. Kobieta podeszła szybko do krzesła, ręce miała zaciśnięte na piersiach.

Nigdy dotąd nie spotkałam Marguerite Violette. W 2004 roku kontaktowałam się tylko z André. To on składał zeznania dotyczące ostatnich chwil dziewczyny przed śmiercią. To jemu przekazałam informację o ustaleniu tożsamości ofiary.

Przypomniała mi się jego dziwna reakcja. Nie płakał, nie wypytywał, nie krzyczał. Wyciągnął z kieszeni batonik Mr. Goodbar, zjadł go do połowy, wstał i wyszedł z mojego gabinetu.

Widząc Violette'ów razem, zrozumiałam sposób ich funkcjonowania.

– Czy ktoś miałby ochotę na...? – znów zaczęła Marguerite.

– To nie jest towarzyska wizyta. – Przerwał jej mąż. Zwracając się do Ryana, zapytał: – I co? Złapaliście wreszcie tę wariatkę?

– Przykro mi, że nie mogę tego potwierdzić. Jeszcze nie. Ale są nowe tropy.

André pokręcił głową. Marguerite wyraźnie zapadła się w sobie.

– Mamy powody sądzić, że kobieta zamieszana w porwanie państwa córki...

– Morderstwo mojej córki. – Stopa André podskoczyła na jego kolanie.

– Tak jest. Sądzymy, że porywaczka państwa córki przebywa teraz w Stanach Zjednoczonych.

– Anique Pomerleau. – Szept Marguerite był ledwo słyszalny.

Ryan kiwnął głową.

– Najnowsze dowody wskazują, że w dwa tysiące siódmym roku Pomerleau była w Vermontcie, a obecnie znajduje się gdzieś w Karolinie Północnej.

– Jakie dowody? – zapytał André.

– DNA.

Oczy Marguerite rozszerzyły się. Miała niebieskie tęczęwki, nakrapiane punkcikami barwy karmelu.

– Czy ona skrzywdziła kolejne dziecko?

– Przykro mi – powiedział Ryan miękko. – Nie mogę ujawniać szczegółów śledztwa.

– Więc aresztujcie sukę – warknął André. – Dobrze, że jest w Stanach. Mają tam karę śmierci.

– Angażujemy wszelkie dostępne środki, żeby ją znaleźć.

– I tylko tyle? Dziesięć lat, a wy mówicie, że morderczyni naszej córki zostawiła trochę śliny to tu, to tam? Wielkie mi, kurwa, halo. – Ostatnie słowa wygłosił po angielsku. – Jesteście do niczego. Za chwilę powiecie, że porwał ją Bonhomme Sept Heures.

– Mieli państwo wiele czasu na zastanawianie się – powiedziałam łagodnie. – Może któreś z was przypomniało sobie jakiś szczegół, który nie wyszedł na jaw wtedy, gdy Manon zaginęła. Albo wydawał się nieistotny. Każda najdrobniejsza informacja bywa przydatna.

– Przypomniało? O tak, ja pamiętam. Każdy dzień. – Jego oblicze stwardniało, w głosie pojawił się jad. – Pamiętam, jak moja mała lubiła rzucać kołdrę i spała ukosem na łóżku. Jak uwielbiała tęczowy sorbet. Jak opatrywałem jej kolano, kiedy spadła z roweru. Jak jej włosy pachniały pomarańczą, kiedy je myła. Jak wsiadła do pierdolonego metra i nigdy nie wróciła.

Szczęka André zacisnęła się gwałtownie. Jego policzki gorzały czerwonymi plamami gniewu.

Ryan złapał mnie wzrokiem. Zrozumiałam wiadomość i milczałam.

Jednak żadne z Violette'ów nie wydawało się skłonne przerwać niezręcznej ciszy, która zapadła po tym wybuchu. André wciąż się nie odzywał. Marguerite oddychała szybko i płytko, na jej twarzy walczyło ze sobą tysiąc różnych emocji.

Patrzyłam w oczy André, czytałam język jego ciała. Widziałam mężczyznę skrywającego ból za fanfaronadą macho.

Minęła pełna minuta. Ryan przemówił pierwszy.

– Właśnie o takie wspomnienia nam chodzi, bo mogą okazać się użyteczne.

– Tak, coś mi się przypomniało. Mam dziś spotkanie kółka robótek ręcznych. – Stopa André znów tańczyła na jego kolanie. – Koniec rozmowy.

– Panie Violette...

– Mam prawo do zachowania milczenia, tak?

– Nie jest pan podejrzanym.

– I tak skorzystam z tego prawa.

– Dziękuję za poświęcony czas. – Ryan wstał. Poszłam w jego ślady. – Raz jeszcze proszę przyjąć nasze kondolencje.

André wciąż siedział, jego myśli krążyły niewątpliwie gdzieś indziej niż wokół igły z nitką.

Marguerite odprowadziła nas do holu. W drzwiach położyła rękę na moim ramieniu.

– Nie osądzajcie mojego męża zbyt surowo. To dobry człowiek.

Smutek w niebiesko-karmelowych oczach zdawał się bezdenny.



## Rozdział 17

- Co to jest Bonhomme Sept Heures? – zapytałam Ryana, gdy wróciliśmy do jeepa.
  - *Excuse-moi*?
  - André użył tego wyrażenia.
  - No tak. Bonhomme Sept Heures to znane w Quebecu lichy, które porywa dzieci po godzinie dziewiętnastej.
    - Jaki jest jego modus operandi?
- Ryan parsknął, przez oba nozdrza posyłając w powietrze strużki pary.
- Nosi maskę i worek, ukrywa się pod balkonem, dopóki zegar nie wybije siódmej.
- Bajka do straszenia dzieci, aby poszły szybciej spać.
- Ale naprawdę straszna, gdy okazuje się prawdą.
- Tak.
- To była strata czasu. – Ryan wsunął na nos okulary przeciwsłoneczne.
- Przynajmniej Violette’owie wiedzą, że nie zrezygnowaliśmy.
- Pewnie, już otwierają butelkę szampana.
- Miałeś złą noc?
- Ryan włączył kierunkowskaz.
- Wyglądasz, jakbyś spędził ją w jakimś ciemnym i wilgotnym miejscu.
- Moja próba rzucenia żarciku nie spotkała się z reakcją. Skręcił w prawo, potem znowu i wreszcie w lewo. Dając mi wyraźnie do zrozumienia, że pragnie dystansu.
- Rękawiczką starłam parę z szyby i wyjrzałam przez okno. Piesi tłoczyli się na chodnikach z obu stron Queen Mary, zbijali w grupki na skrzyżowaniach, niecierpliwie czekając na okazję do ich przekroczenia. Studenci z plecakami. Ludzie robiący zakupy, z plastikowymi lub papierowymi jednorazówkami w rękach. Matki pchające wózki. Wszyscy ubrani tak, jak w Arktyce należy.
- Niezrażona, spróbowałam ponownie.
  - Namierzyłeś Tawny McGee?
  - Pracuję nad tym.
  - Jej rodzina nadal mieszka w Maniwaki?
  - Nie.
  - Matka żyła sama, prawda? Z dwójką dzieci?
  - Tak.
  - Czy jej siostra nie mieszkała gdzieś na zachodzie?
  - Sandra Catherine? W prowincji Alberta.
  - I wciąż tam jest?
  - Nie.
  - Co dalej? – spytałam, ponieważ Ryan nie rozwinął swojej wypowiedzi.
  - Sabine Pomerleau.
  - Więc matka Anique jeszcze żyje? – Spojrzałam na niego z ukosa.
- Gdy zwrócił twarz w moją stronę, w jego okularach odbiło się słońce. Potem znów skierował wzrok na drogę.

Rozsiadłam się wygodniej. Oczywiście, moje pytanie było głupie. Mimo całej naszej desperacji nie jechalibyśmy przecież przesłuchiwać zwłoki.

Jednak słowa Ryana zaskoczyły mnie. Małżonkowie Pomerleau pobrali się późno, przez wiele lat starali się o potomka. Po wielu udrękach i modlitwach w 1975 roku Bóg zesłał im wreszcie Anique, cudowne dziecko. Ona miała czterdzieści trzy lata, a jej mąż czterdzieści osiem. W ten sposób Sabine przedstawiła historię narodzin swojej córki.

Szybko obliczyłam w pamięci. Sabine musi mieć teraz osiemdziesiąt dwa lata, jej mąż osiemdziesiąt siedem.

– Jacques jeszcze żyje?

– Kopnął w kalendarz w dwa tysiące szóstym.

Zastanawiałam się, czy zła sława, jaką okryło się to cudowne dziecko, nie wpędziła jego ojca do grobu. Zatrzymałam tę myśl dla siebie.

Ledwie zaparkowaliśmy przed dwukondygnacyjnym, szarym domkiem jednorodzinym z kamienia w dzielnicy Notre-Dame-de-Grâce, zabręczał mój iPhone. Gdy wyciągałam go z torebki, Ryan udał, że pali papierosa, przykładając dwa palce do ust. Wysiadł z jeepa. Odebrałam telefon.

– Brennan, słucham.

– Lepiej spędziłbym ten czas, dłubiąc sobie w zębach.

Obraz Slidella pracującego przed lustrem nad swym uzębieniem nie należał do szczególnie przyjemnych.

– Rozmawiałeś z okręgiem Tehama?

– Z samym wielkim szeryfem. Willisem Troutem. Facet ma mózdzek jak...

– Czy ten Trout pamięta sprawę Angeli Robinson?

– Wątpię, żeby pamiętał, jak się kicha bez polecenia.

Czekałam.

– Nie. Ale kiedy już przekonałem kolesia, że nie jestem jakimś wariatem, zgodził się zajrzeć do akt. Przed chwilą do mnie oddzwonił. To ci się powinno spodobać. – Slidell pozwolił sobie na kolejną teatralną pauzę. – Przepadły.

– Przepadły?

– Robinson została uprowadzona w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku. W tamtych czasach wszystko zapisywano jeszcze na papierze. Kiedy sprawę zamrożono, akta wylądowały w piwnicy. Co okazało się naprawdę fatalnym posunięciem, ponieważ rzeka Sacramento lubi co parę lat narozrabiać i zalewa cały ten pieprzony okręg.

– Więc dokumenty uległy zniszczeniu?

– Piwnicę zalało w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, a potem w dwa tysiące czwartym.

– Pytałeś Trouta o Menarda i Cattsa?

– Jak on to ujął? Biorąc pod uwagę, że obaj nie żyją od lat, co pewnie się już nie zmieni w przyszłości, on nie będzie tracić czasu na poszukiwania ich danych.

Bardzo długo na linii słyhać było tylko ciszę. Za szybko widziałam Ryana rozmawiającego przez komórkę. A potem Slidell podzielił się ze mną jedyną dobrą wiadomością, jaką słyszałam od dawna.

– Być może poszczyściło się nam z komputerem Leal. Informatyk zastosował jakieś magiczne oprogramowanie do odzyskiwania danych, defragmentowanie czy jak to się, cholera, nazywa.

- Fragmentów historii wyszukiwania.
- No. Mówi, że skasowano je po amatorsku. Uważa, że jest szansa na wychwycenie paru stron internetowych, na które wchodziła ta mała.
- To fantastycznie.
- Albo to wielka strata czasu.
- Mam przeczucie, że coś tam jest. W przeciwnym razie po co ktoś chciałby wymazać całą historię odwiedzin internetowych tego dziecka?
- Ija.
- Opowiedziałam Slidellowi, czym się zajmujemy z Ryanem.
- Tutejsze media są żądne krwi. Ale jak na razie sprawa pozostaje na gruncie lokalnym.
- Jak sytuacja z Tinkerem?
- Chcesz tym pytaniem zepsuć mi dzień?
- Informuj mnie o wszystkim – zakończyłam.

Dołączyłam do Ryana stojącego na chodniku. Przestał już rozmawiać i rozglądał się po okolicy. Ulica była spokojna, rosły przy niej duże drzewa, teraz bezlistne, i ciągnęły się szeregi domków, prawdopodobnie jednorodzinnych. Przed każdym z nich widać było dobrze utrzymany trawnik, obecnie zbrązowiały, oraz owinięte w jutę krzewy. Kilka siedzib miało przenośne plastikowe garaże, które *les Montréalais* nazywają *abris tempos*.

Spojrzałam za siebie, na dwie zrosnięte ścianami budowle, a potem na Ryana.

- W latach osiemdziesiątych powstał tu dom starców – powiedział.
- Politycznie poprawna nazwa brzmi „ośrodek opiekuńczy”.
- A powinna brzmieć „asystowania przy śmierci”.

Nie ma jak dowcipna riposta podtrzymująca na duchu.

Krótką ścieżką prowadziła do schodków, te z kolei do drewnianych drzwi na lewym końcu werandy ciągnącej się wzdłuż całego budynku. Stało na niej sześć drewnianych foteli, każdy został pomalowany na inny kolor, zapewne wtedy, gdy dom zmieniono w ośrodek. Balkon na pierwszym piętrze zapewniał osłonę przed śniegiem i deszczem. Widać było na nim kolejne cztery podniszczone fotele. W jednym, opatulony niczym eskimoski myśliwy, siedział starszy mężczyzna, wystawiając twarz na słońce.

Wspięliśmy się po schodach i weszliśmy do środka.

We wnętrzu domu panowało mdłe ciepło, pachniało środkami do dezynfekcji, moczem oraz serwowanym całymi latami stołówkowym jedzeniem. Po prawej mieściła się niewielka poczekalnia, kiedyś zapewne salon, po lewej natomiast klatka schodowa. Przed nami znajdowała się jadalnia oraz korytarz prowadzący bezpośrednio do czegoś, co wyglądało na oszkloną werandę. Z obu stron korytarza ciągnęły się drzwi, wszystkie zamknięte.

Gdy Ryan wszedł do środka, gdzieś w głębi domu musiał rozlec się dzwonek. Ledwie zdążył zamknąć za sobą drzwi, w naszym kierunku zmierzała już jakaś kobieta. Miała skórę barwy czekolady, włosy gęste i posrebrzone, spięte na czubku głowy. Nosiła pospolity biały uniform dużego rozmiaru. Na małej mosiężnej plakietce ponad jej prawą piersią widniał napis *M. Simone, pielęgniarka*.

– *Puis-je t'aider?* Mogę w czymś pomóc? – Szeroki uśmiech odsłonił zęby nazbyt białe, żeby były prawdziwe.

– Przyszliśmy zobaczyć się z Sabine Pomerleau – odpowiedział Ryan po francusku.

– Jesteście państwo z rodziny? – Niewątpliwie wiedziała, że nie jesteśmy.

Ryan wyciągnął odznakę. Simone rzuciła na nią okiem. Potem powiedziała:

– Obawiam się, że madame Pomerleau w tej chwili śpi.  
– Obawiam się, że będziemy musieli ją obudzić – Ryan w najmniejszej mierze nie starał się roztaczać swego dawnego uroku.  
– To może zaszkodzić jej zdrowiu.  
– Bo nastawiła sobie budzik, żeby wcześniej wstać na poranną zmianę do fabryki?  
Za słonecznym nastawieniem Simone wyczułam teraz odrobinę irytacji. Odrobinę czegoś jeszcze. Ale jej uśmiech nie zgasł.  
– Czy to ma coś wspólnego z jej córką?  
Ryan tylko na nią spojrział.  
– Muszę państwa ostrzec. Rozmowa z madame Pomerleau może być problematyczna. Ma alzheimera, a po niedawnym udarze ledwo mówi.  
– Przyjąłem do wiadomości.  
– Proszę poczekać tutaj.  
Simone wróciła po niecałych pięciu minutach, po czym zaprowadziła nas do maleńkiego pokoju na pierwszym piętrze, w którym znajdowały się dwa łóżka, dwie komody i dwa zwykłe krzesła. Spłowiała zielona tapeta na ścianach sprawiała, że ciasne pomieszczenie wydawało się jeszcze bardziej klaustrofobiczne.  
Jego jedyna mieszkanka, kobieta, siedziała sztywno na łóżku, trzymając w ręku rozpadającego się, wypchanego kota. Kiedy go głaskała, jej kości, widoczne spod rękawów i znad kołnierza różowego flanelowego szlafroka, sprawiały wrażenie kruchych i delikatnych jak u ptaka.  
– Ma pani gości – Simone powiedziała to bardzo głośno.  
Twarz Sabine była pomarszczona, policzki cętkowane czerwonymi i niebieskimi naczynkami krwionośnymi. Wodniste zielone oczy nie rejestrowały niczego.  
– Wróć za dziesięć minut – zwróciła się Simone do Ryana.  
– Postaramy się jej nie zdenerwować – rzekłam.  
– Nie uda się wam. – Wygłosiwszy ten dziwny komentarz, Simone pospiesznie wyszła.  
Ryan i ja ustawiliśmy sobie oba krzesła w pobliżu łóżka i usiedliśmy.  
– *J'espère que vous allez bien.*  
Wobec braku odpowiedzi Ryan zapytał po angielsku, czy kobieta miewa się dobrze.  
Wciąż niewiele wskazywało na to, że staruszka nas słyszy.  
– Chcielibyśmy porozmawiać o Anique.  
Nic poza mrugnięciem.  
Ryan podwyższył poziom decybeli i przeszedł na francuski.  
– Miała może pani jakieś wiadomości od Anique?  
Jedną ręką nadal głaskała kota, niebieskie żyły wiły się niczym dżdżownice pod skórą z wątrobowymi plamami.  
Minęła pełna minuta. Ryan spróbował ponownie, z tym samym rezultatem.  
Zasygnalizowałam swoją kolej.  
– Madame Pomerleau, mamy nadzieję, że pomoże nam pani zlokalizować jej córkę. – Mówiłam głośno, ale uspokajająco. – Otrzymała pani jakieś wiadomości od Anique?  
Milczenie. Zauważyłam, że kot nie ma wąsów po lewej stronie pyska.  
– Czy domyśla się pani, dokąd Anique udałaby się w trudnej sytuacji?  
Równie dobrze mogłam przemawiać do gargulca w swoim ogrodzie.  
Zadałam jeszcze kilka pytań, powoli i wyraźnie.  
Nic z tego.

Spojrzałam na Ryana. Pokręcił głową.

Gdy sprawdzałam godzinę na zegarku, na schodach rozległy się kroki. Spróbowałam po raz ostatni.

– Obawiamy się, że Anique może kogoś skrzywdzić, jeśli jej szybko nie znajdziemy.

Kobieta zachowywała się tak, jakby nas tu wcale nie było.

W drzwiach stała Simone, z wyrazem twarzy w rodzaju „a nie mówiłam” na tle chłodnego uśmiechu. Odstawiliśmy z Ryanem krzesła na miejsce i podeszliśmy do niej.

Głos był ochryply i głęboki. Przez telefon wzięłabym go za męski.

– *Avec les saints. Saint-Jean.* – A potem, z ciężkim akcentem, dodała po angielsku: – Pochowana.

Odwróciliśmy się. Bardzo stara ręka zatrzymała się na swojej paskudnej zabawce.

– Anique jest u świętych? – powtórzyłam. – Pochowana u Świętego Jana?

Ale ta chwila już minęła. Starcza ręka powróciła do pieszczoty martwego futerka. Wodniste oczy pozostawały skupione na wspomnieniu, które widziały tylko one.

Na zewnątrz słońce przebijało się przez palczaste obłoki. Powietrze zdawało się jeszcze zimniejsze niż wcześniej. Popatrzyłam do góry. Staruszek zniknął z balkonu.

– Co o tym sądzisz? – zapytałam Ryana, wciągając rękawiczki.

– Siostra Uśmieszek ostrzegła pacjentkę, że w domu jest policja.

– Ona naprawdę sądzi, że Anique nie żyje? – Tknęła mnie nagła myśl. – Marie-Joëlle Bastien została pochowana na cmentarzu Saint-Jean-Baptiste w Bouctouche. Czyżby Sabine myliła Anique z Marie-Joëlle?

Ryan uniósł ramiona i brwi do góry.

– A może chciała wprowadzić nas w błąd?

– Jeśli udawała, to jej gra zasługiwała na Oscara.

– Wiesz, kto płaci za jej opiekę?

– Jakiś bratanek z Mascouche. Pieniądze pochodzą z masy spadkowej, więc niekoniecznie go to dużo kosztuje.

Wsiadliśmy do jeepa. Ryan przekręcał właśnie kluczyk, gdy zabręczał jego telefon. Odebrał. Usłyszałam liczne *oui*, kilka jednowyrazowych pytań, a potem prośbę:

– Prześlij mi ten adres esemesem.

– Kogo adres? – zapytałam, gdy się rozłączył.

– Czyj.

– Doprawdy? – Choć doceniłam przejaw lepszego humoru u Ryana, dwie wizyty złożone przez nas tego dnia nie podtrzymały mnie w dobrym nastroju.

– Tawny McGee.

## Rozdział 18

Prowadząc samochód, Ryan podzielił się ze mną informacjami uzyskanymi od kolegi z pracy. Znałam przeszłość Tawny McGee, nie miałam jednak pojęcia, co się z nią działo po roku 2004.

Oto, co już wcześniej wiedziałam: przez pięć lat Bernadette Higham żyła z mężczyzną nazwiskiem Harlan McGee. Pracowała jako recepcjonistka w niewielkim prywatnym gabinecie dentystycznym w Maniwaki. On był kierowcą tira.

Nie byli małżeństwem, ale mieli dwie córki. Sandra urodziła się w 1985 roku, gdy Bernadette skończyła dziewiętnaście lat, a Harlan dwadzieścia dziewięć. Tawny przyszła na świat w 1987.

Tydzień po jej drugich urodzinach Harlan wyjechał w trasę do Vancouveru i nigdy nie wrócił. Cztery miesiące później Bernadette otrzymała list z informacją, że tak już pozostanie. W kopercie znajdowało się także czterysta dolarów.

W 1999 roku młodsza córka Bernadette zniknęła podczas zabawy w parku. Tawny McGee miała wtedy dwanaście lat. Czas mijał, a śledztwo w jej sprawie nie przynosiło żadnych rezultatów. W roku 2004 Tawny została uwolniona z piwnicy, w której Anique Pomerleau poddawała swoje ofiary torturom.

A oto, czego się dowiedziałam od Ryana: cztery miesiące po powrocie Tawny do domu dentysta z Maniwaki przeszedł na emeryturę i zamknął gabinet. Doceniając lata lojalnej pracy swojej podwładnej, załatwił jej posadę recepcjonistki i księgowej w firmie zwalczania szkodników, prowadzonej przez jego brata, pod warunkiem, że Bernadette zechce przeprowadzić się do Montrealu. Niezadowolona z pomocy psychologicznej dla Tawny, w nadziei na poprawę jej kondycji Bernadette spakowała manatki i wyruszyła na wschód kraju.

Po roku wyszła za Jacoba Kezeriana, syna deratyzatora. Kezerianie mieszkali obecnie na przedmieściach Montrealu, zwanych Dollard-des-Ormeaux.

Bernadette zgodziła się porozmawiać z nami. Dlatego, gdy minęła piętnasta, jechaliśmy w kierunku jej domu.

Miasto Montreal zajmuje między innymi niewielki skrawek ziemi usytuowany pośrodku Rzeki Świętego Wawrzyńca. Pod nazwą Wyspa Zachodnia – po francusku: l'Ouest-de-l'Île – kryje się skupisko przedmieść w zachodniej części metropolii oraz ich zaplecze.

Wyspa Zachodnia składa się z terenów zielonych, ścieżek rowerowych, szlaków narciarstwa biegowego, pól golfowych oraz ekologicznych farm, wciśniętych pomiędzy zamożne osiedla-sypialnie. Zaludniają je maklerzy giełdowi, prawnicy, bankierzy i właściciele firm.

Historyczny podział mieszkańców Montrealu opiera się na zróżnicowaniu językowym: społeczność francuska zamieszkuje część wschodnią, angielska – zachodnią. W ostatnich latach separacja ta nieco się zatarła. Mimo wszystko Wyspa Zachodnia pozostaje zdecydowanie anglofońska. Jak na ironię, ponieważ jeszcze w latach 60. XX wieku region ten zamieszkiwali głównie farmerzy les Français.

Pół godziny po naszym wyjściu od Sabine Pomerleau Ryan skręcił jeepem w ulicę, która mogłaby stanowić doskonały plan filmowy dla serialu *Leave It to Beaver*. Trawniki przed domami były identycznych rozmiarów i kształtów. Każdy dzieliła na połowę centralna ścieżka, przy której ciągnęły się połacie gołej ziemi, puste zimą, albo owinięte w jutę krzewy.

Budynki były równie homogeniczne; każdy stanowił wariację projektu skromnego domku

jednorodzinne typu *la belle province* – kamienna bądź tynkowana elewacja, niebieskie lub brązowe drewniane elementy wykończenia, okna mansardowe na poddaszu, niżej mały ganek.

- Tawny mieszka z matką i ojczymem?
- Myślałem, że tym się dopiero zajmiemy. Najpierw rozejrzyjmy się po okolicy.
- Twój kolega nie pytał?
- Tego nie powiedziałem.
- A pytał?
- Nie.

Zdziwiona, uniosłam brew.

- Ta mała chyba ciągle ma jakieś problemy.
- Tawny nie jest już taka mała. Skończyła dwadzieścia siedem lat.
- Nie chcę, żeby Bernadette znów przechodziła przez ten matczyzny koszmar.
- Ona wie, że bardzo pomogłeś w znalezieniu jej córki?
- Owszem.
- Jak zareagowała na twój telefon?

Ryan zastanawiał się chwilę.

- Sprawiała wrażenie czujnej.
- Bo zasugerowałeś, że przyjedziemy z nią porozmawiać?
- Niczego nie sugerowałem. Ale mogła wyciągnąć taki wniosek.

Przewróciwszy oczami, weszłam za Ryanem na ścieżkę prowadzącą do domu pomiędzy opatuloną roślinnością. Drzwi i sąsiednie okna zdobiły sznury różnokolorowych lampek. Z żelaznej kołatki w kształcie lilii zwisał plastikowy świąteczny Mikołaj. Ryan zastukał dwa razy, a potem cofnął się o krok.

Otworzyła nam dobrze utrzymana brunetka, bardzo starająca się wyglądać na młodszą niż była w rzeczywistości. Miała uderzająco turkusowe oczy, co było możliwe zapewne tylko dzięki soczewkom kontaktowym. Makijaż był przesadny, pasemka we włosach stanowczo zbyt jasne, by wyglądały na naturalne. Nosila czerwono-zieloną koszulę w kwiatowe wzory, bez guzików, narzuconą na czerwony bezrękawnik. Wąskie dżinsy. Podróbka butów do jazdy konnej.

Nigdy wcześniej nie spotkałam matki Tawny. Z akt wiedziałam, że liczy obecnie czterdzieści osiem lat. Mężczyzna za jej plecami wyglądał na co najmniej o dziesięć lat młodszego. Miał ciemne włosy i oczy, i jeszcze ciemniejszy krótki zarost. Ciężkie brwi spotykały się nad nosem w kształcie niezadowolonej litery V.

– Jestem Bernadette Higham. Przynajmniej takiego nazwiska użył policjant rozmawiający ze mną przez telefon. – Bernadette zaczęła wyciągać ku nam rękę, lecz zatrzymała ją nagle. – Ale oczywiście wy o tym wiecie. Teraz nazywam się Kezerian. O tym też przecież wiecie.

- Miło panią widzieć, pani Kezerian.
- Spodziewałam się tego drugiego detektywa. Bardziej eleganckiego.
- Luca Claudela.
- Tak. Gdzie on jest?
- We Francji.

– Rozumiem. – Wpół wyciągnięta dłoń Bernadette zwinęła się na jej piersi, jakby zawstydzona, że wisiała tak samotnie w powietrzu. Jej paznokcie były akrylowe, pomalowane na kolor surowej wołowiny.

– To moja współpracownica, doktor Temperance Brennan – powiedział Ryan, nie dodając nic więcej.

– Doktor? – Kobieta obrzuciła mnie spojrzeniem.

– Doktor Brennan pracuje w laboratorium medyczno-sądowym.

Turkusowe oczy rozszerzyły się. Palce jeszcze mocniej zacisnęły. Skąd u niej taki lęk? Poczulałam się nieswojo.

– Moja żona nie czuje się najlepiej. Macie nam coś do powiedzenia?

Na dźwięk głosu męża Bernadette się odwróciła.

– Nic mi nie jest, Jake.

Jake położył rękę na ramieniu żony. Był muskularny i postawny, bardziej niż spodziewałabym się tego po facecie pryskającym robactwo. Na przedramieniu miał skomplikowany azjatycki tatuaż. Zastanawiałam się, czy jego gest oznaczał wsparcie, czy ostrzeżenie.

– Możemy porozmawiać w środku? – zapytał Ryan.

– Oczywiście. Proszę – powiedziała Bernadette.

Jake cofnął się, wyraz jego twarzy pozostał ten sam. Gdy przechodziliśmy, czekał, żeby zamknąć drzwi.

Bernadette poprowadziła nas szerokim korytarzem, po czym skręciła w prawo, pod łukiem, do niewielkiego salonu z wykuszowym oknem od frontu i kominkiem po przeciwnej stronie. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego wystroju wnętrza.

Wszystkie ściany były białe, podłogę pokrywała wykładzina barwy złamanej bieli. Sofę i fotele obito bawełnianą tapicerką koloru kości słoniowej, z jasną lamówką. Tylko poduszczyki i obrazy miały inne zabarwienie. Na jednych i drugich widniały jaskrawe geometryczne wzory.

Nad kominkiem stały rzeźby z brązu, nieokreślone w formie. Przed paleniskiem leżała skóra renifera.

Niskie stoliki, w tym ten do kawy, wykonano ze szkła i starego mosiądzu. Na jednym znajdowało się samotne zdjęcie, oprawne w masę perłową i srebro znacznie wyższej jakości niż ono samo. Fotografia była ziarnista, zrobiona prawdopodobnie telefonem komórkowym albo niedrogim aparatem, a potem powiększona poza granicę przewidzianych pikseli.

Przedstawiała młodą, wysoką kobietę, może dziewiętnasto- lub dwudziestoletnią, na łodzi w jakimś porcie lub zatoce. Dziewczyna miała na sobie golf i kurtkę, a także naszyjnik z paciorków z czymś w rodzaju wisiora. Wiatr unosił kołnierz kurtki i zwiewał jej na twarz długie, ciemne włosy. Nie wyglądała na szczęśliwą. Nie wyglądała też na smutną. Była ładna w jakiś drażniący obojętny sposób.

Twarcz miała pełniejszą, a piersi okrągłejsze niż wtedy, gdy widziałam ją ostatni raz. Byłam jednak pewna, że patrzę na Tawny McGee.

Jak zwykle usiedliśmy z Ryanem na przeciwległych krańcach sofy. Bernadette zajęła miejsce w fotelu, jej palce zacisnęły się na kolanach niczym czerwone szpony. Jake pozostał w pozycji stojącej, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Napijcie się czegoś? Kawy? Herbaty? – Propozycja Bernadette zabrzmiała nieszczerze, sztucznie.

– Nie, dziękuję – odpowiedzieliśmy z Ryanem jednym głosem.

W drzwiach pojawił się kot, szary z czarnymi paskami, o żółto-zielonych oczach. Z nacięciem na jednym uchu. Blizną na łopatce. Narwaniec.

Bernadette go zauważyła.

– Och, nie, nie, Murray. Sio.

Kot się nie ruszył.

Bernadette zaczęła podnosić się na nogi.



- Niech zostanie, proszę – powiedziałam.
- Wyrzuć go stąd – rzekł Jake.
- Ja też mam kota – uśmiechnęłam się. – Nazywa się Birdie.

Bernadette spojrzała na Jake'a. Wzruszył ramionami, ale milczał.

Murray przyglądał się nam przez chwilę, potem usiadł, wyciągnął jedną nogę i zaczął myć sobie łapę. Coś spadło z jego górnego lewego kła. Podobał mi się ten kot.

Bernadette oparła się w fotelu, cała sztywna i wyprostowana; mięśnie jej karku wyglądały na wysportowane i twarde. Przerzucała wzrok z Ryana na mnie i z powrotem. Miała nadzieję, że przynosimy jakieś wiadomości. Bała się, że je przynosimy.

Zrozumiałam, że wczorajszy telefon, po tylu latach, musiał być dla niej szokiem. Jednak lęk tej kobiety zdawał się przekraczać wszelkie granice. Trzęsące się ręce. Przerazone oczy. Nie podobało mi się to, co w niej wyczuwałam.

- Mają państwo piękny dom – powiedziałam, chcąc rozładować napięcie.
- Tawny lubi wszystko jasne.
- Czy to ona? – Gestem wskazałam kobietę na zdjęciu w oprawce z masy perłowej.

Papuzie oczy spojrzały na mnie dziwnie. Potem gospodyni potwierdziła:

- Tak.
- Wyrosła na piękną młodą kobietę.
- Jest pani pewna, że kot może zostać?
- Jestem pewna. Ma pani jeszcze jakieś inne zdjęcia?
- Tawny nie cierpiał, gdy się ją fotografowało.

Podobnie jak u Violette'ów, Ryan pozwolił, by zapadła cisza, w nadziei, że jedno z Kezerianów poczuje się zmuszone ją przerwać. Ale żadne tego nie zrobiło.

Murray zmienił nogę. Za nim, za bliźniaczym łukiem po drugiej stronie korytarza, zauważyłam jadalnię takiej samej wielkości jak salon, z identycznym wykuszowym oknem. Stół był ze szkła. Krzesła pomalowane białą akrylową farbą przywodziły mi na myśl dom rodziny Jetsonów.

Kiedy Bernadette się odezwała, powiedziała coś innego, niż się spodziewałam. Jak cały czas zresztą.

- Czy ona nie żyje?
- Nie mamy podstaw, by tak sądzić. – Ryan nie wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

Ramiona Bernadette lekko się rozluźniły, napięcie na jej twarzy opadło. Przechodząc w co? Ulgę? Rozczarowanie? Naprawdę nie potrafiłam tego odczytać.

Jake rozstawił szerzej stopy. Zmarszczył brwi.

- Ale mamy nowe informacje – powiedział Ryan.
- Znalezliście ją?
- Nie ustaliliśmy dokładnego miejsca jej pobytu. Jeszcze nie.

Kłykcie Bernadette zbiegły, gdy znów zacisnęła palce.

Ryan nachylił się ku niej.

- Obiecuję pani, pani Kezerian, że ją dostaniemy.
- Dostaniecie? – Żachnął się Jake. – To brzmi, jakbyście brali udział w jakichś rozgrywkach play-off i chcieli zdobyć nagrodę.

– Przepraszam za moje ubogie słownictwo.

To mnie zaskoczyło. W przeciwieństwie do Violette'ów, Kezerianowie nie zadawali żadnych pytań o nasze „nowe informacje”. Ani o to, co Pomerleau robiła w ciągu ostatniej dekady.

Jake uszczypnął się w mostek nad swoim nosem. Ponownie skrzyżował ramiona.

– Jeśli nie macie nam nic do powiedzenia, to po co przyszliście?

– Mieliliśmy nadzieję, że Tawny zgodzi się na rozmowę.

Usłyszałam, jak ktoś gwałtownie wciąga powietrze. Popatrzyłam na Bernadette. Jej twarz zbieła na podobieństwo otaczających nas ścian.

Kątem oka dostrzegłam, że Jake opuścił ręce wzdłuż boków. Zignorowałam go i skupiłam się na żonie. Bernadette próbowała coś powiedzieć, ale udało jej się tylko przełknąć ślinę i odchrząknąć.

Wyciągnęłam ręce i objęłam jej dłonie swoimi.

– O co chodzi? Co jest nie tak?

– Myślałam, że przyszliście powiedzieć, że znaleźliście Tawny. – Znów przełknęła ślinę. – Żywą lub martwą.

– Przykro mi. Nie rozumiem. – Bo nie rozumiałam.

– O kim my tutaj rozmawiamy? – włączył się ostro Jake. – Kogo właściwie namierzacie?

– Anique Pomerleau – odparł Ryan.

– Jasna cholera.

– Tawny nie mieszka z wami? – zapytałam Bernadette.

– Nie widziałam swojej córki od prawie ośmiu lat.

## Rozdział 19

- O Boże – z gardła Bernadette wydobył się pojedynczy szloch.
- Tak mi przykro – powiedziałam. – Detektyw Ryan i ja nie mieliśmy o tym pojęcia.
  - Przyszliście tu w sprawie kobiety, która porwała moje dziecko?
  - Tak. Anique Pomerleau.
- Bernadette uwolniła ręce z moich dłoni i jedną skierowała w stronę Jake. Nie uczynił żadnego ruchu, by ją chwycić.
- Więc chcieliście przepytąć Tawny? – upewniła się.
  - Porozmawiać z nią.
- Położyła niechcianą rękę na poręczy fotela. Drżała.
- Nie ma jej tutaj. – Kobieta mówiła teraz głosem bez wyrazu, jakby w jej wnętrzu zatrzęsnęły się jakieś drzwi. Zaczęła rwać nitkę wystającą z lamówki.
  - A gdzie jest?
  - Tawny odeszła z domu w dwa tysiące szóstym roku.
  - Wie pani, gdzie teraz mieszka?
  - Nie.
- Spojrzałam na Ryana. Lekko skinął głową na znak, żebym kontynuowała.
- Przez cały ten czas nie miała pani żadnych wiadomości od córki?
  - Raz zadzwoniła. Kilka miesięcy po wyprowadzce. Aby powiedzieć, że wszystko u niej dobrze.
  - Nie poinformowała, gdzie jest?
  - Nie.
  - A pytała pani?
- Bernadette wciąż pracowała nad wystającą nitką, która była teraz dwa razy dłuższa niż na początku.
- Zgłosiła pani zaginięcie?
  - Tawny miała prawie dwadzieścia lat. Policja powiedziała, że jest dorosła. I może robić, co chce.
- Zatem w aktach niczego nie będzie. Czekałam, aż Bernadette zacznie mówić dalej.
- To głupie, wiem. Ale uznałam, że właśnie dlatego przyszliście. Żeby mi powiedzieć o jej znalezieniu.
  - Dlaczego wyjechała?
  - Bo jest stuknięta.
- Ryan i ja spojrzeliśmy ponad Bernadette na jej męża. Otworzył już usta, żeby kontynuować, ale coś w wyrazie naszych twarzy kazało mu je zamknąć.
- Bernadette mówiła, nie odrywając oczu od nitki, którą okręcała sobie wokół palca.
- Tawny przeżyła pięcioletni koszmar. Każdy miałby potem problemy.
- Mój wzrok ześliznął się w stronę Ryana. Zrobił delikatny ruch dłonią, oznaczający „wyciągnij to z niej”.
- Może nam pani o tym opowiedzieć? – spytałam łagodnie.
  - O czym?

– O problemach Tawny.

Bernadette zawahała się – albo nie chciała dzielić się tym z nami, albo też nie była pewna, jak ująć to w słowa.

– Wróciła do mnie odmieniona.

Słodki Jezu! Oczywiście, że tak. Dziecko było gwałcone i torturowane przez cały okres dojrzewania.

– W jaki sposób odmieniona?

– Nadmiernie przestraszona.

– Czym?

– Życiem.

– Na miłość boską, Pszczółko – Jake wyrzucił do góry obie ręce.

Bernadette skierowała wzrok na męża.

– No cóż, ale z ciebie pan Pocieszyciel – odparła, a potem, zwracając się do mnie, dodała: – Tawny miała problemy z tak zwanym obrazem ciała.

– To znaczy?

– Moje dziecko żyło w warunkach niegodnych nawet psa. Bez światła. Bez normalnego jedzenia. To musiało zebrać żniwo.

Wyobraziłam sobie Tawny w moim gabinecie, opatuloną w trencz mocno związany w pasie.

– Nie dorastała jak normalna dziewczyna. Nigdy nie przeszła przez wiek dojrzewania.

– To oczywiście – powiedziałam.

– A potem jej ciało zaczęło, no nie wiem, nadrabiać wszystko w trybie przyspieszonym. Gwałtownie urosła. Miała duże piersi. – Bernadette wzruszyła jednym ramieniem. – Źle się czuła ze sobą.

– Była świrnięta – odezwał się Jake.

– Doprawdy? – Bernadette podniosła głos. – Bo nie lubiła, jak się ją widziało nago? Ależ niesamowite. Większość młodych dziewczyn tego nie lubi.

– Większość dziewczyn nie dostaje szajby, gdy ich matka niechcący zobaczy je w kiblu.

– Robiła postępy – odparła zimno.

– Widzicie, z czym mam tu do czynienia? – Jake skierował to pytanie do Ryana.

– Od samego początku dobrze wiedziałeś, jaka jest Tawny. – Ton głosu Bernadette był co najmniej cierpki.

– Och, i tu masz rację. Od tej pory nawet na moment nie przestajemy o niej gadać.

– Chodziła do terapeutki.

– Dziwka sama się powinna leczyć.

Bernadette parsknęła.

– Mój mąż, ekspert od psychologii.

– Ta szarlatanica zabrała dziewczynę do tamtej piwnicy, gdzie trzymano ją w klatce. Moim zdaniem to więcej niż pojebane.

To mnie zaskoczyło.

– Tawny i jej terapeutka odwiedziły dom przy ulicy de Sébastopol?

– Być może terapia była nieco zbyt ostra – powiedziała Bernadette bardziej miękko, niemal defensywnie. – Ale Tawny czuła się dobrze. Poszła na studia. Chciała pomagać ludziom. Uzdrowić cały świat. Kiedy zadzwoniła ten jedyny raz, powiedziała że wróciła do szkoły.

– Ale nie powiedziała, jakiej.

– Nie.

Zerknęłam na Ryana. Przyglądał się Jake'owi.

– Jak się dogadywaliście? – zapytał.

– Kto? Ja i Tawny?

Ryan kiwnął głową.

Głos Jake'a pozostał spokojny, ale układ zaciśniętych szczęk wskazywał, że jego irytacja nie dotyczy już tylko żony.

– Mieliśmy parę drobnych zatargów. Ona nie była łatwa.

– Drobnych zatargów? – zachnęła się Bernadette. – Nienawidziliście się.

Jake westchnął, ewidentnie mając już dość kolejnych oskarżeń.

– Wcale nie nienawidziłem Tawny. Próbowałem jej pomóc. Wy tłumaczyć jej, że są w życiu pewne granice.

– Bądź szczery, Jake. Odeszła przez ciebie.

– Nigdy nie traktowała mnie jak ojca, jeśli o to ci chodzi.

– To ty ją odrzucałeś.

Kezerianowie mierzyli się wzrokiem, w którym gotowała się złość. Potem Bernadette zwróciła się do mnie.

– Tawny wyprowadziła się z domu po wielkiej kłótni z moim mężem. Poleciała na górę, spakowała swoje rzeczy i wyszła.

– Kiedy to było?

– W sierpniu dwa tysiące szóstego roku.

– O co się pokłóciliście?

– Czy to ma jakieś znaczenie? – Głos Jake'a nadal był spokojny, ale w jego oczach migotało coś trudnego do odczytania.

– Dokąd pojechała, jak pani myśli? – zapytałam Bernadette.

– Często wspominała o Kalifornii. I Australii. A także o Florydzie, zwłaszcza o Florida Keys.

– Mogła pojechać, dokąd tylko chciała, prawda, Pszczółko? – Jake wyduł usta w pozbawionym humoru uśmiechu.

Na szyi Bernadette wykwitł rumieniec, plamiście czerwony na tle zupełnie białej skóry. Milczała.

– W ramach pożegnania Tawny poczęstowała się pieniędzmi trzymanymi przez moją żonę w bieliźniarce.

– Ile zabrała? – Sama nie wiedziałam, dlaczego o to pytam.

– Prawie trzy tysiące dolarów. – Jake przyłożył dwa palce do czoła w szyderczym salucie pożegnalnym. – Adios i pierdolcie się.

Ryan zadał szereg kolejnych pytań. Czy Tawny kiedykolwiek wspominała o Anique Pomerleau? Czy podczas tych dwóch lat, kiedy mieszkała w Montrealu, zaprzyjaźniła się z kimś? Czy na studiach miała kogoś, komu ufała? Czy małżonkowie dysponują jakimiś nazwiskami albo numerami telefonów osób, z którymi córka pracowała, uczęszczała na zajęcia, miała jakiegokolwiek kontakty? Czy rozmowa z Sandrą, jej siostrą, mogłaby być pomocna? Czy pokój Tawny pozostał nienaruszony tak, by warto go było zobaczyć? Odpowiedzią na każde pytanie było zdecydowane „nie”.

Ryan zakończył prośbą o telefon, gdyby Tawny się skontaktowała. Gdyby przypomnieli sobie coś, co powiedziała o swojej prześladowczyni albo o uwięzieniu. Rutyna.

Potem, położywszy nasze wizytówki na stoliku do kawy, ruszyliśmy do wyjścia.

Eskortowała nas pani Kezerian. Pan Kezerian nie.

W drzwiach zapewniliśmy Bernadette, że robimy wszystko, co możliwe, aby znaleźć porywaczkę jej córki.

– A Tawny? – spytała.

Ryan obiecał, że sprawdzi wszelkie informacje.

O Pomerleau nie padło ani jedno pytanie. Ani o to, gdzie teraz jest. W jaki sposób i dlaczego wypłynęła na powierzchnię.

To było wszystko.

Nigdy w życiu nie czułam się bardziej zniechęcona.

Gdy wyjechaliśmy w końcu z Dollard-des-Ormeaux, było wpół do piątej. W większości mijanych domów paliły się już światła, ciepłe żółte prostokąty na tle gęstniejącej ciemności. Tu i ówdzie elektryczne sople albo kolorowe żarówki sygnalizowały nadejście świąt, które jednym przyniosą radość, innym zaś przypomną o ich samotności.

Na Metropolitan ruch był spory, posuwaliśmy się wolno. Jechaliśmy na wschód, mając przed sobą tylne czerwone światła, za sobą – podwójne białe snopy, a ponad nami iluminację z halogenów łukowato rozwieszonych nad drogą.

Niczym w kadrze ze starych filmów sylwetka Ryana co rusz pojawiała się wyraźniej, po czym niknęła w cieniu. Milczał. Cisza panująca w jeepie stawała się coraz głębsza.

– To chyba nie są ich najszcześniejsze dni – powiedziałam, nie mogąc już dłużej wytrzymać.

– Na miejscu tej małej też bym uciekł.

– Sądzisz, że Jake mógł się wobec niej dopuścić przemocy fizycznej?

– Ten facet to arogancki drań.

– Nie o to pytałam.

– Myślę, że to niewykluczone.

Ja też tak sądziłam. I przyszła mi do głowy jeszcze jedna niezbyt przyjemna możliwość.

– Przypuszczasz, że dobierał się do Tawny?

– Takie spekulacje nie mają sensu.

– Naprawdę spróbujesz ją znaleźć?

– Tak. Ale nie jest dla mnie priorytetem.

– Nie uważasz, że mogłaby nam pomóc?

Ryan obrzucił mnie spojrzeniem, a potem znów popatrzył na drogę.

– Jakim kosztem? – Gorycz w jego głosie była tak wyraźna, że poczułam ją na swojej skórze.

Minęło kilka długich chwil.

– Czy to nie dziwne, że Kezerianowie nie okazali żadnego zainteresowania Pomerleau? – spytałam.

– Nie.

– Nie?

– Są zbyt skoncentrowani na własnej operze mydlanej.

– Tak, ale...

– Nie tego się po nas spodziewali.

Oparłam się wygodniej w fotelu. Za szybą czyste dotąd dzienne niebo przesłoniły gęste chmury. Nie migotały żadne gwiazdy nad głową. Światła stopu samochodów z przodu rozmazywały się karmazynowymi smugami na masce naszego wozu.

Obok nas zatrzymało się gwałtownie żółte mini – stanęło równoległe do jeepa. Kierowca prowadził je łokciem, jednocześnie pisząc coś na komórce. Esemesa albo e-maila. Może

tweetował na temat hamburgera, którego zjadł na kolację. Imponujące. Wielozadaniowiec.

Zamknęłam oczy. Wyobraziłam sobie dziewczynkę o bardzo białej skórze, zapadłych oczach, z warkoczem wijącym się wzdłuż kręgow, mocno wystających z powodu wieloletniego niedożywienia. Obraz ten ustąpił innemu: małej ciemnowłosej dziewczyny w trenczu i berecie. Młodej kobiecie na łodzi w jakimś wietrznym porcie.

Gdy Tawny McGee została wreszcie uwolniona, miała siedemnaście lat. Wyobraziłam ją sobie leżącą gdzieś na słońcu, ze śmiechem spożywającą obiad z kobietami w jej wieku. Pchającą dziecięcy wózek. Spacerującą z psem rasy golden retriever albo bernardynem. Wolną od awantur podobnych do tej, której właśnie byliśmy świadkami. Ciągłych konfliktów.

Czy optymizm Bernadette był uzasadniony? Że jej córka ma się dobrze? A może to Jake miał rację, twierdząc, że Tawny została złamana już na zawsze?

Rozumiałam pragnienie Ryana, aby skupić się na dochodzeniu, dla którego wyrwałam go z Kostaryki. Pomerleau była odpowiedzialna za koszmar, który pozbawił Tawny dzieciństwa. I być może zdrowia psychicznego.

Mimo to zastanawiałam się, gdzie jest teraz Tawny i co robi.

Ryan wysadził mnie przed moim mieszkaniem. Bez pożegnania. Obiecał tylko, że rano zadzwoni.

Zatelefonowałam do lokalu Angela's i zamówiłam małą pizzę ze wszystkim poza cebulą. Potem poszłam do *dépanneur* na rogu po kawę i kilka rzeczy na śniadanie. Nie było sensu robić większych zapasów, skoro niedługo miałam wrócić na południe. Z zakupami w ręku odebrałam pizzę i skierowałam się do domu.

Jadłam, oglądając program *Situation Room* z prowadzącym Wolfem. Pizza była dobra. Rozmowa w telewizji w żaden sposób nie poprawiła mi nastroju.

Nagle poczułam się absolutnie wykończona. Wymagająca wysiłku podróż do Kostaryki, a potem obciążające psychicznie dni w Charlotte. Długie godziny wczorajszego dnia, wreszcie nocny lot. A dzisiaj czytanie poruszających do głębi akt i skakanie po wyspie, żeby odwiedzić ludzi, dla których byliśmy nieproszonymi gośćmi.

Czy ustaliliśmy choćby jeden pożyteczny fakt? A może po prostu zmarnowaliśmy czas?

Wyciągnęłam się na kanapie i odtworzyłam w myślach obie rozmowy.

Violette'owie byli całkiem rozbici. To zrozumiałe. I tak niewiele od nich oczekiwaliśmy.

To samo matka Pomerleau. Nie dało się jej zrozumieć. Co takiego powiedziała? Że jej córka jest na cmentarzu Saint-Jean-Baptiste. Tam została pochowana Marie-Joëlle Bastien, nie Anique. Anique żyje.

Tawny McGee była jedyną osobą, która moim zdaniem mogła okazać się dla nas pomocna, ale nie udało nam się z nią spotkać. Bernadette i Jake nie mieli pojęcia o jej aktualnym miejscu pobytu. Sami byli dość żałośni.

Może ta terapeutka? Czy zapisaliśmy jej nazwisko? Nietrudno byłoby je ustalić. Ale przecież Tawny żyje i kobieta mogłaby powołać się na klauzulę poufności. Gdyby jednak miała kontakt ze swoją podopieczną, może zgodziłaby się przekazać Tawny informacje?

Wolf oświadczył, że pożary w Australii przybierają na sile.

Ryan mówił, że Pomerleau jest w Vermoncie. Jake Kezerian podszedł do niego, wściekły. Rzucił mu w twarz jakiś papier. Ryan podniósł go i umieścił w jaskrawożółtym folderze.

Wolf gadał coś o wskaźnikach ekonomicznych.

Kezerian skrzyżował ręce na piersi. Rozstawił nogi.

„Grandmère i grandpère”.

Niebo za Ryanem zmieniło się w zieloną kwiatową sieć. Bluszcz, oplatający nicość, meandrujący w pozbawionej form przestrzeni.

Ryan otworzył dokument.

Bluszcz naprężył się i zwinął jak wąż.

Ryan podniósł wzrok. Z wolna jego twarz zmieniła się w oblicze siostry Uśmiezek. Simone.

„*Ce que vous voulez?*” – zapytał Kezerian. Czego chcecie?

„Świętego Jana” – powiedziała Simone.

Odwrócona sytuacja. Pielęgniarka mówiła po angielsku, Kezerian po francusku.

„*Maladie d’Alzheimer*”. – Kezerian.

„Nie jest pochowana”. – Simone.

„*Qui est avec les saints?*” – Kto jest ze świętymi?

Simone powoli kręciła głową na boki.

Otworzyłam oczy.

Wolfa zastąpił Anthony Bourdain.

Przewinęłam swój sen.

Żonglowałam fragmentami, które moje id zapisało i przechowywało.

Pasowały do siebie.

Jezu. Czy to możliwe?

Rzuciłam się po telefon.



## Rozdział 20

Wybierając numer, sprawdziłam godzinę. 11.15. Poczułam lekkie wyrzuty sumienia. Zignorowałam je.

– Umpie Rodas, słucham.

– Mówi doktor Brennan. Tempe.

Nastąpiła krótka pauza na rozpoznanie nazwiska.

– Tak.

– Jestem w Montrealu. Z Ryanem.

Czekał.

– Może to nic takiego.

– Nie dzwoniłaby pani tak późno, gdyby to było nic takiego. – Delikatna reprimenda?

– Czy w trakcie dochodzenia natknął się pan kiedykolwiek na nazwisko Corneau?

– Nie. Dlaczego?

– Kiedy w dwa tysiące czwartym roku zamknęliśmy Pomerleau, pracowała z facetem, który przedstawiał się jako Stephen Menard. Historia jest skomplikowana, dlatego ją uprosczę. Dom, który zajmowali przy ulicy de Sébastopol, początkowo należał do małżeństwa Corneau, dziadków Menarda. Oboje zginęli w wypadku samochodowym w Quebecu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku. Nadąża pan?

– Słucham uważnie.

– Matka Menarda nazywała się Genevieve Rose Corneau, była Amerykanką. Wraz z mężem, Simonem Menardem, posiadali dom niedaleko St. Johnsbury w stanie Vermont. Akt własności wystawiono na nazwisko Simona. Stephen Menard mieszkał tam, zanim przeprowadził się do Montrealu.

– Żeby stworzyć swój pieprzony światek chorych fantazji.

Domyśliłam się, że Rodas dowiedział się o Menardzie dopiero niedawno, albo od Ryana, albo od Honora Barrowa. A może sam do tego doszedł, gdy DNA odkryte na ciele Nellie Gower doprowadziło nas do Anique Pomerleau.

– Zgadza się. Dziś po południu odwiedziliśmy z Ryanem Sabine Pomerleau, matkę Anique. Ma osiemdziesiąt dwa lata, cierpi na demencję. Ale powiedziała jedną rzecz. Może przesadnie interpretuję ten starchy bełkot...

– Co takiego powiedziała?

– Że Anique jest *avec les saints. Saint Jean*. A potem po angielsku dodała słowo „pochowana”.

Gdy Rodas trawił te informacje, na linii zaległa cisza.

– Naszym zdaniem miało to znaczyć, że ona sądzi, iż Anique jest na cmentarzu Saint-Jean-Baptiste, gdzie leży Marie-Joëlle Bastien.

– Jedna z ofiar Pomerleau.

– Tak. Ale jak się nad tym zastanawiam dłużej, dochodzę do wniosku, że mogła również powiedzieć *Jean*, po angielsku. Że kompletnie źle ją zrozumieliśmy.

Rodas pojął natychmiast.

– Saint John. Święty Jan. Pochowana. St. Johnsbury<sup>\*\*</sup>. Dom w St. Johnsbury w stanie

Vermont.

– To dość naciągane, wiem. Ale jeśli jest gdzieś inna rodzinna nieruchomość zarejestrowana na nazwisko Corneau...

– Nigdy nie wpadłbym na takie powiązanie.

– Możliwe, że Anique dowiedziała się o tej nieruchomości od Corneau. Być może traktowali ją jako bezpieczną kryjówkę. Albo miejsce spotkań.

– Vermont leży całkiem blisko Quebecu.

Z głębokiego na kilometr snu wyrwał mnie jakiś brzęk. Potem następny. Półprzutomna pomyślałam, że odzywa się alarm, oznajmiając obecność włamywacza lub pożar domu.

A potem przypomniałam sobie, gdzie jestem. Sięgnęłam po iPhone'a.

Wiadomość była denerwująco krótka: *Miała pani rację. Jestem w drodze. Zadzwoń, jak się czegoś dowiem. UR.*

Usiadłam, już w pełni rozbudzona. Co jest, u diabła? Czyżby Rodas znalazł nieruchomość zapisaną na nazwisko Corneau? I teraz tam jechał? Ale dokąd?

W pokoju panował półmrok. Zegar przy łóżku wskazywał 8.42. Chryste. Naprawdę spałam tak długo?

Podłożyłam sobie pod plecy poduszkę i wcisnęłam klawisz szybkiego wybierania.

Odebrał natychmiast.

– Ryan, słucham.

Zacząłam opowiadać mu o swojej teorii. O Rodasie.

– Już wiem.

– Wiesz?

– Dzwonił.

– Kiedy?

– Godzinę temu. Nieźle, Brennan.

Poczułam przypływ irytacji. Milczałam.

– Gdzie on jest?

– Jedzie na miejsce.

– Jakie miejsce?

– Miałaś nosa. Małżonkowie Corneau byli w posiadaniu dziesięciu akrów ziemi z domem i innymi budynkami, nieco na południe od St. Johnsbury. Jakies dwadzieścia mil od farmy, na której przyczał się Menard, zanim pojechał do Montrealu.

– Rodas nie mógł poczekać?

– Pomyślał, że dobrze będzie od razu się temu przyjrzeć.

– Ma wsparcie?

– Jest gliną od bardzo dawna. – Czyżby powiedział to z nutką protekcjonalizmu?

– Wziął ze sobą techników? – Wiedziałam, że to głupie pytanie. Ale i tak je zadałam.

– Na to troszkę za wcześnie.

– Jaki ma plan?

– Obserwować. Zobaczyć, czy ktoś tam mieszka.

– Nie mógł tego ustalić wcześniej, zanim pojechał? – rzuciłam ostro.

– Rodas ma do pomocy kogoś, kto prowadzi analizy. Bada zeznania podatkowe, rachunki telefoniczne, rachunki za media. Wiesz, jakie są zasady.

Wiedziałam.

– Jak długo będzie jechał do St. Johnsbury?

– Szacował, że czterdzieści minut.

Spojrzałam na zegar. Była 8.57.

– Skoro minęła już godzina od waszej rozmowy, dlaczego nie zadzwonił?

– Pewnie nie ma nic do zgłoszenia.

– Więc co powinniśmy zrobić?

– Czekać.

– Świetnie. Zaczekam. A tymczasem ty i Rodas będziecie pokazywać, jak to pięknie chronicie społeczeństwo i mu służycie.

Rzuciwszy tę przemyślną uwagę, rozłączyłam się i cisnęłam telefon.

Wiedziałam, że moja opryskliwość była infantylna. Musiałam się na kimś wyżyć i dostało się Ryanowi. Ale przecież Rodas mnie zignorował, uznał, że nie musi o niczym informować. Ryan zresztą też. Nawet esemesem. Byłam wściekła.

Zrzuciłam kołdrę i wstałam. Szybko naciągnęłam na siebie dres. Podreptałam do łazienki i umyłam zęby.

9.08.

Poszłam do kuchni po bagietkę i kawę. Skonsumowałam je przy stole w jadalni. Wróciłam do łóżka po komórkę. I znów do stołu.

Za przeszklonymi drzwiami balkonowymi niebo miało kolor starej pięciocentówki. Krzewy na dziedzińcu wyglądały na oklapnięte i martwe, jakby perspektywa opadów śniegu lub gołoledzi pozbawiła je ducha.

O 9.29 telefon zadzwonił. Sięgając po niego gwałtownie, przewróciłam kubek z kawą. Odebrałam i poszłam do kuchni po papierowy ręcznik.

Slidell zaczął mówić, zanim zdążyłam się przedstawić.

– Pastori odzyskał część historii wyszukiwania w laptopie Leal. – Mój brak odpowiedzi uznał za oznakę pogubienia. – Pastori to ten magik od komputerów.

– Wiem, kto to jest.

– Łał. Mamy dziś muchy w nosie?

– Co ustalił Pastori? – Zatrzymałam brązową odnogę kałuży zmierzającą ku krawędzi stołu.

– Oszczędzę ci tych wszystkich bzdur o jakimś URL i częściowym URL, stronach wbudowanych, bla, bla, bla. Generalnie jest tego niezbyt wiele.

Usłyszałam wilgotny odgłos, gdy Slidell poślinił sobie kciuk i przerzucił stronę. Mówił dalej.

– Żadnych wypadów po zakupy na eBay, Amazon i tak dalej.

– Nic dziwnego. Shelly Leal miała trzynaście lat.

– Odwiedziła parę stron z grami, na których dzieciaki mogą się bawić w ubieranie postaci z kreskówek. Wiesz. Ubierz Barbie w top bez ramiączek i zapeć jej warkocz.

Stałam, cały czas susząc blat stołu, z telefonem przyciśniętym do barku.

– Była też witryna, na której dzieci mogły tworzyć lotników i zwiedzać całe wirtualne światy.

Wiedząc, że Slidell nie ma zielonego pojęcia o awatarach, nie zadałam sobie trudu skorygowania jego słów.

– A co to jest ten wirtualny świat, do cholery? Symulacja rzeczywistości, w której każdy człowiek jest dobry?

– To byłoby pożądane. A co z forami?

– Małej nie interesowały pornosy, jeśli o to ci chodzi.

– Wiesz, że nie o to. – Wytarłam siedzenie krzesła.

– Łączyła się ze stroną o nazwie AsktheDoc.com. Zadajesz tam pytania o swoją prostatę, a ktoś podający się za lekarza odpowiada.

– I to właśnie zrobiła?

– Co?

– Zapytała o swoją prostatę? – Ta niewielka rezerwa cierpliwości, którą jeszcze miałam, szybko się ulatniała.

– Może spróbuj pęsetą?

– Co?

– Wyjąć te muchy z nosa...

– Jakie pytania zadała Shelly?

– Pastori nie mógł tego ustalić. – Szelest papieru. – Jedyne, co mu się jeszcze udało uzyskać, to namiary na jakieś forum poświęcone chorobie zwanej bolesnym miesiączkowaniem.

– To nie jest choroba. Chodzi o silne dolegliwości bólowe związane z menstruacją.

– No. Nie musisz wchodzić w szczegóły.

– Co tam robiła?

– Tego też nie ustalił.

– Dlaczego? – zapytałam ostrzej, niż zamierzałam.

Slidell pozwolił, żeby minęło kilka sekund; w ten sposób dawał mi do zrozumienia, abym zmieniła swoją postawę.

– Przede wszystkim trzeba by znać jej login, a na tym forum jest od cholery członków. Pastori mówi, że przejrzał kilkaset postów. Ale nie miał pojęcia, czego szukać. A nawet gdyby się domyślił, jaką ksywkę miała Leal, to mogła być tylko lurkerem. To jest ktoś, kto...

– Wiem, kto to jest lurker. Czy podjął próbę ustalenia jej loginu? – Prawie powiedziałam: „lotnika”.

– Owszem, mając do dyspozycji tę garść danych, którą mu dałem. Nazwisko, imię psa, inicjały, data urodzenia, numery telefonów. I nic.

Zastanowiłam się przez chwilę.

– A czy mógłby się dowiedzieć, jakimi postaciami z kreskówek się bawiła?

– Hm – rzekł Slidell.

Zmięłam papierowy ręcznik, podeszłam do drzwi i wrzuciłam go do zlewu. Gdy leciał przez kuchnię, na podłogę spadło kilka kropel kawy.

– Ten cały Internet to chyba ślepa uliczka – oświadczył Slidell.

– A jednak niewykłuczone, że Shelly poznała kogoś na tym forum.

– To strona dla ludzi narzekających na miesiączkę.

*Co ty nie powiesz?*

– O rany. Sądziś, że wśród tych narzekaczy mogą być nastoletnie dziewczynki?

– Twoim zdaniem nasz cel odwiedza to forum w nadziei poznania takich dziewczynek? Że udaje lekarza albo kogoś takiego?

– Lekarza, nauczyciela, inne dziecko z bolesną menstruacją. Ludzie kłamią w Internecie.

– Bez jaj.

– No bez jaj. Niech Pastori dalej drąży temat. Skoro ktoś poinstruował Leal szczegółowo, jak skasować historię przeglądania, musiał mieć ku temu ważny powód.

Slidell westchnął długo i dramatycznie. Ale nie zaprzeczył.

– I porozmawiaj z jej matką. Zobacz, czy ma jakieś sugestie dotyczące hasła i loginu, którego Leal mogłaby używać. Dowiedz się, ile Shelly miała swobody, jeśli chodzi o korzystanie

z Internetu. I zapytaj, dlaczego córka interesowała się bolesnym miesiączkowaniem.

– Ija.

– A może ponownie odwiedzić pokój Leal? Sprawdź, co czytała. Jakie miała lalki i zwierzątka. Zdobądź dla Pastoriego wszystko, co ci się uda.

– Wiesz, że facet jest gadułą klasy olimpijskiej. Gęba mu się nie zamyka, za każdym razem muszę podsycać to jego małe maniackie ego. Jak do niego dzwonię, tracę pół dnia.

Wyobraziłam sobie wymianę zdań między Slidellem a Pastorim. Moje współczucie zdecydowanie należało się temu drugiemu.

– Media wciąż się burzą?

– Jakiś dupek nagrał nas, jak zajmujemy się ciałem Leal pod tą estakadą, dasz wiarę? Chciał zyskać swoje podzielone piętnaście minut sławy.

Zmieniłam temat.

– A co z tym postarzaniem zdjęcia Anique Pomerleau? Są postępy?

– No. Mam je.

– Zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

– Właśnie ci mówię.

– Jak wygląda?

– Jakby była starsza.

– Prześlij mi na iPhone'a. Proszę.

Opowiedziałam Slidellowi o tym, co działo się u mnie. O mało satysfakcjonujących rozmowach. O intuicji, która doprowadziła nas do przełomu po tym, jak przestudiowałam dossier z 2004 roku, i po rozmowie z Sabine Pomerleau. O nieruchomości w stanie Vermont.

– Nieźle, doktorko.

– Nawet jeśli ona faktycznie wykorzystwała dom Corneau jako swoją kryjówkę, to już dawno jej tam nie ma.

– Kiedy zajrzysz w to miejsce?

– Gdy Rodas da znać.

– Wystąpił o nakaz?

O tym nie pomyślałam.

– Muszę lecieć – rozłączyłam się.

9.46.

Starłam kawę z płytek na podłodze w kuchni, potem rozpakowałam swoją torbę podróżną, którą przywiozłam z Charlotte. Wzięłam prysznic i wysuszyłam włosy. Założyłam spodnie, wełniane skarpetki i sweter.

10.38.

Sprawdziłam telefon, mając nadzieję, że kiedy byłam w toalecie, przyszła jakaś wiadomość. Nic z tego.

Chodziłam w kółko, zbyt podminowana, żeby wysiedzieć spokojnie. Skąd ten niepokój? Co właściwie czułam? Zaskoczenie, że miałam rację? Może miałam. Podekscytowanie, że prawdopodobnie znaleźliśmy miejsce, w którym kiedyś ukrywała się Pomerleau? Niewykluczone. Wściekłość, że Rodas i Ryan odstawili mnie na boczny tor? To z pewnością.

Telefon rozdzwonił się o 11.10. Numer kierunkowy 802.

– Brennan, słucham – powiedziałam głosem zimnym jak śnieg w stanie Vermont.

– Ryan już po panią jedzie.

– Doprawdy?

– Musi pani tu przyjechać. I to szybko.

## Rozdział 21

Śnieg zaczął padać, gdy przejeżdżaliśmy przez most Champlain. Zmienił się w śnieg z deszczem, kiedy dotarliśmy do Stanstead, nieco na północ od granicy.

Obserwowałam, jak wycieraczki ściągają grube, nieregularne płatki, a potem breję z szyby. Od czasu do czasu jakiś liść trafiał w okno i po chwili uciekał, kruchy i lśniący od wilgoci.

Wnętrze samochodu pachniało mokrą skórą i wełną. Zastałym dymem tytoniowym.

– Rozglądaj się za cmentarzem Passumpsic.

Były to pierwsze słowa, jakie Ryan wypowiedział od prawie dwóch godzin. Miałam już doświadczenie w tych sprawach. Kiedy zrelacjonował mi to, czego się dowiedział, czyli niemal nic, oboje głęboko pogrążyliśmy się we własnych myślach.

Sporadycznie sprawdzałam swojego iPhone'a. Chwilę po dwunastej od Slidella przyszedł mail z załącznikiem. Ściągnęłam i powiększyłam otrzymane zdjęcie.

Widzieliście zapewne fotografie Charlesa Mansona. Niezależnie od wieku, w jakim zostały zrobione, oczy tego człowieka wysyłają lodowaty wiatr, wbijający się każdemu prosto w serce. Czasem ma potargane włosy, niekiedy jest ogolony, policzki może mieć pełne albo wychudzone. Zawsze jednak ma się wrażenie, że widzi się samą istotę zła.

Tak samo było z Pomerleau. Gdy zrobiono jedyne jej istniejące zdjęcie, miała kilkanaście lat. Teraz była trzydziestodziewięciolatką.

Komputer zmiękczył linię żuchwy, sprawił, że opadły jej powieki, poszerzył usta i kontury twarzy, przekształcając twarz dziecka w oblicze kobiety. Mimo to oczy pozostały lodowato zimne, gadzie, bezduszne.

Jak podczas naszego ostatniego spotkania. Kiedy oblała mnie środkiem łatwopalnym, a potem z zimną krwią potarła zapałkę.

Zrobiłam to, o co prosił Ryan. Właśnie przejechaliśmy przez St. Johnsbury, gdzie zobaczyliśmy głównie pola uprawne, drzewa i grupkę domów.

– Tam. – Wskazałam cmentarz. Był stary, z pomnikami i kolumnami w dawnym stylu, zamiast płyt nagrobnych na poziomie gruntu dla wygody koszących trawę. Lodowata ponurość, jakby żywcem wyjęta z opowiadania Poe'go.

Po przejechaniu jeszcze ćwierci mili Ryan zwolnił, włączył kierunkowskaz i zjechał z drogi numer 5 na Bridge Street. Minęliśmy kościół, sklep spożywczy i pocztę w jednym, szary budynek ze starym samochodowym fotelem koloru czerwonego na werandzie oraz czerwonym plastikowym kajakiem przymocowanym do frontowego okapu. Na boku kajaka białą farbą napisano *Passumpsic*. Drewniany znak nad drzwiami oznajmiał: *Sklep sportowy nad rzeką Passumpsic, sp. z o.o.*

Zaraz za nim wznosił się most, wąski przesmyk zbudowany z metalowych dźwigarów i drewnianych szczebli pomalowanych na zielono. Bez zadaszenia typowego dla Nowej Anglii, jakiego bym się spodziewała. Rzeka Passumpsic wyglądała na groźną i mroczną, gdy nad nią przejeżdżaliśmy. Na jednym z brzegów stała bardzo stara elektrownia z cegieł.

Wkrótce nazwa ulicy zmieniła się na Hale. Po obu stronach pojawił się las. Wysokie sosny, mniej wyniosłe świerki. Potężne drzewa liściaste o nagich gałęziach i ciemnej korze, lśniące od wilgoci.

Żadnych domów, żadnych stodół. Tylko Stumilowy Las.

Minęło siedem minut milczenia; ciągle sprawdzałam godzinę na zegarku. Potem Ryan skrzył w prawo przy zniszczonym słupku, na którym kiedyś mogła znajdować się skrzynka pocztowa. Znak przybity do drzewa informował: ORNE. Jego litery wyblakły od słońca tak, że wyglądały jak sprany dżins. Pod tym fragmentem nazwy widniała równie sfatygowana lilijka.

Ścieżka była tylko czymś trochę więcej niż przestrzenią pozbawioną drzew i dwiema koleinami, ciągnącymi się niezdecydowanie pomiędzy błotem a lodem. Gdy jeep chwiał się i podskakiwał, podtrzymałam się otwartymi dłońmi tablicy rozdzielczej. Zanim Ryan wreszcie się zatrzymał, w zębach zdążyły mi się poluzować plomby.

Po drugiej stronie polany, w odległości około dziesięciu jardów stał niewielki drewniany dom pamiętający lepsze dni. Parterowy, kiedyś zapewne żółty z białym wykończeniem. Podobnie jak w przypadku skrzynki pocztowej, farba dawno już się na nim złuszczyła.

Frontowe drzwi, do których wchodziło się po jednym betonowym schodku, były otwarte; podtrzymawał je kamień. Okna widoczne od przodu i po prawej zabito od środka dyktą. Po lewej, na wzgórkach, wsparte o wysokie sosny, stały trzy szopy, jedna duża i dwie małe. Całą trójkę i dom łączyła gruntowa ścieżka.

Przed domem parkował policyjny radiowóz z Hardwick. Założyłam, że należy do Umpiego Rodasa. Obok stała furgonetka techników kryminalistyki oraz czarny van z podwójnymi drzwiami na tyłach. Coś mi mówiło, że to pojazd z kostnicy.

– *Tabernac!*

Obróciłam się do Ryana, gotowa okazać wściekłość, jeśli coś przede mną zataił. Ale wyglądał na równie zaskoczonego jak ja.

– O co chodzi? – spytałam.

– Żebym to wiedział, do cholery.

– Rodas ci nie powiedział?

– Mówił tylko, że znaleźli coś, co musimy zobaczyć. Sprawiał wrażenie rozkojarzonego.

– Nie wątpię. Przecież był zajęty wykonywaniem setek telefonów.

Zarzuciłam sobie kaptur kurtki na głowę. Włożyłam rękawiczki. Wysiadłam i ruszyłam w kierunku domu. Wiał mocny wiatr, zacinął mi w twarz ostrymi, lodowatymi grudkami. W głowie mi się kotłowało od różnych myśli i możliwości. Niedorzecznych. Zrozumiałam to już po chwili. Gdzieś za mną, na śliskich liściach i trawie szurały buty Ryana. Tak samo jak moje.

Za frontowymi drzwiami stał umundurowany policjant, trzymał kciuki za paskiem w połowie schowanym w wielkiej fałdzie tuszczu. Na czapce i kurtce miał insygnia informujące o przynależności do *Policji w Hardwick*.

Widząc nas, gliniarz się wyprostował.

– Doktor Temperance Brennan – machnęłam mu przed oczyma kartą do czytnika z LSJML, a Ryan pokazał swoją odznakę. – Rodas prosił, żebyśmy przyjechali.

Facet ledwie spojrzął na nasze identyfikatory. Z innego pokoju dobiegł mnie dźwięk otwieranych i zamykanych szuflad.

– Jest w tej dużej szopie, na zewnątrz.

– Dzięki.

– Ścisłe zabezpieczenie, nie ma co – rzekł Ryan, gdy okrążyliśmy narożnik domu.

– To wiejskie tereny Vermontu.

Szliśmy ścieżką pod górę, dodając ślady naszych butów do dziesiątków innych widocznych w na pół zamrożonym błocie.



Szopa była zrobiona z niemalowanych desek, ledwo utrzymujących ze sobą kontakt. Dach stanowiła pordezwiiała blacha, z prześwitem pośrodku, po bokach zawinięta, ponieważ zabezpieczające ją gwoździe zniknęły.

Drzwi wyglądające jak wrota od stodoły stały otworem na całą szerokość, a wewnątrz oświetlone było tak intensywnie, że widzieliśmy każdy szczegół. Cała scena sprawiała surrealistyczne wrażenie, niczym plan filmowy, na którym szalał nadgorliwy technik świateł. Przypuszczałam, że zastosowano tu przenośne reflektory.

Po co?

W drugim końcu szopy, częściowo w cieniu, obok niebieskiej plastikowej beczki stały dwie postacie i rozmawiały ze sobą. Jedną z nich był Umpie Rodas, drugą jakaś wysoka kobieta w czerwonym kapeluszu z dzianiny, nasuniętym nisko, na same brwi. Spowijał ją długi czarny płaszcz. Na odgłos naszych kroków odwrócili się oboje. Rodas nie miał nakrycia głowy, jego kurtka była rozpięta. Nosił prawdopodobnie tę samą czerwoną koszulę co w Charlotte. Być może miał ich całą kolekcję.

– Cieszę się, że dotarliście. Przykro mi z powodu pogody.

Weszliśmy z Ryanem do środka. Pachniało dymem, wilgotną ziemią i czymś słodkim, jakby domowymi naleśnikami smażonymi w niedzielny poranek.

Miałam rację co do świateł. Trzy standardowe reflektory na trójnogach, często wykorzystywane na miejscu zbrodni. Generator na gaz, z rodzaju tych, jakie można kupić w każdym Home Depot.

Rodas dokonał prezentacji. Kobieta, Cheri Karras, była szefową wydziału medycyny sądowej w Burlington. Zamiast ciepłych rękawic miała rękawiczki chirurgiczne. Tak samo jak Rodas.

Poczułam ucisk w żołądku.

Z tyłu, za plecami Karras, mężczyzna w grubej watomanej kurtce robił zdjęcia. Za każdym razem, gdy błyskała lampa, para jego oddechu lśniła białą.

Rozejrzałam się szybko. Podłogę stanowiło twarde klepisko zastawione różnymi przedmiotami. Ogromne kotły poczerniały od ognia. Otwarte pudło zawierające niebieskie plastikowe worki. Obok niego dziesiątki innych identycznych pudeł, zamkniętych. Wzdłuż ścian ustawiono zardzewiałe wiadra, rondle różnych rozmiarów, siatki okienne, kartony po soku i mleku oraz pięciogalonowe białe pojemniki, które tworzyły chwiejne, sięgające pięciu stóp wysokości wieże.

Na regałach z nieheblowanych desek stały drewniane skrzynki, pełne drobnych metalowych przyrządów, z kolcem po jednej stronie i rynienką po drugiej. W innych spoczywały haczyki. Dwie wiertarki. Różnorodne młotki. Pół tuzina zwojów niebieskich przewodów. Słoje z domowej roboty wybielaczem.

Pośrodku szopy, bezpośrednio pod prześwitem w dachu, widać było dół wielkości trzy na pięć stóp, o ceglany obramowaniu; pomiędzy jego szerszymi bokami biegły metalowe pręty. Wspierała się na nich prostokątna metalowa forma z płaskim dnem, pusta, gdzieś pokryta żółtawym osadem. Cegły i pręty poczerniały od ognia, pokrywała je sadza. Podobnie jak zewnętrzną część formy.

Byłam nieco skołowana. Jasne było tylko jedno. Niezależnie od przeznaczenia tej szopy, pajęczyny i brud wskazywały, że od lat jej nie używano.

– ...dostaliśmy informację, że nikt tu nie mieszka. Postanowiłem się rozejrzeć, upewnić się, że wandale czegoś nam nie wykręcą. Czasem zdarzają się squatterzy, tacy goście, co to znajdują pusty domek letniskowy i wprowadzają się na zimę.

Skierowałam uwagę z powrotem na Rodasa i Karras. Na złowieszczą niebieską beczkę pomiędzy nimi.

– Do domu ktoś się włamał, to pewne. Zamek wyrwano łomem. To oznaczało dla mnie zielone światło. Wewnątrz brak widocznych szkód, nic wartego kradzieży, dlatego zajrzałam także tutaj.

– *Cabane à sucre*. – Z jakiegoś powodu Ryan powiedział to po francusku.

Oczywiście. W szopie produkowano syrop klonowy z soku drzewnego.

Popatrzyłam na beczkę. Ucisk w żołądku jeszcze się wzmógł.

Rodas skinął głową.

– Mieszkaniec Quebecu od razu pozna, co?

Odezwał się telefon Karras. Bez słowa wyszła na zewnątrz. Obserwowałam ją, podczas gdy Rodas mówił dalej. Sprawiała wrażenie bardzo spokojnej. Czyżby w beczce był tylko szop pracz? A może dla niej to kolejny dzień ze śmiercią?

– Według aktu notarialnego ta nieruchomość należała do Margaux i Martina Corneau. Dziesięć akrów, z czego na ośmiu klony czerwone i cukrowe, koło siebie. Aż do końca lat osiemdziesiątych państwo Corneau prowadzili skromny biznes, dostarczali dziesięć, dwadzieścia galonów syropu rocznie do sklepu, który rozlewał go do butelek i sprzedawał na miejscu. – Rodas zatoczył ręką łuk, pokazując otaczające nas rekwizyty. – Stare rzeczy należały do nich: kotły, wiadra aluminiowe i pokrywy. Ale plastikowe worki i przewody z polietylenu to już inna sprawa.

– To znaczy? – zapytał Ryan.

– To znaczy, że są nowe.

– Co wskazuje na niedawne działania.

Rodas kiwnął głową z ponurym wyrazem twarzy. A może nie tylko. Podekscytowanym? Przejętym?

– Kto je prowadził?

– Pracuję nad tym.

– Co jest w tej beczce? – Niespecjalnie starałam się skrywać swoją niecierpliwość.

– Lepiej zaczekajmy na doktor Karras.

– Gdzie można kupić sprzęt do produkcji syropu? – zapytał Ryan.

– Wszędzie. Takich beczek używa się powszechnie do przechowywania żywności.

A przeznaczenie przewodów bywa rozmaite.

– A kraniki i worki?

– Dostarczają je firmy specjalizujące się w tego rodzaju sprzęcie. Worki nie są drogie, jakieś czterdzieści centów za sztukę. Większość małych producentów woli stosować je zamiast wiader. Zawiązuje się taki worek na główicy wbitej w drzewo, wprowadza przewód bezpośrednio do niego; sok drzewny wpływa do worka, a kiedy ten jest pełny, zdejmuje się go i zakłada kolejny, aż w drzewie nic już nie zostaje. Worki są lepsze także dlatego, że nie wpadają w nie owady ani inna drobnica.

– Niemożliwe, żeby sprzedawano ich aż tyle.

– Więcej, niż myślisz.

– Można je kupić w Internecie?

Rodas kiwnął głową.

– Każę podzwonić w tej sprawie.

Karras ciągle rozmawiała przez telefon.

Objęłam ramionami swój tułów, dłonie wetknęłam pod pachy, chcąc je trochę ogrzać. Przez podeszwy butów czułam zimno rozchodzące się po kościach. Ów chłód nie brał się wyłącznie z warunków atmosferycznych.

– Czy to odparownik? – Ryan wskazał podbródkiem palenisko.

– No. Jest lepszy niż kocioł, ale wciąż potrzebuje mnóstwa paliwa.

– Poważnie? – warknęłam. – Omawiamy teraz doskonalenie sztuki produkcji syropu klonowego?

– Drewutnia jest tuż obok. – Rodas zignorował mój wybuch. – Ale niewiele drewna zostało. Przypuszczam, że sąsiedzi się nim częstowali przez te lata. – Zwrócił się do mnie: – Wie pani coś o syropie klonowym?

– Tracimy czas – odparłam niegrzecznie, ale było mi bardzo zimno. I czułam niepokój. Miałam już dość tych pogaduszek dwóch facetów.

– Więc proszę skorzystać z okazji, żeby się czegoś nauczyć. – Rodas wziął mój brak odpowiedzi za zaproszenie do kontynuowania rozmowy. – W okresie wegetacji w korzeniach i pniach klonów magazynowana jest skrobia. Enzymy przekształcają ją w cukier, a woda, pochłaniana przez korzenie, zmienia go w sok. Wiosną, wskutek zmiennych warunków atmosferycznych – mrozy i odwilże, naprzemiennie – sok jest wypierany w górę drzewa. Większość ludzi pobiera go, gdy temperatura sięga pięciu stopni Celsjusza. Tutaj przypada to zwykle na koniec kwietnia. Następnie sok drzewny trzeba poddać obróbce, odparować wodę i pozostawić sam skoncentrowany syrop. Oznacza to, że z pięciu do trzynastu galonów soku otrzymuje się ćwierć galona syropu. Wszystko można zrobić nad jednym źródłem ciepła. – Rodas wskazał palenisko. – Albo podzielić surowiec na mniejsze porcje i gotować go w garnkach. – Pokazał naczynia.

– To ma coś wspólnego ze sprawą?

Wyszczrzył do mnie zęby.

– Potrzebuje pani kawy? Mam w termosie.

– Nic mi nie jest – odparłam szorstko.

– Chodzi o to, żeby zawartość cukru w syropie klonowym wynosiła około sześćdziesięciu sześciu procent. To właściwie sacharoza i woda, z niewielkim dodatkiem glukozy i fruktozy powstałych w procesie gotowania. Trochę kwasów organicznych, na przykład jabłkowy. Stosunkowo uboga zawartość soli mineralnych, głównie potas i wapń, nieco cynku i manganu. Różne lotne związki organiczne, wanilina, hydroksybutan, propionaldehyd.

– Alleluja. Lekcja chemii – nie wierzyłam własnym uszom.

– Sacharoza, glukoza i fruktoza. Kleiste i słodkie. Z czymś się pani kojarzy?

Jasna cholera. W końcu zrozumiałam.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, oczy Rodasa skierowały się nade mną w stronę otwartych drzwi. Gdy się odwróciłam, Karras wkroczyła w krąg światła. Na jej ramionach i kapeluszu lśniły kropelki wody.

– Możemy? – spytał Rodas.

– Przedstawienie czas zacząć.

Rodas wsunął palce w rękawiczkach pod lewarek otwierający pokrywę beczki. Pociągnął na zewnątrz.

Pokrywa puściła z łatwością. Ale nacięcia i złobienia na jej obrzeżu, a także na krawędzi samej beczki wskazywały, że wcześniej zadano sobie znacznie więcej trudu.

Rodas odsunął się, uniósł pokrywę i odrzucił ją daleko.

Ryan i ja ruszyliśmy do przodu.

## Rozdział 22

Deszcz ze śniegiem zaciął w blaszany dach nad naszymi głowami.

Mruczał generator.

Aparat technika kryminalistycznego klikał miękko.

Zwłoki unosiły się tuż pod powierzchnią, głową do góry, przechylone na bok; ciemię dotykało jednej ze ścian beczki. Twarz owijały długie jasne włosy, zasłaniając jej rysy niczym mokry kostium ciało surfera.

Nie. Nie unosiły się. Były zatopione w gęstym brązowym paskudztwie.

Przed oczyma mignął mi obraz. Dowód rzeczowy w jednej ze spraw w Centre des sciences de Montréal. Ciała zakonserwowane dzięki zastąpieniu wody i tłuszczu w tkankach polimerami. Plastynacja. Nieco inny proces niż ten tutaj, ale efekt przerażająco podobny.

Pierwsza odezwała się Karras. Energicznie i chłodno. Wykonywała swoje zadanie, nie przyjechała się z nikim zaprzyjaźnić.

– Zorganizowałam już transport beczki wraz z zawartością.

– Jak długo ona tu jest? – zapytał Rodas.

– Będę wiedzieć więcej dopiero po zbadaniu zwłok. Oraz to, czy ofiara jest mężczyzną, czy kobietą.

– Racja.

– Chętnie pomogę – powiedziałam.

– Nasz zakład jest zamknięty dla publiczności. – Jakby zwracała się do laika.

Poinformowałam ją o swoich kwalifikacjach.

– Biorąc pod uwagę stan zachowania zwłok, obecność antropologa nie powinna być konieczna.

– Pierwsze wrażenie bywa mylące.

– Czyżby?

– Wiem, że jestem poza swoim terenem. – Staralam się złagodzić swój poprzedni niedelikatny komentarz. I wcześniejsze grubiaństwo. – I rozumiem, że...

– Prawdopodobnie nie.

*Spokojnie.*

– Mogę przynajmniej obserwować?

– Doktor Brennan i detektyw Ryan pracują nad sprawami zabójstw potencjalnie wiążących się ze śmiercią Nellie Gower. – Interweniował w moim imieniu Rodas.

– Więc o to chodzi? – Karras poklepała krawędź beczki dłonią w rękawiczce.

– Zapewne.

Przyglądała mi się chłodno.

– Zna się pani na sekcjach zwłok?

– Znam.

– Kiedy wyjmemy ciało z tego syropu, bardzo szybko ulegnie rozpadowi.

– Owszem.

– Zamierzam pracować całą noc.

– Ja też. – Wytrzymałam jej spojrzenie.

- W Burlington.
  - Weź jeepa – powiedział do mnie Ryan. – Ja zostanę i pomogę tutaj.
- Tak też zrobiliśmy.

Siedziba głównego lekarza sądowego stanu Vermont znajduje się w kompleksie medycznym Fletcher Allen na zachodnim krańcu Burlington. Samo Burlington leży na zachodnim krańcu Vermontu, dokładnie po drugiej stronie stanu względem St. Johnsbury. Na szczęście to mały stan.

Mimo wszystko podróż była okropna. Zupełnie nie znałam jeepa Ryana. A wraz ze zmrokiem temperatura spadła jeszcze bardziej, deszcz ze śniegiem spowodował gołoledź, zablokował wycieraczki, ograniczył widoczność, sprawił, że drogi stały się zdrażliwie niebezpieczne.

Dotarłam o godzinie 6.40. Karras i beczka były już na miejscu.

Budynek nie przypominał tych, w których dane mi było pracować, włącznie z siedzibą medyka sądowego w Charlotte oraz tą należącą do LSJML. Mieściły się w nim liczne sale prosektoryjne, każda z wykładaną kaflami podłogą, suchościerną tablicą, metalowo-szklanymi gablotami, kontuarami ze stali nierdzewnej oraz stołem pośrodku.

Gdy Karras zdjęła wierzchnie okrycie, okazała się dużą kobietą o grubych kończynach i kołyszających się piersiach. Wątpiłam, by się tym specjalnie przejmowała. Jej sposób bycia wskazywał, że do szczęścia wystarczą jej bawełniane figi i wygodne buty.

Po zwykłej procedurze logowania się i wpisywania danych beczka została sfotografowana za pomocą promieni rentgenowskich, przy użyciu skanera o nazwie Lodox, który pozwala na oglądanie nagrania video w czasie rzeczywistym. Wraz z Karras przyglądałyśmy się poszczególnym fragmentom zwłok: kości, czaszka i zęby odbijały się na biało, tkanki miękkie – na szaro, powietrze w jelitach oraz w drogach oddechowych – na czarno.

W beczce znajdowały się zwłoki jednej osoby; nogi zgięte w kolanach, ramiona wciśnięte w brzuch. Nic nieprzepuszczającego promieni rentgenowskich. Żadnych sprzączek od paska, zamków błyskawicznych, zegarków czy biżuterii. Żadnych wypełnień dentystrycznych. Ani pocisków. Nie zauważyłam też widocznych oznak urazu szkieletowego.

Po zakończeniu zdjęć rentgenowskich technik zawiózł beczkę wózkiem transportowym do sali sekcyjnej. Pobierał próbki syropu, podczas gdy Karras dyktowała swoje obserwacje dotyczące elementów i stanu beczki.

Zrobiwszy milion kolejnych fotografii, technik umieścił siatkę nad odpływem podłogowym, po czym wszyscy razem położyliśmy na niej beczkę. Męcząc się co niemiara i klnąc, na czym świat stoi, wyswobodziliśmy ciało i przenieśliśmy je na stół.

Gdy skończyliśmy, całą naszą trójkę pokrywał gęsty, syropowaty pot. Tu i ówdzie do naszej skóry przyklejały się liście.

Karras dyktowała i robiła jeszcze więcej zdjęć, technik tymczasem rozłożył siatki nad wielkimi pojemnikami ze stali nierdzewnej, do których spływały resztki syropu. Miano go później przekazać do zbadania. Być może jakaś roślina, pyłek kwiatowy albo owad podpowiedzą, kiedy ofiara zmarła.

Po zakończeniu fazy przygotowawczej Karras odesłała technika do domu. Może ze względu na trudne warunki drogowe. A może było to wotum zaufania do mnie? Zwróciła uwagę na moje komentarze dotyczące radiologii. Doceniła moją pomoc w przemieszczaniu ciała i manewrowaniu nim.

Poszliśmy wziąć prysznic i przebrać się w czyste ciuchy.

O godzinie 8.40 byliśmy już w okularach ochronnych, nowych rękawiczkach i fartuchach. Szybko umyłam włosy szamponem, ale swędziały mnie pod czapczką chirurgiczną, oddzielającą je od twarzy.

Ofiara w beczce była płci żeńskiej. Leżała na stole naga, z włosami zlepionymi na twarzy; syrop skapywał z jej ciała miękkimi kliknięciami. Pod wpływem bursztynowego płynu, w którym zanurzono zwłoki, skóra przybrała nienaturalnie brązową barwę.

Zaczekałam, aż Karras poda do dyktafonu wzrost, wagę i płeć, wstrzymując się z określeniem wieku do chwili, gdy dojdziemy do użębienia. Patrzyłam, jak bada skórę głowy, rozsuwając – kępka po kępce – dające się wyodrębnić włosy.

Po kilku minutach powiedziała:

– Proszę popatrzeć.

Stałam u jej boku. Kleista od syropu niebieska folia na podłodze nasunęła się na ochraniacze na mych butach.

Ofiara miała jasne włosy, z centymetrowymi ciemnymi odrostami przy czaszce. Ufarbowane amatorsko, zapewne w domu, preparatem z pudełka.

Karras uniosła kilka pasemek i odsłoniła owalną leżę, długą na około dwa cale i szeroką na cal. Skóry nie było, spod jajowatego obrażenia prześwitywała żółtawa kość.

– Co to jest?

Brak odpowiedzi. Kobieta zdecydowanie nie była gadułą.

– Otarcie spowodowane kontaktem z beczką? – zasugerowałam.

– Głowa opierała się o wnętrze od drugiej strony.

– Gryzonie? – Sama w to nie wierzyłam.

– Nie widać żłobień po zębach ani w kościach, ani w tkankach. Poza tym była zbyt głęboko pod powierzchnią. I jak myszy mogłyby wyjść z beczki, nawet gdyby napoczęły jej skórę na głowie?

– Są inne obrażenia?

– Dwa. Proszę mi podać powiększalnik.

Podaliśmy.

– Krawędzie wydają się gąbczaste, nieostre. Co może być wywołane działaniem syropu.

Przeanalizowałam w myślach różne możliwości.

– Coś z zewnątrz? Oparzenie? Ekspozycja na żrące chemikalia?

– Ani okoliczne włosy, ani tkanki nie są uszkodzone.

– Roztocza? Kleszcze? Pluskwy? Wszy? Pająk pustelnik brunatny?

– Nie zauważyłam jajeczek ani odchodów. Ale przypuszczam, że w niektórych miejscach mogło dojść do zakażenia, już martwiczego.

– Odpowiedź autoimmunologiczna? Coś w rodzaju pęcherzycy? – Miałam na myśli zespół chorób dermatologicznych, które objawiają się pęcherzami na skórze i błonach śluzowych.

– Hm.

– Proces zakaźny? Leiszmanioza? MRSA? – *Staphylococcus aureus*, gronkowiec złocisty odporny na metycylinę.

Kolejne nic nieznaczące mruknięcie.

– Egzema? Łuszczyca krostowa? Jedno i drugie może prowadzić do ropienia.

– Będziemy mieć lepszy ogłąd, gdy zdejmę skórę głowy.

Koniec dyskusji.

Karras dokonała pomiarów, podyktowała wyniki do mikrofonu, zrobiła zapiski w diagramie. Następnie, za pomocą palca wskazującego, spróbowała usunąć włosy z twarzy. Tkwiły tam mocno.

Wycofałam się, gdy przesuwała szkło powiększające nad szyją, ramionami, piersią i brzuchem, a także obiema nogami ofiary, w poszukiwaniu pieprzyków, tatuaży, znamion, blizn i świeżych ran.

– Halo. – Podniosła prawą rękę leżącej. Potem lewą. Przywołała mnie gestem.

W powiększalniku zobaczyłam grupkę punktowych odbarwień po wewnętrznej stronie prawego łokcia.

– To samo na lewym?

– Trzy.

– Ślady po zastrzykach? – Ale coś tu nie pasowało.

– Jeśli nawet, to dość nietypowy układ.

Karras dalej badała zwłoki. Skóra ich dłoni wydawała się szorstka i popękana, paznokcie w złym stanie. *Ręce człowieka pracy*, pomyślałam.

– Na obu nadgarstkach pasma zaczerwienienia.

– Po opatrunkach?

– Możliwe.

Minęło kilka sekund.

– Pracowała pani kiedyś nad czymś takim? – zapytała Karras.

– Raz miałam ciało w beczce z asfaltem. Ale z syropem klonowym nie.

– Domyśla się pani, jak długo tam tkwiła? – Mówiąc to, zaglądała pod prawą pachę.

– Jest w dobrym stanie – odpowiedziałam. – Brakuje trochę skóry na końcu nosa, na goleniach i paru palcach u nóg. To wszystko.

– To prawdopodobnie punkty kontaktowe.

Znów kilkusekundowa pauza. Potem nagle Karras podjęła swoją pierwszą próbę nawiązania rozmowy, niekoniecznie na temat przeprowadzanej akurat sekcji.

– Mieszkam koło starego cmentarza. Jest mały, parę grobów. Między innymi młodego chłopaka, którego pochowano tam pod kamieniem z napisem, że zmarł w Anglii w roku tysiąc siedemset czterdziestym siódmym. I że wysłano go do domu w beczce z miodem.

– Wtedy jeszcze nie stosowano balsamowania.

– Aleksander Wielki. – Zajrzała pod lewą pachę. – Zmarł w trzysta dwudziestym trzecim roku przed naszą erą. Jego ciało zakonserwowano w trumnie wypełnionej miodem.

– Tak. – Ukryłam zaskoczenie, że o tym wiedziała.

– Nie pamiętam, dlaczego to zrobiono.

– Aleks wykorkował w Babilonie, ale trzeba go było przewieźć do Macedonii.

Nie zaśmiała się. Złota zasada: jeśli dowcip wymaga tłumaczeń, przestaje być dowcipem. Dałam spokój.

– Asyryjczycy używali miodu do balsamowania zwłok – powiedziałam. – Podobnie jak Egipcjanie.

– Jak to działa? – Karras przesunęła się w dół stołu, w kierunku stóp. Zaczęła rozsuwać palce i sprawdzać przestrzeń między nimi.

– Miód składa się głównie z monosacharydów i H<sub>2</sub>O. Większość cząsteczek wody wiąże się z cukrami, dlatego dla mikroorganizmów pozostaje ich bardzo niewiele. W takim środowisku rozwój bakterii jest utrudniony.



– Nie mają dostępu do zewnętrznych powłok ciała, we wnętrznościach nie zachodzą procesy aerobowe. Rezultat: nie dochodzi do rozkładu. Syrop może mieć taki sam efekt?

– Najwyraźniej. – Właśnie o to chodziło Rodasowi, gdy wygłaszał swój wykład na temat klonów i ich soku.

Zabrzęczała moja komórka. Podeszłam do kontuaru i sprawdziłam, kto dzwoni. Slidell.

– Muszę odebrać.

Żadnej reakcji.

Ściągnęłam rękawiczkę i wcisnęłam przycisk.

– Matka mówi, że Leal miała comiesięczne dolegliwości.

Na ów przestarzały eufemizm Slidella moje oczy powędrowały w kierunku sufitu.

– Nie pytałem o szczegóły, ale wygląda na to, że ta mała cierpiała na silne bóle brzucha. Raz matka zabrała ją na pogotowie. Jej zdaniem dlatego szukała pomocy w Internecie.

– Podała ci jakieś wskazówki dotyczące hasła?

Po drugiej stronie sali Karras pobierała to, co znajdowało się pod paznokciami ofiary.

– Kilka. Przekazałem Pastoriemu.

– Czy matka jakoś regulowała korzystanie Shelly z Internetu?

– Twierdzi, że tak, ale odniosłem inne wrażenie.

Karras podeszła do kontuaru i otworzyła zestaw do odcisków palców. Nie chcąc ujawniać przed nią poufnych informacji, odwróciłam się plecami i ściszyłam głos.

– Rozesłałeś wszystkim to przerobione zdjęcie Pomerleau?

– Wydałem uaktualniony list gończy zaraz po tym, jak przesłałem ci maila.

– Jakież wyniki? – zapytałam.

Karras wróciła do stołu.

– Od razu odezwał się Geraldo z telewizji. Chce zaprosić Pomerleau do swojego programu.

Pozostałam to bez komentarza.

– Co się tam u was dzieje? – spytał Slidell.

Usłyszałam za sobą jakiś ruch. Wiedziałam, że Karras macza w tuszu każdy palec, a potem przykłada go do arkusza.

– Powiem ci później.

– Gdzie Ryan?

– Przeszukuje szopę cukrową.

– Co to niby miało znaczyć?

– Na razie.

Doszedł mnie metaliczny grzechot, a potem szum wody uderzającej o stal nierdzewną. Odwróciłam się. Karras używała dyszy wodnej do usunięcia włosów z twarzy. Zlepione pasma ustępowały powoli, przesuwając się ku skroniom.

Rysy twarzy stały się widoczne.

Zaniemówiłam.

## Rozdział 23

– Boże wszechmogący!

Karras obrzuciła mnie kamiennym wzrokiem pełnym dezaprobaty.

Znalazłam zdjęcie w swoim telefonie, podeszłam do niej i przytrzymałam ekran tak, żeby mogła zobaczyć. Jej wzrok wędrował między iPhone'em a lśniąco brązową twarzą na stole. Minęła bardzo długa chwila.

– Kto to jest?

– Anique Pomerleau.

Puste spojrzenie.

– Prawdopodobna morderczyni Nellie Gower i kilkorga innych dzieci.

– Proszę powiedzieć więcej.

Powiedziałam. Krótko.

– Jest pani pewna, że to ona? – zapytała, przyglądając się zwłokom.

– To ona.

– Przekażemy odciski palców i damy próbkę DNA do badania.

– Oczywiście.

– Jak to się stało, że pani podejrzana skończyła w beczce z syropem?

– Mam nadzieję, że pomoże mi pani to wyjaśnić.

O godzinie 2.45 Karras przecięła nić, którą zaszyła wielkie Y na piersi Pomerleau.

Odtąd bakterie, do tej pory długo trzymane na smyczy, mogły zacząć atak na ciało. Powietrze było gęste od obrzydliwego zapachu rozkładu, zmieszanego ze słodkim odorem syropu.

Niestety, sekcja zwłok przyniosła więcej pytań niż odpowiedzi.

Stężenie pośmiertne, stan przejściowy objawiający się zesztynieniem mięśni, miało miejsce bardzo dawno i dawno też ustąpiło. Nic dziwnego. Dało się to już zauważyć podczas przenoszenia ciała.

Plamy opadowe, czyli odbarwienia spowodowane gromadzeniem się krwi w dolnej części zwłok, były wyraźnie widoczne na pośladkach, łydkach i stopach. Albo Pomerleau umarła w beczce, albo została w niej umieszczona bezpośrednio po śmierci.

W jej zatokach przynosowych, drogach oddechowych, płucach i żołądka nie było syropu klonowego, co oznaczało, że nie połknęła go ani się nim nie zadławiła. Nie utopiła się w tej beczce; ergo włożono ją tam już martwą.

W żołądka Pomerleau znajdowało się tylko parę skórek pomidora. Nie zjadła niczego w okresie – mniej więcej – od sześciu do ośmiu godzin przed śmiercią.

Karras nie znalazła pocisków, ich fragmentów ani śladów po kulach. Brak urazów po ciosie tępych narzędziem. Żadnych złamań kości gnykowej wskazujących na uduszenie. Brak większych wybroczyn sugerujących asfiksję.

Pod powiększalnikiem zauważyła trzy równoległe żłobienia na zewnętrznej powierzchni czaszki, znajdujące się niedaleko krawędzi jednej z owalnych zmian; miały kształt litery Y, w przekroju poprzecznym były niezwykle wąskie. Ani Karras, ani ja nie potrafiliśmy ich zadowalająco wyjaśnić.

Poza małe nakłuciami po wewnętrznej stronie łokci zwłoki nie wykazywały cech typowych dla narkomanów.

Karras wyjęła zestaw do oględzin pod kątem wykorzystania seksualnego. Pobrała tyle krwi, ile się dało, do badań toksykologicznych. W jednym i drugim przypadku nie wierzyłam w sukces.

Podsumowując: Pomerleau była zdrową trzydziestodwuletnią białą kobietą, bez śladów odniesionych urazów, infekcji, przewlekłych chorób ani wad wrodzonych. Nie wiedziałyśmy, jak ani kiedy zmarła. Nie wiedziałyśmy, jak i dlaczego skończyła w beczce.

Kiedy Karras odwiozła mnie do Comfort Inn, oddalnego o jakąś milę od kompleksu medycznego, wciąż padał lodowaty deszcz ze śniegiem. Po drodze dzieliłyśmy się teoriami. Uważałam za prawdopodobne, że Pomerleau została zamordowana. Karras, ostrożniejsza ode mnie, zamierzała wpisać „nieustaloną” przyczynę śmierci, a sposób jej zadania uznać za „podejrzany”.

Miała rację. Choć mało prawdopodobne, istniały przecież inne możliwości. Przedawkowanie narkotyków, a potem próba ukrycia ciała. Przypadkowe uduszenie. Nie wierzyłam w to jednak.

Zgadzałyśmy się co do jednego: Pomerleau sama się w tej beczce nie zamknęła.

Udałam się do swojego pokoju hotelowego, zastanawiając się, czy nie zadzwonić do Ryana. I do Slidella. Zamiast tego wzięłam drugi prysznic i padłam na łóżko.

Wraz z nadchodzącym snem dotarła do mnie prawda.

Pomerleau wreszcie nie żyła. Ten potwór, który nam uciekł. Staralam się zapanować nad emocjami kłębiącymi się w żołądku. Nie mogłam.

W moim mózgu odbijały się rykoszetem fakty i obrazy.

Odcisk ust na kurtce.

DNA mężczyzny.

Stephen Menard.

Dźwiękoszczelna cela więzienna w piwnicy.

Pytania. Mnóstwo pytań.

Jak Pomerleau znalazła sobie nowego współnika? Czy mężczyzna ten był odpowiedzialny za jej śmierć?

Czy ją zamordował? Dlaczego?

Kim był? I gdzie jest teraz?

Czy przeniósł swój chory spektakl na południe?

Tym razem grubą otulinę mego snu przerwało jakby walenie.

Obudziłam się zdezorientowana.

Z powodu snu? Nie pamiętałam.

W pokoju panowała ciemność.

Poszczególne elementy zaczęły mi się składać w całość. Szopa cukrowa. Beczka. Sekcja zwłok.

Pomerleau.

Czy to walenie tylko mi się śniło?

Nasłuchiwałam.

Pomruk ruchu ulicznego. Ciężki, przerywany.

Żadnego śniegu z deszczem ani wiatru łomoczącego w okno.

– Brennan. – *Lup, lup, lup.*

8.05.

Cholera.

– Wyłaż z łóżka.

– Idę. – Naciągnęłam na siebie ubranie, które nosiłam poprzedniego dnia. Tylko je tutaj miałam.

Kiedy otworzyłam drzwi, oślepiło mnie słońce. Zawieja minęła, pozostawiając po sobie nienaturalną ciszę.

Szkła przeciwsłonecznych okularów zniekształciły moje oblicze tak, jak to się dzieje w wesołym miasteczku. Nad nimi ujrzałam czarną wełnianą czapkę. Pod nimi – zaczerwienione od wiatru policzki i nos.

– Przyjechałeś. – Słabo mi to wyszło. Wciąż byłam nieprzytomna.

– Powinnaś pracować jako detektyw.

Jedno z dawnych powiedzonek Ryana. Żadne z nas się nie roześmiało.

– Zbierz się do kupy w dziesięć minut.

– W dwadzieścia – odparłam, przecierając oczy jedną ręką.

– Będę w jeepie.

Dwanaście minut później siedziałam zapięta w pasy, z palcami zaciśniętymi na ciepłym woskowanym kubku z polietylenu. W jeepie pachniało kawą i rozgotowaną wieprzowiną.

– Ktoś mógł mi podprowadzić brykę.

– Ale nie podprowadził.

– Ten jeep jest mi potrzebny.

– Z pewnością ty jemu bardziej.

– Gdzie ty miałaś głowę?

– Daj już spokój, Ryan. Przecież dostałeś kluczyki.

– Pozostawienie ich w kompleksie medycznym to zwykłe lenistwo. Dobrze, że Karras mnie powiadomiła.

Na moich kolanach leżała kanapka Egg McMuffin; tłuszcz sprawiał, że na opakowaniu pojawiły się prześwitujące plamy.

– Jak się tu dostałeś z St. Johnsbury? – zapytałam.

– Umpie załatwił mi transport.

A więc teraz już jest Umpie.

– Dokąd jedziemy?

Ryan włączył się w ruch. Nie odpowiedział.

Rozpakowałam kanapkę i urwałam parę gryzów. Po kilku minutach przejechaliśmy pędem przez zjazd na drogę numer I-89. Zmierzaliśmy na północ.

– No i proszę – wskazałam Ryana. – Znów ten dawny uśmiech.

Ale najwyraźniej nie był w nastroju do żartów.

Świetnie.

Obserwowałam przesuwający się obok Vermont.

Poranne słońce roztopiało świat wykonany z lodu. Rolniczy krajobraz wyglądał jak karmelizowany na lśniący brąz. Być może nawet pokryty syropem klonowym.

– Okej, słoneczko. Ja zacznę – Wcisnęłam zmięte opakowanie po kanapce McMuffin do torby pomiędzy nami. – W tej beczce była Anique Pomerleau.

Okulary przeciwsłoneczne wystrzeliły w moją stronę.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

– Nie.

– Jak zginęła?

– Mogę ci tylko powiedzieć, w jaki sposób nie zginęła.

Przekazałam mu w zarysie ustalenia sekcji zwłok. Ryan słuchał, nie przerywając, z twarzą napiętą i czujną. Kiedy skończyłam, powiedział:

– Ekipa Rodasa przetrząsnęła tę nieruchomość z góry na dół. Nie znaleźli żadnych narkotyków ani przyrządów do ich wytwarzania.

– Co było w domu?

– Badziewiaste meble i AGD. W spiżarni konserwy, płatki śniadaniowe oraz makaron, którym delektowały się całe pokolenia gryzoni.

– Datę przydatności do spożycia dało się jeszcze odczytać?

– W kilku przypadkach. Najbardziej aktualne sięgały roku dwa tysiące dziesiątego.

– A lodówka?

– Różne zgnilizny. Robactwo, mysie odchody, pleśń. Wygląda na to, że dom był zamieszkały przez jakiś czas, a potem opuszczony.

– Kiedy?

– W koszu leżały stare gazety. „Burlington Free Press”. Najnowsza pochodziła z niedzieli, piętnastego marca dwa tysiące dziewiątego roku. To oraz daty na żywności wskazują, że przez ostatnie pięć lat nikt tam nie mieszkał.

– Sprawdziłeś kontakty? Lampy?

Ryan posłał mi spojrzenie.

– Wszystkie wyłączone, z wyjątkiem świetlówek na suficie w kuchni i lampy w jednej sypialni. Tam żarówki były wypalone.

– A łóżka? Pościelono je?

– Jedno tak, drugie nie.

– Ten, kto był w tym domu jako ostatni, nie starał się po sobie posprzątać. Wiesz, wyjąć wszystko z lodówki, przebrać pościel, wyłączyć światła. Po prostu wyjechał. Zapewne w nocy.

– Bardzo dobrze.

– Jak przychodziły gazety?

– Poczta nie. Usługi zawieszono, ponieważ pod tym adresem brakowało skrzynki pocztowej.

– Kiedy to było?

– W dziewięćdziesiątym siódmym roku. Według Umpiego nie świadczone też usług dostarczania towarów do domu.

Zastanowiłam się chwilę.

– Pomerleau musiała robić zakupy w Burlington albo w okolicach.

– Lub w miejscowym sklepie, w którym sprzedawano gazety z Burlington.

– Jakies pojazdy?

– Ford F-150 z osiemdziesiątego szóstego roku, zaparkowany w szopie.

– To półciągarówka, tak?

– Tak, Brennan. Półtonowy pick-up. – Ryan uprzedził moje kolejne pytanie. – Zatankowany w jednej czwartej. Bez tablic rejestracyjnych. Na pewno też bez GPS-u, żeby go można sprawdzić.

– Na pewno. Coś jeszcze znaleźliście w tej szopie?

– Stary traktor i wózek.

– Zakładam, że w domu nie było systemu alarmowego?

– Chyba że pies.

– Jakież ślady jego obecności?

Ryan tylko potrząsnął głową. To miało znaczyć „nie”? A może stanowiło wyraz jego irytacji?

– W pobliżu nie mieszkają żadni sąsiedzi – powiedziałam do przedniej szyby, podłokietników, a może nawet do wentylatora. – Nie było komu zaobserwować, czy światła są włączane i wyłączane.

Ryan ostro skręcił w lewo, żeby wyprzedzić ciężarówkę z piwem Budweiser. Szybko. Zbyt szybko.

– W domu był telefon? – Nie pamiętałam, żebym widziała tam jakieś druty.

– Nie.

– I domyślałam się, że kablówki i wi-fi też nie?

Brak odpowiedzi.

– A co z mediami? Gaz? Woda? Elektryczność?

– Przyglądają się temu.

– Małżonkowie Corneau zmarli w osiemdziesiątym ósmym. Kto płacił podatki po ich śmierci?

– Temu też się przyglądają.

– Naprawdę sądzisz, że Pomerleau tam mieszkała, nacinała drzewa, starała się nie rzucić w oczy?

– W jednej sypialni znajdowała się kolekcja książek poświęconych produkcji syropu klonowego. Cały niezbędny sprzęt był na miejscu.

– Co mówią sąsiedzi?

– Że...

– ...się nie przyglądali. Dlaczego zachowujesz się dziś jak dupek?

Ręce Ryana zacisnęły się mocno na kierownicy. Wciągnął głęboko powietrze. Wypuścił je przez nos.

– Znaleźliśmy tam jeszcze coś.

– Pewnie żadne ludzkiego mięsa zombie, wnioskując po twoim zachowaniu.

Było gorzej.

## Rozdział 24

– Ja?

– Tak, Brennan. Ty.

– Jakie czasopismo? – Mój żołądek zareagował tak, jakbym właśnie napiła się kwasu. Na pewno nie wskutek McMuffinki.

– „Health Science”.

– Nie pamiętam, żebym udzielała im wywiadu...

– No cóż, udzielałaś.

– Kiedy ukazał się ten artykuł?

– W dwa tysiące ósmym.

– Na jaki tem...

– Zachowała się tylko jedna strona. Twoje zdjęcie, jak dokonujesz pomiarów czaszki w laboratorium Uniwersytetu Karoliny Północnej w Charlotte.

Coś mi się mgliście przypominało. Rozmowa telefoniczna. Publikacja poświęcona zmianom, jakie zaszły w antropologii fizycznej w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Czy zechciałabym to skomentować z punktu widzenia mojej specjalizacji antropologa sądowego? Udostępnić jakiś wykres?

Uznałam wtedy, że artykuł ten może pomóc rozwiązać hollywoodzki mit o tym, jak cudownie pracuje się na miejscu zbrodni i że wykrywalność wynosi sto procent. Czyżby naprawdę minęło już sześć lat?

Palenie w żołądku rozlewało się dalej, ku piersiom. Przełknęłam ślinę.

Pomerleau wycięła sobie z gazety moje zdjęcie. Wiedziała, że mieszkam w Charlotte. Wiedziała od 2008 roku.

Lizzie Nance zmarła w 2009. Później zginęły pozostałe ofiary. Estrada. Leal. Być może Koseluk i Donovan. ME107-10.

Zanim zdołałam coś powiedzieć, w kieszeni Ryana zawibrował telefon. Rzucił okiem na ekran, odebrał, słuchał.

– Pomerleau.

Ucho Ryana zagłuszyło okrzyk przekleństwa. Popłynęły pytania. Ryan odpowiadał, najczęściej używając pojedynczych wyrazów. „Tak”. „Nie”. „Nieokreślona”. „Podejrzana”.

– Przełączę na głośnik. – Zrobił to, a następnie położył telefon na tablicy rozdzielczej.

– Jak leci, pani doktor? – zapytał Rodas.

– W porządku.

– Oto aktualne ustalenia w sprawie. Przesłuchanie sąsiadów trwało około pięciu sekund, ponieważ praktycznie nie ma żadnych sąsiadów. Na południe od domu mieszka para starszków po osiemdziesiątce. Nie słyszą, nie widzą. Znali oboje Corneau. Powiedzieli, że wiosną, a sporadycznie także latem wyrabiali oni w szopie syrop klonowy. Bardzo żalowali ich śmierci. Zdaniem starszego pana jakiś czas mieszkała tam wnuczka Corneau.

– Kiedy widział ją po raz ostatni?

– Nie wie.

– Była blondynką?

– Zapytam.

– Wysyłam dwa zdjęcia. Jedno to policyjny portret Pomerleau, odpowiednio postarzony. – Mówiłam tak, jakbym opisywała akta. – Oraz zbliżenie wykonane przeze mnie podczas sekcji zwłok. Proszę im je pokazać.

– Zrobi się. Sąsiad mieszkający na północ od domu to wdowiec, przebywa tam tylko okresowo. Nie wie nic. To samo mieszkańcy ulicy Hale.

– Nikt nie zauważył, że w domu jest ciągle ciemno?

– Stoi za głęboko w lesie. Wczoraj wieczorem sprawdziłem. Przez drzewa kompletnie nic nie widać.

– Nikt nie pamięta jakichś pojazdów, wjeżdżających tam albo wyjeżdżających stamtąd?

– Nie.

– Ktoś ich kiedykolwiek odwiedzał? Nie pytał o zagubionego szczeniaka? Nie przyniósł ciasteczek, żeby przywitać się z sąsiadami?

– Ludzie z Vermontu mają skłonność do separowania się od innych.

– Przeprowadziliście wywiad w miasteczku?

– Wygląda na to, że Pomerleau robiła zakupy gdzieś indziej. Jak dotąd nie znaleźliśmy nikogo, kto pamiętałby kobietę pasującą do jej rysopisu. Jeżeli wpadała do jakiegoś sklepu tylko od czasu do czasu, uznawano ją pewnie za turystkę lubiącą wędkowanie i kajaki. Nie zwróciła niczyjej uwagi.

Pasowało to do mojej teorii, według której Pomerleau robiła zakupy w pobliżu Burlington. W większym mieście, gdzie łatwiej pozostać anonimowym.

Usłyszałam stłumione piknięcie. I kolejne. Wiedziałam, że wiadomość ode mnie wylądowała w komórce Rodasa.

– Skąd brała drewno? – spytałam.

– Znaleźliśmy faceta, który powiada, że od kilku lat w marcu każdego roku przywoził tam ciężarówkę drewna. Płaciła za nie kobieta, gotówką.

– Kiedy była ostatnia dostawa?

– Jego dokumentację cechuje, powiedzmy, nieporządek. Podejrzewa, że w dwa tysiące dziewiątym.

– Pokażcie mu te zdjęcia.

– Jasne. Andy?

– Jestem.

– Mówiłeś jej o gazetach i terminach ważności na jedzeniu?

– Tak.

– Wiecie, co myślę? W dwa tysiące czwartym Pomerleau ucieka z Montrealu do stanu Vermont. Zaszywa się tutaj, siedzi jak mysz pod miotłą. Dom zostaje opuszczony w dwa tysiące dziewiątym. Czy pani i doktor Karras podejrzewacie, że mogła nie żyć od tak długiego czasu?

Wyobraziłam sobie tę beczkę. Ciało. Liście zakonserwowane w doskonałym stanie.

– Pięć lat jest możliwe – powiedziałam. A potem spytałam: – Kto jest właścicielem nieruchomości?

– I to jest właśnie ciekawe. W akcie notarialnym wciąż figuruje Margaux Daudet Corneau.

– Babka Stephena Menarda ze strony matki.

– Domyślałam się, że skoro Corneau zmarli w Kanadzie, po ich śmierci nikt nie zauważył, że tytuł własności się nie zmienił. Podatek, całe dziewięćset dolarów rocznie, wpływał automatycznie z konta na nazwisko Corneau w Citizens Bank w Burlington.



– Kiedy założono to konto?  
– Dowiem się więcej, jak dostanę nakaz.  
– A co z rachunkami za media?  
– Dom ma własną studnię, nie ma gazu. Zakład energetyczny Green Mountain opłacano z tego samego konta co podatek. Ale w końcu pieniądze się skończyły. Wysyłano ponaglenia...  
– Których nikt nie odbierał, ponieważ nie było telefonu ani skrzynki pocztowej.  
– Prąd został odcięty w dwa tysiące dziesiątym.  
– Państwo nie podjęło żadnych działań, mimo niepłacenia podatków?  
– Wysyłano zawiadomienia. Postępowanie się jeszcze nie zakończyło.  
Usłyszałam kliknięcie.  
– Proszę zaczekać. Mam drugi telefon.  
Na linii zapanowała cisza. Potem znów rozległ się głos Rodasa, w którym wyczułam odrobinę większe napięcie niż przedtem.  
– Oddzwonię, dobrze?  
– Miałaś rację – rzekł Ryan, kiedy przejechaliśmy kilka kolejnych mil. – Zachowywałem się jak dupek.  
– Owszem – zgodziłam się.  
– Jestem wściekły, że Pomerleau wiedziała, gdzie mieszkasz. – W okularach Ryana odbijały się żółte podwójne linie na jezdni. – Że w ogóle się tym interesowała.  
– Mnie też to się nie podoba.  
– I cieszę się, że ta suka nie żyje. Mam nadzieję, że zgnije w piekle.  
– Ktoś ją zabił.  
– Dostaniemy go.  
– A w międzyczasie?  
– Dostaniemy go – powtórzył Ryan, nie patrząc na mnie.  
– Gdybym nie udzieliła tego wywiadu, Pomerleau nigdy nie trafiłaby do Charlotte.  
– Nie wiemy na pewno, czy tam trafiła.  
– Jej DNA znajdowało się na ciele Lizzie Nance.  
– No to zabijałyby tutaj, w Vermoncie, albo gdzieś indziej.  
– Dlaczego Charlotte? Dlaczego na moim terenie?  
Oboje znaleźliśmy odpowiedź na to pytanie.  
Przekroczyliśmy już granicę z Quebeciem, gdy zabrzączał telefon Ryana. Tak jak poprzednio, przełączył Rodasa na głośnik.  
– Jeden z moich detektywów znalazł mechanika, który twierdzi, że serwisował piec w domu Corneau, raz w dwa tysiące czwartym, drugi raz w dwa tysiące siódmym.  
– Rozpoznał osobę na zdjęciach, które wysłałam?  
– Tak jest. Mówi, że za pierwszym razem Pomerleau była sama. Podczas jego drugiej wizyty w domu przebywał ktoś jeszcze.  
Popatrzyłam na Ryana; miał zaciśnięte szczęki, ale nic nie powiedział.  
– Macie tam kogoś, kto mógłby z nim popracować nad portretem pamięciowym? – spytałam.  
– Niestety. Facet twierdzi, że ta osoba była zbyt daleko, żeby zapamiętał jej twarz, na tyłach szopy. Poza tym grubo ubrana, jak to w zimie. Pewny jest tylko tego, że gość był wysoki.  
– To już coś – powiedziałam.  
– To już coś – zgodził się Rodas i rozłączył.  
Przez jakiś czas przetrawialiśmy z Ryanem tę ostatnią informację. Pierwszy odezwał się on.

– W dwa tysiące siódmym roku Pomerleau spiknęła się z kimś chorym na tę samą psychozę. Zabili Nellie Gower. Półtora roku później pojechali do Karoliny Północnej, zamordowali Lizzie Nance, potem wrócili do Vermontu, żeby nacinać klony. Potem coś w ich relacji się psuje...

- Może dochodzi do wypadku – zastrzegłam, w stylu Karras.
- ...on ją zabija, chowa ciało w beczce i zwiewa do Karoliny Północnej.
- Wszystko gra – powiedziałam.
- Jak w marszu kapelmistrza Sousy.
- I co teraz?
- Zamkniemy gnojka.

Zdecydowaliśmy się z Ryanem na działanie dwutorowe. Sami jeszcze nie wiedzieliśmy dokładnie, jak tory te powinny przebiegać.

On miał zostać w Montrealu. Niespecjalnie się ucieszył, biorąc pod uwagę, że Pomerleau i jej współlokator umieścili sobie moją podobiznę na ścianie. Ale po długiej dyskusji zgodził się, że takie rozwiązanie jest bardziej sensowne.

Wczesnym rankiem poleciałam do Charlotte. Rozstając się z Ryanem, zastanawiałam się, kiedy znów go zobaczę. Zważywszy na naszą przeszłość oraz fakt, że moje towarzystwo sprawiało mu teraz przykrość, podejrzewałam, iż będzie wolał zajmować się sprawami niewymagającymi mojego udziału.

Tuż po jedenastej wysiadłam z taksówki pod swoją przybudówką. Zapłaciłam i zaczęłam szukać kluczy. Nie były mi jednak potrzebne. Tylne drzwi okazały się otwarte.

Wpadłam w chwilową panikę. Sprawdzić sama? Zadzwoić na policję?

Wtedy przez okno zobaczyłam Mary Louise wchodzącą do kuchni z Birdiem przyciśniętym do piersi.

Zalało mnie uczucie ulgi. A potem irytacji.

– Powinnaś zawsze zamykać drzwi na zamek – powiedziałam, wchodząc do środka.

Mary Louise znów miała na głowie kapelusz światowej damy z minionej epoki. Jej twarz, pod dzwonowatym obwisłym rondem, zastygła.

*Doskonale posunięcie, Brennan. Wracasz i od razu opieprzasz tę małą.*

– Chodzi mi tylko o bezpieczeństwo.

– Dobrze, proszę pani.

Birdie spoglądał na mnie okrągłymi żółtymi oczyma. Z naganą?

– Widzę, że się dobrze dogadujecie.

– To wspaniały kot.

Birdie nie próbował się jej wyrwać i przyjść do mnie, co było jego normalną reakcją, gdy wracałam z wojaży.

– Właśnie miałam dać mu jego smakołyk – powiedziała dziewczynka z wahaniem.

Birdie obrzucił mnie długim, taksującym spojrzeniem. Niezadowolony, że się wtrącam?

– Na pewno mu się to spodoba – odrzekłam, uśmiechając się szeroko.

Mary Louise skierowała się do spiżarni. Odstawiłam swoją torbę podróżną i położyłam torebkę na blacie.

– Dzwoniła pani mama – oznajmiła dziewczynka, karmiąc Birdiego Greenies z ręki. – Nie odebrałam. Ale słyszałam, jak zostawia wiadomość. Babcia ma taką samą automatyczną sekretarkę jak ta.

Super. Jestem wapniaczką. Ciekawe, ile ona ma lat. Dwanaście, może trzynaście.

- Były jakieś inne telefony?
- Czerwone światełko mruga od środy. Więc chyba tak.
- Ile jestem ci dłużna?

Pogłaskała Birdiego po głowie. Król dramatu wygiął grzbiet i zamruczał.

- Nic. Naprawdę bardzo go lubię.
- Nie tak się umawialiśmy. – Wygrzebałam cztery dziesiątki i podałam jej.
- Łał. – Schowała banknoty do kieszeni. – Moja mama ma alergię. Nie mogę trzymać zwierząt

w domu.

- Szkoda.

Nastąpiła niezręczna pauza.

- Mogę go czasem odwiedzać? To znaczy nawet jak pani będzie w domu.
- Oboje z Birdiem będziemy się bardzo cieszyć. – Podziękowałam Mary Louise, a potem obserwowałam przez okno, jak podskakuje, idąc chodnikiem. Z uśmiechem wcisnęłam guzik odtwarzania na swojej archaicznej sekretarce automatycznej.

Mama narzekająca na doktor Finch.

Harry polecająca mi książki o raku.

Na zewnątrz Mary Louise zrobiła właśnie dwa koziołki pośrodku trawnika.

Ostatnia wiadomość pochodziła od Larabee’ego: dostał wyniki badań DNA włosa znalezionego w gardle Shelly Leal. Dziwne. Sprawdziłam iPhone’a. Na niego też dzwonił. Zapomniałam go włączyć po wylądowaniu.

Zatelefonowałam do MCME. Pani Flowers przełączyła mnie dalej, wygłosiwszy parę uwag na temat sałaty uprawianej w kontenerach.

- Larabee, słucham.
- Tu Tempe.
- Jak było w Kanadzie?
- Zimno. W Vermoncie też. – Streściłam mu nasze rozmowy z Sabine Pomerleau, Violette’ami i Kezerianami. A potem rzuciłam bombę o Anique Pomerleau.

- Niech mnie diabli.

– No. – Przypomniał mi się komentarz Ryana. Nie czułam prawie żadnych wyrzutów sumienia, dzieląc się teraz swym poglądem na temat śmierci Pomerleau. Prawie.

– Włosy znalezione w gardle Leal zostały wyrwane ze skóry głowy siłą, dlatego laboratorium mogło wyodrębnić sekwencję DNA. – Głos Larabee’ego brzmiał dziwnie. – Pasuje do Pomerleau.

Byłam zbyt wstrząśnięta, żeby odpowiedzieć.

– Włosy rozjaśniono, więc tym bardziej odpowiada to cechom znalezionych przez was zwłok. Prawdopodobnie Pomerleau próbowała zmienić wygląd.

- Ale ona nie żyła na długo przed zamordowaniem Leal.
- Włosy mogły się tam znaleźć na różne sposoby. Być wcześniej na ubraniu. Na kocach. Jej wspólnik nie jest chyba zbyt uważny.

W moim umyśle obrazy zmieniały się niczym w kalejdoskopie; jeden był gorszy od drugiego.

- Co teraz? – zapytał Larabee po chwili.
- Teraz zamkniemy gnojka. – Zacytowałam Ryana.

Rozpakowywałam bagaż w sypialni, gdy nagle ktoś zabębnił we frontowe drzwi.

## Rozdział 25

Wystrzeliłam w kierunku okna w holu, żeby spojrzeć w dół, na werandę. Spod okapu wystawał fragment ramienia w koszuli w kratę. Oraz męski but marki Rockfort na gumowej podeszwie, stary i znoszony.

Zbiegłam po schodach. Zweryfikowałam tożsamość mojego gościa, mrużąc oko przystawione do judasza. Slidell znów dębał wykałaczką w zębie trzonowym.

Gdy otworzyłam drzwi, opadła mu ręka.

– Barrow chce, żeby Lonergan napluła na patyk.

Przeanalizowanie tej wypowiedzi zajęło mi chwilę.

– Lonergan to ciotka Colleen Donovan? – spytałam.

– No.

Poczułam ukłucie strachu.

– Znaleziono szczątki?

– Nie.

– To po co pobierać teraz DNA od Lonergan?

– Ta dama nie prowadzi tak zwanego ustabilizowanego życia. Barrow chce mieć jej dane w aktach. Sama wiesz. W razie gdyby zniknęła, zapominając zostawić namiary.

W razie gdyby znaleziono zwłoki Colleen.

Wzrok Slidella powędrował ku wnętrzu salonu za moimi plecami.

– Cześć, kocie.

Odwróciłam się. Birdie obserwował nas ze środka pokoju. Lubił Slidella. Nie wypowiadam się na temat gustu kotowatych.

– Pomyślałem sobie, że może chciałabyś ze mną pojechać.

Znałam prawdziwy powód tej propozycji. Slidell nie znosi płynów ustrojowych innych osób. Brzydzi się kontaktem niezbędnym, by je pozyskać.

– Rozmawiałeś z Larabeem? – spytałam.

– Poinformował mnie o Pomerleau, gdy brałem patyczki higieniczne. Domyślam się, że nie będziemy palić jej świeczek.

Trudno było zaprzeczyć.

– Rodas ma jakieś teorie, kim może być ten jej pomagier?

– Nie – odparłam.

– To w drogę. Będziesz miała okazję zapoznać mnie z nowinami.

Laura Lonergan mieszkała przy Park Road, niedaleko zamożnych przedmieść. W sensie geograficznym. Bo w sensie ekonomicznym jej adres znajdował się od nich o całe lata świetlne.

Po drodze Slidell wręczył mi wydruk:

DOSTĘPNA 24/7. Masaże. Usługi towarzyskie. Dla dojrzałych mężczyzn, którzy pragną seksownej, zmysłowej kobiety. Naturalne loki, sterczące piersi, jędrny tyłeczek!!! Zadzwoń teraz! Czarni wykluczeni. Nie odpowiadam na esemesy i numery zastrzeżone.

Księżniczka.

Wiek: 39.

Lokalizacja: przedmieścia Charlotte.

Jedno zdjęcie przedstawiało kobietę w stringach, biustonoszu typu push-up, wijącą się na łożku niczym wąż boa. Na kolejnym uśmiechała się z kąpieli, niekoniecznie sięgającej jej pod samą szyję.

– Skąd to masz? – spytałam.

– Z backpage.com. Zakładka *Osoby do towarzystwa, Charlotte*.

– Ma bardzo szerokie horyzonty.

– Wszyscy mamy swoje ograniczenia.

– Używa ksywki Księżniczka?

– To czystej krwi arystokratka.

– Domyślam się, że marketing w Internecie jest łatwiejszy niż chodzenie po ulicy. – Położyłam reklamę na centralnej konsoli.

– W tym też ma doświadczenie.

Slidell zwolnił. Sprawdził coś w notatniku.

Wzdłuż ulicy ciągnęły się jedno- i dwupiętrowe budynki mieszkalne; wiele z nich przerobiono na siedziby małych firm. Lokal Lonergan stał jako szósty. Po ceglanej ścianie wila się jakaś wielkolistna roślina. Może kudzu.

– Spodziewa się nas? – spytałam.

– Nie – Slidell przełączył bieg na tryb parkingowy. – Ale jest u siebie.

Wysiedliśmy i weszliśmy do holu wielkości znaczka pocztowego. Powietrze pachniało pleśnią i dywanami, których nie trzepano od dekady. A także chemikaliami do ondulacji i farbowania włosów.

Po prawej, za wewnętrznymi drzwiami znajdowało się biuro rachunkowe, ale nie widać było choćby jednego pracownika lub klienta. Na wprost przed nami otwierała się wąska klatka schodowa. Na lewo od niej jakiś korytarz prowadził do kolejnego, ciągnącego się równolegle do tyłów budynku.

Zakład Lonergan mieścił się na pierwszym piętrze, obok salonu piękności, naprzeciwko wizażystki, która zajmowała się również manikiurem. Jedne i drugie drzwi były zamknięte. Nic nie wskazywało na obecność żywego człowieka.

Tabliczka na drzwiach Lonergan oferowała masaże i prosiła klientów, aby pukali. Co też Slidell uczynił.

Czekaliśmy. Mój wzrok błądził tu i tam. Spoczął na pajęczynie, która mogłaby zainteresować czasopismo „Architectural Digest”.

Slidell zapukał jeszcze raz.

Za drzwi dobiegł nas kobiecy głos, słów nie dało się rozróżnić.

Gestem ręki Slidell kazał mi się odsunąć na bok, tak aby zejść z pola widzenia. Potem znów zabębnił, tym razem z wigorem. Rozległ się grzechot i drzwi się otworzyły.

Laura Lonergan mogłaby pozować do portretu zatytułowanego *Oblicze metamfetaminy*. Wiecheć zniszczonych włosów koloru pomarańczowego. Ziemista skóra usiana strupami. Głęboko zapadnięte policzki z powodu braku uzębienia.

Uśmiechała się z zaciśniętymi ustami, niewątpliwie po to, by ukryć szkaradne zęby, które jej jeszcze pozostały. Jedną ręką drapała się w pierś, prawie nie naruszając położenia różowej tuniki z poliestru. Uniosła podbródek, jednocześnie przesuwając jedno z ramion tak, by zasłonić

brodawki. Wstydliva uwodzicielka.

– Daruj sobie, Księżniczko – Slidell wyciągnął odznakę.

Lonergan studiowała ją tak długo, że wydawało się, iż minął tydzień. Potem się wyprostowała.

– Jesteś gliniarzem.

– Geniusz z ciebie.

– Nieczynne. – Lonergan cofnęła się i zaczęła zamykać drzwi.

Slidell powstrzymał ją jedną mięsistą dłonią.

– Już czynne – powiedział.

– Nie muszę z wami rozmawiać.

– Owszem. Musisz.

– Co ja takiego zrobiłam?

– Daruj sobie odgrywanie niewiniątka.

– Jestem masażystką.

– Jesteś ćpunką i dziwką.

Oczy Lonergan lustrowały uważnie cały korytarz. Powiedziała bardziej ulegle:

– Nie możesz do mnie tak mówić.

– Mogę.

Gdy się nad tym zastanawiała, na jej czole pojawiły się bruzdy.

– A może byś trochę zluzował?

– Może.

Lonergan przez chwilę rozważała, co to mogłoby znaczyć.

– Taa?

– Taa.

– Nie przymkniesz mnie?

– To zależy od ciebie.

Rozbiegane oczy zwężyły się. Spojrzały na mnie. Z powrotem na Slidella.

– Trzydziestodzieściolatka jest super. Ale kosztuje.

Poczułam pilną potrzebę wyszorowania się mydłem przeciwbakteryjnym.

– Wejdźmy do środka – warknął Slidell.

Lonergan nie ustąpiła.

– Łapiesz, o co mi chodzi, Księżniczko?

– Wszystko mi jedno. – Próbowwała udać obojętną, ale marnie jej to wyszło.

Drzwi prowadziły bezpośrednio do niewielkiego salonu. Lonergan przeszła przez niego i opadła na kanapę z narzutą imitującą lamparcie futro. Jedną nogę w wąskich spodniach wyciągnęła przed siebie, drugą zarzuciła na poręcz.

Naprzeciwko sofy stały dwa rozpadające się krzesła z wikliny oraz stolik do kawy z dziesiątkami śladów po papierosach. Dalej, pod przeciwległą ścianą (która była czerwona), ustawiono biurko z telewizorem i plastikową lampką, owiniętą taśmą izolacyjną. Pod ścianami leżały czarne foliowe worki na śmieci, wypakowane po brzegi skarbami, których nie umiałam sobie wyobrazić. Nieosłonięta halogenowa żarówka rzucała słabe światło ze stojącej lampy, przekrzywionej o dwadzieścia stopni.

Przez drzwi po prawej widziałam aneks kuchenny, kontuar i stół, pełne brudnych naczyń i pustych pojemników na żywność. Przypuszczałam, że sypialnia i łazienka są na tyłach lokalu. Nie miałam najmniejszej ochoty ich oglądać. Obrzuciłam wzrokiem krzesła. Zdecydowałam się zostać w pozycji stojącej.

Slidell umieścił jeden ze swoich potężnych poślądów na krawędzi biurka. Skrzyżował ramiona. Gapił się.

– To zajmie cały dzień? – Loneragan dotknęła strupa na brodzie. – Mam sprawy do załatwienia.

– Mów o Colleen.

– O Colleen?

– Twojej siostrzenicy.

– Wiem, że to moja siostrzenica. Przyszliście przekazać mi złe wiadomości?

Slidell tylko patrzył.

– Gdzie jest Colleen?

– Ty mi powiedz.

– Nie wiem.

– Miałaś od niej ostatnio jakieś informacje?

– Żadnych, odkąd odeszła.

– Kiedy to było?

Zniszczona twarz zwiotczała, gdy kobieta szperała w rumowisku swojej pamięci.

– Nie wiem. Chyba w Boże Narodzenie. – Znów drapała strup, rozsmarowując teraz krew wokół niego. – No tak. Była tu na święta. Kupiłam jej sześciopak. Ona mnie taki sam. Miałyśmy z tego ubaw.

– Dokąd pojechała?

– Do znajomych. Chciała żyć na kocią łapę z facetem. Kto to może wiedzieć, do cholery?

– Trudno mi sobie wyobrazić, że odeszła, skoro się nią tak wspaniale opiekowałaś itepe.

– Zmęczyła się sypianiem na kanapie.

– Zmęczyła się patrzeniem, jak ćpasz i pieprzysz się z klientami.

– To nie było tak.

– Jestem pewien, że wspólnie odmawiałyście różaniec.

– Colleen też nie była aniołkiem – powiedziała defensywnie. – Rozkładała nogi, jeśli facet wydawał jej się tego wart.

– Miała szesnaście lat – rzuciłam ostro. Nie mogłam się powstrzymać. Ta kobieta była odpychająca.

– Colleen da sobie radę. Pewnie teraz tańczy gdzieś w Vegas – odparła Loneragan gwałtownie. Ale słyszałam w jej głosie znak zapytania.

Slidell wyciągnął z kieszeni marynarki pustą plastikową fiolkę. Podał mi ją.

– Potrzebna jest nam twoja ślina – powiedział do Loneragan.

– Nie ma mowy.

– Procedura jest bezbolesna. – Wyciągnęłam z fiolki wymazówkę i pokazałam jej. – Potrę tym wewnętrzną stronę pani policzka. To wszystko.

Loneragan zsunęła nogę spoczywającą dotąd na poręczu, zrównała ją z tą na podłodze, po czym obie wyciągnęła do przodu, nachyliła się i objęła rękoma kolana. Jej głowa kiwała się z boku na bok.

Slidell wwiercał się w nią jednym ze swych spojrzeń twardego gliniarza. Na próżno, skoro i tak gapiła się w podłogę.

– To tylko sztuczka, żeby mi udowodnić, że biorę – nadal wpatrywała się w swoje buty. Miały obcas wyższe od kół mojego samochodu.

– Żeby o tym wiedzieć, nie trzeba nam wacika. – Ton Slidella wskazywał, że jego cierpliwość

się kończy.

– Porzygam się.

Slidell zwrócił się do mnie.

– Świadek stwierdza, że nie czuje się dobrze. Powinienem rozejrzeć się po lokalu i zobaczyć, że jest tu coś, od czego boli ją brzuch. – Odepchnął się i wstał.

Kiedy Lonergan poderwała głowę do góry, chrząstka jej gardła wystawała niczym zwoje w sprężynie Slinky.

– Nie.

Czekaliśmy.

– Dlaczego to robicie? – Płochliwe oczy skakały po całym pokoju, aż spoczęły na mnie, mniej groźnym wrogu.

– Musimy mieć pani DNA do naszych akt – powiedziałam łagodnie.

– W razie gdyby Colleen...

– To potrwa tylko jedną sekundę. – Naciągnęłam rękawiczki chirurgiczne i podeszłam bliżej. Spodziewałam się, że Lonergan odwróci głowę. Że zaciśnie szczękę. Może nawet napluje na mnie. Ona tymczasem otworzyła usta, odsłaniając zęby tak zepsute, że zastanawiałam się, czy może jeszcze przeżuwać.

Potarłam wnętrze policzka, zabezpieczyłam wymazówkę w fiolce i oznaczyłam ją pisakiem. Slidell wziął próbkę bez słowa komentarza. Potem okręcił się na pięcie i ruszył ku drzwiom.

Patrząc na Lonergan, czułam, jak w piersiach narasta mi coś na kształt litości. Ta kobieta nie miała niczego. Jej siostra nie żyła. Siostrzenica zaginęła, też pewnie była martwa. Nie posiadała terażniejszości ani przyszłości. Jedynie uzależnienie, które w sposób nieunikniony odbierze jej życie.

– Wiem, że martwi się pani o Colleen – powiedziałam miękko.

Jej parsknięcie miało wyrażać apatię. Ale usłyszałam w nim poczucie winy i pogardę dla samej siebie.

– Zrobiła pani dla niej, co pani mogła, Lauro.

– Gównie zrobiłam.

– Nie poddała się pani.

– Taa, jasne. Zostawiałam dla niej włączone światło na ganku.

– Ale nie odpuściła pani. – Desperacko poszukiwałam czegoś, co mogłoby ją pocieszyć. – Dzwoniła pani i dopytywała się, jak idzie sprawa siostrzenicy.

– Nie, nie dzwoniłam.

– W aktach dotyczących Colleen zapisano, że w sierpniu telefonowała pani w sprawie najnowszych informacji.

Lonergan wpatrywała się we mnie ze szczerym zakłopotaniem.

– Dzwoniłam? Do kogo?

– Do Pata Tasata.

– Pierwsze słyszę.

– A zna pani jakąś Sarah Merikoski?

Jedno kościste ramię uniosło się i opadło.

– Może.

– To ona zgłosiła zaginięcie pani siostrzenicy. Sprawą zajmował się detektyw Tasat.

– Paniusiu, ja zbyt wiele nie kojarzę. Ale jednego może pani być pewna: nigdy w życiu nie wsypałam nikogo glinom.



Czy mówiła przez nią metamfetamina? Czyżby Tasat coś źle zrozumiał? A może coś mu umknęło?

– Colleen ma więcej niż jedną ciotkę? – zapytałam.

– Gdyby ta mała miała jakiś wybór, to mieszkałaby w tej norze? – Chudym jak u śmierci ramieniem omiotła pomieszczenie.

Przez mój system nerwowy przebiegł impuls.

Uniosłam wzrok na Slidella.

Słuchał uważnie.

## Rozdział 26

Byłam tak nabuzowana, że prawie nie zwróciłam uwagi na melanz odorów zalegających w taurusie Slidella.

– Skoro Lonergan nie dzwoniła do Tasata, to kto dzwonił? – zapytałam.

– Komórki mózgowie tej laski, które jeszcze cokolwiek kojarzą, można policzyć na palcach jednej ręki.

– Sprawiała wrażenie bardzo pewnej tego, co mówi.

Slidell zmarszczył nos.

– Nie pamiętam, czy w tej notatce służbowej był zapisany numer osoby dzwoniącej.

– Próbuj dalej. Ja tymczasem zawiozę patyczek do laboratorium.

Po paru minutach byliśmy w komendzie policji. Szliśmy przez budynek w milczeniu.

Moje tętno mocno przyspieszyło. Czy informacja była fałszywa, bo narodziła się w zniszczonym mózgu narkomanki? A może to Tasat coś źle zanotował? Czyżbyśmy jednak mieli do czynienia z czymś, co Ryan nazywa wielkim przełomem?

Wysiadłam na pierwszym piętrze i minąwszy Archiwum X, skierowałam się do sali konferencyjnej. Slidell pojechał wyżej, na trzecie.

Akta Donovan leżały na stole, wraz z innymi. Znalezienie odpowiedniej adnotacji zajęło mi niewiele czasu.

### Notatka śledczego (Tasat) (07.08.2014)

*Laura Lonergan, należąca do rodziny zaginionej, dzwoniła z pytaniem o postępy w sprawie poszukiwań Colleen Donovan. To ciotka Donovan ze strony matki. Pytana, gdzie jej zdaniem może przebywać Colleen, stwierdziła, że nie ma pojęcia. Proszona o dane kontaktowe podała numer telefonu komórkowego i oświadczyła, że nie ma pracy ani linii stacjonarnej.*

Na końcu notatki znajdował się numer telefonu komórkowego Lonergan.

Zablokowałam identyfikację swojej komórki i wybrałam zapisane cyfry. Nagrany głos poinformował mnie, że numer nie istnieje.

Siedziałam dalej, sfrustrowana, gdy w drzwiach pojawił się Slidell.

– Co jest? – zapytał, widząc moją minę.

– W aktach nie ma żadnych informacji, skąd wtedy dzwoniło. Numer komórki podany przez Lonergan – zrobiłam w powietrzu dwa haczyki oznaczające cudzysłów – jest fikcyjny. A Tasat jest zbyt daleko, żeby go o to zapytać.

– Mówiłem ci. Mózg tej kobiety to hamburger.

– Myślę, że i tak powinniśmy to sprawdzić.

Slidell westchnął, demonstrując świętą cierpliwość. Wyszarpnął swój notatnik.

– Masz datę tej rozmowy?

– Siódmy sierpnia.

– Godzinę?

- Nie.
- Będę musiał zdobyć numer Tasata.
- To chyba łatwe.
- A potem wysłać monit do Ma Bell.
- Jak długo to potrwa?
- Kilka tygodni, kilka dni. Niektóre firmy są dla nas bardziej przyjazne, inne mniej.
- Powiemy Barrowowi?
- Co mu powiemy? Że jakaś ćpunka ma problemy z pamięcią?

*Spokojnie, Brennan.*

- Gdzie jest Barrow?
- Już tu idzie.

Ledwo Slidell skończył mówić te słowa, do pomieszczenia wkroczył szef jednostki.

Opowiedziałam mu o telefonie. Oraz o swoich podejrzeniach, że wykonał go ktoś inny niż Lonergan.

- Mały sukces.
- Może. – W głębi ducha byłam pewna, że tak właśnie jest. – Numer komórki, który Lonergan podała Tasatowi, jest nieaktywny. I to inny numer niż ten, który zamieściła na [backpage.com](#).
- Albo ją wyłączyli, albo zmieniła sieć. – Sceptycyzm Slidella mógł każdemu zepsuć nastrój.
- Zajmiesz się tym? – zapytał go Barrow, zanim zdążyłam odpowiedzieć.
- Chcesz się założyć, że to strata czasu?
- Mogę przekazać to zadanie Tinkerowi.

Slidell ruszył do wyjścia, mruczając coś o papierkowej robocie. I jednym wielkim gównie.

Barrow usiadł na krześle naprzeciwko mnie.

- Jak tam było na dalekiej północy?
- Zimno.
- Przekaż mi najnowsze informacje.

Przekazałam.

Barrow słuchał, od czasu do czasu chrząkając.

Kiedy skończyłam, siedział zamyślony.

– Szefostwo domaga się wskazania bardziej jednoznacznych powiązań między Leal a pozostałymi sprawami. Mówią, że zrewidują swoje stanowisko, kiedy sytuacja ulegnie zmianie.

- Właśnie uległa.
- Musimy opowiedzieć o tym zastępcy komendanta.
- Kiedy? – Spojrzałam na zegarek. Było dziesięć po piątej. Wstałam jeszcze przed świtem, żeby zdążyć na samolot do Charlotte.
- Teraz.

– Trzy nastoletnie dziewczynki zostały uprowadzone w biały dzień, a następnie znalezione martwe; pierwszy taki przypadek miał miejsce w dwa tysiące siódmym roku. Nellie Gower z Hardwick w stanie Vermont, dwa tysiące siedem. Lizzie Nance, Charlotte, dwa tysiące dziewięć. Tia Estrada, Salisbury, dwa tysiące dwanaście. Wszystkie ofiary podpadały pod wspólny typ. Profilerzy VICAP wskazują na uderzające podobieństwo tych spraw. Za każdym razem zwłoki pozostawiano na otwartej przestrzeni, całkowicie ubrane i upozowane. W żadnym wypadku nie stwierdzono wykorzystywania seksualnego. Nie udało się też ustalić przyczyny

śmierci. – Na polecenie Barrowa przejęłam inicjatywę.

Zastępca komendanta Denise Salter nie spuszczała ze mnie oczu. Były brązowe, ciemniejsze od jej karmelowej skóry, lecz jaśniejsze niż czarne włosy zaczesane do tyłu i związane w węzeł na karku. Miała koszulę tak białą, że aż bolało od patrzenia, a kanty na długich rękawach tak ostre, że mogłyby posłużyć do operacji mikrochirurgicznej. Czarny krawat, czarne spodnie, czarne lakierki lśniące niczym marmur.

Salter przeniosła jakieś umówione zebranie, żeby mieć czas dla nas. Słuchała, a wyraz jej twarzy pozostawał obojętny.

– W tym samym siedmioletnim okresie w Karolinie Północnej zaginęły co najmniej dwie inne dziewczynki. Avery Koseluk z Kannapolis w dwa tysiące jedenastym roku. Colleen Donovan z Charlotte na przełomie dwa tysiące trzynastego i czternastego.

Barrow położył pięć zdjęć na biurku przed Salter. Nasunęła okulary do czytania na nos i zlustrowała fotografie. Potem znacząco spojrzała na mnie.

Kontynuowałam:

– Jeśli chodzi o Koseluk, podejrzewano, że została uprowadzona przez jednego z rodziców, pozbawionego praw do dziecka. Co do Donovan, zakładano ucieczkę z domu. Obie są traktowane jako osoby zaginione i poszukiwane.

– Przejdźmy do meritum. – Za szklami okularów oczy Salter wydawały się wielkie jak u E.T.

– Na zwłokach Gower i Nance znaleziono to samo DNA.

Barrow dołożył postarzone zdjęcie Pomerleau. Salter podniosła je i przyglądała się twarzy.

– Jej? – spytała.

– Tak.

– Gdzie miało miejsce trafienie?

– W NDDB, kanadyjskim odpowiedniku CODIS.

Jeśli Salter była tym zaskoczona, to nic nie dała po sobie poznać.

– Kto to jest?

– Obywatelka kanadyjska, Anique Pomerleau. Wraz ze współnikiem, Nealem Wesleyem Cattsem, znanym też jako Stephen Menard, są poszukiwani w sprawie śmierci co najmniej trzech osób. Ich modus operandi to uwięzienie, tortury i gwałty na młodych kobietach. Angela Robinson, pierwsza ofiara Menarda, została porwana w Corning w Kalifornii w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku. Marie-Joëlle Bastien oraz Manon Violette uprowadzono w Montrealu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym. Wszystkie trzy zmarły w niewoli.

– Skąd pani o tym wie?

– Dokonałam identyfikacji szczątków.

– Proszę dalej.

– W dwa tysiące czwartym Pomerleau wymknęła się z sieci zastawionej przez policję z Montrealu. Odtąd przebywała w nieznanym miejscu. Aż do tej pory.

– A Menard?

– Albo ona go zabiła, albo popełnił samobójstwo tuż przed jej zniknięciem.

– Uważa pani, że Pomerleau morduje teraz dzieci na moim terenie?

– Nie.

Brwi Salter uniosły się pytająco.

– Dwa dni temu asystowałam przy sekcji zwłok Pomerleau.

Opowiedziałam krótko o swojej podróży do Montrealu i St. Johnsbury. Wspomniałam

o Ryanie. O rozmowach z Kezerianami, z Sabine Pomerleau i Violette'ami.

Opisałam też posesję Corneau, beczkę i sekcję zwłok. Nadmieniłam, że technik zajmujący się piecem widział jakąś osobę na farmie.

– Waszym zdaniem Pomerleau i jej wspólnik zamordowali Nellie Gower. A potem, półtora roku później, ta parka przyjechała tutaj i zabiła Lizzie Nance.

– Tak.

Barrow i ja wymieniliśmy się spojrzeniami. Kiwnął głową.

– Sądźmy również, że były inne ofiary – dodałam.

Ruch nadgarstka Salter kazał mi mówić dalej.

– W roku dwa tysiące dziesiątym w Belmont znaleziono szkielet. Ustaliłam, że kości należały do dziewczynki w wieku od dwunastu do czternastu lat. W chwili porzucenia zwłok była prawdopodobnie całkowicie ubrana.

– Prawdopodobnie?

– Szczątki zostały napoczęte przez zwierzęta.

Salter rzuciła okulary na blat stołu i odchyliła się na krześle.

– Podczas sekcji zwłok Shelly Leal Larabee wyciągnął jej z gardła włosy – powiedziałam.

– To dziecko, które niedawno znaleziono pod estakadą na I-485?

Skinęłam głową.

– Sekwencja DNA świadczy o tym, że przynajmniej jeden z tych włosów należał do Anique Pomerleau.

– To już coś.

– Ale wciąż zastanawiające. Poszlaki wskazują, że Pomerleau zmarła w dwa tysiące dziesiątym roku.

– Wyjaśnienie?

– Włosy mogły przejść z Pomerleau na jej wspólnika – rzekł Barrow. – Może oboje używali tego samego ubrania. A może jego rytuał zakładał, że nosi na sobie część garderoby Pomerleau.

– Larabee znalazł ponadto odcisk warg na kurtce Leal – powiedziałam. – Zawierający DNA. Test amelogeninowy wykazał, że to DNA mężczyzny.

– Domyślałam się, że tego faceta od ust nie ma w systemie.

– Nie ma.

Przez bardzo długą chwilę w sali zalegała cisza. Przerwała ją Salter.

– Niech dobrze zrozumieć. Pomerleau i jej pomocnik płci męskiej działali z farmy w stanie Vermont do roku dwa tysiące dziesiątego.

– Tak.

– Czy znaleziono coś, co sugerowałoby, że tam właśnie przetrzymywano dzieci? Jakieś dźwiękoszczelne pomieszczenie? Kajdanki przymocowane do ściany?

– Nie.

– Aha. – Powiedziała to neutralnym tonem. – Ów tajemniczy wspólnik w końcu zabija Pomerleau i upycha jej ciało w beczce z syropem.

– Tak.

– Motyw?

– Nie znamy.

– Następnie facet przeprowadza się na południe. Morduje Nance, Estradę, może Koseluk, Donovan oraz dziecko znalezione koło Belmont. A teraz Leal.

– Tak.

– Dlaczego przeniósł ten swój krwawy sport aż tutaj?

Opisałam artykuł z „Health Science”. Moje zdjęcie przyklejone do ściany domu na farmie Corneau.

– Powiada pani, że sprawca jest w moim mieście ze względu na panią?

– Mówię, że jest taka możliwość.

– Dlaczego?

– Zemsta? Chęć zadrwienia ze mnie? Kto to może wiedzieć.

Zadzwoił telefon Salter. Zignorowała go.

– Jeszcze raz przeanalizuj daty – powiedział do mnie Barrow.

Zrobiłam to, nie wspominając o roli, jaką w ukazaniu tego wzorca odegrała moja mama.

– A zatem ofiary są uprowadzane przed rocznicami porwań w Montrealu. – Było to powiedziane tonem oznajmującym, nie pytającym. Salter chciała potwierdzenia.

– Tak się wydaje – odparłam. – Chodzi zapewne o dni, w których one umarły.

– A pomocnik Pomerleau kontynuuje tę grę nawet po tym, jak ją zamordował.

– Na to wygląda.

– I przerwy między zbrodniami się zmniejszają.

– Tak – powiedział Barrow. – Za dwa miesiące przypada kolejna rocznica.

W ciszy, która zapadła, słyszałam własny oddech. Stukot oprawek okularów Salter o blat. Wreszcie, gdy już myślałam, że nas zignorowała, odezwała się:

– Slidell pracuje nad sprawą Leal, prawda?

– Tak – potwierdził Barrow.

– Ktoś jeszcze jest do tego przydzielony? – Przesunęła dłonią nad zdjęciami.

– Nieoficjalnie jeden detektyw z Montrealu i drugi z Hardwick w stanie Vermont.

– Spotkałam w holu Beau Tinkera. To wy zaprosiliście tutaj SBS?

– Niekoniecznie.

Minęła kolejna chwila. Potem Salter schowała okulary do kieszeni.

– Napiszcie o wszystkim w raporcie. O wszystkim, czym dysponujecie.

## Rozdział 27

Kiedy przebywałam w Centrum Policyjnym, na dworze zrobiło się zimniej. Nie na tyle, żeby mnie odrzucało, ale wystarczająco, abym rozważyła wyjęcie z szafy rękawiczek, które upchnęłam tam w marcu.

Birdie okazał większe zainteresowanie zawartością torby z lokalu Roasting Company niż moim powrotem. Napełniłam jego miskę, włączyłam CNN i usiadłam przy stole w kuchni.

Program *Situation Room* właśnie się kończył. Jakiś demokrat sprzeczał się z republikaninem o opiekę zdrowotną i reformę ustawy imigracyjnej. Irytujące. Pod koniec dnia chciałabym usłyszeć wiadomości, nie musieć być świadkiem słownego sparingu.

Wyłączyłam telewizor. Rzuciłam pilota daleko od siebie.

Birdie wskoczył na krzesło obok mnie, wołac ciepłego kurczaka niż twarde brązowe grudki, które mu zaserwowałam. Nie mogłam mu się dziwić.

Gdy jadłam, notatka Tasata wypełniała wszystkie moje myśli.

– To nie Lonergan dzwoniła – powiedziałam z ustami pełnymi purée z kukurydzy i fasoli.

Birdie uniósł głowę. Słuchał, pewnie miał nadzieję dostać drób.

– Więc kto?

Kot nie wyraził żadnej opinii.

– Jakiś krewny? Znajomy? Podobno Donovan nie miała nikogo.

Położyłam na stole kawałek udka kurczaka. Bird sprawdził je jedną podwiniętą do środka łapką, a potem delikatnie złapał przednimi zębami.

– Morderca Donovan, nikt inny. Klasyczne zachowanie przestępcy. Niczym powrót na miejsce zbrodni.

Bird i ja spojrzeliśmy po sobie, choć z pewnością każde myślało o czymś innym.

Zadzwoiła moja komórka.

– Jak minął lot? – zmęczenie w głosie Ryana było równe mojemu.

– Aż tak daleko nie sięgam pamięcią.

– Ja też jestem wykończony.

– Jakies postępy? – Podałam Birdowi kolejny kawałek drobiu. Powtórzył swój manewr macania i chwytania.

– Żadnych. Gdzie jesteś?

– W domu. Spędziłam dzień ze Slidellem.

– I?

– Często niezbyt grzecznie się do mnie zwracał.

– Przełom?

– Może.

Opisałam mu wizytę u Lonergan oraz spotkanie z Salter. Opowiedziałam o notatce Tasata oraz o tym, że Lonergan zaprzeczyła, by to ona telefonowała.

– Slidell jest przekonany, że to ślepy trop.

– Zgodził się zwrócić do firmy telekomunikacyjnej o bilingi?

– Niechętnie. Mówi, że to potrwa całe tygodnie. Tymczasem my... – W mojej głowie eksplodowała nagle mała rakietka. – Cholera!

– Co?  
– Jak mogłam to przeoczyć? Muszę być kompletnie odmóżdżona.  
– Ziemia do Brennan.  
– Tia Estrada.  
– Ta mała z Salisbury?  
– Kłótnia między Slidellem a Tinkerem odwróciła moją uwagę.  
– Mów na temat.  
– Według akt sprawy sześć miesięcy po zaginięciu Estrady dzwonił jakiś dziennikarz.  
– I?  
– Jestem prawie pewna, że był to ostatni zapis w aktach, chronologicznie. Nie znajdowały się tam żadne wycinki z prasy z roku dwa tysiące trzynastego.  
– Sądzisz, że ten telefon to też fałszywka?  
– Dokładnie tak jak z Donovan. Ktoś dzwoni pół roku po zniknięciu dziecka. Może nawet to ta sama osoba, która telefonowała w sprawie informacji o Donovan. Jeśli tak, to mamy wzorzec. Coś łączącego obie sprawy.  
– Warto się temu przyjrzeć.  
Nagle bardzo zapragnęłam zakończyć już tę rozmowę.  
– Muszę lecieć.  
– Zwolnij trochę.  
– Zwolnij trochę?  
– Nie zgub głowy w tym pośpiechu.  
– Jezu, Ryan. Mówisz dokładnie jak Slidell.  
Nastąpiła długa pauza. Potem zapytał:  
– Okręg Anson, zgadza się?  
– Tak. Pamiętasz, kto przejął sprawę?  
– Cock.  
– Bardzo dobrze. – Naprawdę tak myślałam. – Henrietta coś tam?  
– Chyba tak.  
– I przyszło mi do głowy coś jeszcze. Musimy porównać zdjęcia z miejsc znalezienia Gower, Nance i Leal. Zobaczyć, czy któryś z gapiów nie pojawia się tam częściej niż raz.  
– Nikt tego wcześniej nie zrobił?  
– Nic mi o tym nie wiadomo.  
Rozłączyłam się, moje zmęczenie zniknęło wobec perspektywy wielkiego przełomu.  
Posprzątałam stół, chwyciłam torebkę i kurtkę i wypadłam z domu.

Na pierwszym piętrze Centrum Policyjnego panowała cisza. Udałam się prosto do sali konferencyjnej i rozłożyłam na stoliku akta Estrady.

Ostatni artykuł w „Salisbury Post” ukazał się 27 grudnia 2012 roku, mniej więcej trzy tygodnie po znalezieniu ciała Tii. A przynajmniej był on ostatnim, jaki dołączono do akt.

Jego treść nie wychodziła zasadniczo poza zebranie faktów. Zniknięcie dziecka. Odkrycie jego zwłok cztery dni później niedaleko rezerwatu przyrodniczego Pee Dee. Deportacja matki do Meksyku. Kończył się apelem do czytelników o dostarczanie informacji. Brakowało stopki z nazwiskiem autora.

Weszłam do Internetu i wygooglowałam „Salisbury Post”. Większością spraw kryminalnych zajmowała się kobieta nazwiskiem Latoya Ring. W linku znajdował się jej adres mailowy.



Sporządziłam krótką wiadomość, wyjaśniłam swoje zainteresowanie sprawą Estrady i poprosiłam o telefon.

Odłożyłam na bok ów artykuł i uważnie raz jeszcze przeczytałam całe akta. Co kilka minut rzucałam okiem na iPhone'a. Kiedy skończyłam, wiedziałam tyle samo co przedtem.

Miałam jednak nazwisko, którego potrzebowałam. Henrietta Hull, biuro szeryfa okręgu Anson.

Rozboliła mnie głowa od przebijania się przez okropny charakter pisma i rozmyty tekst. Zmęczenie wróciło ze zdwojoną siłą.

Zamknęłam oczy i rozmasowałam sobie skronie. Zadzwoić do Hull? Czy czekać na telefon od Ring?

Był piątek, po dziewiątej. Jeśli Hull nie ma nocnej zmiany, pewnie siedzi sobie w domu przy piwku. A może jest w kościele albo na kręgielni z dziećmi. Lepiej najpierw pogadać z Ring. Jeśli to ona albo jakiś jej kolega dzwoniłi wtedy w sprawie Estrady, to koniec pieśni.

*Chrzanić to.*

Wybrałam numer.

– Biuro szeryfa okręgu Anson. Czy to pilna sprawa?

– Nie. Ja...

– Proszę zaczekać.

Zaczekałam.

– No dobrze, proszę pani, jak się pani nazywa?

– Doktor Temperance Brennan.

– Cel pani telefonu?

– Chciałabym porozmawiać z funkcjonariuszką Hull.

– W porządku, czy mogę jej przekazać, o co chodzi?

– O zabójstwo Tii Estrady.

– Okej. A bardziej konkretnie?

– Nie.

Chwila wahania. Potem:

– Proszę zaczekać.

Zaczekałam. Dłużej niż za pierwszym razem.

Coś kliknęło.

– Hull, słucham. – Głos był pełen rezerwy. Chrapliwy, lecz bardziej miękki, niż się spodziewałam. Może byłam uprzedzona z powodu jej przezwiska.

Wyjaśniłam, kim jestem i dlaczego się kontaktuję.

– Nagle wszyscy są zainteresowani.

– Słucham?

– Przez dwa lata nic. A potem w ciągu jednego tygodnia trzy zapytania. – W tle słyszałam jakąś rozmowę, cykliczny śmiech puszczonej z taśmy w sitcomie.

– Rozmawiała pani z detektywami Ryanem i Slidellem.

– Slidell jest upierdliwy.

– Czy wspominał coś o Colleen Donovan?

– Nie.

– W lutym zgłoszono w Charlotte zaginięcie Donovan. Podejrzewamy, że jej sprawa wiąże się ze śmiercią Tii Estrady.

– Gdzie pani mówiła, że pracuje?

– W zakładzie medycyny sądowej. Oraz w Archiwum X.

– Okej.

– Pół roku po zniknięciu Colleen Donovan, na policję zadzwoniła jej ciotka z prośbą o najnowsze informacje. Ale jedyna ciotka zaginionej zaprzecza, jakoby to ona telefonowała. Sześć miesięcy po uprowadzeniu Estrady z waszym biurem kontaktuje się jakiś dziennikarz. Zastanawiamy się, czy to także nie było pozorowane.

– Jaki dziennikarz?

– Notatka jest napisana odręcznie, ma jedną linijkę, bez nazwiska i numeru telefonu. W aktach nie ma też wycinka z gazety.

– Nie dziwię się. Estradę zamordowano, gdy służbę pełnił Bellamy, a on już był jedną nogą na emeryturze. Odziedziczyłam po nim tę sprawę, jak się przeniósł do Boca.

– Zostawiłam Latoi Ring wiadomość. Zna ją pani?

– Ring jest solidna.

– Być może to nic takiego. Ciotka Donovan to ćpunka, mocno zniszczona. Ale jeśli dzwonił ktoś inny niż dziennikarz z „Posta”, sądzi pani, że da się namierzyć jego numer?

Dwukrotnie usłyszałam śmiech z puszek mający mnie przekonać, że coś było zabawne. Wreszcie Hull powiedziała:

– Da się załatwić. A teraz niech mi pani powie, co wie.

Powiedziałam. W trakcie przypomniało mi się coś jeszcze.

– Według protokołu z sekcji zwłok miejscowy patolog sądowy znalazł w gardle Estrady włos. Nie wie pani, czy ten włos zbadano pod kątem DNA?

– Sprawdzę.

– Jeśli nie, proszę się dowiedzieć, co się z nim stało.

– Dowiem się.

Na linii z Wadesboro zaległa długa cisza.

– Dziękuję, doktor Brennan. Ta mała zasługuje na coś lepszego.

– Tempe – powiedziałam. – Zadzwonię, jak Ring da mi znać.

– Da znać.

Kolejną godzinę spędziłam na przeglądaniu zdjęć z miejsc znalezienia Gower, Nance, Estrady i Leal. Za pomocą ręcznej lupy szczegółowo badałam twarze. Porównywałam ich rysy, kształty ludzkich ciał, ubrania, sylwetki. I nic. Naczynia krwionośne w mojej głowie próbowały przebić się przez czaszkę. Przydałby się ktoś o wybitnych zdolnościach w tym zakresie oraz z odpowiednim sprzętem.

O dziesiątej spakowałam się i wyruszyłam do domu. Właśnie zatrzymałam samochód przed dobudówką, gdy w komórce odezwała się melodia *Joy to the World*. Ustawiłam wcześniej ten dzwonek, chcąc okazać, że umiem się cieszyć.

Numer bez identyfikacji. Wahałam się przez chwilę, a potem odebrałam.

– Brennan, słucham. – Przetawiałam dzwignię biegów na pozycję parkingową.

– Tu Latoya Ring. Rozmawiałam właśnie z Hen Hull.

– Dziękuję, że pani dzwoni.

– Nikt z redakcji „Posta” nie telefonował do biura szeryfa.

Poczułam, jak przez moje ciało przechodzi prąd.

– Jest pani pewna?

– Nie jesteśmy „New York Timesem”. Tylko dwoje z nas zajmuje się sprawami kryminalnymi. Mój kolega nie dzwonił, ja też nie.

Po drugiej stronie podwórza coś mignęło w plątaninie cieni rzucanych przez ogromną magnolię. Pies? Późny spacerowicz? A może to tylko moja wyobraźnia?

– Skontaktowałam się z moim wydawcą, żeby mieć pewność – ciągnęła Ring. – Ten ruch nie pomoże mi zostać pracownikiem miesiąca. Nie dał zielonego światła na dalsze artykuły o Estradzie.

– Jest pani tego pewna? – Wytężałam wzrok, żeby zobaczyć coś w ciemnościach.

– To zadanie i tak przypadłoby mnie. Pytałam kilka razy. Za każdym razem odpowiadał, że nie.

– Dlaczego?

– Nie było sensu się tym zajmować. Gliny nie miały nic: żadnych podejrzanych, żadnych tropów. A matki nie było już wtedy w kraju.

Estrada to nie błękitnooka słodka dziewczynka z lokami jak u Shirley Temple.

– Dziękuję, że pani ryzykowała – powiedziałam.

No proszę. Jakiś ruch koło wozowni? Może sarna?

– Cała ta sprawa śmierdzi.

Czekałam, żeby Ring dorzuciła coś więcej.

– Jakiś gnojek zamordował dziecko. A potem system pozwolił, żeby się wymknął przez szpary.

– Złapiemy go – rzekłam, przyglądając się uważnie gęstej roślinności wokół mojego samochodu.

– Powodzenia.

Siedziałam chwilę, lekko zaniepokojona. Potem wysiadłam i popędziłam do przybudówki.

Po paru sekundach leżałam już w łóżku.

Po paru minutach odpłynęłam.

Nieświadoma, co właśnie wprawiłam w ruch.

## Rozdział 28

W ten weekend w Charlotte padało, niezbyt ulewnie, za to stale. Czasami nadciągała mgła, przechodząca w mżawkę na pół gwizdka. Powietrze przesycone było zimną wilgocią, woda kapiała z dachu i z szerokich zielonych liści magnolii przed domem.

W sobotę wpadła Mary Louise, żeby odwiedzić Birdiego. Miała na sobie wielki jak wiadro kapelusz w paski, z pomponem u góry.

Może czułam się samotna bez Ryana. A może po prostu samotna. Nie chciało mi się też zająć stosem raportów, które domagały się mojej uwagi. Pewnie wszystko przez tę pogodę, cholera. Zaskoczyłam samą siebie, zapraszając Mary Louise na lunch.

Po uzyskaniu zgody jej rodziców zrobiliśmy i zjadliśmy kanapki z szynką i serem. Potem upiekliśmy ciasteczka i ozdobiłyśmy je M&M-sami. Mary Louise opowiadała, jak bardzo pragnie mieć psa. O swoich problemach z matką. Jak uwielbia Katniss. Że chce kiedyś zostać projektantką mody. Ta mała stanowiła niezłe towarzystwo.

W niedzielę pojechałam samochodem zobaczyć się z mamą. Na większych wysokościach nad poziomem morza deszcz przechodził w śnieg. Siedziałyśmy przy kominku, obserwując, jak jego mokre płatki topią się i tworzą kałużę na tarasie.

Mama sprawiała wrażenie zmęczonej i nieobecnej. Tylko raz zapytała o „biedne zagubione aniołki”, przeskakiwała z tematu na temat, jak gdyby zapomniała albo straciła zainteresowanie tym, co jeszcze niecałe dwa tygodnie temu przydawało jej tyle energii.

Stanowisko mamy wobec chemioterapii nie uległo złagodzeniu. Gdy poruszyłam tę kwestię, kazała mi milczeć. Był to jedyny przebłysk emocji, jaki okazała przez cały dzień.

Zanim wyszłam z ośrodka, porozmawiałam z doktor Finch. Doradzała pogodzenie się z sytuacją. Spytałam, ile czasu to potrwa. Odmówiła spekulowania. Chciała wiedzieć, który szpital wybiorę, gdyby Heatherhill nie mogło być już dłużej pomocne. Jak poprzednim razem, jej oczy mówiły więcej niż słowa.

Już z samochodu zadzwoniłam do Harry. Odmówiła przyjęcia do wiadomości tego, co nieuniknione. Mówiła o nowych terapiach, cudownych uzdrowieniach, jakiejś kobiecie w Ekwadorze, która żyła jeszcze dziesięć lat po diagnozie. Klasyczna mała siostrzyczka.

Rozłączyłam się i pozwoliłam płynąć łzom. Z tym słonym deszczem na twarzy próbowałam skupić się na światłach samochodu wystrzelających w ciemność.

Zjazd z góry zdawał się nie mieć końca. Rozmokły śnieg przypomniawszy mi podróż z St. Johnsbury do Burlington. Prawie się z tego ucieszyłam. Mniej spodobał mi się różnobarwny koraż, który w wyniku tego wspomnienia stanął mi przed oczyma.

Blade ciało unoszące się w bursztynowym płynie. Drobne wzdęte zwłoki na stalowym stole sekcyjnym. Nastoletnie kości umieszczone w pudełku na półce.

Tej nocy obrazy nie dawały mi zasnąć. Gdy przyszedł wreszcie sen, nawiedzały mnie także w nim.

Nellie Gower w kamieniołomie. Lizzie Nance na polu pod Latta Plantation. Tia Estrada koło altany na kempingu. Shelly Leal pod estakadą.

Fakty. Budzące pytania. Które prowadziły do kolejnych pytań. Na które nie znaleziono odpowiedzi.

Anique Pomerleau nie działała w Montrealu sama. Miała współnika.

Jej drugi sezon zabijania rozpoczął się na farmie w Vermoncie. To tam znaleziono jej DNA na jednej z ofiar, a potem na innej, w Charlotte.

DNA z odcisku ust świadczyło, że sprawca zbrodni w Charlotte jest mężczyzną. Pasowało to do teorii, według której Pomerleau miała partnera-mordercę.

Ale przecież Pomerleau nie żyła. Czy zlikwidował ją współnik? Dlaczego? Kiedy?

I następnie przeniósł swoje perwersje na południe? Dlaczego Karolina Północna? Przeze mnie? Dlaczego?

Czyżby naśladował Pomerleau, uprowadzając ofiary w okolicy rocznic poprzednich porwań? Po co kontynuował jej „dzieło” już bez niej?

Czy miał zamiar wkrótce znowu uderzyć?

Obudziłam się, kiedy było już bardzo jasno. Zaparzyłam kawę i poszłam po gazetę.

Na ceglach patio zalegały rozwiewane wiatrem liście. Niebo było błękitne. Na drzewach kłębiło się życie zajętych swoimi trejami przedrzeźniaczy i kardynałów.

Napełniłam właśnie kubek, gdy odezwała się komórka. Początkowo nie rozpoznałam numeru dzwoniącego.

– Mam nadzieję, że nie obudziłam. – Coś w głosie Hen Hull sprawiło, że moje tętno odrobinę podskoczyło.

– Nie śpię już od paru godzin – skłamałam.

– Wymagało to trochę roboty, ale się udało – rzekła Hull. – Gotowa?

Chwyciłam długopis i papier z kontuaru.

– Dawaj. – Odczytała numer, a ja go zapisałam. – Czy możecie namierzyć...?

– Gotowa?

– Dawaj.

– Telefon do Bellamy’ego z pytaniem o sprawę Estrady wykonano z budki telefonicznej na skrzyżowaniu Piątej i North Caswell w twoim wesołym mieście. Myślałam, że komórki sprawią, że automaty telefoniczne odejdą do historii. Komórki i wandale.

– Tej linii pewnie już dawno nie ma.

– Albo budkę zmieniono na toi-toia.

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Jeśli nawet ten telefon nadal tam jest i działa, a okolica była monitorowana przez kamery, to i tak nie ma najmniejszych szans, żeby zachował się zapis wideo.

– Nie po dwóch latach.

A zatem kolejny ślepy zaułek. Chciało mi się krzyczeć ze złości.

– Sądzisz, że ten, kto dzwonił, uprowadził Estradę?

– To na pewno nie był dziennikarz z „Posta”.

– Wiadomo coś o tym włosie w gardle? – spytałam.

– Sekcja zwłok została wykonana przez niejakiego Bullsbridge’a. Czekałam na jego telefon zwrotny.

– Jest kompetentny?

– Czekałam na jego telefon zwrotny.

– Powiadomię Slidella – powiedziałam.

– Bądźmy w kontakcie.

Rozłączyłam się. Wybrałam numer. Zajęte.

Zostawiłam wiadomość. Slidell oddzwonił, gdy ciągle jeszcze trzymałam w ręku telefon.

– Mam...

– Hull ma...

Oboje umilkliśmy.

– Mów – rzuciłam.

– Mam numer, z którego dzwoniło w sprawie Colleen Donovan. Na podstawie bilingów Tasata.

Odczytałam głośno cyfry, które wcześniej zapisałam.

– Skąd go masz, do cholery?

Opowiedziałam mu o tym, że ktoś podawał się za dziennikarza „Salisbury Post”.

– Ten sam numer telefonu. Niech mnie szlag.

– I niewątpliwie ta sama osoba. Solidne powiązanie między Estradą a Donovan.

– Ale wciąż brak związków z Gower i z Nance. A także wzajemnych pomiędzy nimi obiema.

– Jezu, Slidell. O co ci chodzi?

– Adwokatuję diabłu.

Byłam zbyt pobudzona, by zwrócić mu uwagę, że przekreślił to powiedzenie.

– I co teraz? – spytałam.

– Teraz szefowa urwie mi jaja.

– Prosiłeś o spotkanie z Salter?

– Nie. Specjalny dupek Tinker prosił.

– Po co?

– Nie podoba mu się moja postawa.

– Powiedz Salter o tych telefonach.

– Ija.

Spróbowałam zadzwonić do Ryana. Poczta głosowa. Do Rodasa. Do Barrowa. Poczta głosowa. Poczta głosowa.

Moje tętno szalało. Nie mogłam usiedzieć spokojnie.

Zmieniłam dzwonek w aparacie. Zrobiłam wielkie pranie. Odkurzyłam. Zaczęłam gotować jajka. Zapomniałam o nich do czasu, gdy zapach spalenizny zmusił mnie do szybkiego biegu do kuchni.

W południe włożyłam szorty gimnastyczne, bluzę z kapturem i buty Nike, po czym pobiegłam dwie mile po pętli Booty Loop. Sapiąc, wdychałam mieszaninę zapachów mokrego cementu oraz nasiąkniętej deszczem trawy i liści. Nagrzanego słońcem metalu samochodów ustawionych przy krawężnikach.

Kiedy skończyłam, między budynkami Queens University przemieszczali się studenci. Mijając ostatnią przecnicę w drodze powrotnej do Sharon Hall, czułam zimne powietrze na spoconej skórze.

W domu sprawdziłam komórkę i sekretarkę automatyczną. Nikt nie dzwonił. Zastanawiałam się, czy Slidell jest jeszcze na spotkaniu z Salter. Czy opuścił je zbyt wściekły, żeby zajmować się teraz mną.

Wzięłam prysznic i przebrałam się w dżinsy i sweter. Wciąż podniecona, wyciągnęłam kopię akt Nance, którą wcześniej sobie przygotowałam.

Jak brzmiała ta definicja obłądzenia? Powtarzanie tych samych czynności i spodziewanie się odmiennych rezultatów?

Wiedziałałam, że to próżny trud, musiałam jednak czymś się zająć. Raz jeszcze zaczęłam przeglądać każdy wpis do akt. Fotografie. Protokoły policyjne i medyczno-sądowe.

Podsumowania przesłuchań. Podobnie jak w przypadku kartoteki w Montrealu, odnosiłam wrażenie, że czytam wyblakły list z przeszłości.

Dziś jednak doszedł dodatkowy element. Gdzieś w tyle głowy tłukła mi się samotna myśl. Coś, co dotąd nie chciało wyjść na pierwszy plan.

Czyżby moja podświadomość zwróciła uwagę na jakiś szczegół, który pominęłam?

O trzeciej ponownie spróbowałam połączyć się ze Slidellem. Z takim samym skutkiem. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Tinkera. Nie zrobiłam tego, wiedząc, że Chudy obdarłby mnie ze skóry.

Harry zatelefonowała o czwartej. Czy powinna przesłać mamie kwiaty? Odwiedzić ją? Chwilowo opowiedziałam się za tym pierwszym.

Filiżanka herbaty earl grey i powrót do akt.

Podświadomość ciągle śwędziała. O co chodzi? O zdjęcie? Coś, co czytałam? Co powiedziała Ring? A może Hull?

O piątej się poddałam.

Nie mając już żadnych pomysłów, niezdolna jednak do odpoczynku, weszłam do sieci i włączyłam mapę Charlotte. Po zlokalizowaniu skrzyżowania North Caswell z Piątą Ulicą włączyłam widok z satelity i powiększyłam go.

Zobaczyłam budkę telefoniczną. Obok niej rozciągał się parking pełen pojazdów. Niżej jakaś spora budowla z cegieł.

Aktywowałam funkcję podpowiedzi. Pojawił się fioletowy dymek. Kliknęłam w niego. Ujrzałam słowa „CMC–Mercy”.

Carolinas Medical Center – Mercy Hospital. Centrum Medyczne Karoliny Północnej i Południowej – Szpital Miłosierdzia.

W dolnych piętach mózgu coś zamigotało. I zniknęło.

Gapiałam się w ekran, bardzo pragnąc, żeby ta dokuczliwa iskierka w mojej głowie wreszcie wybuchła.

I wybuchła. Z pełną petardą.

Lizzie Nance dostała w szkole zadanie przygotowania projektu poświęconego pracy pogotowia ratunkowego. Po jej śmierci znaleziono go w jej laptopie.

Shelly Leal udała się na ostry dyżur do szpitala z powodu bolesnego miesiączkowania.

Colleen Donovan zawieziono na SOR po tym, jak upadła i uderzyła się w głowę.

Dzwoniący, który posługiwał się fałszywą tożsamością, korzystał z aparatu telefonicznego naprzeciwko szpitala. Domagał się informacji o Estradzie i Donovan.

Gdy myślałam o tym wszystkim, czułam, jak krew zaczyna krążyć we mnie coraz szybciej.

Złapałam telefon. Musiałam wciskać klawisze dwukrotnie.

– No szybciej, szybciej.

– Jo – Slidell coś właśnie przeżuwał.

Słowa wychodziły ze mnie w zawrotnym tempie. Na koniec powiedziałam:

– Trzeba zadzwonić do matki Shelly Leal. Zapytać, do jakiego szpitala zawiozła córkę. A potem dowiedzieć się, gdzie leczono Donovan.

– Dam znać – odparł szorstko.

Wydawało mi się, że czekam w nieskończoność. W rzeczywistości niecałą godzinę.

– CMC–Mercy – powiedział Slidell.

– Jasna cholera. To tam wybierano ofiary.

– Załatwię listę pracowników.

– Bez nakazu?  
– Przekonam ich.  
– Jak?  
– Urokiem osobistym. Jak się nie uda, zagrozę, że pójde do „Observera”.  
Przed dziesiątą Slidell miał już swoją listę.  
– Czy ty masz pojęcie, ilu ludzi pracuje w szpitalu?  
– Bo co?  
– Analizuję nazwiska pod kątem danych z wydziału komunikacji, jeśli chodzi o tablice rejestracyjne. Dupek specjalny zaraz przepuści je przez system.  
– Czy nie jest tak, że każdego pracownika szpitala sprawdza się, zanim zostanie przyjęty do pracy?  
– No jest. Żeby nie dopuścić bandziorów.  
– Skoncentruj się na tych, którzy mieli coś wspólnego z pogotowiem.  
Rozłączyliśmy się.  
Czekając na kolejną wiadomość od Slidella, raz jeszcze spróbowałam dodzwonić się do Ryana. Tym razem odebrał.  
Poczuł się tak samo napompowany jak ja. Pogratulował mi.  
– Tutaj niezbyt wiele się dzieje – powiedział.  
– Znalazłeś psychologa Tawny McGee?  
– No. Pamela Lindahl. Właściwie to psychiatra, zatrudniona przez opiekę społeczną.  
– Pracuje jeszcze w szpitalu General?  
– Tak. Ale jest do niczego, jeśli chodzi o oddzwanianie. Trzymam rękę na pulsie. Wątpię jednak, żeby znalezienie McGee do czegoś nas doprowadziło.  
Zgadzałam się z nim. I zastanawiałam się, czy otwarcie jego ran było warte tego, co zyskaliśmy.  
– A co z Rodasem? – spytałam.  
– Wszedł w układy z prasą. Wizerunek Pomerleau ma być rozpowszechniony w całym stanie, wraz z jej rysopisem oraz prośbą do opinii publicznej o zdjęcia i nagrania zrobione między dwa tysiące czwartym a dwa tysiące dziewiątym rokiem, na których ona może być gdzieś w tle. Wiesz, bombardowanie zdjęciem sklepów, stacji benzynowych, parkingów.  
– Jeśli ktoś strzelił jej fotkę razem z facetem, gość może nagle zyskać twarz.  
– Właśnie. To mało prawdopodobne, ale nigdy nie wiadomo. Rodas rozesłał także swoich ludzi, żeby chodzili od drzwi do drzwi w Hardwick i w St. Johnsbury.  
Spytałam Ryana, czy planuje powrót do Charlotte. Odparł, że niedługo.  
Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Albo mnie się tak wydawało. Potem zakończyliśmy rozmowę.  
Wiedząc, że nie zasnę, zrobiłam sobie herbatę i wróciłam do akt Nance.  
Zegar babci tykał miękko na kominku.  
Jak się spodziewałam, nie znalazłam już nic nowego.  
O północy zabrałam się za raporty, które domagały się mojej uwagi. Ale myślami wciąż błądziłam gdzie indziej. Spekulowałam. Wspólnik Pomerleau był sanitariuszem. Albo pielęgniarzem. Lub ochroniarzem.  
Godziny ciągnęły się w tempie ruchów lodowca.  
Slidell zadzwonił wreszcie o drugiej nad ranem.  
Ustalił trzy rzeczy.



## Rozdział 29

- Leal pojechała do centrum medycznego Mercy.
  - Kiedy?
  - Zeszłego lata. Matka sądzi, że to był lipiec.
  - Wie, kto leczył jej córkę?
  - Nie.
  - Pogotowie będzie miało zapis tej wizyty.
  - Naprawdę?
  - Pewnie zechcą, żeby wystąpić do nich na piśmie.
  - Chcesz czegoś posłuchać?
  - Spokojnie. Oboje jesteście zmęczeni.*
  - Dobra wiadomość jest taka, że szpital ma od groma kamer monitoringu. Zła wiadomość, że ma też problemy z przechowywaniem nagrań. Trzymają je tylko dziewięćdziesiąt dni.
  - Musisz zarekwirować te najnowsze.
  - No, o tym nie pomyślałem.
  - Zrobił ganiącą pauzę. Potem usłyszałam przerzucanie kartek i domyśliłam się, że wziął swój notatnik.
  - Możliwe, że jest trafienie pasujące do mojej listy z wydziału komunikacji.
  - Slidell powiedział to tak obojętnie, że przez chwilę myślałam, iż coś źle rozumiem. Czekałam na dalsze wyjaśnienia.
  - Facet nazywa się Hamet Ajax. Jeździ hyundaiem sonatą z dwa tysiące dziewiątego roku. Ciemnoniebieskim. Pierwsze dwie cyfry rejestracji są zgodne ze wskazanymi podczas zeznania przez tego geniusza na Morningside.
  - Świadek, który widział Leal przed sklepem spożywczym?
  - Może i widział.
  - Jak namierzyłeś Ajaxa?
  - Jezus, przecież ci mówiłem. Porównałem nazwiska z wydziału komunikacji z listą pracowników szpitala.
  - Spokojnie, Brennan.*
  - Więc Ajax pracuje w szpitalu Mercy?
  - Od dwa tysiące dziewiątego.
  - Czym się zajmuje?
  - Jest lekarzem, ma pół etatu w pogotowiu.
  - Dlaczego od razu nie mówiłeś?
  - Właśnie powiedziałem.
  - Co teraz?
  - Będę węszył.
  - W sprawie Ajaxa.
  - Nie. W sprawie faceta, który wczoraj wieczorem podał mi niedosmażony stek.
- Przetrawienie tej rozmowy zajęło mi sporo czasu. Spałam niespokojnie, zasypiałam i budziłam się ze snu, w którym główną rolę odgrywała mama. Rano nie pamiętałam nic, poza wrażeniem

jej obecności oraz kolażem chaotycznych obrazów.

Ręce zaplatające w warkocz długie jasne włosy. Delikatny mosiężny dzwonek na nocnym stoliku. Śnieżnobiały wazon z koniczynkami wokół krawędzi. Łzy. Wyraz „Belleek” dochodzący z drżących warg.

Wstałam z łóżka z uczuciem niepokoju. I nieprzydatności.

Nalewałam sobie drugą kawę, gdy zadzwonił telefon.

Odruchowo sprawdziłam czas. 7.40.

Slidell brzmiał jak człowiek wykończony, pewnie z powodu całonocnej pracy. Nie tracił czasu na sarkazm i swoje żarciki.

– Ajax to pedofil.

Słowo to wbiło mi się prosto w serce lodowatym soplem.

– Odsiedział pięć lat w Oklahomie za molestowanie dziecka.

– Co teraz?

– Teraz zaproszę tego oślizłego gnojka na małą rozmowę.

– Chcę przy tym być.

– Jakżeby inaczej.

Przesłuchanie miało się odbyć o piętnastej, ale okazało się, że Slidell nie był w stanie zaczekać. Kiedy dotarłam na komendę policji, siedzieli już z Ajaxem w pokoju przesłuchań. Minęłam go i weszłam do sąsiedniego.

Barrow w towarzystwie kilku detektywów obserwował na stojąco monitor, na którym transmitowano obraz Ajaxa. Kiedy wsunęłam się do pokoju, unieśli wzrok z pustym wyrazem twarzy. Najwyraźniej nie spodziewali się zbyt wiele po tym, na co właśnie patrzyli, lub nie robiło to na nich wrażenia. Barrow skinął mi głową i przesunął się lekko w lewo. Pozostali w prawo. Wniknęłam w przestrzeń utworzoną specjalnie dla mnie.

Ajax zajmował większą część ekranu. Był wysokim, kościstym mężczyzną w garniturze uszytym dla kogoś wysokiego i muskularnego. Miał czarne włosy, ale skórę zaskakująco bladą. Oczy, już i tak zbyt duże na twarzy z wielkim nosem, powiększały jeszcze okulary w szylkretowych oprawkach. Pomyślałam, że pochodzi z Azji Środkowej, może z Indii lub z Pakistanu.

Siedział za metalowym stolikiem, z dłońmi spoczywającymi nieruchomo na blacie ze sztucznego drewna. Za nim widać było fioletoworóżową ścianę, pomalowaną tak na wysokości od pasa w górę, niżej zaś obraz śnieżył. Przymocowane do podłogi kajdanki nie skubały kostek męzczyzny.

Naprzeciwko niego siedział Slidell; na ekranie widoczne były jedno jego ramię i fragment przetłuszczzonej czupryny na głowie. Przed nim, na stole, leżał zamknięty folder.

– Jakież efekty? – zapytałam.

Barrow potrząsnął głową.

– Wczoraj wieczorem i dzisiaj byłem w pracy. – Ajax mówił spokojnie, jego angielski miał delikatny obcy akcent. – Jestem dość zmęczony.

– To samo opowiadasz żonce, kiedy chcesz przelecieć jakieś dziecko?

Brak reakcji ze strony Ajaxa.

– Niezły przekręt. Niby jesteś w szpitalu, ale tak naprawdę wieszysz i szukasz.

– Już mówiłem. To nie tak.

– Racja. Przecież tamta mała była opiekunką do dziecka w twojej rodzinie. Czyli że wszystko

w porządku.

– Nie twierdę, że moje zachowanie było właściwe. Mówię tylko, że nigdy nie rozglądałem się za jakimiś dziećmi.

– Łatwiej jest dorwać te, które już zdążyły ci zaufać. – Głos Slidella ociekał wstrętem.

– Nie było żadnych kolejnych.

– Bzdura.

– Popełniłem błąd. Okoliczności były wtedy... nadzwyczajne.

– Czyli?

– Dziewczynka wyglądała bardzo dojrzała jak na swój wiek. Zachowywała się prowokacyjnie. Poczułam, jak całe moje ciało wzdryga się z odrazą.

– Ty zбочona szumowino – Slidell pojawił się na ekranie.

– To obraza dla szumowin – skomentował jeden z detektywów stojących za mną.

– Odsiedzialem swoje – powiedział Ajax, nieporuszony. – Przeszedłem terapię.

– Kiedy ostatni raz sprawdzałem, tacy mutanci jak ty musieli się rejestrować.

– Zarejestrowałem się w Oklahomie.

– Tu nie Oklahoma.

– Popełniłem przestępstwo piętnaście lat temu. Wymóg rejestrowania się obowiązuje dziesięć lat.

– I zrobiłeś to, kiedy tu u nas wylądowałeś?

Ajax pozwolił sobie na kpiący uśmiech.

– Jestem innym człowiekiem.

– Prawdziwy altruista z ciebie.

– Leczę chorych.

– Zatrzymajmy się na tym. Zszywałeś szesnastolatkę, Colleen Donovan. Dziecko ulicy, które przywiozła policja. Miała ranę głowy.

– Powtarzam. Leczę setki pacjentów rocznie.

– A co z Shelly Leal? Zgłosiła się do szpitala latem, skarżąc na bolesne miesiączkowanie.

– Bez dostępu do kartoteki nie mam szans sobie przypomnieć.

– Taa? No cóż, *my* pamiętamy. – Ręka Slidella znalazła się w polu widzenia. Otworzyła folder i wyciągnęła jakiś wydruk.

Spojrzałam na Barrowa. Pokręcił głową, co oznaczało błąd.

– Być może leczyłem tę pacjentkę – odpowiedział cały czas niewzruszony Ajax. – Co z tego?

Ręka Slidella wyjęła kolejny papier z folderu i przesunęła go na drugi koniec stołu.

– To twój samochód?

Ajax odwrócił kartkę do góry nogami i popatrzył w dół.

– Jeżdżę hyundaiem.

– Zobacz tablicę rejestracyjną.

– To mój pojazd. Zarejestrowany legalnie.

– Mamy świadka, który widział, jak wpychasz Shelly Leal do tego samochodu.

– Ta osoba kłamie.

– Jakiś zimnokrwisty drań zabił dwoje dzieci. – Jeśli chodzi o Donovan, była to nieprawda.

Ciemne oczy za szklami okularów zwężyły się o milimetr.

– Chyba nie podejrzewacie o to mnie.

– No pewnie, niby dlaczego mielibyśmy cię podejrzewać?

– Już mówiłem. Nigdy nikogo nie skrzywdziłem.

- A jak się ma dzisiaj ta opiekunka do dzieci?
- Nigdy nie zadałem przemocy fizycznej żadnej istocie ludzkiej.
- Gdzie byłeś siedemnastego kwietnia dwa tysiące dziewiątego roku?

Podbródek Ajaxa powędrował w górę, co sprawiło, że w obu soczewkach rozbłysły białe ukośne kreski, podwójne odbicie świetlówki na suficie. Zmieniły układ, kiedy podbródek znów opadł.

- Muszę sprawdzić w notatniku.
- A dwudziestego pierwszego listopada dwa tysiące czternastego?
- Czy powinienem poprosić o adwokata?
- A powinienes?

Ajax westchnął.

– Gdybyście mieli dowody mojego udziału w tych zabójstwach, oskarżylibyście mnie o popełnienie zbrodni. Skoro tego nie robicie, zakładam, że jestem wolny i mogę iść.

– Staramy się oczyścić pana z zarzutów, doktorze.

Ten głos mnie zaskoczył. W pomieszczeniu był również Beau Tinker.

– Sposób, w jaki pański partner odnosi się do mnie przez całe popołudnie, świadczy o czymś dokładnie przeciwnym.

– Proszę posłuchać. Jest pan inteligentnym człowiekiem. Biorąc pod uwagę pańską przeszłość, na pewno zdaje pan sobie sprawę, że musimy go sprawdzić. Rozumie pan? Żeby pana wykluczyć.

– Wyciągnęliśmy mnie z pracy. Odpowiedziałem na wszystkie pytania najlepiej, jak umiałem.

– Mimo to są pewne luki.

– Dokładniejszych odpowiedzi będę mógł udzielić, gdy otrzymam dostęp do kartoteki pacjentów.

– Nie pamięta pan, by leczył Colleen Donovan?

– Nie.

– A Shelly Leal?

– Nie.

– Nie przypomina pan sobie żadnej z nich?

– Żadnej. Wraziłem się jasno.

– Chcemy mieć pewność.

– Zgodziłem się na nagrywanie tej rozmowy. – Ajax popatrzył prosto w kamerę, najwyraźniej zaznajomiony z policyjnymi pokojami przesłuchań. – Odsłuchajcie sobie taśmę.

Pauza.

– Znasz tę dziewczynkę, Tię Estradę? – Slidell znów włączył się do rozmowy.

– Nie.

– Avery Koseluk?

– Nie.

– Lizzie Nance?

Ajax siedział bez ruchu, milczał.

– Brzmi znajomo?

– Nie.

– A może Nellie Gower?

– Nie znam żadnej z tych osób.

– Byłeś kiedyś w Vermoncie?

- Odpowiedziałem już na to pytanie przecząco.
- Gadaj o Anique Pomerleau.
- O kim?

Slidell wystrzelił do przodu przez cały stół, ku twarzy Ajaxa.

- Przestań się zgrywać, ty bezwartościowy gnoju.
- Nie wiem, o czym pan mówi. – Tamten patrzył Slidellowi prosto w oczy.
- Czy pańskim zdaniem w szpitalu Mercy jest ktoś, z kim powinniśmy porozmawiać? – Znów

Tinker.

- Obiecuję, że się poważnie zastanowię nad tym pytaniem.
- Bardzo proszę.

– No. Bardzo prosimy. – Zaszurało krzesło. Widoczne dotąd fragmenty Slidella zniknęły z wizji. – A tymczasem muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, bo tu cuchnie.

Otworzyły się drzwi. I zamknęły. Ajax siedział nieruchomo, jak rzeźba na Mount Rushmore, wpatrzony w róg pokoju, gdzie – jak zakładałam – stał Tinker.

- Nigdy nie skrzywdziłem nikogo fizycznie. Ani wtedy, ani teraz.

– Wierzę panu, doktorze. – Tinker, nadzwyczaj dobry gliniarz. – Proszę posłuchać. Napije się pan czegoś?

Drgnienie ust. Uśmiech?

- Nie przyjmę niczego do jedzenia ani do picia.
- Jak pan sobie chce.

Nasze małe stadko znów się rozdzieliło. Detektywi przesunęli się na lewo, w kierunku siedziby Wydziału Kryminalnego. Barrow i ja skierowaliśmy się w prawo, w stronę sali konferencyjnej. Slidell już tam był, stał przy stole. Miał ściągniętą twarz, oczy spuchnięte i czerwone z niewyspania.

- Macie coś? – zapytał Barrow.

Slidell potrząsnął głową.

- Ten facet to cwaniak. Wie, jak się gra w tę grę.
- Kiedy zacząłeś przesłuchanie?
- Trochę po pierwszej.

Być może wydałam z siebie jakiś dźwięk. Albo się poruszyłam. Oczy Slidella skierowały się na mnie. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, w holu rozległy się głosy, a potem dołączyli do nas Tinker i Salter.

– Chciałem zająć się nim sam. – To było powiedziane do mnie, ale na tyle głośno, by usłyszał również Tinker. A może i Salter.

– Przez całe przesłuchanie Ajax nie zmienił zeznań ani na jotę? – Barrow również stracił początek przedstawienia.

– Nie pamięta, czy leczył Donovan albo Leal. Nie wiedział, że nie żyją. Nie miał nic wspólnego z ich śmiercią.

– Przecież o Leal cały czas mówiono w wiadomościach – powiedziałam. – Ajax nie czyta gazet ani nie ogląda telewizji?

- Twierdzi, że jest zbyt zajęty ratowaniem ludzi.
- I nikt w tym szpitalu nigdy nie wspomniał o Leal? Czy to się trzyma kupy?
- Ten obrzydliwy...

Salter przerwała wypowiedź Slidella.

- Co dokładnie macie na tego faceta?

– To pedofil. A rejestracja jego samochodu odpowiada numerom podanym przez świadka, który był na miejscu uprowadzenia Leal.

– W pełni?

– Dwie cyfry.

– I to wszystko?

– Nie żyją cztery dziewczynki. Może sześć. A ten zbok lubi dziewczynki.

– Słaby materiał dowodowy.

– Dwie spośród ofiar były na pogotowiu.

– Leczył je?

– Staramy się o kartoteki.

– Coś jeszcze?

– Opowiedz o budce telefonicznej – polecił mi Slidell.

Opowiedziałam.

– Przed szpitalem Mercy?

– Tak.

Salter skinęła głową i odwróciła się z powrotem do Slidella.

– Jakaś szansa na jego DNA?

– Nie zgadza się na wymaz.

– Jak zamierzacie postępować dalej?

– Dajcie mi do niego wrócić.

– Prosił już o adwokata?

– Jeszcze nie.

– Powinien był się zarejestrować jako przestępca seksualny – rzekł Tinker. – Nie robił tego od lat, a już nigdy w Karolinie Północnej.

– To daje nam pewną możliwość działania. – Po kilku sekundach Salter dodała: – Naprawdę sądzicie, że Ajax może być naszym facetem?

– To jedyny podejrzany, jakiego mamy.

– Grzebiecie w jego przeszłości?

– Co do gówienia.

– Okej. Pogrillujcie go jeszcze trochę, a potem zaprowadźcie do celi. – Przeniosła wzrok ze Slidella na Tinkera. – Jeśli nie pęknie do szóstej, zwolnić. – Slidell zaczął protestować. – Wszystko ma być idealnie zgodnie z przepisami. Oczekuję koronkowej roboty, jakbym oglądała *Chinatown*. – Zwróciła się do Slidella. – Jeżeli Ajax poprosi o adwokata, puszczamy go. Jasne?

Slidell wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je przez nos.

– Jasne, detektywie?

– Wypuścimy go, ale będziemy siedzieć mu na ogonie, tak?

– Wręcz między pośladkami.

## Rozdział 30

O godzinie piątej Ajax poprosił o pomoc prawną.

Trzydzieści minut później radiowóz wysadził go pod domem. Ulicę obok stał już zaparkowany nieoznakowany samochód policyjny.

O szóstej Slidell odebrał telefon od adwokata Jonathana Rao. Od tej chwili klient Rao miał odpowiadać na pytania wyłącznie za jego pośrednictwem bądź w jego obecności.

O siódmej Slidell, Barrow i ja siedzieliśmy w sali konferencyjnej, jedząc coś na wynos z King's Kitchen. Między jednym a drugim kęsem smażonej flądry Slidell dzielił się z nami tym, czego się dowiedział o przeszłości Ajaxa.

– W Oklahomie nazywał się Hamir Ajey. Jego historię ustaliłem na podstawie dokumentów sądowych. Ajey vel Ajax zaczął dostawiać się do opiekunki do dzieci, która miała wtedy czternaście lat. On trzydzieści trzy. Molestowanie zakończyło się po dwóch latach, kiedy dziewczyna wyznała wszystko nauczycielce. Został oskarżony o gwałt i czyny lubieżne wobec nieletniej, przyznał się do części zarzutów.

– Zaproponowano mu to, żeby oszczędzić dziecku przykrego procesu sądowego – powiedział Barrow. – Często tak się robi.

– Ten chory popierdoleniec odsiedział czterdzieści sześć miesięcy i wyszedł.

– Czy nie miał obowiązku rejestrować się jako przestępca seksualny? – zapytałam.

– Owszem, miał. – Gryz flądry. – Kiedy wyszedł z pudła w dwa tysiące czwartym roku. W Oklahomie.

– Stan nie odebrał mu prawa wykonywania zawodu lekarza?

– Tamten stan tak. – Slidell oblizał palce. – Więc Ajey/Ajax na parę lat schodzi pod ziemię, po czym pojawia się w New Hampshire na szpitalnym oddziale ratunkowym, gdzie niespecjalnie sprawdza się czyjaś przeszłość.

– Żartujesz.

– Kilka pociągnięć długopisem na dyplomie i nazwisko zmienia się z Hamir Ajey na Hamet Ajax. Przecież nikt nie będzie zadawał sobie trudu i dzwonił do Bombaju.

– I faktycznie nikt sobie nie zadał. Jezu.

– Po kilku kolejnych latach na podstawie świadectwa pracy z New Hampshire facet ląduje jako lekarz pogotowia w Wirginii Zachodniej.

– A stamtąd przyjeżdża do Charlotte – dokończył Barrow.

– Po drodze nikomu się nie przyznaje, że jest zbrojcem.

– Nikt zresztą nie pyta. – Byłam zniesmaczona.

– Dlaczego Charlotte? – spytał Barrow.

– Kto to wie.

– Jak długo Ajax miał obowiązek się rejestrować? – zapytałam.

– Sprawdzam to – odparł Slidell. – On twierdzi, że dziesięć lat.

– Jest żonaty?

– Był w Oklahomie. Potem żona go zostawiła.

– Ma dzieci?

– Dwie dziewczynki.

Doświadczalam sprzecznych emocji. Uczucia odrazy do Ajaxa. Empatii dla jego córek. Lęku o przyszłe ofiary. Chciałam krzyczeć, płakać, rzucić czymś o ścianę.

– Jakież inne incydenty? Skargi pacjentów, coś w tym stylu? – spytał Barrow.

– W czterech stanach, w których sprawdzałem te dwa nazwiska, na nic podobnego nie natrafiłem. Najwyraźniej Ajax starał się zachowywać czyste konto.

– Albo udoskonalił swoją technikę – skomentował Barrow.

– Gdzie teraz mieszka? – zapytałam.

– W jednej z tych nowobogackich dzielnic niedaleko Sharon View Road.

– W Oklahomie mają jego DNA?

Slidell pokręcił głową.

– Czy Ajax miał dyżur w dniach, gdy Donovan i Leal zgłosiły się do szpitala Mercy?

– Nakaz dopiero się pisze. Powinienem znać odpowiedź na to pytanie za godzinę albo dwie.

– O czym myślisz? – zapytał Barrow.

– Chciałbym zobaczyć mieszkanie Ajaxa od środka.

– Bez wskazania solidnego powodu nie ma szans.

– No. No. W takim razie utrzymujmy zespół ludzi wpatrzonych w jego pośladki dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Niech dupek tylko rzuci okiem na jakiś plac zabaw, a od razu go zdybiemy.

Imponujące. W jednej wypowiedzi Slidellowi udało się dwukrotnie nawiązać do ludzkiego tyłka.

– Jeśli facet nie musi się już rejestrować, nic z tego.

– Przykre by to było, co? Ale czekamy na potwierdzenie z Oklahomy.

– A jeżeli Ajax nic nie robi? – spytałam.

– Te gnojki zawsze coś robią. Na razie ustalę, kiedy Leal i Donovan zgłosiły się do szpitala Mercy. Sprawdzę kartotekę pogotowia, podpisy lekarzy, nazwiska, numery identyfikacyjne, czy czego tam używają. I zdobędę listę wszystkich pracowników oddziału, którzy byli obecni podczas obu wizyt. Pogadam z nimi. Jeśli to nic nie da, poszerzę działalność na resztę szpitala.

– Gdzie jest Tinker? – zapytałam.

– Sprawdza Ajaxa – odpowiedział Barrow. – Weryfikuje jego alibi na dni, w których uprowadzono Leal, Estradę, Nance i Gower.

– Przeprasiliście się i daliście sobie buziaczka? – To była moja niezdarna próba poprawienia nastroju. Poza tym naprawdę byłam ciekawa. Slidell spojrzał na mnie wilkiem, zdecydowanie niechętny otwartej dyskusji o swoich relacjach z Tinkerem. Zmieniłam temat. – New Hampshire graniczy z Vermontem.

– Prześlę zdjęcie Ajaxa Rodasowi – rzekł Barrow. – Zobaczymy, czy to coś da. A tymczasem dostałem wiele godzin nagrań z miejsc, w których Leal mogła przebywać na tydzień przed śmiercią. Przejrzę je wszystkie, zobaczę, czy ta mała gdzieś się nie pojawia. I czy obok niej krąży ktoś podejrzany. Kazałem też swoim ludziom analizować zdjęcia z monitoringu, zrobione w oknie czasowym, w którym nasz facet musiał wyrzucić Leal z samochodu. Na przykład na drogach dojazdowych do tej estakady.

– Ile godzin to potrwa?

– Nie chcesz wiedzieć.

– Ajaxowi wydaje się, że jest sprytny. – Slidell zerwał się na nogi. – Ten arogancki kutas pójdzie na dno.

– Mogę jakoś pomóc? – spytałam.



- Skasuj moje nazwisko z szybkiego wybierania.
- Wpatrywałam się w plecy odchodzącego Slidella.

Byłam już w MCME, kiedy Slidell wreszcie zadzwonił. Mogłam napisać raporty w domu, ale przebywanie w prosektorium sprawiało, że czułam się trochę mniej zmarginalizowana.

- Donovan przyjęło do szpitala Mercy w dniu dwudziestym drugim sierpnia dwa tysiące dwunastego roku o godzinie dwudziestej trzeciej czterdzieści. Założono jej trzy szwy na czole i wypisano o pierwszej dziesiąt nad ranem. Mundurowi, którzy ją przywieźli, dostarczyli ją następnie do schroniska. Ajax figuruje w rejestrze jako lekarz udzielający pomocy.

Poczułam, jak mój puls przyspiesza. Bardzo starałam się nie przerywać.

- Leal zgłosiła się do szpitala w dniu dwudziestym siódmym sierpnia dwa tysiące czternastego roku o godzinie czternastej dwadzieścia. Narzekała na bóle miesiączkowe. Zajął się nią niejaki doktor Berger, przepisał leki bez recepty. Rodzice zabrali dziewczynę do domu o szesnastej czterdzieści.

- Czy Ajax tego dnia miał dyżur?

- Tak.

- A jakiś inny członek personelu pogotowia pracował w obu tych terminach?

- Pięcioro.

- Myślałam, że ich lista będzie dłuższa.

- Minęły dwa lata, ludzie się przemieszczają. Poza tym mieliśmy fart. Jedno dziecko wyładowało w szpitalu w nocy, drugie za dnia.

- Dwie różne zmiany.

- Ija.

- Czy któreś z tej piątki nadal pracuje w Mercy?

- Troje. – Usłyszałam szelest wszechobecnego notatnika. – CP nazwiskiem Ellis Yoder. To znaczy: certyfikowany pielęgniarz.

Wiedziałam, co to znaczy. Milczałam.

- Alice Hamilton, także certyfikowana pielęgniarzka. Jewell Neighbors, specjalistka do spraw relacji z gośćmi. Wygląda, jakby to miejsce było jakimś cholernym Ritzem.

Specjalistka do spraw relacji z gośćmi. SRG. Tego nie znałam.

- Jedna siostra, Blanche Oxendine, przeszła na emeryturę. Druga, Ella Mae Nesbitt, wyprowadziła się z naszego stanu.

- Rozmawiałaś z nimi?

- Byłam zbyt zajęty opalaniem się na słońcu.

Przeczekaliśmy tę krótką pauzę.

- Oxendine ma sześćdziesiąt sześć lat, jest wdową. W Mercy pracowała dziesięć lat, przedtem w szpitalu Presbyterian trzydzieści dwa lata. Mieszka z córką i dwoma wnukami. Cierpi na artretyzm, osteoporozę, ma problemy z pęcherzem.

Wyobraziłam sobie rozmowę tych dwojga.

- Czy Oxendine pamiętała którąś z dziewczynek?

- Leal, ale słabo. Donovan w ogóle.

- Jakie jest jej zdanie o Ajaxie?

- Podobało jej się to, że jego oddech zawsze ładnie pachniał.

- I to wszystko?

- Uważa, że w dzisiejszych czasach zbyt wiele miejsc pracy zajmują obcy.

- Umie posługiwać się Internetem? – Sama nie byłam pewna, czemu o to pytam.
- Sądzi, że komputery są odpowiedzialne za upadek współczesnej młodzieży.
- A co z Nesbitt?
- Lat trzydzieści dwa, singielka, pracowała w Mercy przez cztery lata od uzyskania dyplomu. We wrześniu przeprowadziła się do Florence, żeby się opiekować osiemdziesięciodziewięcioletnią babką. Starsza pani upadła i złamała sobie biodro.
- Zatem Nesbitt nie mieszkała w Charlotte, gdy zamordowano Nance i Leal.
- Nie.
- Używa komputera?
- Do wysyłania maili i robienia zakupów w sieci.
- Co sądzi o Ajaxie?
- Mówi, że jak dla niej był trochę za sztywny. Składała to na karb różnic kulturowych. Cokolwiek to znaczy. Ale uważała, że lekarz z niego dość dobry.
- Czy ona...
- Pamięta Donovan, ponieważ pomagała Ajaxowi zszywać ranę. Podobno mała była agresywna, pewnie na prochach. Natomiast Leal nie przypomina sobie wcale.
- Więc żadna z nich nie wzbudziła twojej czujności?
- He-ej. Sprawca należy do odmiennej płci. Slidell miał rację. DNA na kurtce Leal wskazywało, że mordercą jest mężczyzna.
- A co z pozostałymi? – spytałam.
- Właśnie planowałem spacerować się po szpitalu.
- Do zobaczenia na miejscu – powiedziałam i rozłączyłam się, zanim Slidell zdążył zaprotestować.

Przyjechałam do szpitala pierwsza. W piątek, o godzinie dwudziestej pierwszej, panował tam spokój.

Wiedząc, że Slidell dostanie świra, jeśli spróbuję zrobić cokolwiek poza oddychaniem, usiadłam w poczekalni. Miałam nadzieję, że nie narażę się na bakcyle wąglika i gruźlicy.

Naprzeciwko mnie, pod ścianą, jakiś mężczyzna w mundurze maskującym przyciskał do klatki piersiowej owiniętą w koszulę dłoń. Na lewo od niego siedział młodzian w dresie i obserwował mnie nieprzyjemnie czerwonymi oczami.

Na końcu rzędu po mojej prawej jakaś dziewczyna huśtała opatulone niemowlę, które ani się nie poruszało, ani nie wydawało żadnego dźwięku. Jej wiek szacowałam na szesnaście, może siedemnaście lat. Od czasu do czasu poklepywała albo podrzucała nieruchome zawiniątko.

Za dziewczyną siedziała kobieta i zanosiła się mokrym kaszlem do zmiętej chusteczki. Miała cienkie włosy, lśniące różowe ponad siwymi odrostami, skórę barwy niegotowanego makaronu. Palce jednej z rąk były żółte od nikotyny.

Skupiłam uwagę na personelu szpitala – odczytywałam nazwiska na plakietkach każdej osoby, która znalazła się moim polu widzenia. Wkrótce dostrzegłam jeden z naszych obiektów zainteresowania.

Wysoki, ciastowaty mężczyzna, z jasnym, mocno związanym kucykiem, nosił identyfikator z nazwiskiem *E. Yoder, CP*. Gdy mijał mnie, aby zająć się Czerwonymi Oczami, zauważyłam, że ma obwisłe ramiona pokryte piegami.

Minęło dziesięć minut. Piętnaście.

Stara kobieta kontynuowała wypluwanie flegmy. Rozważałam zmianę miejsca, gdy wreszcie

w drzwiach pojawił się Slidell. Wstałam i podeszłam do niego.

– Yoder jest w pracy. Neighbors nie zauważyłam.

– Rozmawiałem z nią.

– Co?

– To kretynka.

– Gdzie ją widziałeś?

– Czy to ważne?

Przewiercałam Slidella wzrokiem inkwizytora.

– W holu.

– I?

– Zajmuje się mnóstwem pacjentów z bólem brzucha i zadrapaniami.

– Tak ci powiedziała?

– Parafrazuję.

– Dlaczego jest „kretynką”? – Pokazałam cudzysłów.

– Ma dwadzieścia cztery lata, męża i troje dzieci, nie pracowała w Mercy, kiedy zabito Nance i Estradę.

– I to czyni z niej kretynkę?

– Poza Karolinę Północną wyjechała tylko raz w życiu, podczas szkolnej wycieczki do Waszyngtonu. Uważa, że pomnik Lincolna to jeden z siedmiu cudów świata. Nigdy nie siedziała w samolocie. Nie ma komputera. Rozumiesz już?

Rozumiałam. Jewell Neighbors nie pasowała do profilu morderczynie dzieci. Ani praktykantki u mordercy dzieci.

– I zwróc uwagę, że użyłem rodzaju żeńskiego.

– Czyli zakładasz, że nikt inny nie jest w to zamieszany.

Teraz ja odebrałam długie pytające wejrzenie.

– Kobieta wzbudza mniejszy strach.

– To znaczy, że ofiary wybiera kobieta?

– Może właśnie tutaj, osobiście. A może w Internecie.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Nie jest to wykluczone – powiedziałam defensywnie. – Pomerleau robiła coś takiego dla Menarda.

– Jeżeli nasz sprawca ma pomocnicę, to nie jest nią Neighbors. Ani Oxendine. A Nesbitt nie było tutaj, gdy zginęły Nance i Estrada.

– O ile w ogóle istnieje jakieś powiązanie z Estradą – zastanawiałam się przez chwilę. – W dwa tysiące dziewiątym Nesbitt miała dziewiętnaście lat. Gdzie wtedy mieszkała?

– Zapytam.

– Co mówiła o Ajaxie?

– Zamknięty w sobie, nie lubił gadać w socjalnym, nie chodził na spotkania towarzyskie. Nigdy nie widziała go poza miejscem pracy. Prawie wcale go nie znała. Podobny obraz otrzymałam od Neighbors.

– Ajax to samotnik.

– Tak. A teraz nie miałabyś nic przeciwko, gdybym pogadał z facetem, który ma swoje za uszami?

– Co to niby miało znaczyć?

– Sprawdziłem Yodera. Figuruje w kartotekach.

- Za co?
  - Dwa zarzuty z paragrafu 10-90.
  - Kogo pobił?
  - Jakiegoś faceta w barze.
- Zacząłam zadawać pytania. Slidell mi przerwał.
- Oraz siedemnastoletnią dziewczynę, Bellę Viceroy.

## Rozdział 31

Ellis Yoder nie był otwarcie nieprzyjazny. Ani też przesadnie wylewny. Slidell pokazał mu swoją odznakę oraz niejasno usprawiedliwił moją obecność, po czym poprosił o rozmowę na osobności. Yoder zaprowadził nas do pustego biura.

Slidell zaczął od przypomnienia tamtemu, za co był aresztowany.

– Pamiętasz Chestera Hoveya? Faceta, któremu zdefasonowałeś twarz butelką?

– Faceta, który rzucił moją dziewczynę na szybę samochodu, żeby obmacać jej cycki. Wiesz, gdzie jest teraz Hovey?

– Nie wiem.

– Odsiaduje wyrok za pobicie prostytutki.

– A Viceroy?

– Bella. – Yoder powoli pokręcił głową. – Więc to o nią chodzi?

Slidell przyglądał mu się długo.

– Pokłóciliśmy się. Ta suka mnie walnęła. Ja jej oddałem. Wniosła zarzuty. Miała siedemnaście lat, ja dziewiętnaście, więc mnie się dostało.

– Wygląda na to, że masz problemy z radzeniem sobie z gniewem, Ellis.

– Och, tak. Mam swoje problemy. – Yoder wydał z siebie wymuszone parsknięcie. – Słuchaj, Bella i ja byliśmy idiotami. Od tej pory jestem czysty. Możesz sprawdzić.

– Masz to jak w banku.

– Wy nigdy nie zluzujecie, co?

– Pamiętasz pacjentkę nazwiskiem Shelly Leal, która przyjechała tu latem i skarżyła się na bolesną miesiączkę?

– Cholera, pewnie, że tak. To ta, którą zamordowali.

– Opowiedz mi o niej.

– Właściwie to *jej* nie pamiętam.

– Przed chwilą powiedziałeś, że pamiętasz.

– To znaczy, kiedy potem usłyszałem to nazwisko w wiadomościach, przypomniałem sobie, że była u nas.

– Znasz nazwiska wszystkich pacjentów?

– Nie. – Yoder skrzyżował ramiona i podrapał się po nich długimi, nerwowymi ruchami. Jego paznokcie pozostawiły białe szlaki na piegowatej powierzchni.

– Ale *ją* pamiętasz.

– No kurde. Myślisz, że miałem z tym coś wspólnego?

– A miałeś?

– Nie. – Na twarzy Yodera wystąpiły kolory.

– Pacjentkę nazwiskiem Colleen Donovan kojarzysz? Dzieciak z ulicy przywieziony z raną na głowie.

– Kiedy?

– W sierpniu dwa tysiące dwunastego.

– Może. Nie wiem. – Znów się podrapał. – Chwila. Chyba doktor Ajax ją zszywał. Ja nie asystowałem.

- Widziałeś którąś z tych dziewczynek poza pogotowiem?
- Poza SOR-em.
- Co?
- Mówi się SOR. Szpitalny Oddział Ratunkowy.
- Chcesz mnie wkurzyć?
- Nie! – Gwałtowność wypowiedzi Yodera sprawiła, że krawędzie jego nozdrzy zbieleły.
- Odpowiedz na pytanie.
- Odpowiedź brzmi „nie”.
- Mów mi o Hamecie Ajaxie.
- Doktorze Ajaxie? – Prawie niewidoczne brwi Yodera uniosły się ze zdziwieniem. – To znaczy?
- Ty mi powiedz.
- Jest Hindusem.
- Slidell wyciągnął dłoń wnętrzem do góry.
- Niechętnie gada, trudno go poznać.
- Jest dobrym lekarzem?
- Wystarczająco dobrym.
- Mów dalej.
- Co mam powiedzieć? Pacjenci go raczej lubią. Personel traktuje w porządku. O jego życiu osobistym nie wiem nic. Lekarze nie kumplują się z czarną siłą roboczą.
- Słyszałeś kiedyś jakieś skargi na niego? Plotki?
- Do czego zmierzacie? – Oczy Yodera przeskoczyły na mnie, potem z powrotem na Slidella. Miały osobliwie zieloną barwę awokado.
- Tylko pytam.
- Nie.
- Stwarzał jakieś nieprzyjemne sytuacje?
- Doktor Ajax? Nie.
- Coś jeszcze?
- Nic więcej.
- To wszystko?
- To wszystko.
- Alice Hamilton jest dzisiaj w pracy?
- Palce Yodera zatrzymały się.
- Teraz kapuję.
- Taa?
- Ona i doktor.
- Słucham?
- Też bym tak chciał. – Jego wargi zacisnęły się w obleśnym uśmiešku. – Jeśli kumacie, o co mi chodzi.
- Slidell patrzył na niego zimno.
- Hej, w nikogo nie rzucam kamieniem. – Podniósł dłonie i klasnął w nie. Usiane były drobnymi płatkami suchego naskórka.
- Powiadasz, że Ajax i Hamilton bawią się w dwugłowego zwierza?
- Yoder uniosł oba ramiona i brwi.
- Gdzie ona jest?

- Skąd mam wiedzieć, do diabła?
  - Kiedy ostatnio ją widziałeś?
  - Już dawno nie widziałem.
  - Nie ma w tym nic niezwykłego?
- Yoder zastanawiał się nad pytaniem.
- Nie. Ona pracuje na pół etatu.

Slidell wygłosił przed Yoderem zwyczajową mantrę, że gdyby o czymś sobie przypomniał, ma do niego zadzwonić, po czym pozostawiliśmy go drapiącego się i wpatrującego w wizytówkę Slidella.

Przed wyjściem ze szpitala Chudy spytał kierownika o harmonogram pracy Hamilton. Miała wolne aż do środy. Otrzymaliśmy również jej dane kontaktowe i numer komórki.

Gdy przechodziliśmy przez parking, Slidell wybrał numer. Usłyszał pocztę głosową. Następnie zadzwonił do grupy obserwacyjnej. Ajax nie wychodził z domu od godziny szóstej, odkąd odstawiono go z komendy policji.

Zerknęłam na zegarek. Wpół do jedenastej i nie uzyskaliśmy zupełnie nic. Poziom adrenaliny już dawno we mnie opadł.

Wciąż urażona uwagą Slidella o usunięciu go z szybkiego wybierania, nie spytałam o jego dalsze plany.

Wsiadłam do samochodu i pojechałam do domu.

Pod wpływem pamiętnego widoku łuszczącej się skóry Yodera od razu wzięłam szybki prysznic.

Ryan zadzwonił, gdy kładłam się do łóżka. Umościłam sobie poduszki za plecami i przełączyłam go na głośnik. W tle słychać było frenetyczne męskie głosy.

- Co tam?
- W porządku. A u ciebie?
- Oglądam, jak Kanadyjczycy z Montrealu okładają się pięściami z drużyną Rangersów.
- O dwudziestej trzeciej?
- Na odtwarzaczu, kochana.

Opowiedziałam Ryanowi o telefonach wykonanych z budki przed szpitalem Mercy. O Ajaxie.

- Ja cię kręcę. Jak się facet zachowuje?

- Jest zimny jak lód. Miał dyżury na pogotowiu, kiedy pojawiły się tam Donovan i Leal. Rozmawiamy ze Slidellem z pozostałymi osobami, które wtedy pracowały na obu zmianach.

- Co mówią o nim współpracownicy?

- Jeden z sanitariuszy wyznał, że Ajax miał romans z pielęgniarką. Poza tym kłapa. Nikt o Ajaxie nie wie dosłownie nic. Nie pamiętają też za bardzo Donovan i Leal. A ty? Poszczyściło ci się z McGee?

- Matka okazała się rozmowna. Tawny uczyła się w CEGEP. – Był to akronim od Collège d’enseignement général et professionnel, rodzaju szkoły policealnej charakterystycznej dla Quebecu.

- Gdzie?

- W Vanier. Rozmawiałem z paroma wykładowcami, ale żaden jej nie pamiętał. Nic dziwnego. Chodziła tam krótko, wyleciała w dwa tysiące szóstym roku. A potem zapadła się pod ziemię.

- Miałeś jakieś wiadomości od jej psychiatry?

- Tak. Od Pameli Lindahl. Poznałaś ją w dwa tysiące czwartym, prawda?

- Przelotnie.
  - Twoje wrażenie?
  - Wydawała się autentycznie zainteresowana dobrem Tawny. Czemu?
  - Nie wiem. Jest dziwna.
  - Wszyscy psychiatrzy są dziwni.
  - Nie potrafię tego określić. Jakby chciała mi coś powiedzieć, ale nie wprost.
  - Pytałeś, dlaczego zabrała Tawny na ulicę de Sébastopol? – Nie miało to właściwie znaczenia. Ale ta decyzja nie dawała mi spokoju. Nie mogłam dostrzec jej pozytywnych stron.
  - Twierdzi, że była przeciwna temu pomysłowi, ale Tawny nalegała. Że to miało być coś na kształt rytuału przejścia. Ponieważ dziewczyna nie odpuszczała, Lindahl skonsultowała się z kolegami, którzy uznali, że czemu nie. Ostatecznie wyraziła zgodę.
  - Po pożarze dom był zamknięty i zabezpieczony. Jak się dostały do środka?
  - Lindahl zadzwoniła do władz miejskich, ktoś przeprowadził inspekcję bezpieczeństwa. Mimo uszkodzeń struktura budynku pozostała nienaruszona. W tych szczególnych okolicznościach udzielono zgody na wejście do środka. Nie znam całej historii.
  - I co one tam robiły?
  - Głównie siedziały w salonie.
  - Tawny odważyła się zejść do piwnicy?
  - Tak. Lindahl jej pozwoliła. Uznała, że dziewczyna powinna być tam sama.
  - Jezu.
  - Lindahl pozostawała z nią w kontakcie nawet wówczas, gdy skończyły się środki przeznaczone na terapię.
  - Jak długo?
  - Do czasu, aż dziewczyna zerwała się z uwięzi w dwa tysiące szóstym.
  - Lindahl ma jakiś pomysł, gdzie może być teraz Tawny?
  - Jeśli nawet, nie podzieliła się nim ze mną.
  - A pytałeś o Jake’a Kezeriana?
  - Nie wypowiadała się o nim zbyt pochlebnie.
  - Czy ona sądzi, że Tawny odeszła przez niego?
  - Odmówiła spekulacji na ten temat.
  - A podczas ich sesji pojawiała się postać Anique Pomerleau?
  - Nie mogła o tym mówić.
  - Poważnie?
  - Tawny jest jej pacjentką. I osobą dorosłą. Lekarza obowiązuje zachowanie poufności.
  - A pytałeś ją, jak nasze próby nawiązania kontaktu mogą wpłynąć na Tawny?
  - Lindahl uważa, że powracanie do przeszłości może być bolesne.
  - Bez jaj.
- Pauza.
- Naprawdę sądzisz, że Ajax to nasz facet? – zapytał Ryan.
  - Slidell tak sądzi.
  - Jak się poznali z Pomerleau?
  - Jeśli sam Ajax nie pęknie, być może nigdy się tego nie dowiemy. Ale po wyjeździe z Oklahomy pracował w New Hampshire.
  - I jakoś się spiknęli. Działali razem, ostatecznie doszło do morderstwa.
  - Oboje w ciszy rozważaliśmy tę myśl. W tle słyszałam tylko mecz hokeja.



– Coś mnie w tym jednak trapi – powiedziałam. – Ajax to pedofil. Ale przecież zabójstwa nie miały podłoża seksualnego.

– Kto wie, co dla tych zbrojczyków ma podtekst seksualny. Nasz sprawca zbiera pamiątki. Może szczytuje już po zabójstwie.

– A może czerpie satysfakcję z pełnej kontroli nad ofiarami – ciągnęłam myśl Ryana. – Z najdrobniejszych rzeczy: sposobu uczesania, ubierania się, ułożenia ciała.

– Z momentu śmierci.

Usłyszałam zapalną pocierającą o draskę. Wypuszczony oddech.

– Po co zabijać Pomerleau? – spytał Ryan. – I przenosić się do Charlotte?

– Lepszy klimat? – Ale sama w to nie wierzyłam.

– W takim razie czemu ta zwłoka? Po co wcześniej było jeszcze New Hampshire, a potem Wirginia Zachodnia?

– Ajax potrzebował czasu, żeby się „przebranzowić”.

– Może.

– Pomerleau zapewne opowiedziała mu o Montrealu. O mojej roli w doprowadzeniu do jej złapania. Niewykluczone, że to go jakoś podniecało. Nie jest czymś niezwykłym u seryjnych morderców, że lubią podnosić stawkę.

– Zwiększać niebezpieczeństwo, czuć coraz silniejszy dreszcz.

– Tym niebezpieczeństwem byłam ja.

Oboje zastanawialiśmy się, czy to ma ręce i nogi.

– A może tak – powiedział Ryan. – Ajax chce zostać aresztowany. Gardzi sobą za to, co robi, ale nie może się powstrzymać.

– I podświadomie pragnie, żebym go złapała?

– Podczas gdy świadomie próbuje się wykręcić.

– Hm.

Głosy w tle wybuchły szaloną wrzawą.

– Kto strzelił?

– Desharnais.

– Po co Ajax, lub ktokolwiek inny, miałby kontynuować ataki w dni ważne dla Pomerleau?

– Bo przejął jej kompulsję? A może bezwiednie wysyła wskazówki.

– Wskazówki, które ja zrozumieję.

– Otóż to.

– A kolejna data przypada za niecałe sześć tygodni.

## Rozdział 32

Przez następne czterdzieści osiem godzin niewiele się działo.

Ajax nie potrafił zrekonstruować, co robił krytycznego dnia w roku 2007, gdy zniknęła Nellie Gower. Mieszkał wtedy w New Hampshire, ale w dokumentach tamtejszej kliniki nie prowadzono zapisów dotyczących dokładnych godzin pracy lekarzy. Zresztą rejestrów nie trzymano aż tak długo. Sam doktor również nie miał żadnych notatników z tego okresu.

Podobnie jak w Charlotte, Ajax żył samotnie w wynajętym mieszkaniu na przedmieściach Manchester. Wychodził tylko do pracy, do sklepu i załatwiać różne sprawy, nigdy natomiast w celach towarzyskich. Nie uczęszczał do kościoła. Nie miał kolegów, przyjaciół ani sąsiada, z którym rozmawiałby o ogrodzie czy o sporcie. Nie było z kim się skontaktować, aby odświeżyć mu pamięć.

Ajax twierdził, że w dniach, w których zaginęły Koseluk i Estrada, przebywał w szpitalu bądź w domu. Tinker starał się to zweryfikować, analizując dokumentację ośrodka Mercy. Rozmawiał też z ludźmi.

Adwokat Ajaxa odmówił policji dostępu do rachunków telefonicznych, wyciągów z kart kredytowych oraz danych bankowych swojego klienta. Tinker rozpoczął procedurę wystąpienia o nakaz sądowy.

Z Leal sprawy wyglądały inaczej. Ajax dokładnie pamiętał, gdzie przebywał w ów piątek, gdy ją uprowadzono.

Dwudziesty pierwszy listopada należał do jego nielicznych dni wolnych. Po południu zrobił zakupy w Morrocroft Village Harris Teeter, a potem w Walmarcie przy Pineville-Matthews Road. Zatankował i umył samochód na stacji benzynowej jedną ulicę dalej.

Tamtego wieczoru zjadł kolację w domu, a potem wybrał się samotnie obejrzeć film w kinie Manor. Pechowo dla siebie nie skorzystał z karty kredytowej, nie zachował paragonu ani biletu.

Slidell pokazał zdjęcie Ajaxa pracownikom sklepów, stacji benzynowej oraz kina, poprosił też o zapisy monitoring z krytycznego dnia. Zaczął je przeglądać.

Barrow nadal analizował wideo z miejsc, w których Leal bywała w miesiącach przed swoją śmiercią. Zadzwoił do Oklahomy i dowiedział się, że żona i córki Ajaxa wyprowadziły się do Indii.

Rodas rozpowszechnił fotkę Ajaxa w Hardwick i w St. Johnsbury. Nikt faceta nie rozpoznał. Mężczyzna, który serwisował piec na farmie Corneau, powiedział, że stał za daleko, żeby zobaczyć twarz tamtego.

We wtorek rano do Slidella zadzwonił informatyk. Na forum poświęconym bolesnemu miesiączkowaniu namierzył pewnego gościa, który wydał mu się interesujący. Ham-Lover. Ham. Hamet. Slidell kazał mu zrobić wszystko, żeby zidentyfikować tego użytkownika.

We wtorek po południu, pod narastającą presją mediów, rzecznik prasowy policji w Charlotte-Mecklenburg zorganizował konferencję. Odbyła się ona na dziedzińcu przed komendą. Stojąc pod słonecznym niebem, Salter i Tinker odpowiadali na pytania dotyczące zabójstwa Leal. Ale tak naprawdę nie udzielali istotnych informacji. Nie wspomnieli o Lizzie Nance oraz o innych dziewczynkach. A także o Hamecie Ajaxie.

Leighton Siler zadawał pytanie za pytaniem; miał zatroskaną minę i był wyraźnie

sfrustrowany. Nie dowiedział się niczego. Nieważne. Ostatecznie i tak Siler albo jego bardziej wygłodniały lub przebiegły rywal dotrze do szczegółów śledztwa i ogłosi je wielkimi literami w gazecie.

Kilka razy telefonowałam do Heatherhill, ale nie udało mi się porozmawiać z mamą. Zostawiałam jej wiadomości, wiedząc, że nie oddzwoni. Gdy pojawiają się demony, matka przestaje wierzyć we wszelkie formy komunikacji. Urywają się rozmowy telefoniczne, esemesy, e-maile.

Luna Finch powiedziała, że mama jest apatyczna, śpi więcej niż zwykle. I że skontaktowała się z Cécile Gosselin.

Rozłączyłam się, czując, że brakuje mi tchu. A więc mama wezwała do siebie Goose.

W środę rano Ajax popełnił błąd.

Ku mojemu zdumieniu Slidell przyjechał do przybudówki, żeby podzielić się ze mną wieściami. Było to zaraz po dziewiątej. Wyglądał mizernie, pachniał kawą oraz nadmierną ilością taniej wody kolońskiej.

– Ten gnojek przyjechał do jednej ze szkół.

– Kiedy?

– Dzisiaj o siódmej dwadzieścia.

– Gdzie jest teraz?

– W ciupie, na komendzie.

– Jak się tłumaczy?

– Chciał zostawić trochę żywności na zbiórkę świąteczną dla biednych. Twierdzi, że przejeżdża koło tej szkoły codziennie i właśnie zauważył, że w koszu nie ma wcale tak dużo darów. Chciał przekazać im groszek w puszcze i makaron.

– To prawda?

– Nieważne. Pedofil nie może się pojawiać w odległości mniejszej niż tysiąc stóp od szkoły.

– Tysiąc stóp?

– Czy coś tam.

– Te restrykcje nie obowiązują, jeśli Ajax nie musi się już rejestrować jako przestępca seksualny.

– Sprawdzamy.

– Dlaczego to trwa aż tyle czasu?

– Pewnie jakieś zakłócenia na łączach, w cyberprzestrzeni.

– Kiedy ty...

– Jezus Chryste i wszyscy pieprzeni święci. Ten facet zgwałcił dziecko. Dzisiaj wjechał na teren szkoły.

– Chciałbyś kawy? – *A może kopa w jaja?*

– Załatwiam nakaz.

– Na co?

– Na przeszukanie domu Ajaxa.

– Jedziesz tam zaraz?

Slidell kiwnął głową.

– Chcę to załatwić i zniknąć, zanim adwokat Ajaxa się połapie. To samo dotyczy Silera i jego krwiożerczych koleś.

– Ile potrzeba ci czasu?

– Mamy w tej kwestii pełną ciszę radiową. Ale niewiele.

– Gdzie on mieszka?

Slidell wyciągnął małą kartkę papieru, wyrwaną skądś, z zawiniętymi uszkami wzdłuż jednej krawędzi. Na jej niebieskich liniach nabazgrany był jakiś adres.

– Ty doprowadziłaś nas do tego gnojka – powiedział. – Jestem ci chyba coś winien.

Larabee zadzwonił, kiedy myłam zęby. W północnej części okręgu jakiś małolat znalazł worek na śmieci pełen kości. Nic pilnego, ale szef chciał, żebym je zbadała.

Potem odezwała się Harry. Ta rozmowa trwała długo.

Kiedy naciągałam na siebie spodnie, przysłała kolej na Rodasa. Otrzymał raport toksykologiczny w sprawie Pomerleau. W jej organizmie w momencie śmierci nie było narkotyków ani alkoholu. Opowiedziałam Rodasowi o wycieczce Ajaxa do szkoły. O nakazie przeszukania.

Dziewięćdziesiąt minut po wyjściu Slidella byłam wreszcie wolna.

Ajax mieszkał w południowo-wschodniej części miasta, w pobliżu Charlotte Country Day School, Carmel Country Club, kortów tenisowych Olde Providence Racquet Club. Wielkie domy, wielkie podwórka. Pola golfowe i winorośl na murach. W szkole zajęcia z lacrosse'a i czytanie Milтона. Kraina nowobogackich i starobogackich.

Nabazgrany przez Slidella adres zaprowadził mnie na Sharon View Road, wąską dwupasmową drogę, przy której rosły stare drzewa. Sunrise Court była jej niewielką odnogą, wychodzącą od strony południowej.

Przy ulicy wznosiło się dziesięć rezydencji, wszystkie wyprodukowane przez jednego dewelopera, wykończone drewnem i kamieniem. Wjazd prowadził przez bramę z imitacji kutego żelaza, z plastikowym zwieńczeniem. Wpisałam dostarczony mi przez Slidella kod i przejechałam pod nią samochodem. Brakowało mi wielkich sosen i wiecznie zielonych dębów. Rosnące tu i ówdzie młode drzewa świadczyły o niedawnych nasadzeniach. Lub o żałośnie małym budżecie na architekturę krajobrazu, obowiązującym podczas budowy.

Dom Ajaxa znajdował się na samym końcu, na niewielkim wzniesieniu ponad pozostałymi. Podobnie jak sąsiednie, należał do eleganckich, lecz bez przesady. W odróżnieniu od nich pozbawiony był figur świątecznych Mikołajów, reniferów, elfów oraz sztucznych sopli lodu.

Trawnik przed budynkiem prezentował się schludnie, roślinność skromnie. Ostrokrzewy. Bukszan. Nic, co wymagałoby uwagi.

Taurus Slidella parkował na czele szeregu pojazdów na samym końcu ślepej uliczki. Dwa radiowozy. Furgonetka techników kryminalistyki. Nieoznakowany SUV. Chudy dokładał wszelkich starań.

Dołączyłam swoją mazdą do ogólnego zgromadzenia i wysiadłam. Idąc podjazdem, we frontowym oknie domu po lewej zauważyłam jakiś ruch. Sylwetkę człowieka stojącego ze skrzyżowanymi ramionami i utkwionym we mnie wzrokiem. Choć odbłask światła słonecznego w szybie zasłaniał twarz, zarys ciała wskazywał, że ów ciekawski sąsiad jest mężczyzną.

Pospieszyłam po kamiennych schodkach do drzwi z ciemno barwionymi szkiełkami. Chwyciłam za klamkę; było otwarte.

Hol miał podłogę z terakoty, kinkiety z brązu i dopasowaną do nich brązową lampę na suficie. Na lewo znajdowała się toaleta dla gości, na wprost – salon i jadalnia. W każdym z tych pomieszczeń pracował technik w białym kombinezonie marki Tyvek. Jeden robił zdjęcia. Drugi posypywał futrynę drzwi ciemnym proszkiem.

Gdzieś na tyłach domu, nieco po lewej, słuchać było ludzkie głosy. Donośne. Niezbyt radosne.

Na terakocie leżał stosik jednorazowych nakładek na buty Tyvek. Wsunęłam jedną parę i ruszyłam przed siebie.

Wnętrze domu sprawiało wrażenie, jakby podjęto tu próbę uzyskania czarno-białej fotografii w starym stylu. Tapicerka, dywany i ściany utrzymane były w różnych odcieniach szarości. Zadymienie. Popiół. Bluza od dresu. Stal. Żółtozielone akcesoria tworzyły plamy kolorów. Poduszki. Rama lustra. Krzesło. Płyty DVD upchnięte ciasno we wnękach koło kominka z polnego kamienia. Wyżej mały telewizor z płaskim ekranem.

W jadalni, nad stołem z żółtozielonymi podkładkami pod talerze, wisiał gołębioszary kolisty żyrandol. Pośrodku ustawiono świece – nigdy ich nie zapalono. Obok, na kredensie, idealnie w centrum stała seledynowa ceramiczna misa. Ścianę zdobił wizerunek jaskrawozielonych maków.

Zastanawiałam się, kto decydował o wystroju wnętrza: Ajax czy deweloper. Podejrzałam, że ten drugi. Mieszkanie miało zimny, bezosobowy charakter. Jak gdyby jego wyposażenie zakupiono w salonie Pokoje na Wynos oraz w sklepie Pottery Barn, a potem ustawiono dokładnie tak jak w żurnalu.

Skinęłam głową technikom, torując sobie drogę do kuchni. Odpowiedzieli mi tym samym.

Slidell siedział po jednej stronie centralnego stołu kuchennego z brązowego granitu, Tinker po drugiej. Obaj mieli nakładki na buty i lateksowe rękawiczki.

– ...ani go lubili, ani nie lubili. Po prostu nie znali go. Sąsiadka z domu obok myślała, że pracował w sklepie Apple'a. – Tinker wyglądał na wkurzonego, był czerwony na twarzy.

– Porozmawiaj z innymi znajomymi – Slidell wyglądał na jeszcze bardziej zdenerwowanego.

– I usłyszę taką samą historię.

– Sam naciskałeś, żeby to tak załatwić.

– A ty sądzisz, że Ajax nie jest podejrzany?

– Tego nie twierdzę – warknął Slidell.

– A co twierdzisz?

– Że jeśli Salter się dowie, że nadal czekamy na informacje z Oklahomy, to powiesi za jaja na żardzewiałym haku mnie, nie ciebie. Już nie wspominam o konsekwencjach odcięcia Ajaxa od jego adwokata.

– A może te twoje jaja już dawno odpadły? Raz się sparzysz, to drugi...

– Spierdalaj stąd i przynieś mi coś istotnego!

Tinker zbierał się do riposty, ale usłyszał odgłos moich butów na gumowej podeszwie szurających po terakocie. Jego usta zacisnęły się na kształt odwróconej litery U. Odwrócił się na pięcie i wyszedł ciężkim krokiem.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– Przeszukaliśmy całe to cholerne miejsce. Jak dotąd nic. Żadnej pornografii, dziewczęcych ubrań. Ani klucza, ani pierścionka, ani baletek. Nie ma zabitych deskami okien i drzwi zamkniętych na kłódkę. Nic, co by wskazywało, że dzieci tu były.

– Odciski palców?

– Jeden zestaw, który – możesz się założyć o swój tyłek – należy do Ajaxa. To samo, jeśli chodzi o włosy i włókna. Albo to jest najczystszy skurwiel na świecie, albo najbardziej ostrożny.

– Kazałeś technikom sprawdzić odkurzacz?

– Już zabezpieczyli zawartość.

– A śmieci?

Slidell tylko popatrzył na mnie.

- Znaleźli coś, z czego by można pobrać DNA?
- Szczoteczkę do zębów. Ale Ajax nie figuruje w kartotece DNA.
- Możemy porównać jego DNA z tym z odcisku ust na kurtce Leal.
- Słusznie.
- Znalazłeś jakiś komputer?

Chwilę się wahał.

- Nie.
- A ładowarkę do laptopa?
- Nie.
- Modem? Router?

Lekko pokręcił głową.

- Mógł korzystać z Internetu gdzieś indziej. Może w szpitalu.

– No.

- Jest tu piwnica? – Prawie bałam się o to zapytać.

– Tylko mała komórka. Pusta, nie licząc śmieci, które musiał tam upchnąć deweloper. I kilku generacji pająków.

- A garaż?
- Czysty.
- Gdzie jest samochód?
- W mieście.
- Nakaz go obejmuje?

– Nie. – Mięśnie żuchwy Slidella napięły się i rozluźniły. Oboje zdawali sobie sprawę: jeżeli to przeszukanie niczego nie da, szansy na następne nie będzie.

- Mogę się rozejrzeć?
- Tylko niczego nie dotykaj.

Slidell wyglądał tak ponuro, że zostawiłam to irytujące polecenie bez komentarza.

Wróciłam po własnych śladach i w holu skręciłam w lewo. Korytarz prowadził do dwóch sypialni, każdej z własną łazienką.

Weszłam do tej od frontu. Dominującym tematem wnętrza była zieleń. Wśród mebli znajdowało się łóżko, nocny stolik z lampą, biurko. Ich artystyczny styl informował, że pochodziły z salonu Restoration Hardware. Dwa regały na książki obok biurka wskazywały raczej na Staples albo Costco.

Uważam, że łazienki odsłaniają bardzo wiele prawdy o danej osobie. Zaczęłam więc właśnie tutaj.

Szafka na lekarstwa była otwarta, jej lustro pokrywał proszek daktyloskopijny. Podobnie zresztą jak kabinę prysznicową. W jednej i drugiej nie znalazłam żadnego mydła, szamponu, myjki czy gąbki. Umywalka wspierała się na postumencie, brakowało tam miejsca, żeby coś schować. Pomieszczenie było sterylne. Absolutnie bezosobowe.

Wróciłam do sypialni.

Na półkach leżały zawodowe czasopisma. Przeszłam przez pokój, żeby im się przyjrzeć. „Medycyna ratunkowa”. „Magazyn Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego”. „Magazyn Medyczny Nowej Anglii”. „Annały Medycyny Ratunkowej”.

Przesunęłam się do biurka. Na jego środku znajdował się najnowszy numer „Magazynu Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego”, z małą plastikową linijką, którą zaznaczono

stronę. Zastanawiałam się, co takiego Ajax czytał. Przypomniałam sobie jednak ostrzeżenie Slidella i nie zajrzałam.

Zszywacz. Taśma klejąca. Otwieracz do listów. Skórzany kubek z długopisami i ołówkami. Mały stos kopert, które wyglądały jak rachunki.

Kosz na śmieci był pusty. Pewnie robota techników kryminalistycznych.

Niewątpliwie to tutaj Ajax miał swoje biuro. A jednak z łazienki korzystał gdzieś indziej. Przynajmniej wtedy, gdy chodziło o coś więcej niż potrzeby fizjologiczne. Nawyk? Wyeliminowanie konieczności częstszego sprzątania?

Przebiełam korytarz i weszłam do sypialni naprzeciwko. Była nieznacznie większa, dominowały w niej odcienie błękitu. Ten sam klimat z Restoration Hardware, ale odmienne wykończenie detali, w drewnie. Styl bardziej miejski, bardziej szykowny. Jak poprzednio zaczęłam od łazienki.

W odróżnieniu od tamtej, ten przybytek był używany. Z haczyka na drzwiach zwisała czarna flanelowa piżama. W kabinie prysznicowej znajdowały się po jednej buteleczce szamponu i odżywki, mydło Ivory oraz szczotka z długą rączką.

Szafka na leki zawierała advil, afrin, ChapStick, plastry marki CVS, antyperspirant Degree, jednorazową maszynkę Gillette, puszkę żelu do golenia Edge, nić dentystyczną Oral B oraz tubkę pasty do zębów Crest.

Umywalka wspierała się na czarnej drewnianej toaletce. W jej otwartych szufladach leżały szczotka i grzebień, pęseta, nożyczki, domowy zestaw do golenia brody tudzież maszynka do włosów w nosie i uszach, na baterie. Pościel, papier toaletowy i zapasy wszystkich przyborów umieszczono w wysokiej szafce z listew, która pasowała do obudowy umywalki. Kiedy Ajax robił zakupy, to na wiele miesięcy.

Pomyślałam o różnych artykułach w mojej własnej łazience. O stanie higieny w moich szafkach i szufladach. Slidell miał rację. Mieszkanie było nadzwyczaj czyste. Obsesja? Zacieranie śladów?

Wróciłam do sypialni.

Na nocnym stoliku, wsparta o lampę, tkwiła książeczka z krzyżówkami; do jej okładki przypięto długopis. Zobaczyłam też jakiś przedruk z „Europejskiego Magazynu Medycyny Ratunkowej”. Rozsunęłam go na boki, żeby odczytać tytuł. „Ograniczenie potencjalnego wystąpienia zespołu poreperfuzyjnego wskutek użycia opaski zaciskowej”. *No tak. To by każdego mogło uśpić.*

Na komodzie w równej odległości od siebie stały trzy zdjęcia w ramkach. Podeszłam, żebym im się przyjrzeć.

I poczułam, że mam gęsią skórę.

## Rozdział 33

Wszystkie zdjęcia wyglądały na zrobione dość dawno. Jedno było pozowane. Kobieta, siedząca z małym dzieckiem na kolanach oraz kilkuletnim malcem przy boku. Jej długie czarne włosy, zaczesane na tył głowy, podtrzymywała czerwona aksamitna opaska. Patrzyła prosto w obiektyw dużymi brązowymi oczami. Smutnymi oczami.

Dwie pozostałe fotografie były ujęciami z ukrycia. Ta sama kobieta szła z dwiema małymi dziewczynkami, trzymając je za ręce. Wyglądały na trzy i pięć lat. Na drugim zdjęciu cała trójka siedziała na jakimś murku. Te same dzieci, tyle że starsze, może sześć i osiem lat.

Obie dziewczynki miały ciemne oczy i włosy swojej matki. Na obu fotkach nosiły warkocze, mocno przewiązane kokardkami.

W moim umyśle wyświetliła się seria migawek. Leal. Donovan. Estrada. Koseluk. Nance. Gower.

Pospieszyłam z powrotem do kuchni. Slidell zaglądał do lodówki.

– Widziałeś te zdjęcia w sypialni?

– To pewnie żona i dzieci. – Trzasnął drzwiami, zamykając je.

– Ale czy zauważyłeś podobieństwo...

– Mówisz mi, jak mam wykonywać swoją pracę?

Było to ostre, nawet jak na Slidella. Ponieważ wiedziałam, że jest pod silną presją Salter oraz że tarcia z Tinkerem każą mu być nadmiernie defensywnym, odpuściłam.

– Zaczynasz wyrabiać sobie jakiś obraz tego, kim jest Ajax?

– Świrem na punkcie Bollywoodu. – Jego ton był daleki od przeproszającego, ale już bardziej umiarkowany.

– Chodzi ci o te płyty DVD?

Slidell kiwnął głową.

– Ubiera się byle jak. Odżywia się zdrowo. Lubi baseball. – Uniosłam pytająco jedną brew. Na nic, skoro Slidell na mnie nie patrzył. – Ma w kablówce pakiet głównych rozgrywek ligowych.

Zlustrowałam kontuar kuchenny za centralnym blatem. Ani jednego okruszka, ani jednej smugi. Brak jakichkolwiek pojemników czy słoiczków. Jedynie przenośny telefon w ładowarce.

Slidell odwrócił się do mnie i zauważył, na co patrzę.

– Tak. Wcisnąłem ponownie wybieranie. Ostatni telefon wykonano do szpitala Mercy.

– Są jakieś numery w pamięci aparatu?

– Nie.

– A wiadomości?

– Nie.

– Miałeś rację, że to mieszkanie jest nieskazitelne.

– Gnida ma każdy możliwy spray i środek do czyszczenia, jaki da się kupić. – Slidell wskazał kciukiem na spizarkę, której wcześniej nie zauważyłam.

– Korzysta z usług agencji sprzątającej mieszkania?

– Żaden z sąsiadów nigdy nie widział, by ktoś tu wchodził albo stąd wychodził poza Ajaxem. Właściwie, cholera, jego też prawie nie widywali.



- A ogrodnik?
  - Nie ma.
  - Co z pocztą? – Przy tylnych drzwiach do mieszkania zauważyłam małą białą skrzynkę.
  - Tylko rachunki za media. Ulotki. Katalogi. Nic osobistego.
  - Coś świadczy o tym, że utrzymywał kontakt z rodziną?
  - Rodzina jest w Indiach.
  - Tam też mają telefony i pocztę.
  - Nie zalewaj.
  - Katalogi mogą znaczyć, że robił zakupy online. – Na skrzynce była nalepka.
  - Ja nie robię zakupów online, a i tak dostaję te same śmieci.
  - Kiedy weszliście, system alarmowy był włączony? – Na nalepce widniało logo. ADT.
  - No.
  - Ajax podał ci kod?
  - Przekonałem go, że leży to w jego najlepiej pojętym interesie.
  - Więc nastawiał alarm, kiedy wychodził z domu.
  - Do czego zmierzasz?
  - Jeżeli firma ADT prowadzi dokumentację, mogliby nam powiedzieć, kiedy Ajax wchodził i wychodził z mieszkania.
  - Mogą tylko powiedzieć, że ktoś wchodził i wychodził z domu.
  - Czyli totalna porażka – powiedziałam.
  - Żartujesz? Podwójne trafienie. – Slidell zdjął rękawiczki. – Po pierwsze wiemy, że ten dom to nie jest miejsce zbrodni.
- Zabrzączał jego telefon. Chudy wyszarpnął go zza paska i spojrział na ekran. Westchnął, a następnie uniósł aparat do ucha.
- Slidell, słucham.
- Metaliczny głos. Kobięcy. Piskliwy.
- Taa?
- Głos znów zapiszczał.
- Pewnie zaszło nieporozumienie.
- Znów pisk.
- Już jadę. – Przypiął telefon z powrotem. – Salter chce mnie wyznaczyć do nagrody gliniarza roku. – Slidell spojrział na mnie, oczy miał nabiegłe krwią od zmęczenia i niepokoju. Potem ruszył w kierunku drzwi.
  - A po drugie? – zapytałam.
  - Co? – Odwrócił się.
  - Jaka jest ta druga rzecz, którą ustaliliście?
  - Ten kutas ma inne lokum do prowadzenia swojej paskudnej działalności.

Kiedy Slidell tłumaczył się przed Salter, ja pojechałam do wydziału medycyny sądowej.

Kości, które Larabee chciał, żebym zbadała, wcale nie były takie bezproblemowe. Szkielet okazał się wprawdzie bardzo niekompletny, ale niewątpliwie należał do człowieka. Mężczyzny w średnim wieku, pozbawionego zębów, prawdopodobnie rasy białej. Fragmenty kory drzewnej, odbarwienie kości i przylegające do nich włókna wskazywały, że przeleżał on w trumnie wiele lat.

Larabee'ego nie było w pracy. Napisałam wstępny raport i zostawiłam go na biurku. Decyzja

o wszczęciu śledztwa będzie już należeć do szefa.

Slidell zadzwonił późnym popołudniem. Był w takim humorze, że w porównaniu z nim ten poranny można było uznać za radosny i beztrudny.

Jeszcze przed godziną dwunastą Salter odebrała dwa telefony. Jeden od prawnika Ajaxa, Jonathana Rao – oskarżał on policję w Charlotte o pozbawienie jego klienta konstytucyjnych praw do obrony. Drugi od sędzi, która wystawiła nakaz przeszukania – Rao ochrzanił również sam Wysoki Sąd.

Ponieważ oba telefony były nieprzyjemne, nieprzyjemna okazała się również Salter. Rzuciła się na Slidella, ale po chwili nieco złagodniała i kazała mu ponownie przesłuchać Ajaxa. W bardzo białych i delikatnych rękawiczkach, takich z koziej skórki. Sesja nie dała jednak niczego. Nieliczne odpowiedzi, których Ajax udzielił, zostały przefiltrowane przez Rao. O godzinie trzeciej obaj wyszli z komendy. Był to ostatni raz, gdy ktoś rozmawiał z Hametem Ajaxem.

Slidell dostał zapisy wideo z Walmartu i sklepu Harris Teeter z dnia, w którym zginęła Leal. Jak dotąd nigdzie nie zauważył Ajaxa ani jego samochodu. Planował kontynuować tę robotę do końca, do ostatniej klatki filmów.

Ja sporządziłam dwa raporty i o piątej dałam sobie spokój. Wróciwszy do domu, zjadłam z Birdem kurczaka z Bojangles i obejrzałam powtórkę *Kości*. Z jakiegoś powodu mój kot nie cierpi Hodginsa.

Slidell zadzwonił ponownie o dziewiątej.

– Jest na nagraniu.

– Którym?

– Z Walmartu i z kina Manor. – Miał posępny głos. Najwyraźniej Chudy nie życzył sobie ujrzeć tam Ajaxa.

– Leal ostatni raz widziano o godzinie szesnastej piętnaście w sklepie spożywczym na Morningside.

– Ajax był wtedy w Walmarcie przy Pineville-Matthews Road. Wszedł tam o piętnastej pięćdziesiąt dwie. Wyszedł o siedemnastej sześć.

– Godzina szczytu, a miejsca te dzieli co najmniej dziesięć mil.

Oboje zamyśliłiśmy się niewesoło nad tym faktem.

– Chyba miałaś rację – westchnął Slidell. – Może ten palant nie pracuje sam.

*Może... Tylko może...*

Milczałam.

Tej nocy sen nie chciał przyjść. Leżałam w ciemności, słuchając, jak krople wody uderzają o szybę i spadają na parapet. Delikatnego tykania zegarka przy łóżku.

Myśli pędziły jedna za drugą.

*To niemożliwe.*

Przypominałam sobie wszystko, co wiedziałam o seryjnych zabójcach. Ich ofiary zwykle podpadają pod wspólny typ. Wysoka blondynka. Nastoletni chłopiec o krótkich brązowych włosach. Cher. prostytutka. Bezdomny stary dziwak z wózkim pełnym chlamu.

Inny człowiek nic dla mordercy nie znaczy. Jest nieważny, jest wyłącznie elementem starannie zaplanowanego przedstawienia. Baletu. Liczy się tylko taniec solo. Każdy wymach nogą i piruet musi być wykonany z precyzją.

Morderca jest zarazem tancerzem i choreografem, cały czas sprawującym kontrolę. Ofiary pojawiają się na scenie i z niej schodzą, zmieniają się jak epizodyści z baletowej trupy.

Myślałam o Pomerleau. O Cattsie. O szalonym tangu, które pozostawiło po sobie tyle trupów w Montrealu.

Myślałam również o Ajaxie. Do jakiej chorej melodii tańczył? Czy uczył się od Pomerleau? Czy sam komponował swoją partyturę?

Kogo mógł podświadomie uśmiercać? Córkę? Żonę? Opiekunkę do dzieci, która uwiodła go i zrujnowała mu życie?

Birdie wskoczył mi na łóżko. Zagarnęłam go bliżej. Umościł się wygodnie i dotknął głową mojej ręki. Kiedy go podrapałam, zaczął mruzczeć.

W chwili zniknięcia Shelly Leal Ajax robił zakupy. Czy miał współnika? Kogoś ze szpitala? Jeśli nie, to gdzie? Czy było jakieś miejsce, w którym zabijał, jak uważał Slidell?

A może...

Pomyślałam o domu przy Sunrise Court. Tak architektonicznie poprawnym, a jednak dziwnym. Pozbawionym życia. Sterylnym.

Wyobraziłam sobie Ajaxa rozwiązującego krzyżówki w łóżku. Płacącego rachunki przy biurku. Oglądającego rozgrywkę baseballa albo film na DVD na kanarkowym fotelu. Samotnego. Zawsze samotnego. Typowy wzorzec w przypadku seryjnych morderców.

Wróciłam w myślach do każdego pomieszczenia. Próbowałam przypomnieć sobie choćby jedną rzecz świadczącą o tym, że Ajax miał jakieś życie poza domem i szpitalem. W szafie nie było ani jednej sztuki damskiej odzieży. Żadnej karteczki na lodówce z napisem: *Zadzwoń do Toma*. Żadnego zdjęcia z przyjaciółmi lub współpracownikami. Zaznaczenia w kalendarzu, że spotyka się z Irą na lunch. Nic, co by sugerowało czyjąś obecność w życiu Ajaxa, osoby, którą by obchodził. On także nie troszczył się o nikogo.

Nie. To nie była prawda. Miał w domu trzy zdjęcia. Stare zdjęcia. Czyje? Zapewne żony i córek. Czy ta kobieta służyła jako model dla jego ofiar? Albo jedna z dziewczynek? Dlaczego?

W szpitalu Mercy nikt nie znał Ajaxa naprawdę. Nie znali go również sąsiedzi. Nie pamiętano go ani w New Hampshire, ani w Wirginii Zachodniej.

Znów ta niepokojąca myśl. *Czyżbyśmy się mylili? Może Ajax jest niewinny?*

Nękałiśmy człowieka, który odciął się od reszty świata z pogardy do samego siebie? Człowieka, który popełnił ohydny błąd i stracił wszystko? Człowieka niezdołnego wybaczyć sobie własnych czynów? Który nie mógł ufać samemu sobie poza domem i miejscem pracy?

Nie ma usprawiedliwienia dla seksualnego wykorzystywania dziecka. Ale czy ktoś poszedł tym tropem dalej? Porozmawiał z osobami, które aresztowały Ajaxa i go oskarżały? Tamta opiekunka ma dziś ponad trzydzieści lat. Czy ktoś rozmawiał także z nią?

Rano zapytam o to Slidella.

Na dworze padał delikatny deszcz. We wnętrzu przybudówki panowały cisza i ciemność.

Mój umysł nie chciał się wyłączyć.

Nieustannie zerkałam na zegar.

23.20

00.10.

2.47.

Z głębokiego snu obudził mnie mój iPhone. Pokój spowijał półmrok. Cyfry na zegarze wskazywały 5.40.

*Mama!*

Z wałącym sercem odebrałam telefon.

Mama wcale nie umarła.

Hamet Ajax tak.

## Rozdział 34

Slidell podjechał pod mój dom samochodem i pozdrowił mnie dość kwaśnym spojrzeniem. Nie przeszkadzało mi to.

Wręczył mi styropianowy kubek z białą plastikową pokrywką. Jego ciepława zawartość mgliście przypominała w smaku kawę.

Gdy jechaliśmy, horyzont przeszedł z czerni w perłowy róż. Drzewa i budynki nabrały kształtów, z przerw między nimi sączyła się szarość.

Im stawało się jaśniej, tym Slidell wyglądał gorzej. Dolną część jego twarzy pokrywał kilkudniowy zarost, worki pod oczami były tak wielkie, że mogłyby pomieścić małe ssaki. Ubranie miał zmięte, w gryzących się kolorach, poplamione kawą, które śmierdziało papierosami i potem.

Wprowadził mnie w bieżącą sytuację głosem zgrzytliwym od nadmiaru tytoniu i braku snu.

Odebrawszy swój samochód, Ajax pojechał nim do szpitala. Tego dnia zgłosił się na podwójny dyżur, co praktykowano wcale nie tak rzadko. Pół godziny po przyjeździe do pracy nagle wyszedł. To było zdecydowanie nietypowe.

Ajax powiedział swojej przełożonej, doktor Joan Cauthern, że jest ofiarą prześladowania ze strony policji. Że cały dzień nie było go w domu, dlatego musi wziąć prysznic i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zapewnił Cauthern, że wróci przed dziewiętnastą.

Grupa obserwacyjna pojechała za Ajaxem ze szpitala Mercy na ulicę Sunrise Court. O 17.22 lekarz wprowadził samochód do garażu. I już stamtąd nie wyszedł.

Gdy Ajax nie pojawił się w pracy o obiecanej godzinie, Cauthern zaczęła dzwonić. Wielokrotnie, przez całą noc. Nad ranem odczuwała już poważny niepokój. Przed wyjściem Ajax oddychał ciężko i zachowywał się dziwnie nerwowo, w sposób, którego nigdy wcześniej u niego nie zauważyła. O czwartej, kiedy na pogotowiu zrobiło się spokojnie, Cauthern pojechała do niego do domu sprawdzić, czy nie zachorował.

Grupa obserwacyjna zauważyła pojazd zatrzymujący się na podjeździe przed posesją Ajaxa o godzinie 4.20. Wsiadła z niego kobieta i nacisnęła dzwonek przy drzwiach. Wybrała numer na telefonie komórkowym. Znowu zadzwoniła do drzwi. Ponieważ nikt jej nie otworzył, kobieta udała się do garażu. Nasłuchiwała z uchem przyciśniętym do bramy. Podeszła kilka kroków z boku i zajrzała przez okno. Po czym, wymachując ramionami, zaczęła biec w kierunku radiowozu.

Policjanci zbliżyli się do niej. Kobieta sprawiała wrażenie bardzo poruszonej. Przedstawiła się jako Joan Cauthern, przełożona Ajaxa w szpitalu Mercy.

W garażu stoi samochód z włączonym silnikiem, powiedziała Cauthern funkcjonariuszom. Obawiała się, że w wozie jest Ajax.

Słyszając odgłosy silnika, policjanci wyważyli drzwi do garażu. Za kierownicą hyundaia sonaty znaleźli nieprzytomnego dorosłego mężczyznę. Próbowali go reanimować, ale ofiara nie reagowała. Wezwali pomoc. Wezwali Slidella.

Ambulans już odjechał, jego miejsce zajęła furgonetka medyka sądowego. Były tam również samochód Larabee'ego i auto techników. Radiowóz z błyskającymi światłami. I jakiś lexus, który – jak przypuszczałam – należał do Cauthern. Drzwi garażu stały otworem, paliło się w nim

światło. Światła włączone były również w całym domu.

Po podjeździe wprowadzono nosze na kółkach. Leżał na nich czarny worek na ciało, rozsunięty, gotowy. Obok stali ci sami technicy kryminalistyki, którzy pracowali w tym miejscu niecałą dobę wcześniej. Jeden trzymał kamerę wideo, drugi nikona.

Slidell i ja wysiedliśmy. Niebo nabrało barwy zamglonej szarości. Koloru samotnych pokoi w domu Ajaxa, pomyślałam.

Powietrze było zimne i wilgotne. Pokryty szronem trawnik pulsował na czerwono i niebiesko. Gdy szliśmy po nim ze Slidellem, czułam, że moje wnętrzości zmieniają się w bryłę z granitu.

Larabee stał między hyundaiem a ścianą garażu. Obok niego zobaczyłam Joego Hawkinsa, śledczego z wydziału medycyny sądowej. Pomiędzy nimi, na podłodze, leżały akcesoria do analizowania miejsca zbrodni. Hawkins robił zdjęcia.

Drzwi samochodu od strony kierowcy były otwarte. Ujrzałam Ajaxa pochylonego nad kierownicą, z głową odwróconą w bok; na jednym policzku zaskorupiły się wydzielina z nosa i ślina. Ręce zwisały mu bezwładnie obok kolan. Na dywaniku, przy jego stopach, leżały szylkretowe okulary. Ów makabryczny widok rozświetlał flesz podczas robionych przez Hawkinsa zdjęć.

– Doktorze – w ten sposób Slidell oznajmił nasze przybycie.

Larabee odwrócił się. W jednej z ubranych w rękawiczki dłoni trzymał termometr. Hawkins dalej robił fotki.

– Detektyw Slidell. Doktor Brennan. Na pewno podoba wam się ten rześki zimowy świt.

– Co tu mamy? – zapytał Slidell, otwierając swój notatnik.

– Prawdopodobne zatrucie tlenkiem węgla.

– Facet sam się zabił?

– Osoby, które jako pierwsze pojawiły się na miejscu zdarzenia, nie zauważyły żadnych śladów włamania do domu i garażu. Nie ma też listu pożegnalnego. Obrażenia są minimalne.

– Minimalne?

– Otarcia na czole i prawym uchu. Spowodowane zapewne uderzeniem głowy o kierownicę.

– Zapewne?

– Zapewne.

– Czyli samobójstwo.

– Będę wiedział więcej po sekcji zwłok.

Większość ofiar zatrucia tlenkiem węgla to samobójcy lub pechowcy. Bardzo niewielu ginie zamordowanych w ten sposób. Larabee o tym wiedział, dlatego był ostrożny.

– Kiedy przyjechała Cauthern, drzwi garażu były zamknięte? – spytał Slidell.

– Tak słyszałem.

– I maska samochodu nie była uniesiona, tak?

– Tak.

– Ofiara ma smar na rękach?

– Nie.

Slidell omiół wzrokiem tę niewielką przestrzeń, w której się znajdowaliśmy.

– Nigdzie nie ma narzędzi.

– Zgadzam się, detektywie. To nie wygląda na wypadek.

– Czas zgonu?

– Na podstawie temperatury ciała umieściłbym go między północą a drugą nad ranem. Jak zwykle, to tylko szacunki.

– Ile to trwa?

– Zatrucie tlenkiem węgla?

Slidell kiwnął głową.

– Niedługo.

Slidell zmarszczył brwi.

– Wystarczy bardzo niewiele CO, aby poziom karboksyhemoglobiny w organizmie osiągnął pułap śmiertelny.

Zmarszczenie brwi nie ustępowało.

Trzeba przyznać Larabee’emu, że nie okazał zniecierpliwienia. Ale ujął rzecz prosto. Bardzo prosto.

– Karboksyhemoglobina zaburza dystrybucję tlenu do komórek.

– Poproszę o trochę więcej na ten temat.

– Okej. – Larabee zdobył się na nieco dłuższy wykład. – Hemoglobina to cząsteczka występująca w czerwonych ciałkach krwi. Jej zadaniem jest transportowanie tlenu w organizmie. Jednak hemoglobina wykazuje silne właściwości wiążące z tlenkiem węgla, CO. Jeśli występują w ciele jednocześnie, hemoglobina chętniej łączy się właśnie z CO. Wtedy powstaje karboksyhemoglobina, która nie potrafi wykonywać swojego zadania właściwie.

Larabee darował sobie omawianie faktu, że hemoglobina ma aż cztery miejsca wiązania, aby zmaksymalizować pobór tlenu z krwi tętniczej przepływającej przez płuca oraz dostarczanie go do tkanek i organów. Że przy jednoczesnym występowaniu tlenu i tlenku węgla we krwi prawdopodobieństwo, że hemoglobina zwiąże się z tym drugim, a nie z pierwszym, jest od dwustu do trzystu razy wyższe. Że jej połączenie z CO spowoduje uwalnianie się cząsteczek O<sub>2</sub> występujących w innych miejscach wiązania hemoglobiny. I że w rezultacie jeśli nawet stężenie tlenu we krwi wzrośnie, O<sub>2</sub> pozostanie związany z hemoglobina, a jego transport do komórek – wstrzymany. Wszystko to doprowadzi w konsekwencji do niedotlenienia, częstoskurczu serca, zwiększonego ryzyka wystąpienia dławicy piersiowej, arytmii oraz obrzęku płuc. Tlenek węgla to naprawdę paskudna rzecz.

– To znaczy ile? – naciskał Slidell.

– Wysokie stężenie karboksyhemoglobiny we krwi może być wywołane skażeniem powietrza już niewielką ilością CO.

– Czyli to się wdycha.

– Tak.

Byłam pewna, że Slidell zna podstawowe informacje i pracował kiedyś przy bardzo podobnych sprawach. Zastanawiało mnie to jego nietypowe zainteresowanie fizjologią zatrucia tlenkiem węgla.

Mój mózg podsunął mi szereg danych statystycznych dotyczących stężenia CO we krwi. Objawów zatrucia. Dziwne. Pozostałość po dawno ukończonych studiach doktoranckich. Jeden do trzech procent to norma. Siedem do dziesięciu procent: norma u palaczy. Dziesięć do dwudziestu procent: ból głowy, problemy z koncentracją. Trzydzieści do czterdziestu procent: ostry ból głowy, nudności, wymioty, omdlenie, letarg, przyspieszone tętno i oddech. Czterdzieści do sześćdziesięciu procent: dezorientacja, uczucie osłabienia, brak koordynacji. Sześćdziesiąt procent: śpiączka i śmierć.

Slidell westchnął.

– A tak w przybliżeniu?

– Co? – Larabee kucnął, aby obejrzeć dłonie Ajaxa.

- Ile to trwa?
- Wdychanie powietrza skażonego tlenkiem węgla na poziomie zaledwie zero przecinek dwa procent może podnieść stężenie karboksyhemoglobiny we krwi do ponad sześćdziesięciu procent w ciągu trzydziestu do czterdziestu pięciu minut.
- I to zabija?
- To zabija.
- Slidell zapisał to sobie, a potem pomachał notatnikiem.
- I tutaj mamy z tym do czynienia?
- Pracujący silnik w niewielkim garażu. Zamknięte drzwi i okna. Zdecydowanie. – Larabee mówił, nie podnosząc wzroku. – Wystarczyło zaledwie pięć, dziesięć minut.
- Więc Ajax zszedł ze świata zaraz po tym, jak przekręcił kluczyk w stacyjce.
- Zakładając, że to on przekręcił kluczyk.
- Zakładając.
- I że kiedy znalazł się w samochodzie, wciąż oddychał.
- To też.
- Podejrzewam, że tak właśnie było. Widzisz to? – Larabee podniósł jedną z dłoni Ajaxa. Slidell rzucił na nią okiem z miejsca, w którym stał.
- Opad krwawy. Spowodowany zwisem ramion.
- Tak. Ale mówię o paznokciach.
- Slidell zgiął się, żeby lepiej widzieć.
- Są jasnoróżowe.
- Właśnie. Co wskazuje, że żył.
- Wyobraziłam sobie wiśniowoczerwone narządy i krew, które zobaczy Larabee, gdy zrobi cięcie Y. Wątroba, płuca, żołądek, nerki, serce i śledziona, wiśniowoczerwone w formalinie. Ciągłe wiśniowoczerwone, kiedy pokroi się je na drobne fragmenty i umieści pod mikroskopem.
- Przypomnij mi. Kiedy zaczynają się pojawiać te plamy opadowe?
- Sinica. W ciągu dwóch godzin po śmierci. Apogeuem przypada na sześć do ośmiu godzin po.
- Larabee wstał. – Ale tutaj jest zimno. To spowalnia proces.
- Sinica w palcach. To znaczy, że nikt nie ruszał ciała, tak?
- Tak.
- I nie ma rigor mortis. – Slidell wymówił „rygor”.
- Nieznaczne stężenie pośmiertne da się zaobserwować w mniejszych mięśniach twarzy i szyi. Ale to wszystko.
- Kiedy zaczyna się rygor?
- Po mniej więcej dwóch godzinach. Jednak i ten proces spowalnia niska temperatura. – Larabee stał. – Przeprowadzę pełne badania toksykologiczne.
- W poszukiwaniu czego?
- Wszystkiego, co uda się znaleźć. Ludzie często biorą mnóstwo leków przed popełnieniem samobójstwa.
- Jak wygląda sytuacja w domu?
- Według pierwszych oględzin łóżko jest pościelone, telewizor i radio wyłączone, przy zlewku stoi jeden kubek po kawie, czysty i odwrócony do góry dnem.
- Żadnego listu pożegnalnego?
- Żadnego listu.
- Nic, co wskazywałoby na obecność jakiegoś gościa?



– Przynajmniej ja nie słyszałem.

– Skończyłem czynności wstępne – Larabee odwrócił się do Hawkinsa. – Joe?

Hawkins zrobił jeszcze ze dwa zdjęcia pod różnym kątem; lampa błyskowa zapisała świetliście białego Ajaxa na moich siatkówkach. Oparty o kierownicę, wyglądał jak człowiek ucinający sobie drzemkę, jak pijak po nocy w mieście.

Wyszliśmy ze Slidellem na zewnątrz. Hawkins podjechał noszami jak najbliżej auta. Następnie pochylił Ajaxa do przodu i złapał go za ramiona. Ten osunął się bezwolnie. Hawkins objął go rękoma pod pachami, a Larabee chwycił ciało za nogi, zanim stopy zetknęły się z podłożem. Razem przenieśli zwłoki do worka.

Błysk wspomnienia. Wyjmowanie Pomerleau z beczki w Vermoncie, wspólnie z Cheri Karras.

Hawkins zaniósł jeszcze okulary Ajaxa i umieścił je koło jego głowy, po czym zapiął worek. Następnie podjechał ruchomymi noszami do furgonetki, przeładował ich zawartość i zatrzasnął drzwi.

Obserwowałam, jak się oddala. Czułam zimno w środku i wokół siebie.

– Chcę zobaczyć, co ten gnojek miał w bagażniku wozu.

Odwróciłam się. Slidell nakładał rękawiczki. Wyszarpnął kluczyk ze stacyjki, obszedł tył hyundaia i wetknął go do zamka.

Kłapa bagażnika otwarła się, wydając dziwny miękki odgłos.

Z wnętrza buchnął zapach. Słodki, drażniący.

Znajomy.

## Rozdział 35

Ziściły się nasze najgorsze obawy.

I dokonał wielki przełom, o którym mówił Ryan.

Z zaciśniętą szczęką Slidell wyjął plastikową torebkę marki Ziploc z kartonowego pudełka, w którym znajdowało się ich więcej, a także jeden niewielki plastikowy pojemnik.

Przez jej przezroczysty bok dało się zauważyć cztery przedmioty. Srebrny pierścionek z muszelką. Klucz na czerwonej wstążce. Żółtą tasiemkę. Różowy pantofelek baletowy.

Wpatrywaliśmy się w to wszyscy. Zdeprymowani. Przerażeni. Wściekli.

– Czyja to tasiemka? – Mój głos był wysoki, pełen napięcia.

– Nieważne. Mamy sukinsyna.

Slidell odłożył torebkę i wybrał kolejną. Zawierała fiołki wypełnione jakimś ciemnym płynem, który wyglądał na krew. W trzeciej znajdowały się igły do robienia zastrzyków. W czwartej wymazówki z bawełnianą końcówką, w piątej zmięte chusteczki jednorazowe.

– Co jest w tym pojemniku? – zapytał Larabee.

Slidell zdjął pokrywę. Wstrętny odór uderzył w nasze nozdrza.

– Jasna cholera! – Głowa Slidella gwałtownie odskoczyła na bok.

– Pokaż mi to – powiedziałam.

Slidell wyciągnął rękę i podał mi pojemnik.

Larabee wstrzymał oddech. Ja chyba też.

Zobaczyłam jasne włosy pływające w błotnistej brązowej zupie. Poniżej znajdowała się jakaś nierozpoznawalna masa.

– Części ciała, tak?

Nikt nie udzielił odpowiedzi na to pytanie.

– Jeszcze jedna pamiątka?

Na to też nie.

– Dacie wiarę? Ten drań cały czas udawał niewiniątko, a swój chory cyrk woził w samochodzie. – Slidell zwrócił się do Larabee'ego. – Weź te części ciała. Ja zawiozę resztę do laboratorium.

Larabee kiwnął głową.

Zerwawszy rękawiczkę zębami, Slidell poleciał do techników kryminalistyki. Nie słyszałam jego poleceń, ale wiedziałam, jak brzmią. Wszystko zabezpieczyć, opisać, skonfiskować wóz, przeszukać jeszcze raz cały dom z góry na dół.

Gdy Larabee schował plastikowy pojemnik w worku na dowody rzeczowe, technicy wyciągnęli ze swojej furgonetki rolkę żółtej taśmy i zaczęli odgradzać miejsce zdarzenia. Slidell pobiegł do samochodu i wskoczył do środka.

Patrzyłam, jak pędzi ulicą z komórką przyciśniętą do ucha.

Larabee postanowił zbadać najpierw pojemnik. Tak naprawdę nie byłam mu potrzebna, mimo to poprosił mnie o pomoc. Gdyby konsultacja antropologiczna okazała się nagle niezbędna, miałam się tym zająć, a on poprowadziłby sekcję zwłok Ajaxa sam.

Zgodziłam się chętnie. Byłam roztrzęsiona, niemal na skraju załamania nerwowego.

Wiedziałam, że w mojej przybudówce będzie dziś ciasno i klaustrofobicznie, skoro pojawi się tam pięć duchów martwych dziewczynek. A może sześć.

Poza tym nie miał mnie kto odwiedzić do domu.

O ósmej byliśmy w wydziale medycyny sądowej. Przebrałam się w fartuch i dołączyłam do Larabee'ego w prosektorium. Hawkins zajmował się postępowaniem przygotowawczym w sprawie Ajaxa, postanowiliśmy więc przystąpić do działania sami.

Wzięłam aparat, a Larabee postawił pojemnik na kontuarze. Poprosiłam o numer sprawy, dobrałam naklejki i zrobiłam zdjęcia. Kiedy już odłożyłam nikona, Larabee włożył rękawiczki i maskę. Zrobiłam to samo. Otworzył pojemnik. Taki sam fetor. Te same włosy i gówniano-brązowe pomyje.

Robiłam kolejne fotki. Tymczasem Larabee, przy użyciu sitka z bardzo drobną siateczką, wylał płyn z pojemnika do zlewki. Rozłożył w zlewce zielony ręcznik.

Kiedy przechylił sitko, na tkaninę spadła grudka, gąbczasta, śliska i pokryta włosami.

Larabee rozwinął ją i spłaszczył próbnikiem. Była dość cienka w przekroju, owalna, szeroka na mniej więcej jeden cal i długa na dwa.

Larabee uniósł próbnikiem grudkę do góry, trzymając ją za kłębek włosów.

Mój umysł wyświetlił szereg obrazów. Zobaczyłam ciało barwy zsiadłego mleka. Ciemne odrosty na końcu każdego jasnego kosmyka.

Poczułam, że zbiera mi się na wymioty. Przełknęłam ślinę.

– To skóra z głowy.

– Ludzkiej? – Larabee pochylił się niżej. – Możliwe.

– Nie tylko możliwe. – Staralam się, żeby mój głos brzmiał spokojnie. – Na pewno.

Larabee obrzucił mnie wzrokiem. Bez słowa wziął ręczne szkło powiększające, ustawił je i nachylił się jeszcze niżej.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Włosy są rozjaśniane.

– Należały do Anique Pomerleau.

– Żartujesz. – Obrócił się, żeby spojrzeć na mnie.

– Asystowałam przy sekcji zwłok Pomerleau.

– W Burlington.

Kiwnęłam głową.

– Pomerleau miała trzy rany na skórze głowy, których nie potrafiłyśmy wyjaśnić.

– Obszary martwicze?

Potrząsnęłam głową.

– Z czaszki zniknęły fragmenty tkanki. Każda rana miała kształt owalny, mierzyła mniej więcej cal na dwa.

Nasze oczy ponad maskami wpatrywały się w siebie. W spojrzeniu Larabee'ego widziałam zaskoczenie. W moim niewątpliwie czaił się wstręt.

– O czym ty mówisz?

– Mówię, że zabójca wziął od Pomerleau – z trudem szukałam właściwego słowa – próbki i umieszczał je na swoich ofiarach.

– Włosy w gardłach Leal i Estrady?

Skinęłam głową.

– Fiolki. Chryste, więc on także pobierał krew? Może korzystał z wymazówek, aby mieć DNA?

– Sądzę, że to możliwe.

– Po co?

– Nie wiem.

Brwi Larabee’ego złączyły się ze sobą. Zaczął coś mówić.

W tym momencie zza drzwi wychyliła się głowa Hawkinsa.

– Gotowe – powiedział cicho.

– Zaraz przyjdę – odrzekł Larabee.

Minęła długa minuta.

– Ajax był lekarzem. Wiedział, jak pobiera się krew. Nacina tkanki.

– Tak – zgodziłam się.

– Jeżeli płyn w tych fiolkach okaże się ludzką krwią, serolog powinien wyodrębnić z nich DNA.

– Zadzwoń do Slidella – powiedziałam.

– Dzięki.

Zrywając z siebie maskę i rękawiczki, Larabee pospiesznie wyszedł z pomieszczenia.

Zrobiłam kilka finalnych ujęć, zapakowałam z powrotem fragment skalpu i umieściłam go w chłodni. Potem poszłam do swojego gabinetu.

Może to przez zmęczenie, może rozkojarzenie, ale Slidell prawie nie zareagował na moje nowiny. Poprosił tylko, żebym zadzwoniła, kiedy Larabee skończy sekcję. Był w szpitalu Mercy, rozmawiał ze współpracownikami Ajaxa.

Larabee przyszedł do mojego gabinetu o 3.30. Fartuch miał ciemny pod pachami i poplamiony krwią. Rozprysk na jednym z rękawów przypominał mi elektryczne lodowe sopele na frontowych drzwiach domu sąsiada.

Odsunęłam raport i przyjąłem pozycję słuchacza. Szef lubił dzielić się wszystkimi szczegółami.

W opłucnej nie znalazł zrostów ani płynów, w płucach nie doszło do zatoru ani krwotoku, zawał mięśnia sercowego też nie miał miejsca. W żołądku nie znalazł wrzodów, w wątrobie zwłóknień, nie odkrył zakrzepicy żyłnej ani żyłaków w układzie tętniczym i limfatycznym.

Nie licząc początków miażdżycy, normalnej u mężczyzny w wieku czterdziestu ośmiu lat, Hamet Ajax cieszył się dobrym zdrowiem. Cały dzień nic nie jadł. W żołądku miał tylko kawę.

Larabee zaobserwował natomiast złowieszczą wiśniową barwę krwi i mięśni, a także oznaki przekrwienia we wszystkich tkankach. Na całym obszarze obu półkul mózgowych doszło do przekrwienia, obrzęku i rozproszonego krwawienia punktowego. Niemal całkowitemu zniszczeniu uległy komórki kory mózgowej i zwoju współczulnego, zwój podstawy mózgu zdegenerował się symetrycznie, zwłaszcza rdzeń.

– Asfiksja wywołana ostrym zatruciem tlenkiem węgla.

– Jak do niej doszło?

– To już trudniejsze pytanie.

– Coś wskazuje na inną przyczynę niż samobójstwo?

– Raczej nie. Ale poczekam na wyniki badań toksykologicznych, zanim podpiszę protokół. Chcę także wiedzieć, co znaleźli w tamtym domu. A teraz – jego łokcie rozeszły się na zewnątrz, gdy wstał nagle, dotąd wsparty dłońmi na kolanach – muszę jechać na przyjęcie bożonarodzeniowe.

– Świąteczne.

– Co?

– Nie zapominajmy o chanuce.

– Ani o kwanzaa\*\*\*.

Z tymi słowami wyszedł.

Nie przekazałam usłyszanych szczegółów Slidellowi. Potwierdziłam tylko, że śmierć Ajaxa nastąpiła wskutek zatrucia tlenkiem węgla. I że Larabee będzie wiedział więcej, kiedy otrzyma wyniki z toksykologii.

Zadzwoiłam również do Ryana. Opowiadając mu wszystko, wyobrażałam sobie, jak przesuwa dłonią po włosach.

– Więc Slidell myśli, że te pamiątki niezbitcie świadczą o zamordowaniu Leal, Gower i Nance. A fakt posiadania DNA Pomerleau wiąże faceta z Estradą – powiedział.

– Nie był zbyt gadatliwy, ale jestem pewna, że tak właśnie myśli.

– Chudy powinien świętować. Cztery zabójstwa rozwiązane, więc pa, pa, Tinker.

– Sprawiał wrażenie wykończonego.

– A co z pozostałymi?

– Nie wiem.

– Fatalnie, że Slidell nie może przesłuchać Ajaxa – zauważył Ryan.

– Owszem.

– Mam zrezygnować z dalszego śledztwa tutaj?

– Chyba tak.

– I tak nie miałem żadnego tropu.

Zapadła długa chwila milczenia.

– Wesołych świąt, Brennan.

– Wesołych świąt, Ryan.

Rozłączyłam się i siedziałam chwilę z telefonem w dłoni. Powinnam być zadowolona. Powinno mi ulżyć. Dlaczego wcale się tak nie czułam?

Pozostałe. Koseluk. Donovan. Czy ich sprawy będą nadal otwarte? Czy śledztwo wciąż będzie się toczyć? Czy ktoś gdzieś szuka dziecka, którego szkielet leży na mojej półce?

Przecież w Stanach Zjednoczonych ginie rocznie ponad osiem tysięcy osób. Od śmierci ME107-10 minęły co najmniej cztery lata. Od zaginięcia Avery Koseluk – trzy. Znałam smutną odpowiedź.

Lecz Ajax miał już na dużym palcu u nogi kartkę na sznureczku. Szaleństwo się skończyło.

Mój wzrok powędrował w stronę ulotki przypiętej do tablicy korkowej. Wypowiedź Larabee'ego o czymś mi przypomniwała. Ja też zostałam przez kogoś zaproszona.

Tego wieczoru odbywało się świąteczne spotkanie personelu wydziału antropologii Uniwersytetu Karoliny Północnej w Charlotte. Często imprezę tę planowano jakieś milion kilometrów od miasta, na zapadłej wsi. W tym roku jednak zaproszono nas do siedziby wydziału w Plaza-Midwood. Niedaleko mojej przybudówki.

Mimo wszystko nie byłam w nastroju. Rzadko jestem. Gorące, zatłoczone pomieszczenia. Brzydkie swetry. Uczestnicy zabawy różowieni od ajerkoniaku i świątecznego piwa. Nie chodzi mi o picie. Nauczyłam się żyć bez alkoholu. Po prostu towarzyskie rozmowy nad kanapeczkami to nie jest moja mocna strona.

Lubię jednak moich kolegów z pracy. Oraz większość doktorantów.

Kupiłam butelkę pinota, włożyłam na siebie czerwoną jedwabną bluzkę i poszłam na wesołą imprezkę.

Powinnam przecież mieć ochotę się zabawić. Wreszcie dorwaliśmy mordercę. Bez motywu. Bez wyjaśnienia, w jaki sposób Ajax spiknął się z Pomerleau. Dlaczego i jak ją zabił. Dlaczego

nadal realizował jej scenariusz. Odpowiedzi na te pytania przyjdą później. Teraz liczyło się tylko to, że facet już nikogo więcej nie zamorduje.

A jednak te niepokojące pytania nie dawały mi spokoju.

Pomyślałam o słowach Ryana. Czy Ajax chciał, żeby go złapano? W takim razie po co wynajmował prawnika? Po co udawał niewinnego, skoro go wreszcie dorwaliśmy?

To akurat było łatwe. Ajax był socjopatą. Socjopaci kłamią. I dobrze im to idzie.

Przypomniałam sobie przesłuchania. Ajax nie okazał najmniejszego współczucia dla zamordowanych dziewczynek. Dla dziecka, które tak potraktował.

Ajax popełnił samobójstwo. Skoro je planował, dlaczego obiecał Cauthern, że wróci do szpitala? Czy była to nagła, spontaniczna decyzja? Co ją wywołało?

Kiedy wprowadzono Leal, Ajax znajdował się w odległości dziesięciu mil. Jak mógłby być w dwóch miejscach jednocześnie? Czy miał współlnika?

Kiedy wracam wspomnieniami do tamtych świąt, do tamtych spraw, zawsze przypomina mi się ów moment, gdy otworzyliśmy bagażnik. Drgające fluorescencyjne światła rzeźbiące rysy naszych twarzy. Niebiesko-czerwone, stroboskopowe, migające w zimnym powietrzu świtu. Nocny szron ustępujący pod ciepłem promieni słonecznych.

I zawsze się zastanawiam – czy gdybym wtedy wypowiedziała na głos swoje obawy, wszystko potoczyłoby się inaczej?

Nigdy się tego nie dowiem. Milczałam.

## CZEŚĆ III

## Rozdział 36

Święta przyszły i minęły.

Często jeździłam do Heatherhill. Goose była wszechobecna: układała mamie poduszki, czesała włosy, wyjmowała ubrania i nalegała, żeby mama je nosiła.

Z Teksasu przyleciała też Harry.

Przez trzy dni mieszkaliśmy w pensjonacie niedaleko Marion, tym samym, w którym rezydowała Goose. Pokoje odznaczały się wielkim łóżem z baldachimem i szaloną ilością perkalu.

Harry kupiła mamie pluszową lalkę zombie, zaprojektowaną tak, by móc ją rozrywać na części i patroszyć w chwilach frustracji. Oraz brylantową broszkę z karatem za cztery tysiące. Ja przywiozłam jej kaszmirowe poncho.

Będąc w centrum uwagi, mama bardzo się ożywiła. Świergotała o dawnych świętach Bożego Narodzenia. Tych na plaży. Tych na Wielkim Kajmanie. Nie wspomniała tylko o Gwiazdce, którą spędzała sama w swoim pokoju, w swoim podziemnym świecie. Albo gdy jej wcale nie było.

Kiedy zostawałyśmy same, mama pytała o moje sprawy. Opowiedziałam jej całą historię. Pomerleau, farma małżeństwa Corneau, beczka z syropem klonowym, przerażające znalezisko w bagażniku Ajaxa. Domyślałam się, że zakończenie przypadnie jej do gustu, zaspokoi jej potrzebę sprawiedliwości.

Mama zapytała też o wkład Ryana w rozwiązanie tej sprawy. Domyślałam się, że w jej oczach jesteśmy jak Orfeusz i Eurydyka. A może Scully i Mulder.

Odpowiedziałam, że Ryan koncentrował się głównie na poszukiwaniu jedynej ocalałej ofiary Pomerleau. Spytała, gdzie to biedactwo może przebywać. Odparłam, że nie wiemy, bo jej nie znaleźliśmy. Mama była zaintrygowana i nie chciała zostawić tego tematu, dopóki nie pojawiła się Goose i nie zapędziła jej do łazienki.

Tablice w komendzie policji usunięto. Zdjęcia, mapy, protokoły przesłuchań i raporty spakowano z powrotem do odpowiednich pojemników. Salę konferencyjną przywrócono jej pierwotnemu przeznaczeniu.

Tinker zniknął. Rodas przestał się odzywać. Barrow zajął się innymi sprawami z zamrażarki.

Slidell nie utrzymywał ze mną kontaktu. Nie miałam zielonego pojęcia, co robi. Ale nie starałam się dowiedzieć.

Policja w Charlotte-Mecklenburgu zorganizowała konferencję prasową. Stacje telewizyjne prezentowały elokwentny smutek. Nagłówki gazet krzyczały. Pisano o aresztowaniu Ajaxa w Oklahomie, o „materiale dowodowym, łączącym go z zabójstwami Shelly Leal, Lizzie Nance i innych”, o jego śmierci na Sunrise Court. Slidell trzymał się od tego wszystkiego z daleka. Tinker niby to skromnie, lecz umiejętnie podkreślał rolę własną oraz SBS w rozwikłaniu sprawy. Musiałam się zgodzić ze Slidellem. Facet był fałszywym małym kutasem.

Ryan i ja często rozmawialiśmy. Prawie jak za dawnych czasów. Prawie. Wrócił do pracy, jak poprzednio wykonywał różne zadania, dzielił się swoją wiedzą z prowadzącymi śledztwa.

W piątek rano, w drugi dzień nowego roku, Larabee otrzymał raport z toksykologii. Wysycenie tlenkiem węgla we krwi Ajaxa osiągnęło poziom 68 procent. Śmierć więcej niż



pewna.

W organizmie Ajaxa wykryto również wodzian chloralu, lecz tylko dzięki temu, że Larabee poprosił o drugie badanie, wykraczające poza opiaty, amfetaminę, barbiturany, alkohol i inne substancje w standardowym teście toksykologicznym. Był to lek znany i używany od dawna, dlatego nieco zaskakujący, lecz zdaniem Larabee'ego – o niczym nie świadczył. Jak powiedział wcześniej na miejscu zdarzenia, wielu ludzi potrzebuje dziś farmaceutyków, aby wypuścić z siebie powietrze.

W ambulatorium szpitala Mercy nie odnotowano pobrania wodzianu chloralu; również żadna apteka w Charlotte nie zrealizowała wypisanej na niego recepty. Nie miało to większego znaczenia, ponieważ Ajax jako lekarz miał łatwy dostęp do tego preparatu, stosowanego często jako środek uspokajający przed badaniem EEG.

Bardziej kłopotliwy okazał się fakt, że ani w domu przy Sunrise Court, ani przy Ajaxie nie znaleziono pustej ampułki. Technicy kryminalistyki odkryli w kuchni czysty kosz na śmieci, choć inne pojemniki na posesji były pełne. Masowe przeszukiwania kontenerów przy tej ulicy nie dały istotnych rezultatów, jeśli chodzi o kapsułki.

Jednak już w poniedziałek przeżyliśmy wstrząs.

Larabee złapał mnie w biowestybulu. W jednym ręku trzymał jakiś papier, wydawał się zmieszany.

– Poświęteczny wyciąg z karty kredytowej? – spytałam, zdejmując z szyi szalik.

Larabee podał mi kartkę. Przetawiłam aktówkę i wzięłam papier.

Szybko przebiegłam ją wzrokiem, aż dotarłam do najważniejszej linijki. Już rozumiałam, dlaczego Larabee nie roześmiał się z mojego dowcipu.

– To jakieś żarty.

– Chciałbym.

– DNA z odcisku ust nie pasuje do profilu Ajaxa.

Larabee uroczyście kiwnął głową.

– Jakaś szansa, że kurtka była zanieczyszczona?

– Twierdzą, że nie ma o tym mowy.

– A próbki, które im przesłałeś, były dobre?

Larabee tylko na mnie spojrzał.

– W szafce łazienkowej Ajaxa widziałam balsam do ust. Może...

– Technicy go zabrali. Laboratorium przeprowadziło próbę krzyżową. W razie gdyby jakiś adwokat znalazł eksperta twierdzącego, że ta substancja zanieczyściła sekwencję DNA czy inne takie pseudonaukowe bzdury.

– A co z samym balsamem?

– Jest innej marki.

– Chwila, zaczekaj. – Mój umysł z trudem rekonstruował obraz, który tak starannie sobie ułożyliśmy. – Więc możliwe, że Ajax nie jest sprawcą?

Larabee wzruszył ramionami, unosząc ręce dłońmi do góry. Kto wie?

– Ale miał pierścionek Leal.

– I but Nance. Klucz Gower.

– A krew w bagażniku Ajaxa? Skóra głowy?

– To jeszcze trochę potrwa.

– Rozmawiałeś ze Slidellem?

– Już tu jedzie.

Zanim obcasy Slidella zadudniły niczym karabinowe wystrzały przed moimi drzwiami, minęła godzina. Po chwili z gabinetu Larabee'ego dobiegły mnie męskie głosy, modulowane, wolne od gniewu czy emocji. Dziesięć minut później Chudy wpadł do mojego biura.

Zmiana była subtelna, ale jednak. Ta sama niechlujna brązowa marynarka. Ta sama fatalna fryzura. Co zatem?

Slidell zaczepił stopą o krzesło i przesunął je bliżej mojego biurka, po czym ciężko usiadł. Gdy wyciągnął nogi do przodu, mignęła mi jedna mandarynkowa skarpetka. Pewnie rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Słyszałeś?

– Słyszałem.

I wtedy to zauważyłam. Slidell wyszczupłał. Twarz miał wprawdzie nadal obwisłą, może nawet bardziej niż zwykle. Ale brzuch już nie wystawał tak daleko poza pasek. Musztardowożółta koszula była całkowicie wetknięta w spodnie.

Kolejne zdanie Slidella zdumiało mnie.

– Czasem różne gówna nie trzymają się kupy.

– O co ci chodzi?

Mięśnie żuchwy Chudego zaciskały się i rozluźniały energicznie.

– Miałaś wątpliwości co do Ajaxa?

– Gdy Leal została uprowadzona przy Morningside, on znajdował się na Pineville-Matthews Road.

– Tak.

Dziesięciosekundowa pauza.

– Informatyk ustalił nazwisko użytkownika na tym forum od miesiączek.

– HamLover.

– No. To Mona Spleen. Lat czterdzieści trzy, mieszka w Pocatello w stanie Idaho. Należy do Pocatello ARC. Akronim od Amateur Radio Club.

– Czyli Spleen jest radioamatorką\*\*\*\*.

– I to zawołaną.

Kolejna długa pauza.

– Siedemnasty kwietnia dwa tysiące dziewiątego roku. Godzina czternasta dwadzieścia. Ajax zostaje zatrzymany za przekroczenie prędkości: jechał sześćdziesiąt osiem mil przy ograniczeniu do pięćdziesięciu pięciu.

– Tego popołudnia zniknęła Lizzie Nance. To nie znaczy, że...

– Zatrzymano go na drodze I-64, niedaleko Charleston w Wirginii Zachodniej.

– Dopiero teraz to ustaliłeś?

– Nie jestem magikiem. Ludzie byli zajęci wiązaniem sobie krawatów i upychaniem prezentów w skarpety.

– Ten mandat daje Ajaxowi idealne alibi. Dlaczego o nim nie wspomniał?

– Policjant z drogówki udzielił mu tylko upomnienia. Bez kary, bez skierowania do sądu. Ajax pewnie o tym zapomniał.

– Zapomniał o swojej podróży?

– Data jest zbieżna z początkiem jego pracy w szpitalu Mercy. Miał chyba wtedy dużo na głowie.

Milczałam.

Po kolejnej długiej pauzie Slidell powiedział:

– Przeprowadziłem dochodzenie w sprawie dalszych losów tej małej z Oklahomy.  
– Opiekunki do dzieci, którą Ajax molestował?  
– No. – Chudy obniżył węzeł krawata tak, że znalazł się w połowie jego klatki piersiowej. Krawat był czarny i nakrapiany czymś błyszczącym. – Panienska ma kartotekę z czasów, gdy była nieletnia.

Staralam się zachować beznamiętny wyraz twarzy.

– Trzy kolizje z prawem za wyłudzenie pieniędzy od dwa tysiące szóstego roku. Mój informator powiedział nieoficjalnie, że zaczęła ćpać w rok po zapuszkowaniu Ajaxa.

– To może coś znaczyć, ale nie musi.

– Ija.

– Więc jakie jest twoje zdanie?

– Może ten zbok nie był wcale naszym podejrzanym.

– Podzieliłeś się tymi informacjami z Salter?

Slidell powściągliwie pokręcił głową.

– Dlaczego?

– Wciąż to rozpracowuję.

– W jaki sposób?

– Przede wszystkim mam oko na tego pojeba Yodera.

– Sanitariusza ze szpitala Mercy?

Slidell kiwnął głową.

– Z jakiego powodu?

– Nie podoba mi się ten facet.

– I tylko tyle?

– Nie, nie tylko – rzucił oschle. – Kiedy ty śpiewałaś sobie kolędy i wieszalaś jemiołę, ja przepytywałem sąsiadów i personel szpitalny.

– A konkretnie?

– Prowadziłem bardzo serdeczne, szczere rozmowy.

– I?

– I nic. Facet żył jak mnich.

– Co teraz?

– Staram się dotrzeć do tych, których nie było wtedy na miejscu. Choćby trzeba przejść siedem gór i siedem rzek. Ho, ho. Wrzód na dupie.

– Nie jesteś Grinchem.

– Ale ćwiczę.

– Kiedy już skończysz te rozmowy, opowiesz o nich Salter?

– No.

– A jak z Tinkerem?

– Prędzej spotkam się z tym koniowałem w piekle, niż się do niego odezwę.

– Kto jest na twojej liście?

– Dwie pielęgniarki, jeden lekarz, jeden sanitariusz. Pewnie strata czasu. Ale może ktoś coś zauważył.

Spojrzałam na zegar. Na stos niegotowych raportów.

– Chodźmy. – Wyciągnęłam z szuflady torebkę.

Slidell wziął głęboki oddech i powstrzymał się od komentarza. Skinął głową i wstał.

Mieliśmy szczęście, jeśli chodzi o lekarza i jedną pielęgniarkę dyplomowaną. Pełnili akurat dzienny dyżur.

Oboje stwierdzili, że informacje medialne o Hamecie Ajaxie ogromnie ich zaskoczyły. Współpracowali z nim i odnosili wrażenie, że jest świetnym lekarzem. Wyrazili również żal z powodu jego śmierci. Żadne nie miało pojęcia o życiu osobistym Ajaxa.

Pozostała dwójka miała tego dnia wolne. Alice Hamilton, dyplomowana pielęgniarka, oraz Arnie Saranella, certyfikowany pielęgniarz.

Slidellowi szczególnie zależało na rozmowie z Hamilton. Pełniła dyżur, gdy zarówno Colleen Donovan, jak i Shelly Leal przyjechały na pogotowie. A Ellis Yoder zeznał, że Ajaxa i Hamilton coś łączyło.

Już wcześniej Slidell wielokrotnie wydzwaniał do Hamilton. Zostawiał jej wiadomości na poczcie głosowej, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Fakt ten nie nastawiał go szczególnie życzliwie do owej kobiety.

Hamilton mieszkała przy North Dotger, w niewielkiej odległości od szpitala Mercy. Ulica wiała się jak wąż, latem ocieniały ją drzewa tak duże, że tworzyły coś w rodzaju baldachimu blokującego promienie słoneczne.

Dom Hamilton nie należał do typowych zabudowań, które wyrastały tu jak grzyby po deszczu w rezultacie yuppifikacji dzielnicy Elizabeth w Charlotte. Jej mieszkanie znajdowało się w przeciętnym, pozbawionym polotu ceglany bunkrze z okresu powojennego. Budynek był jednym z czterech podobnych, pomalowanych na beżowo w nieudanej próbie zatrzymania rozwoju porostów.

Przy bocznych uliczkach względem tych bunkrów usytuowane były tarasy, otoczone metalowym ogrodzeniem i chronione metalowymi markizami; wszystkie porzdewiały i wypaczone. Każde patio było akurat na tyle przestronne, żeby pomieścić krzesło – może dwa, jeżeli ktoś nie miał przesadnych wymagań. Wchodziło się na nie przez podwójne szklane drzwi, zmatowiały ze starości. Mieszczące się wyżej mieszkania miały niezadaszone balkony. Taki sam metraż. Takie same mleczne drzwi.

Ruszyliśmy ze Slidellem po ubłoconym chodniku, jak ceglane ściany zielonym od tętniącego na nim życia. Weszliśmy do małego holu z brudną czarno-białą podłogą. Na ścianie po lewej cztery skrzynki na listy tworzyły kwadrat.

Na kafelkach posadzki leżał stos ulotek i reklam, a także kilka czasopism. „Jak dbać o dom”. „O”. „Samochód i kierowca”.

Na skrzynce oznaczonej numerem 1C widniało nazwisko *A. Hamilton*. Napisane odręcznie na kartce wsuniętej za mały prostokąt z popękanego szkła.

Slidell wcisnął dzwonek. Czekaliśmy. Wcisnął ponownie.

Żadnego brzęczenia. Żadnego głosu z niewielkiego okrągłego głośnika.

– Jasny szlag. – Slidell wcisnął dzwonek mocniej, dziobiąc weń kilkukrotnie kciukiem.

Czekając, zlustrowałam prasę leżącą pod nogami. Magazyn motoryzacyjny dla Rogera Colliera, miesięcznik Oprah dla Hamilton. Wskazówki dotyczące gospodarstwa domowego przeznaczone były dla Melody Keller.

Slidell zadzwonił czwarty raz; jego złość była tak namacalna, że czułam, jak uwiera mnie w żebra.

– Tylko nie dostań zawału – powiedziałam.

– Dlaczego nie otwiera?

– Może nie ma jej w domu.

Slidell zapatrzył się na skrzynki pocztowe; oczy miał wąskie, usta mocno zaciśnięte.

– Co mówił jej przełożony?

– Ma takie warunki pracy, że nie musi przychodzić regularnie.

– PRN. *Pro re nata*. Tylko jeśli potrzeba. To częsta metoda zatrudniania w szpitalach.

Harmonogram pracy bardzo zmienny, godziny niepewne.

– Nieważne.

– Chodźmy stąd. Porozmawiajmy z tamtym pielęgniarzem.

– Wkurza mnie, że ta Alice cholerna Hamilton nie raczy nawet oddzwonić.

Slidell wykonywał właśnie swoją piątą rundę dźgania, kiedy zawibrował mi w kieszeni iPhone.

Larabee otrzymał wyniki badań DNA z materiałów znalezionych w bagażniku Ajaxa.

## Rozdział 37

- To była Pomerleau. Jej krew i skóra z głowy.
- Wiedziałam.
- Na niektórych chusteczkach znajdowała się ślina.
- Pomerleau?
- Tak.
- Mój puls przyspieszył o kilka dodatkowych uderzeń.
- Co o tym sądzisz? – zapytał Larabee, ponieważ milczałam.
- Morderca celowo zostawiał ślady na zwłokach.
- Też tak uważam.
- W przypadku Gower i Nance wziął chusteczkę ze śliną i wetknął ją w rękę dziecka.
- To było jednak mocno niepewne. A gdyby padało? Gdyby chusteczkę porwał wiatr? Albo zwierzęta? – Larabee myślał dokładnie o tym samym co ja. – Musiał zmienić metodę na bardziej wyrafinowaną.
- Zamknęłam oczy. Zobaczyłam ciało w syropie klonowym na stole prosektoryjnym.
- Pomerleau miała w zgięciu łokci ślady po nakłuciach – powiedziałam. – Medyk sądowy w Vermoncie stwierdziła, że nie wyglądają na pozostałości po igle do narkotyków. Ja też byłam tego zdania. A wyniki badań toksykologicznych Pomerleau wskazały, że była czysta.
- Ajax pobrał jej krew i przechowywał w fiolkach.
- Może sama mu ją dała.
- Wątpię, żeby dała mu też fragmenty swojej skóry głowy.
- Chwilę przetrawiałam tę uwagę.
- Był bystry – powiedziałam. – Wiedział, że łądyga włosa nie wystarczy do określenia sekwencji DNA, że potrzebna jest cebulka.
- Sądzisz, że oskalpował ją po zabiciu?
- Tak.
- Paauza. Gdzieś w tle zagrzechotał metal. Domyśliłam się, że Larabee jest w sali sekcyjnej.
- Zabójca utworzył magazyn – myślałam na głos. – Włosy. Krew. Ślina.
- Pewnie trzymał je w zamrażarce.
- Ale po co zadawać sobie tyle trudu?
- Żeby odsunąć od siebie podejrzenia? W razie wpadki?
- Może. A może był to element gry.
- Którą kontynuował po wciśnięciu Pomerleau do beczki. Kiedy to się wydarzyło?
- Prawdopodobnie w dwa tysiące dziewiątym roku – odpowiedziałam.
- Czyli wtedy, gdy cała zabawa przeniosła się tutaj.
- W moim telefonie wylądował esemes.
- Muszę kończyć.
- Możesz powiedzieć o tym Slidellowi?
- Właśnie jest u mnie.
- W oddechu Larabee’ego usłyszałam jakby wahanie. Potem rzucił:
- Powiedziałaś „zabójca”. Nie „Ajax”. Czy Slidell też tak sądzi?

Mocno przycisnęłam telefon do ucha, czując, jak zalewa mnie poczucie winy.

– Tak.

– Bałam się, że obije mi twarz, kiedy dziś rano przekazywałam mu te nowiny. Ale tego nie zrobił. Po prostu siedział.

– Też miał wątpliwości.

– Skurczybyk.

– Coś w tym rodzaju.

Esemeś był od mamy. Link do filmiku na YouTube. Widząc, że Slidell podchodzi do mnie, zdecydowałam, że to może poczekać.

Jadąc samochodem do mieszkania Saranelli na South End, przekazałam Chudemu informacje od Larabee’ego. Słuchał. Tylko raz pokręcił głową.

Saranelli nie było w domu. Jego współlokator, Grinder, odznaczał się mocną plackowatą łysiną i postawą typu „pieprzę was”. Po paru uwagach na temat niewłaściwego zachowania, wygłoszonych przez Slidella, Grinder podzielił się z nami wiadomością, że Arnie znajduje się obecnie w Hilton Head i zjawi się dopiero w poniedziałek.

Po powrocie do taurusa sprawdziłam godzinę: 15.10.

Slidell wpadł w przygnębienie. Ja też. Nie uzyskaliśmy nic. Rosło we mnie poczucie winy związane z Ajaxem. W dodatku umierałam z głodu.

Poprosiłam Slidella, żeby odwiózł mnie do wydziału medycyny sądowej.

Uwolniwszy się od pani Flowers, z lodówki wyjęłam jogurt, a z szuflady biurka batonik granoli. Na zakończenie tej uczty wypiałam dietetyczną colę. Wszystkie grupy pokarmowe.

A potem zadzwoniłam do Ryana. Poczta głosowa.

Rodas. Ten odebrał. Opowiedziałam mu o DNA, o pouczeniu, kartotece kryminalnej opiekunki do dziecka molestowanej niegdyś przez Ajaxa. Zareagował w sposób bardziej ożywiony niż Slidell. O wiele bardziej.

Na zakończenie swojej relacji dodałam:

– Przeglądałam zdjęcia z miejsca znalezienia zwłok Gower.

– W kamieniołomach w Hardwick?

– Tak. Pomyślałam, że jeśli Ajax tam był, to może pojawi się na jakiejś fotce.

– I?

– Jest wielu gapiów, ale doktora wśród nich nie ma.

– Wracamy do punktu wyjścia?

– Możliwe.

Rozłączyłam się. Byłam pod wrażeniem. Umpie Rodas nigdy nie odpuści sprawy Nellie Gower.

Ryan zadzwonił, gdy wrzucałam do pojemnika przedostatni raport. Krótko przedstawiłam mu najnowsze informacje. Potem przedzieraliśmy się wspólnie przez labirynt spekulacji podobny do tego, który przeżyłam z Larabee’em. Jeśli nie Ajax, to kto? W jaki sposób facet spiknął się z Pomerleau? Dlaczego? Po co przeniósł się do Charlotte?

– I czemu podkładał na zwłokach ofiar DNA Pomerleau? – zapytał Ryan, gdy już doszliśmy donikąd. – Dlaczego nie własne? Przecież pracowali razem, dopóki jej nie zabił.

– Dopóki *ktoś* jej nie zabił.

– Sądzisz, że Pomerleau dawała mu swój materiał genetyczny z własnej woli?

– Nie wiem.

– A może drań trzymał ją w zamknięciu, żeby móc pobierać płyny ustrojowe?

Nie umiałam na to odpowiedzieć. Sama myśl była zbyt odrażająca. Nawet w przypadku takiego potwora jak Pomerleau.

– Może po prostu dlatego, że miał do niej dostęp? – Ryan rzucał kolejne teorie w nadziei, że któraś trafi w sedno. – Czyżby w jego chorobie psychicznej Pomerleau odgrywała centralną rolę?

– Nie chodziło o czyjeś DNA, tylko konkretnie o DNA Pomerleau?

– Tak.

– Również w tym wypadku ona jest kluczem do rozwiązania zagadki. Elementem układanki, którego nie potrafimy wytłumaczyć.

– To tylko jeden z pomysłów.

Kolejna pauza.

– Salter odwiesiła śledztwo? – zapytał Ryan.

– Slidell chce kupić sobie trochę czasu – odparłam dyplomatycznie.

– Czyli jej nie powiedział.

– Nie.

– Co robi?

– Rozmawia z ludźmi, którzy znali Ajaxa. Kontaktuje się z Oklahomą. Ma na oku pielęgniarza Ellisa Yodera.

– Czemu?

– Yoder pełnił dyżur w dniach, w których Leal i Donovan przyjechały na pogotowie.

– A ty co sądzisz?

– Nie mamy niczego innego.

– Na komendzie policji Charlotte wiele osób będzie się czerwieniło.

– Wiele – zgodziłam się.

Spędziłam kolejny wieczór z Birdiem, żywiąc się daniami na wynos.

Jedliśmy właśnie spaghetti Il Nido i surfowaliśmy po kanałach telewizyjnych, gdy mój iPhone zaśpiewał: *Frosty the Snowman*.

– Dlaczego umył kubek?

– Co? – Pytanie Slidella zaskoczyło mnie. Podobnie jak późny telefon.

– Ajax. Idzie do garażu skończyć ze sobą. Po co zadaje sobie trud umycia kubka?

– Bo był stuknięty.

Brak odpowiedzi.

– W dodatku naszprycowany wodzianem chloralu – dodałam. – Wtedy ludzie robią różne zabawne rzeczy.

– Oglądam zdjęcia zrobione przez techników. Na podłodze zaraz za drzwiami jest błoto.

– Dużo?

– Nie o to chodzi. Dlaczego umył kubek i ekspres do kawy, a zostawił brudną podłogę?

– Umył ekspres?

– I wyrzucił jego zawartość. Fusy znajdowały się w foliowym worku w pojemniku na zewnątrz.

– O czym ty mówisz?

– Mówię o tym, że albo facet był pedantem, albo nim nie był.

– Może naniósł błota, kiedy poszedł wynieść śmieci, i nie zauważył.

– Naniósł skąd? Kosz stoi zaraz za drzwiami.



Usłyszałam serię miękkich plaśnień, pewnie zdjęć rzucanych na blat stołu.

– Nić. – *Tik. Tik.* – Przyczepiona do żywoplotu z tyłu domu.

– Jaka nić?

Brak odpowiedzi.

Teraz rozległ się odgłos przerzucanych kartek.

– Fioletowa. – Nie byłam pewna, czy Slidell mówi jeszcze do mnie. – Faceci od włókien twierdzą, że z fioletowej wełny.

– Przeanalizowano te fusy po kawie?

Kolejne przerzucanie stron.

– Muszę lecieć.

I cisza.

Rzuciłam telefon na kanapę. Wstałam. Zaczęłam chodzić, zataczając ciasne kręgi. Głowa Birdiego obracała się w ślad za moimi ruchami.

W jakim celu Slidell zadzwonił do mnie? Zaniepokoiło go coś, co znaleziono na miejscu zdarzenia przy Sunrise Court. Czyżby miał wątpliwości nie tylko co do udziału Ajaxa w tych morderstwach, lecz także dotyczące jego śmierci? Podejrzewał coś innego niż samobójstwo?

Morderstwo?

Prawdopodobnie bardzo się pomyliliśmy co do Ajaxa. Czyżby moje potworne wyrzuty sumienia w związku z jego śmiercią nie były bezzasadne? Ktoś zabił Ajaxa i upozorował samobójstwo?

Kto? Dlaczego?

Jezu. Zadaję sobie te same pytania od wielu tygodni.

Mój telefon piknięciem zasygnalizował nadejście esemesa.

Mama.

*Widziałaś ten filmik na YouTube?*

*Właśnie go oglądam.*

*Miejsce się zgadza?*

Przeszłam do wiadomości wyżej. Kliknęłam na link.

Film nosił tytuł: *Klub rowerowy Northern Essex Community College. Rajd wiosenny 2008 (3): Przez rzekę Passumpsic*. Klip trwał dwanaście minut, obejrzano go 18 927 razy. Większości widzów się podobał.

Byłam ciekawa, dlaczego to nagranie zwróciło uwagę mamy. Mniej interesowała mnie jego treść. Kliknęłam w mały biały trójkąt. Zespół Queen zaśpiewał *Bicycle Race*. Nieruchomy dotąd kolarz zaczął pedałowac, nie wściekle, ale silnymi, stabilnymi pchnięciami nóg.

Na ekranie pojawił się prostokąt z ładnymi białymi zawijasami, jak plansza dialogowa w starych niemych filmach. Zawierał słowa: *Rajd wiosenny 2008*.

Kamera cofnęła się, żeby ukazać kolejnych ośmiu rowerzystów, wszystkich w kaskach, wiatrówkach i czarnych elastycznych spodenkach sięgających kolan. Jechali gęsiego po dwupasmowej szosie. Obraz był chwiejny, pewnie z kamery ręcznej albo zamontowanej na kasku osoby pedałuującej na końcu stawki.

Mama nigdy nie wykazywała żadnego zainteresowania kolarstwem. Nie mogłam pojąć, co jej się tak spodobało w tym filmie.

Grupa minęła budynek mieszczący pocztę i sklep spożywczy: stary, z czerwonym samochodowym fotelem na werandzie i czerwonym plastikowym kajakiem przymocowanym do frontowego okapu.

Kolejna plansza z tekstem głosiła: *Barnet, stan Vermont.*

Odczytałam słowa na burcie kajaka. I nagle się wyprostowałam.

Z przyspieszonym tętnem obserwowałam, jak rowerzyści przejeżdżają przez wąską rzekę po zielonym metalowym moście. Kolejna plansza: *Rzeka Passumpsic.*

Dwie minuty pedałowania przez gęsty las liściasty z domieszką sosny, po czym niezdarnie zmontowany filmik ukazał grupkę ludzi stojących na poboczu, ze śmiechem wskazujących deskę przybitą do drzewa nad ich głowami. Widniały na niej cztery wyblakłe litery. ORNE. Ten sam podniszczony znak, który zapowiadał dom Corneau.

ORNE. Podobał im się ten napis, ponieważ jego pozostałość odpowiadała akronimowi ich klubu. Overland Riders of Northern Essex.

Gdy powód rozbawienia został już zarejestrowany, w kadrze pojawił się nagle samochód wyjeżdżający z drogi na lewo od znaku. Za kierownicą widać było samotną sylwetkę.

Wóz się zatrzymał, jego drzwi się otworzyły. Ktoś wysiadł i podszedł do rowerzystów. Kamera skierowana była teraz cały czas na tę postać, niewątpliwie trzymano ją w ręku. Nie dostrzegłam twarzy, lecz język ciała wskazywał, że kierowca jest zły.

Kolejny prostokąt: *Nieprzyjazny tubylec!*

Postać odwróciła się w stronę kamery. Krzyczała i wymachiwała ramionami.

Poczułam, że ogarnia mnie mróz sięgający szpiku kości.

## Rozdział 38

Odtwarzałam tę scenę nieustannie, raz po raz. Zatrzymałam obraz. Przyglądałam się rysom twarzy, kształtowi ciała, chcąc zyskać pewność. Miałam nadzieję, że się mylę.

Nie myliłam się.

Nie było sensu pokazywać tego filmiku Slidellowi. Ta twarz nic dla niego nie znaczyła.

Tak jak dla Ryana.

Drżącymi rękoma wysłałam link na północ, potem wcisnęłam wybieranie ostatniego numeru przychodzącego. Slidell odebrał po dwóch sygnałach.

– Tawny McGee była na farmie Corneau – powiedziałam, okrążając pokój.

Zapadła cisza. Slidell przepuszczał to imię i nazwisko przez swoje zwoje mózgowo.

– Ta mała, którą Pomerleau trzymała w piwnicy?

– Tak. – Opowiedziałam mu o filmiku.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna.

– Jezu kurna Chryste. Jak na to wpadłaś?

– Powiem ci później. – *Po tym, jak mama mi to wyjaśni.*

– Co McGee tam robiła?

– A skąd mam wiedzieć, do cholery?

– Sądzisz, że to ten „facet”, którego widział mechanik?

– Jest wysoka.

– A może tym wielkim kolesiem był Ajax i mamy trójkącik?

– A może to był jakiś inny koleś. – Oparłam gburowato, ale miałam już dość poczucia ciągłego skołowania. – DNA znalezione na kurtce Leal wskazuje, że sprawca jest mężczyzną.

– Trzeba pogadać z tą McGee.

– Myślisz?

– Mogłabyś powiększyć to zdjęcie i je wydrukować? – zapytał Slidell.

– Twarz wyjdzie zbyt rozmazana. Ale matka McGee ma jej stosunkowo świeżą fotkę. Załatwię.

– A ja roześlę list gończy. Niech Rodas zrobi to samo w Vermoncie.

– Wydaje mi się, że McGee żyje pod zmienionym nazwiskiem. Szukając jej, Ryan kopał dość głęboko.

– Jak się dostała do Vermontu?

– Nie wiem. Może posłużyła się Lutherem Dew z ICE? – Był to akronim Wydziału Imigracyjno-Celnego amerykańskiego Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Slidell ni to się zaśmiał, ni to zachnął.

– Tym facetem od zмумifikowanych kundli?

Kiedyś pomagałam Dew rozwiązać sprawę przemytu bardzo starych przedmiotów, w tym zмумifikowanych peruwiańskich piesków. Slidell nigdy nie ma dość żarcików z owych psich zwłok. Ten zignorowałam.

– Film dowodzi, że McGee była na farmie Corneau w roku dwa tysiące ósmym. Nie jestem pewna, kiedy paszporty stały się obowiązkowe podczas podróży między Stanami

Zjednoczonymi a Kanadą. Ani jakie rejestry kiedyś prowadzono.

– Zajmę się tym jutro z samego rana.

– Po co czekać? – Mój wzrok przeskoczył na zegar: 22.27.

– No pewnie. Gdybym teraz zadzwonił do Dew, facet dostałby zawału.

Trzy piknięcia. Slidell się rozłączył.

*Cholera!*

Do kogo zatelefonować najpierw? Do mamy czy do Ryana?

Mama o tym zdecydowała. Odebrałam jej telefon i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zaatakowałam ją pytaniem.

– Jak znalazłaś to wideo?

– Kochanie, dobre maniery wymagają, żeby się przywitać.

Wzięłam głęboki oddech.

– Cześć, mamó. Jak się miewasz?

– Dobrze, dziękuję.

– W jaki sposób odkryłaś ten film na YouTube?

– Czy to nie jest ta sama farma, na której ukrywała się owa straszna kobieta?

– Owszem. Jak ją znalazłaś?

– Ojej. Chcesz posłuchać pełnej wersji?

– Tylko jak do tego doszło.

– To nie było skomplikowane. Wymagało jednak wielu godzin oglądania jakichś pozbawionych smaku bzdur. Pewien niemły głupiec umieścił nawet klip, na którym dziennikarz doznaje udaru w samolocie. I...

– Ale jak do tego dotarłaś?

– Nie musisz być tak obcesowa, Tempe. – Karcące pociągnięcie nosem. – Wpisywałam w Google różne wariacje słów kluczowych, oczywiście. Corneau. Vermont. Hardwick. St. Johnsbury. Jeden link prowadził do kolejnego, ten do następnego. Przedzierałam się przez nowe dane, które nie miały końca, oglądałam nieprzeliczone zdjęcia klonów, galerii handlowych i pokrytych śniegiem kampusów uniwersyteckich. Wiedziałaś, że maskotką Uniwersytetu Vermont jest kuguar? To taki...

– Wielki kot. Mów dalej.

– W końcu natrafiłam na drugi z serii pięciu filmików na YouTube, dokumentujących wycieczkę rowerową studentów pewnego college'u. W tytule pojawiło się St. Johnsbury. Obejrzałam ten klip, który był – muszę powiedzieć – niemiłosiernie nudny. Przeszłam do trzeciego. Patrzyłam na grupkę pozującą na poboczu drogi i wtedy nad ich głowami zobaczyłam ten znak z brakującymi literami.

– Wiedziałaś o farmie Corneau?

– Mówiłaś mi o niej, kiedy tu byłaś. – W jej głosie delikatnie pobrzmiwały zdziwienie i protekcyjność. – Most. Rzeka Passumpsic. Połamany znak.

Pamiętałam te bezustanne pytania mamy, ale nie przypomiinałam sobie, że bym wdawała się w aż takie szczegóły.

– Coś to pomogło?

– Bardziej, niż sobie wyobrażasz, mamó. Jesteś wirtuozem przestrzeni wirtualnej. Muszę już kończyć.

– *Pour téléphoner monsieur le détective?* – Zamruczała prawie jak kot.

– *Oui.*

Ryan nie odbierał. To mnie tylko nakręciło. Byłam podekscytowana. Chciałam działania. Odpowiedzi. Rozwiązań.

Próbowałam czytać, ale nie mogłam się skupić. Wiedząc, że Ryan oddzwoni, kiedy tylko obejrzy wideo, wzięłam Birdiego i poszłam do łóżka.

Mijały godziny. Leżałam, czując się podminowana i bezradna. Pytałam samą siebie, co mogę zrobić. Nie znajdowałam odpowiedzi.

Około drugiej wreszcie odpłynęłam. Przydałoby mi się więcej snu.

Nazajutrz świat ogarnęło prawdziwe szaleństwo.

Ryan zadzwonił o siódmej rano. Byłam na nogach już prawie od godziny. Zjadłam śniadanie, nakarmiłam kota, przeczytałam propozycję studenckiego projektu. A teraz opowiedziałam mu o wszystkim.

– McGee jeździła chevroletem impalą z dwa tysiące pierwszego roku – rzekł. – Nie tym fordem f-150 zaparkowanym w szopie.

– Możesz odczytać tablice rejestracyjne?

– Nie. Ale były zielone, pewnie z Vermontu.

– Skontaktować się z Rodasem?

– Już to zrobiłem. Poprosi techników o zrobienie powiększenia. Jeśli uda się coś rozpoznać, przepuści numer przez rejestr wydziału komunikacji.

– Zdobądź zdjęcie Tawny od Bernadette Kezerian. Zeskanuj je i wyślij Rodasowi, Slidellowi i mnie mailem.

– Załatwione. Skontaktuję się również ze strażą graniczną z tej strony, zobaczę, czy mają jakieś dane dotyczące przekroczenia przez McGee granicy z Vermontem. Albo z Quebeciem.

Ledwo zdążyliśmy zakończyć rozmowę, gdy w moich drzwiach stanął Slidell. Zapropnowałam mu kawę. Zgodził się. Usiedliśmy przy stole w kuchni. Streściłam mu swoją rozmowę z Ryanem.

– Dew mówi, że nie da się bez.

– Co to znaczy: nie da się bez?

– Od dwudziestego trzeciego stycznia dwa tysiące siódmego roku trzeba mieć paszport, żeby przekroczyć granicę amerykańsko-kanadyjską.

– To dobrze. ICE prowadzi rejestry...

– Dasz mi skończyć?

Usiadłam wygodniej, przyrzekając sobie w duchu być wobec Slidella bardziej cierpliwa.

– To dotyczy lotnisk. Na przejściach lądowych i morskich przepis wszedł w życie dopiero pierwszego czerwca dwa tysiące dziewiątego roku.

– Mało prawdopodobne, żeby leciała taki krótki dystans.

– Właśnie.

– Cholera.

– Taa. Ale mam to. – Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął jakiś wydruk i rzucił na stół.

Rozłożyłam go i przeczytałam. Raport z toksykologii. Podniosłam wzrok, zdumiona wpływającymi z niego implikacjami.

– Znaleźli w fusach wodzian chloralu?

– No. – Chudy wskazał podbródkiem kartkę. – Całe mnóstwo.

– Ajax został podtruty?

– Wątpię, żeby sam zaprawił sobie kawę.  
– Więc sądzisz, że ktoś go znarkotyzował, a potem wsadził do samochodu?  
– To by wyjaśniało umycie kubka i ekspresu. Fusy w koszu na śmieci na zewnątrz. – Slidell zastanawiał się chwilę. – Trochę dziwny wybór, co?  
– Wodzian chloralu?  
– No.  
– Wykryto go u ofiar w Jonestown. – Nawiązywałam do otrucia w 1978 roku ponad dziewięciuset osób w Świątyni Ludu w Gujanie. Masakrę tę zorganizował i przeprowadził dysponujący totalną władzą nad innymi kaznodzieja Jim Jones. – A także u Anny Nicole Smith i Marilyn Monroe.  
Slidell milczał.  
– Ajax zmarł między północą a drugą nad ranem. – Mój umysł wirował od myśli. – Przez całą noc obok domu parkował radiowóz. Grupa obserwacyjna nie widziała nikogo, kto by wchodził do domu albo z niego wychodził do czasu, aż o świcie przyjechała Cauthern.  
– Posesja Ajaxa graniczy od tyłu ze ścieżką biegnącą za Sunrise Court i kilkoma innymi zaułkami w tej dzielnicy. Ten, kto go załatwił, musiał zaparkować przy innej ślepej uliczce, przejść ścieżką, potem dostać się na podwórko i dalej kuchennymi drzwiami.  
– Co by wyjaśniało tę nitkę na żywo płocie. I brud na podłodze.  
W naszych oczach pojawiło się to samo pytanie. Kto? Dlaczego?  
– Powiesz o tym Salter? – spytałam.  
– Niedługo.  
Uniosłam pytająco brwi.  
– Chcę jeszcze raz przycisnąć tę kanalię Yodera.  
– Dlaczego kanalię?  
– Coś mi w nim śmierdzi.  
– To nie jest odpowiedź.  
– Zapytaliśmy Yodera o Leal i Donovan, a potem nagle, sama wiesz, ginie Ajax, a my znajdujemy w jego bagażniku ten cały zestaw. – Slidell przyglądał mi się bardzo długo. – Jakie jest twoje wrażenie? Szukamy tego samego sprawcy?  
– Który zabił dziewczynki i Ajaxa?  
Slidell kiwnął głową.  
– Moje wrażenie mówi mi, że tak.  
– Jasna cholera i wszyscy diabli. Nie mamy nic.  
– Wiemy, że morderca jest mężczyzną.  
Slidell wpatrywał się w swój kubek, jakby odpowiedź pływała sobie w kawie. Nigdy nie widziałam go tak zniechęconego.  
– Sądzisz, że facet jest sadystą seksualnym?  
– Żadna z ofiar nie została wykorzystana seksualnie. – Wcześniej wiele o tym rozmyślałam. – On chyba czerpie satysfakcję z poczucia kontroli, z możliwości manipulowania.  
– Nami czy ofiarami?  
To mi nie przyszło do głowy.  
– I nami, i ofiarami. Zdecydowanie się z nami bawi.  
Slidell wstał. Odprowadziłam go do drzwi.  
– Jak on to robi? – zapytał w progę.  
– Co robi?

– Jest niewidzialny i nie daje nam żadnego punktu zaczepienia.

Siedziałam w swoim gabinecie, sprawdzając e-maile, gdy telefon znów zadzwonił. Rzuciłam okiem na wyświetlacz. *S. Marcus*. Ponieważ nie rozpoznałam nazwiska, pozwoliłam, żeby uruchomiła się poczta głosowa. Po paru sekundach usłyszałam w sekretarce automatycznej głos mojej małej przyjaciółki kociary, Mary Louise. Chciała wpaść po szkole. Coś dla mnie miała.

*Przykro mi, kochanie. Nie dzisiaj.* Dodawszy wyrzuty sumienia związane z Mary Louise do mego poczucia winy wobec Ajaxa, wróciłam do komputera.

Otworzyłam załącznik e-maila od Ryana. Tawny McGee patrzyła na mnie z pokładu łodzi, bryza unosiła jej kołnierzyk i rozrzucała włosy.

– Dlaczego? – wyszeptalam. – Dlaczego pojechałaś do Pomerleau?

McGee nie przestawała wpatrywać się prosto przed siebie pustymi, nieruchomymi oczyma. Była wysoka, miała pełne piersi. Ale nie obnosiła się z nimi, choć wiele innych kobiet płaciło za coś takiego grubą forszę. Chowała je, jakby bagatelizując, pod skromnym golfem.

Przypomniałam sobie dziwne spięcie między Kezerianami. Komentarze Bernadette. I Jake'a.

Tawny nie cierpiała, kiedy ją fotografowano. Nie cierpiała, kiedy ktoś widział ją nago. Z nikim się nie spotykała, nie czuła się dobrze w obecności mężczyzn albo chłopców.

Bernadette powiedziała, że jej córka ma problemy z wizerunkiem swojego ciała. Jake, że jest stuknięta.

Przyglądałam się długim kończynom, wielkim piersiom, twarzy pozbawionej wyrazu. Zastanawiałam się, co się dzieje za tymi pustymi oczami.

Nagle, znikąd, do mojej świadomości dotarła jeszcze inna rozmowa.

Wypowiedzi Ryana na temat Lindahl. Mówił, że terapeutka sugerowała, iż coś jest nie tak.

Gdy gapiłam się na kobietę na ekranie monitora, w moim mózgu powoli ukształtowała się pewna myśl. Pewna ewentualność, choć bardzo mało prawdopodobna.

Z sercem tłukącym się w piersi sięgnęłam po telefon.

## Rozdział 39

Po serii pytań o cel rozmowy i krótkim oczekiwaniu usłyszałam w słuchawce głos:

- Pamela Lindahl.
- Nazywam się Temperance Brennan. Poznałyśmy się kilka lat temu.
- Pracuje pani w laboratorium medyczno-sądowym tutaj, w Montrealu.
- Tak.
- Ale dzwoni pani z Karoliny Północnej. Recepcjonistka mówi, że była pani dość natarczywa.
- Sprawa jest pilna.
- Proszę mówić. – W jej głosie dało się słyszeć czujność świadka koronnego.
- Chodzi o Tawny McGee.
- Tak właśnie podejrzewałam – westchnęła. – Powiem pani to, co już powiedziałam temu detektywowi. Rozmowa o pacjencie bez jego zgody byłaby poważnym naruszeniem kodeksu etyki zawodowej.

Dobra, bez owijania w bawełnę. Bez apelowania do jej poczucia sprawiedliwości. Trzeba z grubej rury.

- Tawny spiknęła się z Anique Pomerleau.
  - Nie rozumiem.
  - Owszem – powiedziałam. – Rozumie pani. Nie mam czasu na gierki.
  - Czego pani chce?
  - Tawny cierpi na zespół niewrażliwości na androgeny, prawda?
- Brak odpowiedzi.

– Nie miesiączkowała w okresie dojrzewania. Wysoki wzrost, duże piersi, obfite owłosienie głowy.

- Wydaje się pani bardzo pewna swojej diagnozy. Po co zatem dzwoni pani do mnie?
- Potrzebuję weryfikacji.
- Przykro mi, ale...

Wypaliłam z grubej rury.

- Niewykluczone, że to Tawny zabiła Pomerleau. I że morduje dzieci.

Po stronie Montrealu zaległa głucha cisza.

- Małe dziewczynki. Jak dotąd cztery. A może sześć.
- Gdzie?
- Czy to ważne?
- Nie.
- Więc?

- Diagnoza, której nie potwierdzam, byłaby niezbędną do czego?

– Na jednej z ofiar, czternastolatce, znaleziono obce DNA. Testy amelogeninowe wykazały, że pozostawił je mężczyzna. Odkrycie to skierowało śledztwo, jak teraz podejrzewam, w niewłaściwą stronę. – Nie komplikowałam całej dyskusji wzmianką o DNA Pomerleau.

- A co ja mam z tym wspólnego?
- Myślę, że się pani domyśla.
- Chwileczkę.



Usłyszałam jakiś ruch i domyśliłam się, że Lindahl zamknęła drzwi.

– Tawny przysłała do mnie po tym, jak przeżyła niewyobrażalny koszmar, o czym pani wie. Nie mogę ujawniać szczegółów, ale pięć lat w tej piwnicy sprawiło, że jej psychika doznała bardzo ciężkiego urazu.

– Dziękuję. – To już coś, na razie.

– Najpierw zajęłyśmy się najpilniejszymi kwestiami terapeutycznymi. Gdy zyskałam jej zaufanie, Tawny się przede mną otworzyła, w końcu zaczęła mówić o swoich zmartwieniach dotyczących jej organizmu.

Lindahl przerwała, żeby pozbierać myśli. Albo opracować strategię ujawnienia tylko tego, co było najbardziej istotne.

– Tawny nigdy nie miała menstruacji, nie wyrosły jej włosy pod pachami ani włosy łonowe. Lekarze przekonywali ją, że to wynik fatalnego odżywiania i ciągłego stresu. Że z czasem wszystko wróci do normy. I pod wieloma względami wróciło. Tawny wyrosła, pojawiły się piersi, ale do innych zmian nigdy nie doszło. Na moją sugestię zgodziła się poddać badaniom. Jeśli sama wybiorę lekarza i z nią pójdę. Co też zrobiłam. – Pauza. – Co pani wie o zespole niewrażliwości na androgeny?

– Znam tylko podstawy. To dysfunkcja rozwojowa, występująca zarówno w okresie prenatalnym, jak i podczas dojrzewania płciowego. Osoby z tym zespołem nie reagują na androgeny, męskie hormony płciowe. Co do podłoża genetycznego, wiem niewiele.

Ostatniego zdania pożałowałam, ledwie wyszło z moich ust. Nie chciałam żadnego wykładu. Zależało mi tylko na ustaleniu jednej rzeczy.

– Zespół niewrażliwości na androgeny wywołany jest mutacją genu AR, który koduje białko zwane receptorem androgenowym. Receptory te umożliwiają komórkom reagowanie na hormony, które kierują męskim rozwojem płciowym.

– Testosteron. – Chciałam czy nie, wykład się jednak odbywał. Wolałabym już przejść do meritum.

– Oraz inne. Androgeny i ich receptory występują zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet. Mutacje genu AR sprawiają, że receptory androgenowe nie funkcjonują prawidłowo. W zależności od poziomu niewrażliwości, dotknięta nią osoba może być pod względem cech płciowych przede wszystkim kobietą lub przede wszystkim mężczyzną.

Stukałam paznokciami w blat biurka, niecierpliwie czekając na to, czego potrzebowałam. Na potwierdzenie, które wyniosłoby mój puls do stratosfery.

– Zespół niewrażliwości na androgen, AIS, przejawia się w bardzo szerokim spektrum. Może występować w postaci kompletnej, zwanej CAIS; wówczas organizm jest całkowicie niezdolny do wykorzystania androgenów. Osoby z CAIS mają żeńskie zewnętrzne cechy płciowe, jednak nienormalnie płytką waginę, a ich owłosienie pod pachami i w okolicy łonowej jest albo bardzo skąpe, albo nie ma go w ogóle. Brakuje im macicy, jajowodów i jajników, w podbrzuszu mają niezstąpione jądra.

– Nie mogą miesiączkować i zająć w ciążę.

– Zgadza się. Łagodniejsza postać choroby, zwana PAIS, występuje wtedy, gdy tkanki organizmu są częściowo wrażliwe na wpływ androgenów. Pacjenci z PAIS, zwanym także zespołem Reifensteina, wyglądają jak normalni mężczyźni bądź normalne kobiety, z dobrze wykształconą pochwą lub mikropenisem, miesiączkowaniem wewnętrznym i normalnym owłosieniem ciała.

– Zarówno u osób z CAIS, jak i z PAIS kariotypem jest 46,XY? – sięgnęłam do jądra

zagadnienia.

- Tak. Choć wyglądają jak kobiety, osoby te są genetycznie mężczyznami.
- A Tawny McGee?
- Tawny wykazuje kompletny zespół niewrażliwości na androgeny.
- Czyli w każdej komórce organizmu ma jeden chromosom X i jeden chromosom Y.
- Tak.

Moje palce zamarły.

- Kto przeprowadzał badania genetyczne Tawny?
- Kolega, który specjalizuje się w tego typu zaburzeniach.
- Wyodrębnił DNA? Ma próbki biologiczne?
- Dostęp do wszystkich jego danych wymaga uzyskania nakazu sądowego.
- Oczywiście. Mogę prosić o nazwisko tego lekarza?

Podawała mi je. Zapisalam sobie.

- Ostatnie pytanie. Jakie odczucia żywiła Tawny względem Anique Pomerleau?
- Naprawdę trzeba o to pytać? – W głosie lekarki usłyszałam coś twardego i smutnego

zarazem.

- Dziękuję, doktor Lindahl. Ogromnie mi pani pomogła.
- Mogę przesłać materiały naukowe o CAIS, jeśli pani chce.
- Dziękuję.

Jakby westchnęła. Potem usłyszałam:

- Wszystko będzie z nią dobrze?

Minęła chwila, zanim odpowiedziałam miękko.

- Nie wiem.

Rozłączyłam się i wybrałam inny numer.

- Jo. – Slidell znajdował się w jakimś hałaśliwym miejscu.
- Możliwe, że zabójczynią jest McGee.
- Ślina mówiła, że nie.

– McGee cierpi na schorzenie, które sprawia, że wygląda jak kobieta, ale jej geny są męskie. –

Był to stopień komplikacji zagadnienia, który Slidell mógł ewentualnie przyjąć.

Ewentualnie. Zapadła bardzo długa cisza.

- Łał, doktoroko. Jeśli chodzi o kości, zawsze wszystko się zgadza z tym, co mówisz. Ale to...

No nie wiem.

- Co masz na myśli? – Czyżby Slidell prawił mi komplementy?

- Kości nigdy nie kłamią. Ale to... To jest popierdzielone.

– Słuchaj, wszystko do siebie pasuje. McGee znała daty porwań w Montrealu. Nienawidziła Pomerleau, a jednak była z nią na farmie Corneau. Jest wysoka, odpowiada opisowi, który podał tamten mechanik.

- Dlaczego mordowała dzieci?

- Matko Przenajświętsza! Zostaw psychoanalizę i znajdź ją!

- Miałaś do czynienia z McGee. Domyślasz się, pod jakim nazwiskiem może się ukrywać?

Zacząłam już odpowiadać, że nie. Zatrzymałam się.

- Pomerleau nazywała siebie Q. McGee była dla niej D.

- Dlaczego?

– Ponieważ była stuknięta! – rzuciłam o wiele za ostro. – Q jak queen, królowa. Królowa Serc. Jeśli chodzi o D, nie pamiętam. – Usłyszałam nagrany głos, wzywający jakiegoś lekarza. – Jesteś

w szpitalu Mercy?

– Dobieram się do Yodera.

– Zostaw Yodera. Szukaj McGee.

Slidell wydał z głębi gardła niezobowiązujący odgłos.

– Mówię poważnie. Znajdź ją.

– Prawdopodobnie posługuje się fałszywym nazwiskiem. Nikt nie zna jej adresu. Nie kupuje za pomocą kart kredytowych. Nie ma konta w banku. Nie ma komórki ani linii stacjonarnej. Abonamentu na autostradę także nie ma. Nie jest ubezpieczona, nie płaci podatków. Nie pozostawia za sobą śladów na papierze i w cyberprzestrzeni. Równie dobrze może być jak Alicja w pierdolonej króliczej norze.

– Jesteś dochodzeniowcem. Dojdź do niej.

Rozłączyłam się i wcisnęłam kolejny klawisz szybkiego wybierania.

– Ryan, słucham.

Opowiedziałam mu o wszystkim, czego się dowiedziałam od Slidella i od Lindahl. O swojej teorii na temat McGee.

– CAIS mogło dać wynik uzyskany metodą Y-STR?

– Tak. A lekarz, który badał Tawny, ma jej DNA. – Podałam Ryanowi nazwisko.

– Zwróć się o nakaz.

– Jakies postępy z tą tablicą rejestracyjną?

– Jeszcze nic.

– Daj mi znać, jak coś wyskoczy.

Mijały godziny. Zapłaciłam rachunki. Rozebrałam choinkę i zdjęłam inne dekoracje świąteczne. Skończyłam następny cholerny raport. Nieustannie sprawdzałam oba telefony. Przecież jasne, że tamci robią swoje.

Zadzwoiłam do Larabee'ego. Do mamy. Do Harry.

Do mnie nikt nie zadzwonił.

Birdie spędzał dzień, drzemiąc albo bawiąc się swoją czerwoną myszką.

Nie mogłam wysiedzieć spokojnie. Nie mogłam się skoncentrować. Kiedy wstałam, żeby się trochę poruszać, nie bardzo wiedziałam, co zrobić z rękoma i nogami. Gdzie patrzeć. Co kilka minut spoglądałam na zegarek.

Wróciło też swędzenie świadomości. Uczucie, że coś przegapiłam. Że moje id zna fakt, którego jeszcze nie dostrzegam.

Wróciłam do dokumentów. Cholernych, nieustępliwych dokumentów. Na pewno gdzieś w tym lesie papierów kryła się odpowiedź. Dowód, że miałam rację. Dowód, że się myliłam.

O czwartej poszłam do kuchni po Oreo i mleko. Pokarm pocieszenia. Kiedy mój wzrok padł na telefon, poczułam ukłucie winy wywołane odrzuconą prośbą Mary Louise.

Czemu nie? Narzuciwszy na siebie kurtkę i szalik, wsunęłam do kieszeni telefon i wyszłam z domu.

Po niebie przemykały ciemne kobaltowe chmury. Powietrze było ciepłe, ale nieruchome i ciężkie od wilgoci. Zbierało się na deszcz.

Mary Louise mieszkała tylko jedną przecznicę od Queens. Drzwi otworzyła jej matka, ubrana w cynamonową bluzę od dresu, który wyglądał na kaszmirowy. Miała brązowe włosy, zaczesane wysoko nad czołem i zabezpieczone turkusowo-srebrną spinką. Przedstawiłam się. Ona również.

Yvonne Marcus mogłaby sprawić, że przy niej orka poczułaby się zupełnie małym stworzeniem. Jej wagę oceniałam na około trzysta funtów. A jednak była piękna,

o bursztynowych oczach i skórze, która nigdy nie zaznała żadnych porowatości.

– Razem z mężem bardzo doceniamy pani uprzejmość względem naszej córki. Ona uwielbia pani kota.

– A on ją.

Rzucając okiem za moje plecy, zaświergotała nagle:

– Nikt nie zaglądał jeszcze pod werandę!

Musiałam okazać zaskoczenie.

– Pewnie uważa pani, że zwariowałam – zachichotała gardłowo. – To z bajki, którą Mary Louise kochała, kiedy była mała. Ona się chowała, ja ją wołałam, wyskakiwała i biegła do nowej kryjówki. Wiem, że teraz jest już o wiele za duża na takie zabawy. – Znów zachichotała. – Ale to wciąż nasz mały sekret.

– Przyszłam zapytać, czy Mary Louise miałyby ochotę na mrożony jogurt w Pinkberry.

– Przecież ona jest u pani.

– Nie. – Ukłucie niepokoju. – Nie ma jej.

– Powiedziała, że wpadnie do pani po szkole.

– Dzwoniła, ale ja nie mogłam się dzisiaj spotkać.

– Bez obaw – rzekła z ciepłym uśmiechem, ale i z nutką niepewności. – Wróci.

– Na pewno?

Wzruszyła ramionami, jakby mówiąc: „Ta moja mała to niezły nicpoń”.

Wracając do domu po własnych śladach, sprawdziłam iPhone’a. Żadnych połączeń.

Na automatycznej sekretarce w przybudówce nie miałam zapisanych nowych wiadomości.

Co się dzieje, u diabła?

O szóstej włożyłam do piekarnika mrożoną pizzę. Yvonne Marcus zadzwoniła, gdy ją wyjmowałam.

– Mary Louise ciągle nie wraca, nie odbiera komórki. Pojawiła się u pani?

– Nie widziałam jej. Domyśla się pani, dokąd mogła pójść?

Pauza. Zbyt długa.

– Pani Marcus?

– Mary Louise i ja troszkę się posprzeczałyśmy dziś rano. Trywialna rzecz, naprawdę. Zamierzała sobie zaczesać włosy do góry w taki śmieszny sposób, a ja nalegałam, żeby zapleść warkocz, jak zwykle. – Jej chichot brzmiał mniej wesoło niż poprzednio. – Najwyraźniej nie chcę, żeby moja córeczka dorosła.

– Robiła to już wcześniej? – Wyjrzałam przez okno. Na zewnątrz było całkiem ciemno.

– Ten mały urwis *potrafi* żywić urazę.

– Chętnie rozejrzę się wokół Sharon Hall.

– Jeśli to nie sprawi kłopotu. Ona często chodzi tam karmić ptaki.

– Nie sprawi. – Właściwie nawet cieszyłam się, że będę miała zajęcie.

Jeden plasterk pizzy z pepperoni i serem i już mnie nie było. Schodziłam cały teren, wielokrotnie nawołując Mary Louise, mój wysiłek nie zdał się niestety na nic.

Zadzwoniłam do domu Marcusów. Yvonne mi podziękowała i ponownie przeprosiła, zapewniła, że nie ma powodów do obaw.

Wróciłam zatem do milczących telefonów i ciszy panującej w mieszkaniu. Do upartych akt.

Do subtelnego pulsowania mojej podświadomości.

Chrzanić akta. Wyciągnęłam się na kanapie w gabinecie. Skrzyżowałam nogi w kostkach. Zamknęłam oczy. Oczyszczałam umysł.

Co takiego się wydarzyło? Co zostało powiedziane? Co przeczytałam? Zobaczyłam? Zrobiłam?

Pozwoliłam faktom i obrazom swobodnie krążyć w głowie. Nazwiska. Imiona. Miejsca. Daty. Akta. Tablice w sali konferencyjnej. Gower. Nance. Estrada. Koseluk. Donovan. Leal. Stare sprawy z Montrealu. Bastien. Violette. McGee.

Mimo że bardzo się starałam, igła na mym podprogowym wskaźniku nie chciała nawet drgnąć.

Rozmowa z Violette'ami. Z Sabine Pomerleau. Z rodzicami Tawny McGee, Bernadette i Jakiem Kezerianami.

W tym miejscu coś zamigotało.

Zdjęcie. Świadomość, że McGee miała CAIS.

Rozmowa z Lindahl.

Iskierka.

To McGee jest sprawczynią. Myśl była rozdzierająca, wiedziałam jednak w głębi duszy, że prawdziwa.

Gdzie ona jest? I kim jest?

Pomyślałam o rozmowach przeprowadzonych wspólnie ze Slidellem.

Hamet Ajax.

Ellis Yoder.

Wyższe ośrodki mózgowe dotknęły czegoś ważnego w nieprzeniknionych głębinach.

Czego?

Alice Hamilton.

Igła drgnęła i podskoczyła.

No dalej. Dalej.

Nędzne mieszkanie przy North Dotger.

Igła uniosła się wysoko i opadła, gdy wszystko wymknęło mi się z głowy.

*Cholera. Cholera. Cholera.*

I nagle, jakby znikąd, usłyszałam komentarz Slidella. Alicja w króliczej norze.

Nazwisko wydrukowane na czasopiśmie. Alice Hamilton.

Nazwisko nabazgrane w dzienniku w piwnicy. Alice Kimberly Hamilton.

Igła wystrzeliła do góry i skierowała się zdecydowanie w prawo.

## Rozdział 40

Ta sama procedura co poprzednio.

Zadzwoiłam do Slidella. Włączyła się poczta głosowa. Zaklęłam. Pozostawiłam mu wiadomość, żeby jak najszybciej wziął dupę w troki i przyjechał.

Zatelefonowałam do Ryana. Udało się. Przedstawiłam mu swoją teorię. Poprosiłam, żeby sprawdził materiał dowodowy z domu przy ulicy de Sébastopol. Aby potwierdził moje przypuszczenia.

Potem czekałam, chodząc. Czy moje domniemane objawienie było jedynie wynikiem frustracji? Skutkiem sugestii? Nieuzasadnionym wnioskiem wywołanym żarciem o króliczej norze?

Nie. Czułam to na samym dnie duszy.

Kiedy komórka się wreszcie odezwała, aż cała się wzdrygnęłam.

– Gdzie ty się podziewasz, do cholery? – warknęłam.

Minęła dłuższa chwila.

– W radiowozie – głos był niski i chrapliwy.

Mój podekscytowany mózg potrzebował paru sekund, by go zanalizować. Hen Hull. Prowadząca dochodzenie w sprawie Estrady.

– Przepraszam. Spodziewałam się kogoś innego.

– Nie zazdroścę temu komuś.

Byłam zbyt nabuzowana, żeby wymyślić jakąś ciętą ripostę.

– Wymagało to trochę roboty, ale w końcu udało mi się zlokalizować Marię Estradę – powiedziała Hull. – Matkę Tii. Mieszka w Juarez i nie ma telefonu. Ale zaraz pod Charlotte, w Rock Hill, jest jakiś jej kuzyn. Mam trochę wolnego czasu, więc się tam wybieram.

– To bardzo chwalebne.

– Sprawę tej małej zlekceważono. Jej rodzina zasługuje na to, żeby się czegoś dowiedzieć z pierwszej ręki.

– Może jednak lepiej się wstrzymać.

– Wstrzymać?

– Uważamy, że to nie Ajax.

– Uważacie?

– To nie był Ajax. I nie popełnił samobójstwa.

Przekazałam jej okrojoną wersję tego, co się stało. Czułam, że z Wadesboro zmierza w moją stronę zimny front.

– Wyniki badań toksykologicznych Ajaxa wylądowały na biurku Larabee’ego dopiero wczoraj. – Próbowałam usprawiedliwić fakt, że o niczym jej nie informowaliśmy. – A z lekarką McGee pogadałam sobie zaledwie dzisiaj.

– Aha.

– Wiem, że powinnam częściej dawać ci znać.

– Tak. – Pauza. – Naprawdę sądzicie, że McGee mogła to wszystko zrobić?

– Terapeutka nie powiedziała tego wprost, ale zasugerowała, że Tawny jest głęboko zaburzona.

Tak jak Slidella, umysł Hull przeszedł od razu do meritum. Praca w wydziale zabójstw tego wymaga. W odróżnieniu od kradzieży czy oszustw, motyw morderstwa często pozostaje niejasny.

– Dlaczego zabijała?

– Nie wiem.

Krótką pauza, po czym Hull znów zabrała głos.

– Może McGee czerpie nieustanną satysfakcję z wrabiania Pomerleau.

– Jeśli realizuje tylko swoje fantazje, to dlaczego wybiera małe dziewczynki? – Zerknęłam szybko na zegarek. Od ostatniego sprawdzenia minęło zaledwie dziesięć minut.

– A może symbolicznie zabija samą siebie. Ma poczucie winy. Ona przeżyła, podczas gdy inne ofiary Pomerleau zginęły.

Mnie też nurtowały te pytania, nie miałam jednak ochoty bawić się w Freuda. Chciałam weryfikacji. Działania.

– Może...

Piknięcie na linii informowało, że mam drugi telefon.

– Chwileczkę. – Nie czekając na zgodę Hull, przełączyłam się. Nie był to ani Ryan, ani Slidell.

Wszelki udawany spokój zniknął.

– Mary Louise nie wróciła do domu. Jest prawie ósma. Coś się musiało stać. O mój Boże! Widuje się różne rzeczy w wiadomościach. O Boże! – Yvonne Marcus była rozgorączkowana. – Dzwoniłam do każdego, kto mi przyszedł do głowy. Do jej nauczycieli, koleżanek. Nikt jej nie widział, odkąd wyszła ze szkoły o wpół do czwartej. Mój mąż jej szuka, ale...

– Pani Marcus...

– Co mam robić? Zadzwoić na policję?

– Czy Mary Louise jeździ autobusami?

– Nie, nie. Chodzi do szkoły Myers Park Traditional. To niedaleko nas, więc pozwalam jej iść na piechotę.

Bezpośrednio obok Sharon Hall.

Poczułam, jak jeżą mi się włoski na karku. Moja dłoń ścisnęła telefon aż za mocno.

– Jestem pewna, że nic jej się nie stało – powiedziałam w kontrolowany sposób. – Ale na wszelki wypadek proszę zadzwonić na dziewięćset jedenaście. Ja też wykonam parę telefonów.

– O mój Boże!

– Wszystko będzie dobrze.

– Powinnam wyjść i...

– Nie. Proszę zostać w domu. Być tam, kiedy Mary Louise wróci.

Gdy znów przełączyłam się na Hull, moje neurony wypluły z siebie przerażającą pstrokaczną obrazów.

Patykowata dziewczynka, która uwielbia modę i kapelusze.

Ruch w cieniu ogromnej magnolii.

Moje zdjęcie, jak mierzę czaszkę.

Dlaczego nie odebrałam wtedy telefonu? Dlaczego nie odpowiedziałam na prośbę dziecka? Jak mogłam być taką egoistką?

– McGee uprowadziła kolejne dziecko.

– Mówisz poważnie?

– Mary Louise Marcus wyszła ze szkoły cztery godziny temu. Nie dotarła do domu.

- Są z nią kłopoty wychowawcze?
- Nie.
- Czyli mało prawdopodobne, żeby uciekła z domu?
- Tak.
- Pasuje do profilu?
- Tak. – Czternastolatka. Jasna karnacja. Długie brązowe włosy z przedziałką pośrodku głowy i warkoczem.
- Usłyszałam, jak Hull wciąga głęboko powietrze.
- Jeśli to McGee, sądzisz, że się z nami bawi? Prowokuje władze?
- Myślę, że tym razem to sprawa osobista – przełknęłam ślinę. – I sądzę, że wiem, gdzie ona jest.

Siąpił drobny deszczyk. Włączyłam wycieraczki na maksa. Nie ze względu na deszcz. Żeby pasowały do rytmu mojego serca.

Zadzwoiłam do Slidella. Poczta głosowa. No jasne.

Chrzanić Slidella.

Zatelefonowałam do wydziału osób zaginionych. Odebrał facet nazwiskiem Zoeller, o którym słyszałam, że jest głupi, ale nie znałam go osobiście.

– Tak. Yvonne Marcus. Dzwoniła dwadzieścia minut temu, żeby zgłosić zaginięcie córki.

– I?

– Mówiła pani, że kim ona jest?

Raz jeszcze wyjaśniłam wszystko.

– Pokłócili się. Mała ogląda pewnie jakiś film, żeby dać mamie nauczkę.

– Uważam, że dziecko może być w niebezpieczeństwie.

– Wszystkie są.

– Co takiego?

Westchnienie z udawaną nadludzką cierpliwością.

– Tej małej nie ma dopiero od kilku godzin. Jest ustalony tryb postępowania. Gdybyśmy szli za każdym podszeptem, to byśmy nadwyrężyli system i w końcu by się posypał.

– Chcę, żeby pan sprawdził pewien adres.

– Jasne. – Zoeller mógłby wydawać się bardziej znudzony, lecz dopiero po wypiciu dzbanka środków uspokajających. – Nie mam tutaj dostępu do danych, ale przekażę.

– Kiedy możecie aktywować alert BURSZTYNOWY?

– Kiedy uprowadzenie jest potwierdzone i uzyskano odpowiednie informacje rysopisowe. – Miał to wyuczone na pamięć.

– Więc proszę wszcząć ten proces teraz – rzuciłam lodowato.

– Proszę pani, właśnie mieliśmy zgłoszenie 10-91 z 10-33.

Przemoc domowa i ranny policjant. Cholera. Teraz nigdy nie uda mi się skłonić go do pomocy w poszukiwaniu Mary Louise.

– Jeszcze zadzwonię.

– Nie mogę się doczekać – Zoeller się rozłączył.

Spróbowałam z Barrowem.

Z Salter.

Czy cały cholerny świat wziął sobie dziś wolne?

Kiedy mknęłam po Queens, mój umysł dokonywał nadludzkich wysiłków w poszukiwaniu



zwyczajnego wyjaśnienia nieobecności Mary Louise. Znalazł kilkadziesiąt. Wszystkie do niczego.

Jechałam dalej przez Providence, skręciłam w Laurel, a potem minęłam Randolph. Na Vail stanęłam sparaliżowana, z wilgotnymi dłońmi na kierownicy. W prawo czy w lewo? Gdzie? Dokąd mogła pójść?

Usłyszałam za sobą klakson.

Ten palant Zoeller miał rację w jednym. Fałszywy trop mógł skierować wszystkie niezbędne do poszukiwań środki i personel w ślepy zaułek.

Znów klakson. Dłuższy. Bardziej nieuprzejmy.

Decyzja.

Skręciłam w lewo, wystrzeliłam na północ, okrążyłam kompleks mieszkalny, a potem zjechałam w uliczkę wiodącą do szpitala Mercy, na pogotowie.

Pod portykiem stały cztery radiowozy policyjne, ustawione niczym gupiki w porze karmienia. Coś tu nie grało, wyglądało dziwnie. Ale co? Sposób ich parkowania? Nie. W strzelaninie, o której wspomniał Zoeller, został ranny gliniarz. Oczywiście, że w pośpiechu samochody pozostawiono byle jak.

Ambulans miał otwarte tylne drzwi. Dwa nieoznakowane sedany. Furgonetki ze wszystkich stacji telewizyjnych w mieście.

Ranny policjant. Nie żyje? O jedenastej podadzą informacje o tym na wszystkich kanałach, poranne gazety będą krzyczeć wielkimi literami. Wcześniej jednak wszystko pojawi się w cyberprzestrzeni i zwróci uwagę każdego wydawcy. Media będą mieć używanie całą noc.

Policja z Charlotte-Mecklenburga zapragnie zemsty za śmierć jednego ze swoich.

Nikt nie zechce poświęcić nawet sekundy moim „podszeptom”.

Rozejrzałam się. Taurusa Slidella nie widać.

Byłam zdana na siebie.

Przesunęłam dźwignię biegów na tryb parkingowy i wyłączyłam silnik. Sprintem przeleciałam przez chodnik, a potem przez drzwi; tętno miałam szybsze od stóp.

Spodziewałam się chaosu. Sanitariuszy krzyczących o niezbędne rzeczy. Lekarzy wydających polecenia. Pielęgniarek spieszących po sprzęt i leki.

Nic z tego. Sytuacja była pełna napięcia, ale opanowana.

Krzesła w poczekalni zajmowali ci sami petenci co zwykle. Zakrwawieni, kaszlący, ćpuny, pijacy.

W grupkach stali umundurowani funkcjonariusze. A także mężczyźni w ciemnych marynarkach i poluzowanych krawatach, zapewne detektywi. Nie znałam żadnego.

Gdy pospiesznie zmierzałam do recepcji, śledziło mnie kilka par oczu, zatroskanych, twardej od gniewu. Do nikogo się nie odezwałam. Nie chciałam przerywać ich czuwania.

Kiedy zadałam pytanie, kobieta za blatem uniosła wzrok. Być może zaskoczona. Może poirytowana. Nie umiałam powiedzieć. Nosiła okulary, które zakrywały połowę jej twarzy. Na identyfikatorze widniało nazwisko *T. Santos*.

Wiedząc, że nie mam tu żadnych uprawnień, przesunęłam jej przed oczyma kartą wejściową do wydziału medyczno-sądowego. Szybko.

Santos rzuciła okiem na zdjęcie, a potem na moją twarz. Miała już coś powiedzieć, gdy podszedł jakiś mężczyzna, cuchnący niemytym ciałem i alkoholem.

– Panie Harker, musi pan poczekać na swoją kolej.

Harker odkasznęła w chusteczkę, poplamioną i mokrą od flegmy.

Santos skierowała Harkera do poczekalni. Spojrzała na mnie i przeniosła kciuk ponad swoim ramieniem.

Ruszyłam spiesznie we wskazanym kierunku. Mój umysł pracował na pełnych obrotach, oczy lustrowały otoczenie. Nadzieja. Lęk. Czy Mary Louise naprawdę tu jest? Dokąd Alice Hamilton zabierała swoje ofiary? Wozila je na tylnym siedzeniu samochodu? W bagażniku?

*Boże, proszę, nie.*

Czułam napięcie całego ciała. Nawet płuc. Bardzo się starałam oddychać równomiernie.

Podobnie jak w części recepcyjnej, w głębi szpitala było stosunkowo spokojnie. Na wózku inwalidzkim pod ścianą siedział jakiś pacjent. Minął go sanitariusz z noszami na gumowych kółkach, które zaszumiały po płytkach podłogi. Dzwonił niewidoczny telefon.

Mijali mnie członkowie personelu ze zdjęciami rentgenowskimi, tackami, na których nieśli próbki do laboratorium, ze stetoskopami zwisającymi z szyi. Wszyscy w fartuchach. Wszyscy efektywni. Wszyscy obojętni na moją obecność.

Jedyną oznakę sytuacji nadzwyczajnej dało się zauważyć niedaleko zasłoniętego boks, trzeciego z całego rzędu po prawej. Pełnił przed nim straż umundurowany policjant. Dochodziły stamtąd różne dźwięki, przefiltrowane przez biały poliester: podenerwowane ludzkie głosy, brzęk metalu, rytmiczne pikanie jakiejś maszyny.

Żał mi było człowieka za parawanem. Kobiety albo mężczyzny, ranionego podczas niesienia pomocy nieszczęsnej żonie bądź dziewczynie, może jej dzieciom. Zmówiłam cichą modlitwę.

Musiałam jednak znaleźć porywaczkę Mary Louise. Albo przekonać się, że jestem w błędzie.

Czując się jak intruz, zaczęłam odsuwać zasłony i wypatrywać twarzy.

Za pierwszą kurtyną leżało jakieś dziecko w stroju Spidermana, ze szwami na czole, wymazane krwią. Mocno trzymała je za rękę kobieta, po której policzkach spływał tusz do rzęs.

Za drugą zasłoną spoczywał mężczyzna z nagą klatką piersiową, oddychający przez przezroczystą tlenową maskę.

Kiedy zbliżyłam się do trzeciego boks, strażnik uniósł rękę. Za nim widać było naprędce zaparkowane nosze na kółkach, pod takim kątem, że tworzyły wyłom w zasłonie.

Skręcając w lewo, do sąsiedniego rzędu, zerknęłam przez otwór.

Zobaczyłam sprzęt. Zakrwawione ubranie. Lekarzy i pielęgniarki w maskach.

Pacjent leżał na noszach, miał poszarzałą twarz, powieki zamknięte, przezroczyste i niebieskie.

Zamarłam w bezruchu.

## Rozdział 41

Stałam jak sparaliżowana. Wpatrywałam się w Beau Tinkera.

Twarz niczym maska śmierci. Nasiąknięta krwią koszula.

Nagle te wszystkie radiowozy przed szpitalem nabrały sensu. Były biało-niebieskie, tak. Ale niektóre należały do SBŚ, nie do policji z Charlotte.

Przez chwilę widziałam tylko przerażającą biel. Pośród niej nazwisko wypisane dużymi, czarnymi literami.

*Prędzej spotkam się z tym koniowałem w piekle, niż się do niego odezwę.*

Zrobiłam krok w stronę strażnika. Rozstawił szerzej stopy i pokręcił głową. Trzymaj się z daleka.

Za lekko rozsuniętej zasłony wyjrzała głowa lekarza. Usłyszałam słowa stłumione przez maskę.

– Zabierzcie stąd wszystkich.

Poczułam, że dzwoni mi w uszach. Oparłam się ręką o ścianę, aby nie stracić równowagi.

Czy to dlatego Slidell nie odbierał moich telefonów? Gdzie on jest? Co on zrobił?

Mijały sekundy.

O moje włosy otarła się jakby ćma.

Odwróciłam się.

Za mną stał Ellis Yoder. Ciastowaty i piegowaty. Niczym szkaradny upiór przywołany przez mój strach.

Blisko. Zbyt blisko.

Strząsnęłam rękę Yodera ze swego barku.

– Ten pacjent z raną postrzałową, o tam – wskazałam głową w stronę Tinkera. – Co się stało?

– Pani pracuje z tym psycholem, detektywem.

– Co się stało temu człowiekowi?

– Niech pani powie palantowi, żeby się odczepił.

– Ten pacjent to agent SBŚ. W jaki sposób doszło do postrzału?

Yoder tylko się gapił.

Minęła jedna tysięczna sekundy. Jedna dziesiąta.

Chwyciłam Yodera za ramię, mocno.

– Wiem, że lubisz wtykać nos w nie swoje sprawy. – Ścisnęłam obwisłe ciało jak w imadle. –

Gadaj, co wiesz, mały plotkarzu.

– Wszyscy jesteście stuknięci. – Yoder próbował się odwrócić. Szarpnęłam go z powrotem.

– W jaki sposób. Został. Postrzelony? – wysyczałam.

– To boli.

– Więc zawołaj pielęgniarkę. – Moje palce zacisnęły się jeszcze mocniej.

– Słyszałem tylko, że zrobił to jakiś inny glina.

Kolejne tyknięcie zegara.

*Mniejsza o Slidella. Mary Louise cię potrzebuje.*

Wolną ręką wyciągnęłam z kieszeni zdjęcie Tawny McGee i pokazałam je.

– Zaprowadź mnie do niej.

Yoder rzucił okiem na fotkę.

– Nie ma jej.

*Dobry Boże, więc miałam rację.*

– Santos z recepcji twierdzi coś przeciwnego.

– Santos nie ma pojęcia, co się dzieje tu z tyłu.

– Na pewno? – Ścisnęłam papier tak mocno, że prawie go zmięłam.

– Mówiłem już... – jęknął.

Moje paznokcie wbiły się głęboko w gąbczasty biceps.

– Na pewno.

W ciszy panującej w samochodzie słyszałam swój własny oddech. Krew tętniącą mi w uszach.

Siedziałam chwilę, przyglądając się otoczeniu. Okrytym porostami cegłom. Pordzewiałemu płotowi i markizom. Zdeformowanym betonowym płytkom.

Żadnego ruchu, poza deszczem, który teraz padał mocniej, bębniąc po dachu i masce samochodu.

Wysiadłam i popędziłam pod wysokie drzewa. Wpadłam do holu.

Na posadzce nie leżało już ani jedno czasopismo.

*Zadzwoń do jej drzwi? Do sąsiada? Myśl!*

Nie ma czasu.

Wyszłam i popędziłam po mokrym trawniku. Przerzuciwszy nogę przez poręcz, spadłam na patio. Kucnęłam i przyłożyłam twarz do mlecznego szkła.

Z korytarza, biegnącego na tyłach mieszkania, sączyło się światło: słabe, ledwo penetrujące mrok. Mogłam rozróżnić zarys sofy, krzesła i telewizora, wyróżniające się w zalegającej ciemności.

Wyciągnęłam rękę ku kłamce. Ku memu zaskoczeniu zasuwka ustąpiła, drzwi cofnęły się o kilka cali. Rozległ się dźwięk, który był dla mnie niczym odgłos gromu w całkowitej ciszy. Zamarłam.

Za moimi plecami zaszumiały koła na mokrym asfalcie ulicy. Szczeknął pies. Właściciel zagwizdał i zwierzę zamilkło.

We wnętrzu mieszkania roztaczał się ocean ciszy.

Czy jest tam Mary Louise? I nasza poszukiwana? Czy jej pokręcony rytuał uwzględnia jakieś preludium, które mogło kupić nam czas? Jak długo trwa? A może dziecko już nie żyje?

Zaczekać na Hull? Podałam jej adres, ale jeszcze nie przyjechała.

*Rusz się!*

Naciskając obiema dłońmi, przesunęłam drzwi o kolejne sześć cali. Czekałam, wszystkie zmysły mając napięte do ostatnich granic. Potem, ciągle skulona, wpełzłam do środka.

Niczym zwierzę szukające kryjówki, skierowałam się w kąt. Mrugałam oczyma, aby przyzwyczaić wzrok do ciemności. Nasłuchiwałam.

Nic poza szumem silnika. Biciem mojego serca.

Wstałam i przycisnęłam plecy do ściany. Prześliznęłam się do korytarza i wyjrzałam za róg.

Dwa metry dalej zobaczyłam łazienkę, pustą i ciemną. Światło sączyło się spod drzwi z lewej strony.

Mój zalany adrenaliną mózg wy dobył z siebie jedną rozsądną myśl. Przecież nie mam broni. Jeśli ona jest uzbrojona, będę bez szans.

Z walącym sercem wycofałam się do salonu i weszłam do kuchni. Z okna nad zlewem padało

na naczynia brzoskwiniowe światło. Sygnalizacja drogowa. Dziwne, ale grupka komórek w moim mózgu zanotowała ów fakt.

W pierwszej szufladzie znajdowały się ściereczki, w drugiej bezładna mieszanina sztuców. Ostrożnie pogrzebałam wśród nich.

Bingo. Nóż do warzyw.

Delikatnie wyciągnęłam go z szuflady i położyłam na blacie.

Wydobywszy telefon, spróbowałam napisać esemesa do Hull.

Palce odmawiały posłuszeństwa komendom mojej kory mózgowej. Były odrętwiałe. Jakby znieczulone zimnem bądź środkiem anestetycznym.

*Otrząśnij się!*

*Wdech.*

*Wydech.*

Udało mi się napisać trzy wyrazy. I adres. Nacisnąć „wyślij”. Schowałam telefon do kieszeni. A potem, z ostrzem skierowanym do tyłu i w dół, zakradłam się z powrotem do holu.

Przez ościeżnicę i dolną krawędź drzwi przebijało się światło. Żółte, nieruchome. Żarówka o niskiej mocy, nie świeczka.

Kurcząc swą postać do minimum, zaczęłam powolutku posuwać się do przodu. Dwa kroki. Przerwa, nasłuchiwanie obecności innej osoby.

Tylko szum lodówki i perkusja deszczu.

Trzy kroki.

Kolejne trzy.

Zaciskając mocniej dłoń na trzonku noża, pokonałam ostatnie pół metra. Stałam obok drzwi i przycisnęłam plecy do ściany.

Każdy mój nerw był napięty do granic możliwości. Wyciągnęłam wolne ramię i pchnęłam drzwi wnętrzem dłoni. Obyło się bez filmowego skrzywienia jak u Hitchcocka. Drzwi zmieniły jedynie kąt nachylenia, bezszelestnie przesuając się na zawiasach. Jakby w zwolnionym tempie ukazał mi się pokój. Zlustrowałam jego wnętrze.

Podwójne łóżko, całe różowe. Komoda z lampką z motywem baleriny. Bujany fotel, pełen wypchanych zwierząt i lalek. Biurko. Nad nim tablica korkowa ze zdjęciami, wycinkami z gazet i rzeczami do zapamiętania.

Pomieszczenie wyglądało na pokój nastolatki.

Moje oczy starały się przebić czernią zalegającą w kącie sypialni, pod komodą i biurkiem. Zajrzeć pod falbany narzuty na łóżku. Zauważyłam drzwi, zapewne od szafy.

Nasłuchiwałam ludzkiego oddechu. Miękkiego szeptu tkaniny.

Niczego nie usłyszałam. Pokój był pusty.

Moje spojrzenie znów omiotło wnętrze. Tym razem wolniej. Spoczęło na korkowej tablicy.

Mózg dokonał powiększenia obrazu, jak w kinie.

Coś zacisnęło mi się w piersi.

*Nie!* Pomyliłam się. To tylko złudzenie optyczne spowodowane słabym oświetleniem.

Potrząsnęłam głową. Jakby to mogło w czymś pomóc.

Zaciskając mocniej zęby na dolnej wardze, podeszłam do tablicy i zagapiłam się na zdjęcie.

Anique Pomerleau patrzyła na mnie z beczki, wzrok miała pusty, jasne włosy otaczały jej czaszkę niczym całun.

Bezwiednie zrobiłam krok w tył. Może po to, żeby odsunąć się od zła, jakie wyczuwałam. Może, by nie zdeptać śladów.

Pośrodku biurka leżało jakieś pudełko. Stare, rzeźbione, gałka na pokrywie pociemniała od dotyku wielu rąk. Albo tylko jednej.

Starając się uniknąć bezpośredniego kontaktu, wcisnęłam koniuszek noża do wąskiej szpary otaczającej pokrywę i uniosłam ją. Potem, szybko jak błyskawica, złapałam pokrywę od strony wewnętrznej i szarpnęłam.

Pudełko było pełne. Zbyt pełne, by można było zobaczyć, co jest na samym spodzie. Lecz widok jednego przedmiotu sprawił, że krew uderzyła mi do głowy.

Na samym wierzchu leżał baletowy pantofel. Pod względem rozmiaru i koloru pasował idealnie do tego, który znaleźliśmy w bagażniku samochodu Hameta Ajaxa. Kiedyś należał do Lizzie Nance.

Spczywał na dwóch fotografiach. Jedna przedstawiała mnie w fartuchu laboratoryjnym dokonującą pomiarów czaszki. Druga, jak wchodzę do swojej przybudówki w Sharon Hall. Do mego domu.

Kołowrót myśli. Emocji. Lęku. Gniewu. Głównie gniewu.

Gdzie jest Slidell?

Gdzie jest Hull?

Zamknęłam oczy. Poczułam ciepło po wewnętrznej stronie powiek.

*Żadnych łez! Wezwij pomoc. Znajdź Mary Louise!*

Za pomocą iPhone'a zrobiłam dwa zdjęcia. Potem, przestając się już skradać, wróciłam do kuchni, położyłam nóż na blacie, wzięłam swoją kurtkę i okręciłam ją wokół dłoni. Głęboki oddech. Otworzyłam lodówkę.

Lizaki lodowe. Paluszki rybne. Bajgle. Lasagne.

A także woreczki marki Ziploc, zawierające włosy i tkanki. Fiolki ze zlodowaciałą krwią.

Mój żołądek wykonał ćwiczenie gimnastyczne. Usta zalała mi gorycz. Odwróciłam się wokół własnej osi i zrobiłam dwa niepewne, chwiejne kroki. Oparłam się o zlew ręką owiniętą w kurtkę.

Gdy mdłości minęły, uniosłam wzrok na okno. Zobaczyłam zniekształcone przez deszcz odbicie własnej twarzy.

Światła drogowe tkwiły za szkłem nie dalej niż pięć stóp. Przez ich zamglony blask przebiegały ukośnie linie energetyczne, rzucając pajęczne cienie na skrawek żużlowego podwórka poniżej.

Na pasiasty kapelusz z obwisłym rondem, z pomponem na wierzchu.

## Rozdział 42

Szok przekształcił się w żądzę krwi, o którą nigdy bym siebie nie podejrzewała. W dziką nienawiść, jakiej jeszcze nie doświadczyłam.

Chciałam dorwać tę sukę.

I wiedziałam, gdzie ją znaleźć.

Zdjęcie w pudełku.

Czy popełniła błąd? A może był to apel, by skończyć z tym szaleństwem? Albo przynęta, żeby wciągnąć mnie w śmiertelną pułapkę?

Było mi wszystko jedno. Wiedziałam, że przyjechała tutaj dla mnie. Znow wysłałam esemesa do Hull.

Po paru minutach od wyjścia z mieszkania przy Dotger skręciłam samochodem w wąską ulicę, biegnącą za Sharon Hall. O dwudziestej drugiej panowała tu grobowa cisza.

Wyłączyłam silnik i wypadłam z wozu. Deszcz zacinał mi w twarz, kiedy biegłam podjazdem, a potem przez podwórko na tyłach. Wreszcie znalazłam się w pobliżu domu.

W miejscu, gdzie przepchnęłam się przez żywopłot, ceglane budynki stały nieco z dala od siebie, w rzędach po trzy, tworząc dwa boki kwadratu. Jego wnętrze stanowił betonowy parking.

Zatrzymałam się, by złapać oddech i szybko zlustrować otoczenie. Pięć samochodów. Wśród nich chevrolet impala z 2001 roku. Brązowy.

Jest tutaj!

Ale gdzie dokładnie?

Główny budynek znajdował się po mojej lewej. Na wprost, za jego dwoma skrzydłami i tylnym podwórzem, stała wozownia. Obok niej przybudówka.

Czy McGee będzie aż tak złośliwa, żeby przynieść swoje szaleństwo do mego domu?

Badałam wzrokiem cienie zalegające wśród drzew i krzewów.

Deszcz wsiąkał w moje włosy i spodnie. Kurtka przylegała do koszuli niczym naskórek.

Obejść od frontu? Po ceglanej ścieżce wzdłuż tyłów posesji?

Czekać na wsparcie? Jak długo?

W obawie, że obecność mężczyzny mogłaby spowodować u Tawny McGee niekontrolowany atak psychozy, nie zadzwoniłam pod 911. Czyżbym popełniła błąd, licząc na Hull? Dostała mój drugi esemes z tym adresem? Może już tu jest? Czy w ogóle może podejmować działania w tym okręgu?

Zimne włosy ściśle przylegały mi do czaszki, skóra pod koszulą wydawała się oślizła. Nie od deszczu. Od adrenaliny wypełniającej każdy układ organizmu.

Chrzanić to.

Pobiegłam sprintem przez ulicę. Okrążyłam tył posesji, znalazłam się na ścieżce, obok wiecznie zielonego dębu rosnącego dokładnie naprzeciwko przybudówki.

Na patio, na bocznym dziedzińcu, tam, gdzie zaparkowałam, nie było nikogo. W wozowni również.

Nagła retrospekcja.

Ruch pod gigantyczną magnolią.

Z walącym sercem pobiegłam na trawnik od frontu.

I zobaczyłam ją obok drzewa, przed ceglanym murkiem.

Sięgnęłam do kieszeni po nóż.

*Atakuj!* – krzyczała każda komórka pnia mojego mózgu.

*Zaczekaj!* – stopowała ją racjonalna część kory mózgowej.

Ciężko dysząc, spocona, pozwoliłam wyższym ośrodkom mózgowym przeanalizować sytuację. Przekształcić zwierzęce instynkty w racjonalność.

Mój oddech zwolnił. Serce przestało walić w żebra. Rozszerzone źrenice zaczęły rejestrować szczegóły.

Stała tyłem do mnie, nie widziałam więc jej twarzy. Wysoka i szeroka w ramionach. Z długą szyją, szczupłymi nogami. W wysokich butach.

W rękę trzymała jakiś przedmiot. Inny, większy, leżał u jej stóp.

Ponad i wokół McGee błyszczała, niczym czarny lód, mokra wieża z liści. Tu i ówdzie jej matowe, nieprzeniknione dolne warstwy prezentowały się naprawdę posepnie.

Jeden głęboki oddech. Zaczęłam przemieszczać się zygzakiem od drzewa do drzewa, starając się stąpać po trawie jak najciszej. Zazdrośnie strzegłam atutu zaskoczenia.

Kiedy między nami został już tylko wiecznie zielony dąb, zacisnęłam palce na nożu w śmiertelnoścym uchwycie. Sprawdziłam dłoń.

Nie drżała. To dobrze.

Gdy mój umysł przebijał się przez różne możliwości, McGee kucnęła i pochyliła się nad przedmiotem leżącym na ziemi. Ruchy jej głowy wskazywały, że coś mówi, ale do miejsca, gdzie stałam, nie docierały żadne słowa.

Przedmiot na ziemi zmienił kształt.

Sięgnęła do niego.

Obiekt przekreślił się i uniośł niczym pęd rośliny na zwolnionym obrazie.

Usiadł.

Rozżarzona do białości furia zaatakowała mój mózg jak rój wściekłych os.

Chrzaniąc wszelką ostrożność, ruszyłam do przodu.

– Alice – zawołałam głośno. – A może Kim?

Na dźwięk głosu obie głowy skierowały się w moją stronę. Jedna szybko, druga powoli, jakby oszołomiona. Albo znarkotyzowana. Z ciemności patrzyły na mnie dwa blade owalne kształty.

– Więc jak, Tawny? – Byłam cała gorąca od adrenaliny. – Zabiłaś ją, żeby ukraść nazwisko?

Tawny McGee wyprostowała się na całą wysokość i przyglądała mi się w milczeniu.

– A może po prostu podobało ci się, jak brzmi? Alice Kimberly Hamilton. – Opanowanie w moim głosie zaskoczyło mnie samą.

– Odejdź stąd.

– Nie ma mowy.

Zrobiłam kolejny krok. Owal nad łądogowatą szyją zaczął nabierać szczegółów. Oczy. Nos. Usta. Ta sama twarz, którą widziałam w ramce z macicy perłowej.

Nie potrafiłam odczytać jej wyrazu. Być może było to zaskoczenie. Albo strach. Gniew. Może nic.

– Imię Kim znajdowało się w dzienniku pozostawionym na rue de Sébastopol. Przetrwiał pożar, który wzniciła Pomerleau.

Brak reakcji.

– Czy Kim była z tobą w tej piwnicy? Kto ją zamordował: Pomerleau czy ten jej pomocnik?

Nic poza łomotaniem deszczu.



- A może ty? Wyśledziłaś Kim i ją zabiłaś?
- Nigdy nie zrobiłabym jej krzywdy.
- Gdzie ona jest?
- Kochałam ją. – Jej oświadczenie dotyczące uczuć pozbawione było wszelkich uczuć.
- Gdzie ona jest? – powtórzyłam zimno.

Możliwe, że odpowiedziała. Lecz dokładnie w tym momencie trwającej ciszy Mary Louise jęknęła. Przypominało to miauczenie kociaka.

- Pozwól dziecku przyjść do mnie.
- Nie.
- Ale już – rzuciłam tonem ostrym niczym diamentowe ostrze.
- Nie mogę.
- Dlaczego?
- Ją też kocham.
- Nie znasz jej.
- Ona nie może przejść przez to, przez co my przeszliśmy. Przez co przeszła Kim.
- Gdzie jest Kim?
- Umarła – odpowiedziała obojętnie.
- W piwnicy?

Znów żadnej reakcji.

- Zabiłaś Anique Pomerleau?
- Kochałam ją.
- Torturowała cię.

Oczy McGee wpatrywały się we mnie bez mrugnięcia, niczym dwa tunele prowadzące do krainy zła. Lub szaleństwa. Jej szczęki rozluźniły się, gdy wycofała się w głąb własnego umysłu. Minęło kilka sekund.

Wyczuwając zmianę napięcia, Mary Louise podniosła kolana wyżej i wsparła się na obcasach. McGee położyła dziewczynce rękę na głowie, powstrzymując ją.

- Dość. Bo się pobrudzisz.
- Puść mnie – powiedziała Mary Louise, na poły błagalnie, na poły wyzywająco.
- Zaraz.
- Nie lubię cię. Chcę iść do domu.
- Niżej – McGee nacisnęła ją delikatnie.

Kiedy Mary Louise znów się położyła, w noc popłynął jej przerywany szloch.

Słyszając go, McGee napięła mięśnie i spojrzała w dół, na coś, co trzymała w ręku. Przez chwilę moje serce przestało bić. Czyżby miała broń? Pistolet?

Wyobraziłam sobie, jak ostrze mojego noża przebija jej ciało. Jej kości. Miażdży szpik. Czarna jama napełnia się krwią. Nie chciałam pchnąć tej kobiety. Ale zrobiłabym to. Dobry Boże, zrobiłabym to.

McGee przekroczyła granice wyznaczone przez jej dotychczasowy wzorzec postępowania. Może z powodu presji wywieranej przez Slidella. Może przez Ajaxa. To nie było ważne. Liczył się sam fakt, że wszystko wymykało się jej spod kontroli.

Jeśli jest uzbrojona, to czy strzeli do osoby znajdującej się najbliżej? Czy do tej, która zepsuła jej zabawę? Zdołam zadziałać odpowiednio szybko? Zneutralizować ją, zanim skrzywdzi Mary Louise?

Puste wejrzenie. Nieobecny głos. Bałam się, że najdrobniejsza rzecz popchnie ją do czynu.

Lepiej grać na zwłokę. Zaczekać na Hull.

Chyba że McGee zrobi ruch pierwsza.

Chyba że.

– Jesteś uzdrowicielką, Tawny. Nie zabójczynią.

– Jestem wariatką.

– Nie. Nie jesteś.

– Skąd to możesz wiedzieć?

– Rozmawiałam z doktor Lindahl.

– Ona jest do niczego.

– I z twoją matką.

– Moją matką? – Jej reakcja przypominała strzał z biczka. – Z tą suką, która mnie nawet nie szukała? Suką, która się po prostu przeprowadziła, żeby zacząć od początku?

– Szukała cię. – Staralam się pozbać swój głos wszelkich emocji.

– Nie na tyle, żeby mnie znaleźć.

– Ona...

– Przestań, kurwa, gadać o mojej matce! – Usłyszałam pierwszą nutkę hysterii.

Szybka zmiana taktyki.

– Pomagałaś tym dziewczynkom. – Wymieniałam ich imiona powoli, niczym uspokajającą mantrę. – Nellie. Lizzie. Tia. Shelly. Sprawiałaś, że stały się ładne. Dopilnowałaś, aby nie cierpiały.

– Nikt nie powinien cierpieć – odrzekła niemal szeptem. – Nikt nie powinien umierać w ciemnościach.

Była niczym tratwa na spienionej wodzie. Rozchwiana, wirująca. Bardzo niestabilna.

Gdy zastanawiałam się gorączkowo nad tym, co należy teraz powiedzieć, moje oczy dostrzegły jakiś błysk w cieniu lekko na prawo ode mnie.

Nietoperz? Ptak? Moja wyobraźnia? Nie umiałam stwierdzić. Był tam, a potem zniknął.

– To dziecko nazywa się Mary Louise – spróbowałam personalizować ofiarę.

Brak reakcji.

– Po co przyprowadziłaś tutaj Mary Louise?

– Dla ciebie.

– Nie rozumiem.

– Ty mnie wyciągnęłaś.

– Z tamtej piwnicy.

– Mówiłaś, że nie jestem tylko zwierzęciem w klatce. – McGee padła na kolana i przycisnęła do piersi przedmiot, który trzymała. Wolną ręką pogłaskała Mary Louise po włosach. – Ona nigdy nie będzie zwierzęciem w klatce.

W ciemności, ponad nosem Mary Louise, zobaczyłam dwa maleńkie białe półksiężyce. Wiedziałam, że ma oczy szeroko otwarte ze strachu.

Moje palce zacisnęły się na nożu. Zrobię to. Zrobię.

– Gdzie ją zostawisz? – Delikatnie przesunęłam jedną stopę po trawie. Potem drugą, żeby się z nią zrównała.

– Tutaj. W słońcu.

– Tutaj są psy. – Wykonałam kolejny cichy krok do przodu.

Brak odpowiedzi. McGee zastanawiała się nad tym, co powiedziałam. Albo nad swoim następnym posunięciem.

– Musisz znaleźć bezpieczniejsze miejsce – rzekłam.  
– Gdzie? – Wciąż głaskała dziecko, które zamierzała zabić.  
– Nikt nie zagląda pod werandę.  
Mary Louise zamrugła, wyraźnie spanikowana. Uniosłam jeden palec. Czekaj.  
– Nie – powiedziała McGee. – Nie w ciemności.  
Kolejny krok przybliżył mnie na odległość dwóch jardów.  
– Słońce zawsze przebija się między deskami.  
McGee odwróciła się gwałtownie, zaskoczona moją bliskością.  
– Wracaj! – Wyprostowała się nagle.  
– Wypuść ją.  
– Nie.  
*Teraz albo nigdy.*  
– Nikt nie zagląda pod werandę! – wrzasnęłam.  
Stały się trzy rzeczy.  
Rzuciłam się na McGee.  
Mary Louise przeturlała się, a potem uciekła na czworakach.  
Z cienia pod murkiem wyskoczyła jakaś postać.  
Hull i ja uderzyliśmy McGee w tej samej chwili.  
Zneutralizowanie jej zajęło trzydzieści sekund.  
Znalezienie i zabranie Mary Louise kolejne dziewięćdziesiąt.

## Rozdział 43

Od tamtego czasu Ziemia obróciła się wokół własnej osi czternaście razy. Charlotte cieszyło się jednym z tych szczęśliwych okresów w środku zimy, które sprawiają, że człowiek czuje się wdzięczny, mieszkając na Południu. Niebo wyglądało jak bezkresna błękitno-złota kopuła, temperatury oscylowały wokół dwudziestu kilku stopni.

Mary Louise wybrała mango z kawałkami truskawek i ananasa, orzechami, rodzynkami oraz tysiakiem innych lepkich rzeczy. Była to naprawdę imponującej wielkości porcja.

Zabrałyśmy nasze mrożone jogurty do małego żelaznego stolika w Phillips Place Pinkberry i przyglądałyśmy się ludziom robiącym poświęteczne zakupy w poszukiwaniu promocji i nikomu niepotrzebnych prezentów. Bawiłyśmy się w zgadywanie, który artykuł każde z nich prawdopodobnie zwróci. Pomysły dziewczynki były znacznie lepsze od moich.

Całe minione dwa tygodnie technicy kryminalistyki przeszukiwali mieszkanie przy Dotger. W lodówce znajdowało się to, co podejrzewałam. Krew. Skóra głowy. Waciki ze śliną. Testy DNA wykazały, że wszystko to należało do Anique Pomerleau.

Kapsułki z wodzianem chloralu znaleziono w nieoznaczonej fiolce w łazience. A także strzykawkę, podkładkę i tłuczek do rozrabiania preparatu z wodą.

W szufladzie w kuchni leżały plastikowe worki z troczkami. Analiza porównawcza wykazała, że pochodzą od tego samego producenta i z tej samej serii co worek, który McGee miała przy sobie w Sharon Hall, aby udusić Mary Louise.

Z szafy w sypialni zabrano fioletowy wełniany płaszcz. Analiza włókien dowiodła, że nić znaleziona na żywopłocie na tyłach domu Ajaxa pochodziła właśnie z tej sztuki odzieży.

Oprócz drugiego pantofla baletowego Lizzie Nance, pudełko na biurku McGee zawierało nowe wycinki z prasy, opisujące morderstwa na Gower, Nance i Estradzie, a także zaginięcie Donovan. I kolejne fotografie mojej osoby.

Mary Louise wyszła z opresji bez szwanku i opowiadała o niej więcej niż chętnie. Idąc wtedy z domu do szkoły, wpadła do mojej przybudówki, żeby dać mi obrazek z Birdiem, który namalowała na lekcji plastyki. Ponieważ nikt nie odpowiadał na jej dzwonienie i pukanie do drzwi, postanowiła poczytać książkę na patio i chwilę na mnie zaczekać.

Ledwo zdążyła się rozgościć, gdy ukazała się jakaś kobieta podająca się za moją przyjaciółkę. Powiedziała dziewczynce, że zachorowałam i prosiłam ją, aby skontaktowała się z Mary Louise w sprawie opieki nad Birdiem, którego ma w swoim samochodzie. Ufając kobiecie ubranej w fartuch pielęgniarki, Mary Louise poszła odebrać kota.

Gdy zmierzały do samochodu, dzieliły się jabłkiem, co dziewczynka zapamiętała. Potem były już tylko „rozmyte fragmenty swawoli na trawniku”. To jej własne słowa.

Jak na ironię, w chwili, gdy Mary Louise została uprowadzona, ja znajdowałam się dwie ulice dalej, w domu państwa Marcus.

W impali Tawny McGee znaleziono resztki jabłka. Analiza toksykologiczna wykazała, że zawierały one wodzian chloralu. Do plasterków owocu wstrzyknięto ów preparat.

Spod przedniego siedzenia samochodu wyciągnięto stary komputer MacBook Pro. Pastori i jego koledzy z działu informatyki bebeszyli go na wszystkie możliwe sposoby, bez ustanku, z wyjątkiem niedziel.

McGee oskarżono o dwa zabójstwa pierwszego stopnia, porwanie, a także kilkanaście innych przestępstw popełnionych na osobach Leal i Nance oraz o porwanie i napaść na Mary Louise. Vermont czekał z postawieniem zarzutów w sprawie Gower. Zastanawiano się, co zrobić z Pomerleau. W kolejce był jeszcze Quebec i oskarżenie o spowodowanie śmierci Violette i Bastien. Pozytywna strona pracy w wydziale zabójstw: brak przepisów o przedawnieniu.

McGee przesłuchiowano codziennie, głównie robili to Barrow i Rodas. Slidell przebywał na przymusowym urlopie, na jaki posyłano każdego policjanta po strzelaninie. Obserwował wszystko zdalnie, tłumiąc gniew i robiąc notatki tak żarliwie, że często łamał przy tym ołówek.

Tinker – którego wypisano ze szpitala Mercy, ponieważ szybko wracał do zdrowia – oraz Slidell podali rozbieżne relacje dotyczące incydentu. Jednak obie te wersje oraz zeznania świadka zgadzały się w opisie kluczowych faktów.

Tinker przebywał w mieszkaniu Verlene Wryzyk, byłej przyjaciółki Slidella, którą akurat się interesował. Miał ochotę pójść w tango, Verlene nie. Poprosiła, żeby wyszedł, ale nie wyszedł. Wzburzona zadzwoniła do kogoś, komu ufała.

Slidell wpadł do domu jak tornado. Tinker, w nadziei, że zneutralizuje Chudego na tyle, by ten zdążył ochłonąć, wyciągnął broń. Zaczęła się bójka, pistolet wypalił. Tinker otrzymał postrzał w ramię.

Slidell odwiedził mnie w wydziale medyczno-sądowym tydzień po aresztowaniu McGee. Bóg jeden wie dlaczego, ale czuł się zmuszony do przekazania mi prawdziwego przebiegu wypadków. Zażądawszy, bym przysięgła na wszystkie świętości, że dochowam tajemnicę, wyjawiał, iż Tinker przyszedł już pijany i agresywny i że to Verlene go postrzeliła.

Oświadczyłam Slidellowi, że jest naiwniakiem, skoro wziął całą winę na siebie. W odpowiedzi usłyszałam tylko „ija”. Najwyraźniej Chudy wciąż coś czuł do Verlene.

McGee zrezygnowała z prawa do obrońcy mimo zapewnień, że sąd postara się o adwokata-kobietę. Barrow i Rodas prawie się posikali z radości.

Obserwowałam większość przesłuchań razem ze Slidellem. Przez cały czas McGee pozostawała zimna i wycofana. Jej szklane oczy były puste, nigdy nie nawiązały relacji z niczym i z nikim w pomieszczeniu.

Przyznała się do kradzieży tożsamości Kim Hamilton. Swobodnie mówiła o dziewczynie, wraz z którą ją więziono. Z którą szeptały w ciemnościach.

W 1998 roku Alice Kimberley Hamilton oraz cztery starsze od niej nastolatki wybrały się potajemnie na wycieczkę z rodzinnego Detroit do Toronto, aby zabawić się w Kanadzie. Wówczas do przekroczenia granicy paszport nie był potrzebny, miała więc ze sobą tylko świadectwo urodzenia schowane w bucie.

Owa sekretna wyprawa okazała się śmiertelnie niebezpieczna, gdyż Hamilton napotkała na swej drodze Pomerleau i Cattsa/Menarda. McGee nie miała pojęcia, po co tamci wybrali się do Ontario. Podejrzewałam, że nigdy się tego nie dowiemy.

Pragnąc, by jedyna rzecz, która łączyła ją z poprzednim życiem, nie wpadła w ręce porywaczy, Hamilton ukryła świadectwo urodzenia w ścianie swojej celi, w szczelinie między drewnem a cementem. McGee poznała sekret Hamilton, przekazany jej szeptem, i zachowała tę informację dla siebie, do ewentualnego wykorzystania w przyszłości.

Hamilton przeżyła w niewoli jedynie dziewiętnaście miesięcy. McGee nie miała pojęcia, co się stało z jej ciałem. W chwili śmierci dziewczyna liczyła szesnaście lat.

Po uwolnieniu, już w trakcie terapii, McGee domagała się odwiedzin w domu przy rue de Sébastopol. Kiedy Lindahl się wreszcie na to zgodziła, Tawny zeszła do piwnicy i znalazła

starannie ukryty dokument Hamilton.

Okazał się użyteczny szybciej, niż McGee się spodziewała. Po ucieczce z domu Kezerianów latem 2006 roku Tawny spędziła tydzień na ulicy, by w końcu spiknąć się z grupą dziewcząt z Uniwersytetu Vermont. Pijane i naćpane, zaproponowały jej wyjazd na południe. Aby przekroczyć granicę drogową, paszporty nie były jeszcze niezbędne, dlatego McGee przedostała się do Stanów Zjednoczonych na podstawie świadectwa urodzenia Hamilton.

Przez kilka miesięcy dekowała się u jednej lub drugiej studentki w Burlington. Korzystając z pieniędzy ukradzionych Bernadette oraz z tożsamości Alice Hamilton, zapisała się na szybki kurs pielęgniarstwa w Internecie i uzyskała certyfikat CNA1.

O farmie Corneau McGee dowiedziała się z podsłuchanej rozmowy między Pomerleau a Cattsem/Menardem. Były to kolejne informacje warte zachowania na przyszłość. Na początku 2007 roku, za reszkę pieniędzy Bernadette – a być może także inne środki pozyskane tym samym sposobem – McGee kupiła starego chevroleta impalę i pojechała do St. Johnsbury. Trudno wyobrazić sobie tamto spotkanie oprawcy ze swoją ofiarą.

Według relacji McGee, przez jakiś czas mieszkała razem z Pomerleau – wyrabiała syrop klonowy i cieszyła się śniegiem. Wszystkie grzechy zostały przebaczone. Pewnej nocy Pomerleau zmarła we śnie. Pełna smutku McGee wyjechała z Vermontu do Karoliny Północnej, aby zrealizować swoje długoletnie pragnienie: chciała mi podziękować w odpowiedni sposób. Dlatego wycinała zdjęcia z gazet.

Nie wiedząc, czy da sobie radę na Południu i chcąc mieć coś w odwodzie, McGee nadal opłacała rachunki za posesję Corneau. Wcześniej Pomerleau zdążyła wprowadzić ją w ten przekręt, opowiedziała o kontaktach w Citizens Bank w Burlington. Lub – co bardziej prawdopodobne – McGee wydobyła z niej te informacje siłą i zachowała sobie na przyszłość.

Podejrzywałam, że prawda o życiu w Vermoncie była zupełnie inna. Że McGee realizowała swoje o wiele mroczniejsze pragnienia. Szukała zemsty. Ostatecznie także krwi. Być może dowiemy się kiedyś, w jaki sposób zatriumfowała nad swoją dręczycielką, jak pobierała od Pomerleau tkanki, jak ją zabiła. A może nie. Wszystko zależy do samej McGee.

Pytana o Gower, Nance, Leal i inne dziewczynki, McGee uciekała się do abstrakcji. Mówiła o aniołach, świetle słonecznym, wiecznym pokoju i bezpieczeństwie. Jedynie wtedy w jej oczach pojawiała się coś miękkiego, odlegle przypominającego ludzkie uczucia.

Pytana, dlaczego Pomerleau znalazła się w beczce, McGee patrzyła pustym wzrokiem.

Pytana o ludzkie tkanki w swojej lodówce, patrzyła pustym wzrokiem.

Pytana o wodzian chloralu, patrzyła pustym wzrokiem.

Pytana o Hameta Ajaxa, patrzyła pustym wzrokiem.

Albo była osobą niesamowicie sprytną, albo kompletną wariatką. Nie potrafiłam się zdecydować.

– Gotowa?

Głos Mary Louise przywrócił mnie rzeczywistości. Myślałam się co do pojemności jej żołądka. Mała dokładnie wyczyściła swój puchar.

– Tak jest, proszę pani – odrzekłam, gniotąc serwetkę.

W samochodzie dyskutowaliśmy o jej najnowszym projekcie. Mary Louise postanowiła wykreować różne nakrycia głowy dla uczczenia wszystkich zamordowanych i zaginionych dziewcząt. Wełniana czapka zrobiona na drutach dla Nellie Gower. Toczek dla Lizzie Nance. Kapelusik w kształcie muszelki dla Shelly Leal. Nakrycie w kształcie klosza z lilijką na wstążce dla Violette i z akadyjską flagą dla Bastien. Pozostałe projekty wciąż się tworzyły.

Mary Louise wiedziała o wszystkim, rzecz jasna. Historia ta dominowała w mediach przez cały tydzień. Leal. Nance. Estrada. Policja z Charlotte-Mecklenburga wygrzewała się w ciepłe obywatelskiego uznania. Jednakże w obsadzie aktorskiej całego spektaklu zaszła pewna zmiana. Na podwyższeniu w czasie konferencji prasowych brakowało Tinkera.

Dzięki atmosferze przyzwolenia i dobrej woli Henrietta Hull uniknęła odpowiedzialności za podjęcie działań poza swoim terenem. Mimo pośpiechu okazała się na tyle bystra, żeby wcześniej poinformować dyspozytora o konieczności wyjazdu do Mecklenburga; zamierzała przesłuchać potencjalnego świadka w swoim śledztwie, który mógł lada chwila wyjechać. Zawiadomiła również miejscową policję, że prowadząc własne dochodzenie, spotyka się z kimś z jej terenu, ale nie potrzebuje wsparcia. Sytuacja ta zdawała się satysfakcjonować wszystkich zainteresowanych, dzięki czemu pozwolono jej czerpać część chwały z wydarzeń, które rozegrały się później.

Mnie proszono o liczne wywiady. Udzielałam ich na wniosek Salter. Dziennikarze chcieli wysondować moje stany emocjonalne. „Co pani czuje w sprawie tych zamordowanych dzieci? Jak pani odbiera fakt ujęcia zabójczynie?” Miałam ogromną ochotę wbić im mikrofony w te starannie wyćwiczone marsy na czołach.

A potem media zajęły się innym tematem.

Zaraz po aresztowaniu McGee Ryan dzwonił dwukrotnie, głos miał nieswój od wyrzutów sumienia. Moje uwagi na temat dziennika znalezionego na rue de Sébastopol oraz o możliwej kolejnej ofierze sprawiły, że zaczął przyglądać się Kim Hamilton. Pracował bez przerwy – porównywał informacje od Lindahl i Kezerianów z danymi otrzymanymi od kanadyjskiej straży granicznej i szukał uczestniczek internetowych kursów pielęgnarskich odbywających się w stanie Vermont. Jeszcze jeden dzień i namierzyłby McGee. Dlatego właśnie został w Montrealu.

Powiedziałam Ryanowi, że postąpił słusznie. Że przecież właśnie w taki sposób pracujemy. Że to nasz modus operandi. Odparł, że powinien być przy mnie. No tak. Przy mnie. Próbowałam w to uwierzyć, ale w głębi duszy podejrzewałam, iż tak naprawdę żał mu było nieobecności w scenie finałowej. Potem już nie dzwonił.

Podwiozłam Mary Louise pod same drzwi. Uściskałyśmy się, a później obserwowałam, jak dziewczynka wchodzi do domu. Minęły dwa tygodnie, jednak poczucie winy nadal wywracało mnie na nice. Być może będzie tak już zawsze.

Następnego dnia wzięłam prysznic, wysuszyłam włosy, założyłam czyste spodnie i białą bluzkę od Elli Moss. Elegancko, ale nie nadmiernie.

Nie mogłam się już doczekać spotkania. I bałam się go. To nie tak, że uratowano mi życie. Otrzymałam jednak wsparcie w sytuacji, którą sama mogłam łatwo spartaczyć. Czułam wdzięczność. I zażenowanie, że muszę czuć wdzięczność.

Dziesięć po siódmej zatrzymałam się na parkingu przed lokalem Good Food na Montford. Sama zaproponowałam to miejsce. Będzie tu na tyle głośno, żeby zagłuszyć nasze słowa, a jednocześnie na tyle cicho, by rozmowa była w ogóle możliwa.

Hull już przyjechała, siedziała przy małym kwadratowym stoliku nieco z boku. Ubrana podobnie jak ja, ze staranną nonszalancją.

Na mój widok pomachała ręką; wewnątrz jej dłoni odcinało się różowo na tle ciemnej pigmentacji reszty skóry, okrywającej jej okazałą figurę. Odmachałam jej.

– Jak leci, Merlin? – Uśmiechała się ciepło, ukazując pełne uzębienie.

Synapsa. Błysk bieli w ciemności. Stęknienie. Jednoczesne uderzenie, które pozbawiło McGee powietrza w płucach i powaliło na ziemię.

– Nie narzekam. A tobie, Złośliwy Joe?

– Równy z górki.

Mary Louise zabrała karetkę. Tawny McGee znalazła się w areszcie. Kiedy siedziałyśmy w ciemnościach i czekały na chwilę, gdy opowiemy sobie wszystko, Hull i ja łagodzyliśmy napięcie, przypinając sobie nawzajem ksywki zawodników ligi NFL. Olsena i Greene’a, dwóch legendarnych atakujących.

Wsunęłam się na puste krzesło. Po chwili pojawił się kelner. Sean.

Poprosiłam o wodę Perrier. Hull wolała piwo. Gdy Sean przyniósł napoje, studiowałyśmy menu. Zabrało to trochę czasu, ponieważ sporządzono je w formie tapasowej.

– Jak tam Slidell? – zapytała Hull, kiedy już złożyłyśmy zamówienie. To znaczy ja je złożyłam. Hull tylko odsunęła kartę i przewróciła oczyma. Były duże, barwy syropu od Hersheya.

– Chudy jest jak bohaterka horroru niskiej klasy – odpowiedziałam.

– Nadal oddycha, nawet na napisach końcowych.

– Zawsze.

– A Tinker?

– Nie mam pojęcia.

Kiedy już pojawiły się przed nami wszystkie małe naczynka, zaczęłyśmy się częstować, a potem przeszłyśmy do wypadków, które rozegrały się od czasu naszej ostatniej rozmowy telefonicznej.

– DNA z odcisku ust pasowało do McGee? – Hull szturchnęła ostrygę.

Kiwnęłam głową.

– Wyniki przyszły wczoraj. Musiała otrzeć się twarzą o kurtkę Leal, kiedy przenosiła jej ciało.

– Nikt nie potrafi nic powiedzieć na temat tego włosa znalezionego w gardle Estrady.

– Zniknął?

– Jak kamfora.

– Nie jestem zaskoczona, biorąc pod uwagę niekompetentnie sporządzony protokół z sekcji zwłok. – Poczęstowałam się pulpecikiem. – Ale oglądanie tych wszystkich nagrań wideo jednak się opłaciło. Dwukrotnie zauważono samochód podobny do impali McGee, jadący w kierunku trasy I-485.

– Tej nocy, gdy pod estakadą znaleziono Leal.

Znów kiwnęłam głową.

– Liczą, że po powiększeniu będą mogli odczytać tablice rejestracyjne.

Hull uśmiechnęła się cierpko.

– Te dwie cyfry pasujące do rejestracji wozu Ajaxa to był czysty przypadek.

– A dziecko widziane na Morningside to nie Leal. Rozmawiamy o najbardziej pechowym przestępcy seksualnym na świecie.

– Co z laptopem? – Hull spojrzała na wołowe carpaccio, ale wybrała kolejną smażoną ostrygę.

– Czyste złoto. Okazuje się, że McGee znalazła Nance na forum, na którym odpowiadano na pytania dotyczące kariery pielęgniarki.

– Już wtedy przeniosła się z Vermontu do Charlotte?

– Na to wygląda. Pięć lat później zauważyła Leal na pogotowiu. Skorzystała z okazji, żeby skierować małą na forum o bolesnym miesiączkowaniu. Tam się z nią skomunikowała.



Zamilkłyśmy, rozmyślając o tym, na jakie niebezpieczeństwa narażone są dzieci pośród bezlitosnej anonimowości Internetu.

– Jakieś dowody, że kontaktowała się z Colleen Donovan? – zapytała Hull.

– Jak dotąd nie. Donovan żyła na ulicy, być może nie miała dostępu do komputera.

– Wciąż jej nie znaleziono?

– Nie.

Minęło parę sekund. Jadłyśmy.

– Więc McGee zaprawiła kawę Ajaxa, a potem ułożyła go w samochodzie – rzekła Hull. – Po co?

– Telefony od Slidella oraz jego wizyty na pogotowiu i w jej mieszkaniu musiały wywołać w McGee coś w rodzaju paranoicznej spirali strachu. Wiedząc, że gliny podejrzewają Ajaxa, zamordowała go i podłożyła materiał dowodowy w bagażniku, żeby definitywnie zamknąć sprawę.

– Dlaczego twoim zdaniem Ajax w ogóle wpuścił ją do domu?

– Niewątpliwie wymyśliła jakąś wiarygodną historię związaną z pracą, dotyczącą jego powrotu. McGee jest głęboko zaburzona, ale jednocześnie bardzo przebiegła.

– Świetnie ukrywała fakt bycia psycholką.

Nie było to do końca zgodne z wymogami poprawności politycznej, lecz prawdziwe.

– Do obezwładniania ofiar McGee używała wodzianu chloralu. Jak to się stało, że wykryto go tylko w ciele Ajaxa?

– Mary Louise Marcus też miała wodzian w organizmie. Toksykologodzy znaleźli go, ponieważ wiedzieli, czego szukać. Standardowe testy obejmują zwykle badanie obecności alkoholu, narkotyków, środków uspokajających, marihuany, kokainy, amfetaminy i aspiryny.

– Ale przecież mówimy o zamordowanych dzieciach. Nikt nie wyszedł poza standardową procedurę?

– Ciała dziewczynek znajdowano dopiero po pewnym okresie po śmierci, nie od razu. W przypadku Gower minęło osiem dni, Nance – czternaście, Estrady – cztery. Nawet gdyby szukali wodzianu chloralu, czego oczywiście nie robili, rozkład przesłoniłby jego obecność.

Hull zmarszczyła brwi z zakłopotaniem.

– Na chromatografie gazowym związki chemiczne powstające wskutek rozkładu są bardziej widoczne niż wodzian chloralu. Jeśliby nawet przeprowadzono dalsze badania, mógłby zostać przeoczony.

– Sądzisz, że McGee sama zabiła Gower? Czy może po spiknięciu się z Pomerleau?

– Morderstwo nigdy nie było w stylu Pomerleau.

Hull obniżyła brodę i uniosła głowę. Mówisz poważnie?

– Wiesz, co chcę powiedzieć. Oczywiście, że to było morderstwo. Ale w przypadku Pomerleau zabijanie stanowiło tylko produkt uboczny okrucieństwa i deprawacji. Nie cel główny.

– Zgadza się.

– W każdym razie, jeśli McGee nam o tym nie powie, nigdy się nie dowiemy, gdzie mieszkała w chwili uprowadzenia Gower. Ani czy działała sama.

– Ani czy Gower była pierwsza.

Ta ponura myśl też przysłała mi wcześniej do głowy.

– Dlaczego McGee odeszła od wzorca z datami i uprowadziła małą Marcus?

– Ta sama odpowiedź. Sondowanie przez Slidella sprawiło, że straciła kontrolę.

Obracając w głowie to zdanie, Hull zaczęła przeżuwać wolniej.

– Rozumiem sprawę z datami. McGee zabijała niemal w rocznice uprowadzeń albo morderstw popełnionych w Montrealu. Dzieci, które znała. Może nawet widziała ich śmierć. Ale po co ten włos, chusteczki ze śliną? Po co umieszczać DNA Pomerleau na swoich ofiarach?

Zadałam to pytanie Pameli Lindahl podczas naszej wielogodzinnej rozmowy telefonicznej. Dzieliły nas wprowadzanie setki mil, odniosłam jednak wrażenie, że w głosie psychiatry słysząc ogromne poczucie winy.

Potrzebowałam chwili, żeby ułożyć sobie myśli. Wzięłam gryz risotto ze słodką kukurydzą.

– Terapeutka McGee jest przekonana, że nie czerpała ona satysfakcji z poniżania czy kontrolowania, jak wielu innych seryjnych zabójców. Jej zdaniem psychoza McGee jest dwukierunkowa. Po pierwsze, jakby powtórnie dokonuje morderstw pierwszych ofiar, ale zabija je szybko i pozostawia „na słońcu”, aby nigdy już nie cierpiały tak jak ona kiedyś.

– Dlatego zwłoki leżały na otwartej przestrzeni, starannie upozowane, bez śladów urazów i oszpeceń.

– Właśnie. Po drugie, McGee chciała się zemścić na Pomerleau. A jednocześnie odwracała od siebie uwagę, w razie gdyby podejrzenia padły na nią.

– Więc ta psychiatra powiada, że kierowały nią miłość i nienawiść. – W głosie Hull słyszałam wątpliwości – A także instynkt samozachowawczy.

– Tak.

– Ofiary wybierała tak, żeby przypominały dzieci uprowadzone przez Pomerleau w Montrealu?

– By przypominały samą McGee. Została porwana w wieku dwunastu lat.

– To McGee wtedy dzwoniła? Sprawdzała, czy gliny mają coś w sprawie Donovan i Estrady?

– Zapewne – odrzekłam.

Hull zmięła i odrzuciła serwetkę. Oparła się na krzesło. Skrzyżowała ramiona i wolno pokręciła głową.

– Dla mnie to nie brzmi dostatecznie wariacko.

Wyobraziłam sobie dziewczynkę w trenczu i przekrzywionym berecie. Czułam, jak litość knebluje mi usta i uniemożliwia odpowiedź.

Znałam procedurę. Hull również ją znała. Pojawią się przedprocesowe wnioski o zbadanie zdrowia psychicznego McGee, odbędą się przesłuchania w obecności sędziów i adwokatów.

Zdrowa. Chora psychicznie. Tak czy owak, zaważy to na losie Tawny McGee, stanie się jej najgorszym koszmarem, który już raz przeżywała. Życiem w więzieniu, takim bądź innym.

Tak musiało być.

Nawet człowiekowi z pokiereszowaną psychiką nie wolno krzywdzić innych.

## Rozdział 44

Nazajutrz rano pojechałam samochodem do Heatherhill Farm. Podobnie jak magnolia przy Sharon Hall, tamtejsze azalie i rododendrony migotały woskową zielenią i monotonnymi brązami. Wyobraziłam sobie pączkujące liście, zdumione pierwszym ciepłem, oczekujące instrukcji od korzeni.

Sam River House do połowy skrywał się w cieniu, a w połowie wystawiony był na jasne promienie słoneczne. Jego okna sprawiały wrażenie skonfundowanych: jedne odbijały światło dnia, inne je pochłaniały.

Mama przebywała na tylnym tarasie, opatulona w kurtkę z kapturem i szalik, rozciągnięta na tym samym szezlongu, który zajmowała podczas Święta Dziękczynienia. Tak jak wówczas, zatrzymałam się na moment, żeby jej się przyjrzeć. Albo uwiecznić jej obraz w mojej pamięci.

Schudła, jednak obszerna kurtka utrudniała oszacowanie, jak bardzo. Miała spierzchnięte dłonie, tak ważne dla niej włosy w lekkim nieładzie. Mimo wszystko moja mama wyglądała pięknie.

To była przyjemna wizyta. Żadnych wyrzutów. Resentymentów. Nie pytałam o chemioterapię. Ona nie krytykowała moich manier ani sposobu ubierania.

Opowiedziałam jej o aresztowaniu Tawny McGee. O CAIS. O psychopatologicznej miłości i nienawiści. Nazwała to wszystko schedą po szaleństwie Pomerleau.

Podziękowałam mamie za jej wkład. Oświadczyłam, że ów filmik na YouTube oznaczał przełom w sprawie. Wielki przełom, o którym wspominał Ryan.

Spytała, czy widziałam się z Ryanem. Odparłam, że już od pewnego czasu nie. Nie naciskała.

A potem przekazałam mamie dobre nowiny. Policja zlokalizowała brata Kim Hamilton, mieszkającego obecnie w Miami. Wieść o śmierci siostry przyjął ze smutkiem, trafił go również fakt, że nie zna miejsca spoczynku jej ciała. Ostatecznie jednak potwierdzenie, że Kim zginęła – o czym zawsze był głęboko przekonany – przyniosło mu pociechę. Kim nie odwróciła się bowiem plecami do swojej rodziny, nie uciekła z domu.

W południe zjadłyśmy z mamą lunch, składający się z sałatki z awokado i grillowanej piersi kurczaka. O pierwszej Goose zagoniła mamę do łóżka, na drzemkę.

Tego wieczoru poszłam spać wcześniej. Zdarzało mi się to często, odkąd przed dwoma miesiącami poznałam Umpiego Rodasa; gdy tylko zamykałam oczy, bombardowały mnie wspomnienia. Nieproszeni goście: zwłoki, kości, dzieci.

Nie miałam nic do powiedzenia, jeśli chodzi o pory tych przykrych wizyt. Mogłam jedynie decydować o ich długości. Gdy tylko film zaczynał się kręcić, starałam się go wyłączyć.

Z jakiegoś powodu tej nocy pozwoliłam, by mój umysł krążył swobodnie.

Ujrzałam Nellie Gower, jak pedałuje na swoim rowerze, z rozwianymi brązowymi włosami chwytającymi słońce. Tawny McGee zaciskając pod jej brodą troczki foliowego worka.

Lizzie Nance ćwiczącą przysiady i arabeski przy baletowym drążku. McGee zaciskając jej martwe paluszki na zmiętej białej chusteczce.

Tia Estrada idzie, trzymając mamę za rękę. McGee wtyka jej głęboko w gardło długie jasne włosy.

Shelly Leal stuka w klawiaturę, jej twarz odbija blask ekranu. McGee układa jej nieruchome

ciało pod estakadą na szosie.

Wyobrażałam sobie dziewczynki w chwili, gdy ich świat zatrzymywał się na zawsze. Czy wiedziały o zbliżającej się śmierci? Czy pytały dlaczego?

Oprócz baletowego pantofelka i wycinków z gazet, skrzynka na pamiątki McGee zawierała żółtą tasiemkę, identyczną jak ta znaleziona w bagażniku samochodu Hameta Ajaxa. Matka Avery Koseluk nie rozpoznała tasiemek. Laura Lonergan zeznała, że nie należały do Colleen Donovan. Na żadnej nie było śladów DNA.

Wyobraziłam sobie te tasiemki, zastanawiając się, czy kiedyś wiązały włosy mojej NN. Albo jakiejś innej dziewczynki, której jeszcze nie znaleźliśmy. Nigdy nie ustalimy z całą pewnością, czy były inne ofiary, jednak Barrow i Rodas nie zaprzestaną poszukiwań w Stanach Zjednoczonych, a Ryan w Kanadzie.

Zobaczyłam moją NN, smutny zbiorek kości oznaczonych jako ME107-10. Czy gdzieś szuka jej rodzina?

Ujrzałam też Colleen Donovan. Avery Koseluk. Miałam nadzieję, że pewnego dnia zgłoszą się na policję w poszukiwaniu pomocy.

Nigdy się nie dowiemy, kto usunął nazwisko Donovan z listy osób zaginionych na stronie NamUS. Na szczęście już tam wróciło. Wraz z nazwiskiem Koseluk i dziesiątkami innych zaginionych lub spoczywających anonimowo w kostnicach i policyjnych magazynach dowodów rzeczowych.

Anique Pomerleau. Tawny McGee. Ofiary. Potwory. Skradzione dzieciństwo. Dorosłe gierki przeprowadzane z zimną przebiegłością.

Już po wszystkim.

A jednak nie.

Następnego ranka przebiegłam dwie mile. Szybki prysznic, trochę przerwania papierów. Potem zaczęłam wystawiać oceny za ćwiczenia laboratoryjne z semestru wiosennego, które prowadziłam na Uniwersytecie Karoliny Północnej.

Kilka dni temu mój dzwonek do drzwi jął skrzeczeć jak mewa chora na migdałki. Byłam już w połowie stosu zeszytów, gdy pracę przerwał mi rozdygotany skrzek.

Zaciekawiona, pospieszyłam do drzwi i wyjrzałam przez judasza.

Z drugiej strony wyzierało spektakularnie niebieskie oko.

Aż podskoczyłam ze zdumienia.

Świetnie.

Świadoma, że mam mokre włosy i workowate spodnie do jogi, otworzyłam drzwi.

Ryan miał na sobie dzinsy, skórzaną kurtkę i czarny wełniany szal. Na policzkach widniały czerwone plamy. Zapewne z przegrzania.

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówiło. Potem spróbowaliśmy równocześnie.

– A to ci niespodzianka – ja powiedziałam.

– Powinienem być zadzwonić – powiedział on.

– Ty pierwszy – powiedziałam.

– Wyjdź za mnie – powiedział on.

– Ja... Co takiego? – musiałam się przesłyszeć.

– Oświadczam się. Proponuję.

– Proponujesz.

– Małżeństwo.

- No tak.
- To mój pierwszy raz.
- Tak.
- Wyobrażałem sobie znacznie bardziej romantyczne okoliczności.
- Twoje przesłanie było bardzo jasne.
- Mam trochę poćwiczyć i wrócić?
- Poszło ci świetnie.
- Moglibyśmy zjeść kolację.
- Często jadam kolacje.

Ryan przyciągnął mnie do siebie. Objęłam go, przycisnęłam policzek do jego piersi. Po chwili się odsunęłam.

Patrzyliśmy na siebie.

- Ósma? – zapytał.
- Ósma może być – odpowiedziałam.

A potem sobie poszedł.

Niczym zombie weszłam do środka. Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie.

Nie potrafiłabym powiedzieć, jak długo tak stałam, przyglądając się temu, co znajome. Domowe.

Szenila od Harry zarzucona na oparcie sofy. Kosz wypleciony z turówki wonnej, należący kiedyś do babci, stojący na dywanie koło fotela. Srebrne świeczniki mamy na kominku.

Mój wzrok zatrzymał się na przedmiocie skonfiskowanym z mieszkania na Dotger. Dziecięcym rysunku przedstawiającym Birdiego – tym samym, który Mary Louise chciała mi podarować.

Ciągle widziałam te lodowatoniebieskie oczy. Słyszałam propozycję, która zmieniała moją przyszłość.

Pomyślałam o niezliczonych wersjach możliwych wydarzeń. O przeszkodach, których nie umiałam przewidzieć i nad którymi nie potrafiłam zapanować.

Czułam, jak na moje usta wkrada się uśmiech.

Może.

Tylko może.

Ale dzisiaj zajmę się jedynie oprawieniem w ramkę rysunku białego kota bawiącego się czerwoną myszką w kratkę.

## PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze mam ogromny dług wdzięczności u całego mnóstwa ludzi.

Do powstania książki *Kości nie kłamią* w znaczący sposób przyczynili się pracownicy Policji Charlotte-Mecklenburga z Wydziału Zabójstw oraz z Archiwum X, którzy poświęcili mi swój czas, dzielili się ze mną wspomnieniami i wiedzą. Szczególne wyrazy uznania kieruję do Chucka Hensona, Dave'a Philipa i Lisy Mangum.

Jestem wdzięczna Mike'owi Bissonowi, Michaelowi Badenowi oraz Diane Seguin za to, że odpowiadali na moje liczne pytania, a także Courtney Reichs za dzielenie się ze mną wiedzą na temat szpitali i zawodu pielęgniarki.

Cheri Byrd i Michelle Skipper zapewniały mi niegasnący entuzjazm. A także wino i sporo śmiechu.

Cenię sobie stałe wsparcie udzielane mi przez kanclerza Philipa L. Dubois z Uniwersytetu Karoliny Północnej w Charlotte.

Szczerze podziękowania przekazuję mojej agentce Jennifer Rudolph-Walsh oraz gwiazdom w swojej dziedzinie, redaktorkom Jennifer Hershey i Susan Sandon.

Pragnę również wyrazić wdzięczność wszystkim tym, którzy tak ciężko pracują na moje konto. W Stanach Zjednoczonych są to: Gina Centrello, Libby McGuire, Kim Hovey, Scott Shannon, Susan Corcoran, Cindy Murray, Kristin Fassler, Cynthia Lasky i Joey McGarvey. Po drugiej stronie wielkiej wody: Simon Littlewood, Glenn O'Neill, Georgina Hawtrey-Woore i Jen Doyle. W Kanadzie i na Alasce: Kelvin Hanson oraz Amy Cormier. W firmie William Morris Endeavor Entertainment: Caitlin Moore, Maggie Shapiro, Tracy Fisher, Cathryn Summerhayes i Rafaella De Angelis.

Doceniam też wnikliwe uwagi i komentarze Paula Reichsa, dotyczące pierwszej wersji maszynopisu.

Jak zawsze, wielkie *merci* dla moich czytelników. Bardzo mnie cieszy, że śledzicie przygody Tempe, jestem wdzięczna za Waszą obecność podczas podpisywania książek i na wieczorkach autorskich, a także za to, że odwiedzacie moją stronę internetową (KathyReichs.com), że dajecie mi lajki na Facebooku i śledzicie mnie na Twitterze (@kathyreichs). Biję od Was oślepiający blask, kochani!

Jeśli zapomniałam komuś podziękować, przepraszam. Wszelkie błędy, które być może znajdują się w tej książce, wynikły wyłącznie z mojej winy.

Książka ta nie jest oparta na faktach. Wszystkie zawarte w niej nazwiska, postacie, miejsca oraz wydarzenia są albo wytworem wyobraźni autorki, albo po prostu fikcyjne, a wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób, żywych bądź martwych, do przedsiębiorstw, wydarzeń oraz miejsc jest czysto przypadkowe.

---

[1](#) Cock (ang.) – kogut; hen (ang.) – kura, kwoka (przyp. tłum.).

[2](#) Bury (ang.) – pochować, pogrzebać (przyp. tłum.).

[3](#) Kwanzaa – święto społeczności afroamerykańskiej w Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.).

[4](#) Radio ham (ang.) – radioamator (przyp. tłum.).